

graham

MASTERTON



Czarny anioł

GRAHAM MASTERTON
Czarny aniol
(Przełożył: Dariusz Bakalarz)

Rok wydania: 1991

Rok polskiego wydania: 1992

W Punta Arenas spotkałem prawie stuletniego amerykańskiego marynarza. Powiedział mi, że jest jedynym rozbitkiem, który uszedł z życiem z żaglowca „Charlotte”, kiedy ten rozbił się podczas straszliwego sztormu przy przylądku Horn w 1837 roku. Mówił też o dziwnym ładunku, którego zawartość kapitan trzymał w największej tajemnicy. Opowiadał o rozlegających się nocą krzykach tak przerażających, że trzech członków załogi rzuciło się za burtę w przeświadczeniu, iż okręt został opętany. Nie powiedział wiele ponad to. Dorzucił jeszcze tylko, że rybak z Chileno nie wziął na swój pokład nikogo z tonącej w lodowatej wodzie załogi „Charlotte”. On sam ocalał chyba tylko cudem. Dodał, że plaża, na której cały czas spoczywa wrak żaglowca, jest uważana przez mieszkańców Chileno za miejsce niewysłowionego wręcz zła i nazywana Miejscem Kłamstw.

Randolph Miller

„Podróże po Ameryce Południowej”

Rozdział XII

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Joe Berry zjadł ostatni zwitek spaghetti z lekko kwaskowym sosem i odsunął talerz. Tak zakończył się jego ostatni posiłek.

–Niebo w gębie – westchnął i wyjął z kieszeni kraciastej koszuli paczkę merit mentholsów.

Po drugiej stronie kuchni Nina Berry krzątała się przygotowując szarlotkę z cynamonem, która nigdy nie miała się dopiec.

–Chcesz kawy? – spytała Nina.

Zapalił papierosa i pokręcił głową.

–Muszę się wyspać. Jutro zaczynam mieszkanie w Cow Hollow.

–Przygotowałam bezkofeinową.

–Kawa bez kofeiny to nie kawa. Tak jak piwo bezalkoholowe to nie piwo.

W mieszkaniu z dwoma sypialniami, po drugiej stronie przedpokoju spali na swoich piętrowych łóżeczkach siedmioletnia Karolina Berry i pięcioletni Joe Berry junior.

Szmaciana lalka Karoliny – Marta, leżała w indiańskim koszyku. Karolina już nigdy nie podniosła stamtąd Marty. Ulubiony królik Joego Juniora – Joe Junior Junior, siedział rozparty na słomianym foteliku. Joe nigdy już nie nazwie go Joe Junior Junior.

Był czwartkowy wieczór, jedenastego sierpnia 1988 roku godzina 21.03.

Joe wstał z papierosem w ustach i odniósł talerz do zlewu.

–Powinieneś to rzucić. – Nina zabrała mu papierosa i pocałowała w policzek.

–Dwa na dzień to palenie? – upomniał się.

–To o dwa za dużo. Chciałabym, żebyś żył wiecznie.

Zostało im mniej niż osiem minut.

–Spróbuję poprzestać na jednym, dobra? Ale musisz mi dać czas, żebym się zdecydował na którym. Potrzebuję rano na rozruszanie i wieczorem dla ukojenia.

–Ach te decyzje, decyzje – dokuczała mu.

Joe odebrał jej papierosa i przeszedł do pokoju. Na ekranie dużego telewizora z wyciszonym dźwiękiem migwały obrazy. Szedł wywiad z byłym urzędnikiem, który założył nową restaurację. Nie włączając głosu Joe usiadł na kanapie, a stopy w zielonych skarpetkach oparł na stoliku.

Wziął *Examinera*.

–Czytałaś już, że zamyślają zlikwidować konny patrol?! – krzyknął. – Kosztuje miasto półtora miliona dolarów rocznie. A to tacy zabawni jeźdźcy na śmiesznych koniach.

–Podoba mi się ten patrol – odpowiedziała Nina. – Tworzy atmosferę miasta.

–Jasne. Ale każdy tysiąc dolarów wydany na tę atmosferę to tysiąc dolarów mniej na walkę z tymi gówniarzami z biednych dzielnic.

Nina przeszła przez pokój z kubkiem kawy.

–Walkę z gówniarzami. Mówisz, jakbyśmy byli na wojnie albo na czymś takim.

–Żartujesz sobie? W tym roku zginęło już czterech gliniarzy! A co to jest jak nie wojna?

Pozostało sześć i pół minuty. Za mało nawet, żeby dokończyć popołudniową gazetę. Za mało, żeby Ninie wystygła kawa.

Kiedyś, przed dziewięciu laty, gdy zostali na noc u przyjaciół w Mill Valley, Joe zapytał Ninę:

–Gdybyś mogła wybrać, to co byś zrobiła przed śmiercią?

Pocałowała go w ucho. Przez drewniane okiennice promienie słońca sączyły się jak świeżo zebrany miód.

–Naturalnie, kochałabym się – wyszeptała.

Pocałował ją w ucho.

Pięć minut. Za mało czasu na kochanie.

Joe miał trzydzieści trzy lata, był szczupły i muskularny. Rzadkie, czarne włosy okalały zadziwiająco chłopcęją twarz – dojrzałości dodawały okazałe wąsy. Po college’u pracował jako gliniarz, bo jego ojciec też był policjantem. Jednak po ośmiu latach czynnej służby na ulicach San Francisco nagle postanowił nie iść już więcej do pracy. Położył się do łóżka i nie mógł wstać. Lekarz rozpoznał wyczerpanie nerwowe, a Joe znał jego powód. Absolutny drenaż ducha, pustka wywołana nie szokiem czy urazem, nawet nie widokiem zabitych kumpli, roztartych na czerwoną miazgę starych kobiet czy napuchłych topielców z zatoki, ale zwykłym rozdawaniem części swojej duszy tym, którzy jej potrzebowali. Dzień w dzień, noc w noc.

Wiedział, dlaczego księża się upijają. Wiedział, dlaczego lekarze biorą narkotyki. Wiedział, dlaczego policjanci nie mogą rano wstać z łóżka. To uczucia do świata i odruchy człowieczeństwa wcześniej czy później wyczerpują się i już nie można dać z siebie nic więcej.

Teraz Joe był stolarzem. Pracował dla Fastift Interiors w Ross Valley. Przycinał dębowe boazerie do gabinetów, mahoniowe parkiety i podkłady z sekwoi. Uwielbiał spokojną stolarkę – odmierzanie desek, zapach przeróżnych drzew. Uwielbiał sposób, w jaki łączyły się ze sobą czopy. Jednak jeszcze czasami budził się w nocy i widział twarze tych ludzi, którzy wykradli jego duszę. Twarze blade jak śmierć, blade jak brzuch zatrutej ryby.

Nina nie bardzo rozumiała, co dolega Joemu, chociaż znała kilka żon policjantów, których mężowie cierpieli na coś, co elegancko nazywa się „wyjałowieniem”. Niektórzy, co zgryźliwsi oficerowie nazywali to „wyglinieniem”.

Wygląd Niny dokładnie oddawał jej delikatną, tolerancyjną i tylko lekko rozkapryszoną osobowość. Urodziła się w 1962 roku, była córką właściciela księgarni „Red Flag” – nieposkromionego Thada Buforda i jakiejś bliżej nie znanej studentki Vanessy Grale (która w 1967 roku legalnie zmieniła nazwisko na Star Lover).

Nina spotkała Joego w 1981 roku w amfiteatrze przy Uniwersytecie Stanforda na koncercie jazzowym z okazji Dnia Niepodległości. Siedzieli pod drzewem i zaczęli ze sobą po prostu rozmawiać, jakby znali się od lat. Nie wiedziała, że jest gliniarzem, a potem było już za późno, bo się zakochała.

Z początku prawie nie dawało się wytłumaczyć jej przyjaciołom, że Joe nie będzie ich ściagał za każdego przypalonego skręta. I podczas każdej imprezy czy weekendu

Joe cierpiał zawołane i bezpośrednio zniewagi. Jedną z przyjaciółek Niny zawsze nazywała go Himmler. Inna wciąż pytała, czy nie zakuje jej w kajdanki. Po jakimś czasie zaczęli tracić kontakt z ludźmi, których razila obecność policjanta, choćby okazywał się nie wiadomo jak równym facetem. Ich krąg towarzyski ograniczył się (jak ogranicza się wszystkim policjantom i ich rodzinom) do innych policjantów z rodzinami.

Nina przyjaźniła się przynajmniej z tuzinem żon policjantów, ale nigdy nie żałowała, że już nie jest jedną z nich. Kiedykolwiek się spotykały, zawsze jadły spartaczone ciasto i rozmawiały z wymuszoną beztroską. Wszystkie mówiły tym samym łamliwym głosem, jakby w każdej sekundzie mogły rozlecieć się na kawałki. Nawet bez ciągłego życia na krawędzi życie nie jest bajką.

Napiła się kawy.

–Mówiłam ci, że dzisiaj Karolina wygrała batonik za rysunek?

Jeszcze tylko cztery minuty. Joe podniósł wzrok.

–W szkole rozdają teraz batoniki? Myślałem, że słodczyce to kara, nie nagroda.

–Oj, Joe, od jednego małego batonika nic jej się nie sianie.

–No nie wiem. To już sprawa rodziców, nie sądzisz? Próbujesz dobrze wychować dzieci, dbasz o ich zęby, o ich wagę. Na pewno im nie pomoże, jeśli nauczyciele zaczynają rozdawać słodczyce.

–Bardzo ładnie namalowała całą rodzinę. Zatytułowała „Oto my – rodzina Berrych”.

–A siebie namalowała bez zębów?

–Joe, na miłość boską, to tylko batonik. Przyniosła do domu i zapytała, czy może go zjeść.

–A ty oczywiście pozwoliłaś?

Nina pokręciła głową.

–Jesteś czasami niemożliwy. Palisz, pochłaniasz tyle spaghetti, jakby ci za to płacili, i pijesz piwo, aż masz w sobie tyle gazu, że mógłbyś odlecieć. A potem czepiasz się jednego małego batonika, który dostała twoja córka, bo jest dobra z rysunków.

Trzy minuty. Za mało, żeby wysłuchać do końca piosenki. Oczywiście ich ulubionej Barbary Streisand *Evergreen* (3:23).

–Dobrze, już dobrze. – Joe uśmiechnął się. – Poddaję się, ale nie wiń mnie, jeśli wyrośnie z niej bezzębny grubas.

–Pójdiesz i zobaczysz ten rysunek? – zaproponowała Nina. – Przypięła go przy ściennym notesie. A jak już tam będziesz, pocałuj ją na dobranoc.

Joe westchnął. Odłożył gazetę na kanapę, zgasił papierosa, wstał i przeciągnął się.

–Chyba się starzeję – powiedział. Podeszedł do Niny i pocałował ją w czoło. To był jego ostatni pocałunek. – Położyłem dzisiaj szesnaście metrów kwadratowych dębowego parkietu. Czuję się jak Quasimodo.

Postukując leciutko palcami w tapetę poszedł korytarzem do dziecięcej sypialni. Jak zwykle drzwi były uchylone na kilka centymetrów. Szklana wizytówka

zawiadamiała, że to pokój Joego Juniora i Karoliny. Joe otworzył drzwi i wszedł do środka. Czuł ciepło i zapach śpiących dzieci.

Za ciemno, żeby wyraźnie zobaczyć rysunek Karoliny. Z tego, co mu się udało dojrzeć, przedstawiła rodzinę jako cztery jasnyniebieskie postacie z twarzami świń i z metrowymi kijami zamiast rąk. Dlaczego dzieci zawsze malują przy każdej dłoni ze sto palców? Uśmiechnął się, podszedł do łóżka i popatrzył na śpiącą córkę.

Karolina była delikatną, śliczną blondyneczką, jak Nina. Widział wiele rodzin, gdzie córka urosła i stała się podobna do ojca, a syn do matki. Starszy sierżant George Swope spłodził trzy córki i każda wyglądała dokładnie tak jak on. Wąskie brwi, szeroka szczęka i wydatny nos. Chłopaki z oddziału nazywali je „siostrzyczki sierżanta Swope”.

Ale tu leżała Karolina z niebieskimi żyłkami na ułożonym na poduszce nadgarstku. Lśniące blond włosy rozsypały się wokół jej głowy niczym złoto. Miała leciutko rozchylone usta, oddychała głęboko i nieco chrapliwie.

Niżej, prawie całkiem przykryty kołdrą, Joe Junior śnił o czymś nieodgadnionym: o szkole, kosmosie, a może o kanapce z serem. Joe widział tylko odgarnięte do tyłu ciemnobrązowe włosy. Nachylił się i pocałował go w małe, gorące uszko. Mały też lekko chrapał. Może nawilżacz powietrza pomógłby im lepiej oddychać.

Minuta pięćdziesiąt pięć sekund. Za mało czasu na nawilżenie powietrza. Za mało nawet na przypomnienie sobie wszystkich chwil, kiedy rodzina Berrych była szczęśliwa.

Joe podszedł do łóżka, żeby poprawić zasłonę. Spojrzał na Fulton Street. Było prawie pusto, nie licząc zaparkowanych samochodów i dwóch mężczyzn w kapeluszach gestykulujących żywo rękami i halsujących od krawężnika do krawężnika, jakby byli kompletnie pijani.

Sam dom był nadzwyczaj cichy. Z góry nie było słyhać telewizji od pani Caccano, bo upadła, skręciła sobie kostkę i teraz musiała odleżeć tydzień w szpitalu. Linebargerowie z dołu też nie słuchali dzisiaj opery.

Cisza sprawiała, że mglista noc zdawała się jeszcze bardziej upiorna. Joe zawsze obiecywał sobie, że wyprowadzi się z dzielnicy przy zatoce, może do Napa albo Sacramento, gdzie klimat jest suchszy, a dzieciaki nie sapią przez sen.

Ale tu się urodził, jego matka również, jego dziadek był rekwizytorem Chutes – jednym z nielicznych teatrów, przetrwałym po pożarze i trzęsieniu ziemi w 1906 roku. Czy było dla niego inne, lepsze miejsce na świecie?

Minuta. Już poniżej minuty. Piętnaście sekund. Dziesięć. Za mało na Modlitwę Pańską, nawet gdyby wiedział, że powinien odmówić.

Puścił zasłonę. Nagle usłyszał huk jakby wybuchającej bomby. Łuubuuduu! – głęboka, potężna, przygniatająca eksplozja.

–Jezu! – krzyknął, bo przez ułamek sekundy pomyślał, że to on spuszczając zasłonę spowodował wybuch.

Nasłuchiwał. Panowała cisza.

–Nina?! – zawołał.

Cisza. A może cichutki płacz? Nie był pewien.

Z każdą chwilą całe życie wokół niego zaczynało się walić, jakby Boga miało usatysfakcjonować dopiero strącenie całej rodziny do piekła.

–Nina! – krzyknął. (A może nie? Może nie był w stanie nic z siebie wydusić? Nie miał pewności. Jako gliniarz nasłuchiwał się nagrań ludzi pod wpływem silnego stresu – zakładników, samobójców, ludzi złapanych w pułapkę kanałów ściekowych. Tym ludziom zawsze wydawało się, że mówią spokojnie i rzeczowo, ale gdy komuś z nich uda się usłyszeć siebie, to usłyszy tylko obcy bełkot i sapanie jak przy hiperwentylacji).

Trzęsienie ziemi? – pomyślał. Ale przecież czuł, że to coś zupełnie innego. Żadnego kołysania pod stopami. Wybuch gazu? Może Linebargerowie zostawili odkręcony gaz i poszli na występy swojej córki w „Eurece”?

Wyszedł do przedpokoju.

–Nina? Nina? Nic ci nie jest?

Krew pulsowała mu w uszach: Nina, Nina, Nina, Nina.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, były zniszczone drzwi wejściowe. A właściwie nie drzwi, ale sama framuga i sterzące wokół cegły.

W gruzach na podłodze leżał wielki lewar, używany przez strażaków do wyważania drzwi w płonących budynkach.

–Nina!

Nie wiedział, w jaki sposób udało mu się tak szybko dojść do pokoju. Jakby przez głowę przemknęła mu myśl „pokój” i w mgnieniu oka już tam był. I wtedy zobaczył, co się stało. To było gorsze niż wszystko, co mógł sobie wyobrazić.

Coś mu powiedziało: *to szaleństwo, zbyt okrutne, aby mogło być prawdziwe. To koszmar, który nawiedza każdego ciężko pracującego i płacącego podatki człowieka z klasy średniej. Mógł się zdarzyć tylko we śnie lub na filmie.*

Ogromny jak wieża mężczyzna, w straszliwej, kanciastej masce stał na środku pokoju. Jedną nogę opierał na przewróconym stoliku. Ciągnął Ninę za włosy, a do jej szyi przyciskał wielki rzeźniczy nóż. Ninie zbieleły usta, a oczy wyszły niemal na wierzch. Ręce zwisały po bokach, jakby była marionetką z zerwanymi sznurkami. Mężczyzna tak mocno przyciskał nóż do tchawicy, że spod przeciętej skóry płynęła krew i wystarczyłoby, żeby Nina przełknęła ślinę, a gardło by się otworzyło.

Joe ostrożnie podniósł ręce, oddychał z trudem. Doświadczenie policyjne podpowiadało mu: ochrona zakładnika, nie dać się zwariować ani spanikować. To może być twoja żona, ale to jeszcze nie powód, aby tracić nad sobą panowanie. Okazuj spokój, okazuj chęć pojednania.

Groteskowa maska nie pozwalała Joemu ocenić wyrazu twarzy napastnika ani w jakim jest wieku, ani stanu jego umysłu. Maską była czarna jak smoła, plastikowa albo z papier-mâché, przywodząca na myśl chrząszcza, lecz raczej z jelenim porożem niż ze zwykłymi rogami. Śmiertelnie czarne obwódki wokół oczu przypominały kształtem lisie, a martwe, aksamitne oczy nie wyrażały nic.

Mężczyzna rozebrany był do pasa. Jego pierś pokrywał rozmazany, rdzawokarmazynowy olejek, zmieszany może z farbą, a może z krwią. Mięśnie klatki piersiowej miał rozwinięte jak zapalony ciężarówiec.

Dziwne, myślał Joe, nieprzeciętny facet. Sutki miał przebite złotymi obrączkami, z których zwisały brzęczące koraliki i paciorki.

Czarne dżinsy podtrzymywał ciężki czarny, skórzany pas z błyszczącą sprzączką w kształcie uśmiechniętej czaszki. U pasa wisiała spora, płócienna torba. Mężczyzna był niezwyklej postury: ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i dobrze powyżej stu kilogramów wagi.

Nie wyglądał jak rockers ani żaden z tych przebranych homoseksualnych fetyszystów, którzy przyjeżdżają do San Francisco odwiedzić umierających przyjaciół, ani też jak typowy narkoman spotykany na każdej ulicy, bez których Departament Policji San Francisco byłby normalnym miejscem pracy.

Ten człowiek był zupełnie inny. Wyglądał jak posłaniec samego Szatana.

Co więcej wywalił drzwi wejściowe strażackim lewarem, a jeśli wcześniej nie upewnił się, że sąsiednie mieszkania są puste, to po prostu nie przejmuje się hałasem. Dla Joego było jasne, że facetowi nie zależy, czy przeżyje, czy umrze, a to świadczy o tym, że nie zawaha się przed zabójstwem.

Dawno temu, na Green Street, jeden z partnerów Joego popełnił błąd próbując wytrącić pistolet człowiekowi, któremu nie zależało na życiu. Twarz partnera rozprysła się na koszuli Joego jak talerz jarzynowej zupy.

Nina nie mogła mówić, ale jej oczy błagały o pomoc. Gdyby mężczyzna nie trzymał jej za włosy, najprawdopodobniej by upadła.

Joe rozłożył ręce, żeby było jasne, iż nie ma broni. Pokazywał, że chce rozmawiać.

–O co chodzi? – spytał z gardłem ściśniętym napięciem i zapchanym flegmą. – Czego chcesz?

Wielka zamaskowana głowa obróciła się powoli, gdy Joe okrążał przewrócony stolik.

–Czego chcesz? – powtórzył. – Pieniądzy? Narkotyków? Powiedz tylko, a spróbujemy zorganizować. Daj spokój, przyjacielu, masz moją żonę i chyba wiesz, że nie zrobię głupstwa, nie?

–Joe...! – wykrzyknęła zdesperowana Nina.

–W porządku, serduszko, w porządku – powiedział Joe, cały czas uświadamiając sobie, że temu facetowi w każdej chwili może odbić. Mnie też zabije, jest całkiem pozbawiony rozumu. Kto, do diabła, rozwałałby drzwi za pomocą lewara? Kto włamuje się do mieszkania, gdzie z wyjątkiem srebrnych baseballowych trofeów i czteroletniego magnetowidu nie ma co ukraść.

Kto zakłada maskę insekta i smaruje się krwią?

–No, przyjacielu, o co chodzi? – powtórzył.

Napastnik wahał się bardzo, bardzo długo. Minuty sączyły się jak gęsty olej. Potem przemówił głębokim, stłumionym głosem:

–Nie jestem dla ciebie przyjacielem, przyjacielu, jestem dla ciebie najgorszym z koszmarów.

Joe skinął głową i spróbował przełknąć ślinę.

–W porządku, przepraszam, nie chciałem nikogo urazić. Interesuje mnie tylko,

czego chcesz?

Znów długa cisza. Wtem:

–Wiesz, czego chcę?

Joe nie mógł powstrzymać gwałtownego łomotania serca, nie mógł powstrzymać ucisku w płucach. Spokojnie, Joe, spokojnie, na miłość boską. Nie daj po sobie poznać, jak bardzo się boisz.

–Nie, nie wiem, skąd miałbym wiedzieć?

Wielka czarna, błyszcząca głowa skinęła i nachyliła się.

–A czego chcą wszyscy? Władzy, pieniędzy, zemsty i seksu.

–Tu nie znajdziesz nic z tych rzeczy – Joe zaczął panikować.

–Nie? – powtórzył mężczyzna. Przesunął nóż do dołu i do góry po skórze Niny. –

A jak to nazwiesz? Zemstą czy seksem, a może władzą?

–Słuchaj, chcesz pieniędzy? Dam ci pieniądze – obiecał Joe. – Mam na koncie dwa i pół tysiąca dolarów. Dostaniesz wszystko.

Zamaskowany mężczyzna wydał z siebie głęboki, charczący okrzyk rozbawienia.

–Co chcesz zrobić? Wypisać mi czek? Nie masz lepszego pomysłu?

–No to co? Powiedz tylko co, a zrobię wszystko, co w mej mocy, aby ci to dać.

Olbrzym znowu milczał. Zdawało się, że godzinami. Joe nastawił uszu, czy nie słyhać zbliżających się syren – czegokolwiek, co mogłoby im pomóc. Sąsiedzi, na miłość boską, nie mogli nie usłyszeć wywalania drzwi. Słoń im nadepnął na ucho, zwariowali czy co?

Słyszał stłumione mgłą odgłosy nocy i to wszystko. Ruch uliczny, samoloty, zwierzęce syreny statków. Żadnych sygnałów policyjnych. On, Nina, Karolina i Joe Junior zostali usidleni przez koszmar, a miasto zdawało się cichnąć i układać do snu.

–Proszę – zaszlochała Nina. – Proszę, nie krzywdź nas.

–Chcecie żyć? – mężczyzna zwrócił się do Joego.

–Też pytanie.

–Zupełnie uzasadnione w tych okolicznościach, nie sądzisz?

Joe starł rękawem pot z czoła.

–Oczywiście, że chcemy żyć. Mamy dzieci.

–No jasne – powiedział napastnik. – A zatem chcę, żebyś uklęknął i obie dłonie położył na podłodze.

Joe zmieszał się.

–To wszystko? Chcesz tylko tego?

–Uklęknij, jak powiedziałem, i połóż obie dłonie na podłodze.

Równocześnie z tymi słowami Joe wykonał polecenie. Mężczyzna popatrzył chwilę i powiedział:

–Dobrze, o to chodziło.

Puścił włosy Niny, a gdy zaczęła się osuwać, przycisnął jej nóż do szyi podtrzymując ją w pozycji stojącej. Lewą ręką szukał czegoś w torbie przytwierdzonej do paska.

–Możemy porozmawiać? – zapytał Joe. – Na pewno czegoś chcesz. Możemy się postarać o gotówkę. Mój szwagier...

–Pieprz swojego szwagra! – krzyknął mężczyzna. Z pewnymi trudnościami wyciągnął z torby mały młotek i dwoma palcami włożył go z powrotem. Wyjął długi czworokątny gwóźdź używany do przybijania podkładów kolejowych.

–Proszę. – Wyciągnął jeszcze kilka sztuk i pociągnawszy Ninę za sobą podsunął młotek Joemu pod nos.

–Co? – zapytał zdezorientowany Joe. Poczuł wilgoć w nogawce i nagle uświadomił sobie, że narobił w spodnie. Czuł w skroniach puls jakby odgłos monotonnego bębnienia. Odejdź, proszę cię. Niech cię tu nie ma. Niech otworzę oczy i zobaczę, że cię tu nie ma.

–Proszę – powtórzył mężczyzna. – Weźmiesz ten cholerny młotek, czy nie?

Joe wziął bez słowa. Próbował także wziąć gwóźdź.

–Gwoździa nie. Twoja ukochana żonka ma ochotę go potrzymać.

Mężczyzna schylił się i starał się wcisnąć Ninie gwóźdź do ręki. Jednak Ninie tak trzęsły się ręce, że upuściła go na podłogę. Rozległ się brzęk.

–Podnieś – rozkazał Joemu. – I podaj jej.

Joe podniósł gwóźdź i położył go Ninie na dłoni. Zacisnęła kurczowo palce.

–Co zamierzasz? – zapytał Joe. Jego własny głos brzmiał jak cudzy.

Mężczyzna znów złapał Ninę za włosy i wolno podniósł jej głowę. Miała rozciętą skórę na gardle. Widoczne żyły podświetlał błyszczący nóż. Ostrze nawet raz nie zadrżało. To nie jest ludzka istota, pomyślał Joe, nawet mu ręka nie zadrży, żadnych nerwów. Jest opanowany, rozluźniony. Znęcanie się nad nami nawet go nie podnieca.

–Połóż dłonie na podłodze – napastnik poinstruował Joego. – O tak, bardzo ładnie, płasko. Teraz twoja żonka ślicznie przed tobą uklęknie i przytrzyma ci ten gwóźdź na prawej dłoni. Będzie trzymała naprawdę mocno. I wtedy ty uderzysz prosto w niego.

Joe z przerażeniem spojrział w śmiertelnie czarne oczy.

–Chcesz, żebym przybił własną dłoń do podłogi? Zwariowałaś?

–Zrobisz, co ci każę, albo popatrzysz sobie, jak umiera twoja żona.

–Postradałeś zmysły!

Mężczyzna chrząknął i nachylił zamaskowaną głowę.

–Dla ciebie to żadna różnica, czy jestem zdrowy, czy szalony. Dla ciebie ważne jest tylko przeżycie. A jedyna szansa, żeby przeżyć, to zrobić to, co ci każę.

Bardzo powoli, wciąż trzymając Ninę za włosy, zmusił ją do uklęknięcia.

–Gwóźdź! – krzyknął.

–Nie mogę – Nina zaszlochała. Z jej krtani spływała strużka krwi, rozmazując się w zagłębieniu pod szyją.

–Powiedz jej, Joe – przymilnie odezwał się. – Powiedz jej, co się stanie, jeśli będzie się źle zachowywać.

–Nino – powiedział Joe. – Musisz być odważna.

–Ale nie mogę! Nie mogę! Nie mogę! – prawie wpadła w histerię. Joe wiedział, jak niebezpieczna jest histeria u zakładników. Wtedy z byle jakiego powodu napastnik może wystrzelić z pistoletu. I zwykle strzela. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że straty

będą jak najmniejsze.

–Gwóźdź! – nalegał mężczyzna.

Zupełnie roztrzęsiona ujęła gwóźdź w dwa palce i przytrzymała jakieś dziesięć centymetrów nad dłonią Joego. Joe przyłożył czubek do środka dłoni, pomiędzy kość i żyły.

–Nie mogę – szepnęła Nina. – Nie mogę, nie prosź mnie.

–Patrz – rzekł Joe. – To nawet nie zaboli. Pamiętasz Billa Gatesa? Dostał kulą w środek dłoni, jakby grał w baseball. Nawet nie poczuł. Już jest zdrowy, absolutnie zdrowy.

Mimo łagodnych słów otuchy Joego zalewał zimny pot. Czuł, jak spaghetti rozsadza mu brzuch i zamienia się w glisty podchodzące mu do gardła. Jeśli miał to zrobić, jeśli miał przybić sobie dłoń do podłogi, chciał to mieć za sobą najszybciej, jak się da.

–Tylko przytrzymaj gwóźdź – błagał. – Złap tu i zamknij oczy. Żadna to dla mnie łaska, że nie trzymasz go sztywno.

Nina spojrzała mu w oczy i przełknęła ślinę.

–Kocham cię. Nigdy nie zapomnij, że cię kocham.

–Ja też cię kocham, serduszek.

–Dajcie sobie z tym spokój, na miłość boską – wtrącił mężczyzna. – Chcesz popatrzeć, jak ona umiera?

Joe czuł czubek gwoździa na skórze. Musiał uderzyć mocno i dokładnie, traktował to jak stolarkę. Nie chciał walnąć młotkiem w palce, porozbijać sobie kostek i już nigdy nie wrócić do pracy. Nie chciał też trafić w palce Niny.

Kropła jej krwi skapnęła mu na wierzch dłoni i to go przekonało. Skoro ona może przelewać za niego krew, to i on może za nią.

Podniósł młotek, wrzasnął: „Aaa!” i wbił gwóźdź prosto w ciało, między przedłużenie wskazującego i środkowego palca. Przez mięśnie i chrząstki, w twardą, dębową podłogę.

Nie przypuszczał, że będzie aż tak bolało. Bili Gates mówił jednak, że coś czuł. Gwóźdź wywołał straszny skurcz bólu wzdłuż całego ramienia. Palce rozczapierzyły się jakby pod wpływem elektrycznego wstrząsu.

–O Jezu, Jezu, Jezu – bełkotał. Częściowo dla złagodzenia napięcia, częściowo z zaskoczenia, ale głównie z bólu.

Ale mężczyzna w masce nie dawał za wygraną.

–Jeszcze raz – rozkazał chrapliwym głosem. – Ile się da.

Ze łzami w oczach Joe jeszcze raz podniósł młotek. Napastnik zmusił Ninę do wstania. Nie była w stanie zamknąć oczu. Mogła jedynie odwrócić poszarzałą nagle twarz.

Joe spojrzał na dłoń. Główka w kształcie litery „L” wystawała jakieś trzy centymetry ponad skórę. Na biegnącej między palcami cienkiej czerwonej linii było zaskakująco mało krwi.

–Jeszcze raz! – polecił mężczyzna.

Wahając się Joe podniósł zdrętwiałą rękę z młotkiem i walnął w gwóźdź. I jeszcze

raz, i jeszcze, aż dłoń całą powierzchnią przywarła do podłogi. Czuł, jakby miał odmrożoną rękę. Nieustający ból penetrował każdą kostkę ciała. Upuścił młotek i trzęsąc się klęczał w milczeniu. Nie zastanawiał się, co dalej.

–A teraz – powiedział mężczyzna – kolej na panią Berry.

Joe podniósł głowę.

–Co? – zapytał przerażony.

–Kolej na milutką Ninę – odpowiedział tamten. Bez żadnych emocji. Zupełnie jak steward zapowiadający, że zbliża się lądowanie.

–Co to znaczy? Co chcesz zrobić? – zapytał Joe.

–Możesz przestać z tymi pieprzonymi pytaniami? – powiedział wciąż opanowanym, choć trochę głośniejszym tonem.

–Ale chyba, nie chcesz...

–Stul pysk, do cholery! – wrzasnął napastnik i tym razem Joe poważnie się przeraził. Mężczyzna mówił spokojnie, ale było jasne, że się denerwuje. Jeden nierozważny ruch, jedna odpowiedź za dużo, a zabije ich oboje. Joe w cierpieniu zamknął oczy. Myślał o Karolinie i Joem Juniorze. Próbował też myśleć o jakimś wyjściu z tej okropnej sytuacji wykrzesać odrobinę nadziei.

Jednak zamaskowany mężczyzna atmosferę całego mieszkania nasycił tak irracjonalnym strachem, że Joe nie mógł wymyślić nic konstruktywnego ani nawet optymistycznego. Chciał tylko, żeby to się skończyło, nieważne jak, ale żeby już było po wszystkim.

Otworzył oczy i zobaczył, że naprzeciw niego klęczy Nina z rękami przyłożonymi do podłogi. Dotykali się niemal końcami palców. Mężczyzna przechylił się nad Niną i czubkiem noża dotknął jej tętnicy szyjnej.

Joe czuł jego zapach. Pot, smar samochodowy i jeszcze coś niesprecyzowanego. Zgniłe siano, zasuszona skóra lub kiepskiej jakości marihuana.

–Jeszcze raz powtórzmy to samo – powiedział mężczyzna. – Nina trzyma gwóźdź, a Joe go wbije.

Wyjął kolejny gwóźdź z torby i ostrożnie położył na podłodze koło lewej dłoni Niny.

–Pójdiesz za to do gazu – powiedział Joe głosem załamującym się tak jak światło w szkiełkach dzieciennego kalejdoskopu.

–Stul pysk, proszę – rzekł tamten tym razem o wiele łagodniej. – Do gazu nie wsadzają za nic.

–Chyba nie myślisz... – Joe wiał się z bólu. – Jezu, to moja żona!

–Owszem, myślę. Spodziewam się, że zrobisz wszystko. Zrobisz to albo umrzesz. Wybór należy do ciebie. Cóż prostszego?

–Zrób to, Joe – westchnęła Nina. – Niech to, na Boga, będzie już za nami.

Prawą ręką wzięła gwóźdź i uważnie przyłożyła do swojej lewej.

–No, Joe, zrób to. Dotąd wszystko znosiliśmy razem.

–No dalej. Joe – przynaglił mężczyzna przyciskając nóż do szyi Niny. – Podwoimy rozkosz, podwoimy zabawę.

–Boże, jesteś maniakiem – wytknął mu Joe.

Opuścił głowę. Nadszedł moment, w którym nie wiedział, czy jest to w stanie zrobić, czy nie. Mimo wszystko, nawet jeśli przebije dłoń Niny, nie ma żadnych gwarancji, że oboje nie zostaną zabici. Ale szkolenie policyjne mówiło: „Kompromis. Obieraj linię najslabszego oporu”. Wiele razy widział, co się dzieje z takimi, co chcą zgrywać bohaterów.

–Dalej, Joe – rzekła Nina. – Bądź odważny.

Joe zadrżał. Dlaczego mu tak zimno?

–Dalej, Joe – usłyszał, jak Nina powtarza.

Próbował nie myśleć o niczym. Podniósł młotek i z całej siły przebił Ninie dłoń.

Miał nadzieję, że zaoszczędzi jej bólu drugiego albo i trzeciego uderzenia. Tak dziwnego krzyku jeszcze nigdy nie słyszał. Z wyjątkiem tego razu, gdy na Embracadero wolno cofająca się ciężarówka najechała kołem na skrzydło mewy.

Upuścił młotek na podłogę. Jednak mężczyzna w masce rzekł:

–Jeszcze raz, no, Joe, jeszcze raz. To dopiero połowa roboty.

Podniósł młotek. Starał się skupić wzrok tylko na główce gwoźdźca. Znow uderzył i znow. Wreszcie dłoń Niny, tak jak jego własna, została na płasko przybita do podłogi. Olbrzym spojrział na niego, potem na Ninę. Oboje płakali.

–Dobrze się spisałeś – pochwalił Joego. – Naprawdę bardzo dobrze. Jestem z ciebie dumny.

Joe nic nie odpowiedział. Z bólu i poniżenia nie mógł mówić. Nina wciąż szlochała. Wiedział, że bardziej z żalości nad nim niż z własnego bólu.

Napastnik zdjął nóż z gardła Niny, cofnął się i usiadł na podłodze.

–No, no – powiedział. – Otóż to. Tak was właśnie chciałem zobaczyć, wiesz?

Kłęczących, posłusznych i ze zranionym sercem.

Wbił nóż w podłogę. Sprężynował do przodu i do tyłu jak trampolina.

–Była kolej Joego, była Niny. Teraz moja.

–Nie jesteś jeszcze usatysfakcjonowany? – ze złością zapytał Joe.

–Usatysfakcjonowany? – Czarna maska ze wściekłością przysunęła się do twarzy

Joego. – Nie wiesz, że majestat Szatana nigdy nie jest usatysfakcjonowany?

–Na miłość boską.

–Nie – powiedział mężczyzna. Jego głos przybierał na lubieźności. – Na miłość Szatana.

Ujął prawą dłoń Joego i przycisnął do podłogi.

–Nie – powiedział Joe, chociaż nie mógł nic zrobić.

Mężczyzna kostkami przytrzymał jego dłoń. Z brzękiem wyjął z torby kolejny gwóźdź i wbił go prosto w rękę Joego.

–Nie! – krzyknął Joe, ale po trzech czy czterech silnych uderzeniach prawą dłoń miał także przybitą do podłogi. – Aaa, aaa, Boże, aaa! Boli!

–Zamknij się, dobra? – powiedział ordynarnie napastnik. – Wszystko idzie dobrze. Nie chcemy tego zepsuć, nie?

–Jezu! – wyszlochał Joe.

Trzymał nisko schyloną głowę i nie dopuszczał do siebie żadnych dźwięków, gdy tamten przybijał dłoń Niny. Jednak huk uderzeń młotka poruszał każdy jego nerw i

każdą kostkę.

Mężczyzna wstał i obszedł ich dokoła:

–Dobrze, Joe. Wyglądacie dobrze, wiesz? Tak właśnie chciałem was widzieć.

Kłęczących i okazujących szacunek.

W końcu nachylił się nad Joem i powiedział:

–Boli. Ale chcę, abys myślał o czymś, co odsunie ból na bok. Wiem. Myśl o swojej matce, słodkiej, stareńkiej mamusce.

Joe czuł, że jego zimne na początku dłonie teraz płoną.

–Nie chcesz myśleć o mamusce? Skurwielu! Co z ciebie za Amerykanin? Zaraz powiesz, że P. W. Herman ci się nie podoba.

Stracił trochę czasu na grzebanie w torbie. Potem wyciągnął dziewięciocalowy gwóźdź i podsunął pod twarz Joego. Joe widział mieniący się szary i niebieski kolor.

–Patrz na to! Gwóźdź czy nie gwóźdź? Ręcznie kuty. Nie oszczędzałem na tobie.

Przyłożył kolejny gwóźdź do zagłębienia przy zgiętym kolanie Joego. Jasna cholera, pomyślał Joe, nogi też chce mi przybić. Przez moment, gdy mężczyzna podnosił młotek, Joe zawahał się. Nagle wierzgnął nogami jak osioł. Prawą stopą dosięgnął łokcia mężczyzny i przewrócił go. Zaraz potem poczuł, jak rzeźniczy nóż wsuwa mu się między nogi, przecina spodnie, otwiera mosznę i wbija do połowy penisa. Jeszcze centymetr i zostałby wykastrowany.

Joe nie poruszał się. Kłęczał rozkraczony, a po nogach sączyła mu się krew. O Boże, jeszcze centymetr, a zamieniłby mnie w kobietę.

–O dobrze – rzekł napastnik. – Zostań tak i nie ruszaj się, a wszystko będzie ładnie i miło.

Nastąpił kolejny etap ukrzyżowania. Ból był tak straszliwy, że Joe krzyczał na całe gardło. Mężczyzna przebił mu kolana i przybił go do podłogi. Teraz Joe już wszystkie cztery kończyny miał unieruchomione. Za moment z Niną stało się to samo.

Gdy zamaskowany napastnik skończył, odłożył młotek i skoczył na nogi.

–To Joe, a to Nina. Kłęczą jak służący. Jak niewolnicy. Podobasz mi się, Joe. Po to się urodziłeś – żeby kłęzcęć. Płaszczyc się. To właśnie jest służba!

Krążył dokoła nich i krążył, aż Joe stracił orientację, gdzie jest. W końcu zatrzymał się za Niną i stukał butem w podłogę. O Boże, co za ból! – myślał Joe. Ale nie płakał, przynajmniej na razie.

–Tak, służba! Jesteście służącymi! – mówił mężczyzna.

Nachylając się powoli, przyklęknał. Zaszleściły zwisające z sutek paciorki. Podciągnął zielono-żółtą, kraciatą sukienkę Niny aż po talię. Miała na sobie błyszczące rajtuzy i białe majtki z koronką. Przesunął palce po pośladkach delikatnie i łagodnie, ale zdecydowanie, ponieważ wiedział, że ani Joe, ani Nina nie mogą go powstrzymać przed tym, co zamierza.

–Zaraz upadnę – wyszeptała Nina. – Już dłużej nie mogę. Zaraz upadnę.

–Jak będziesz chciała, to nie upadniesz – zamruczał olbrzym. – Jesteś przybita, pani Berry. Unieruchomiona jak niewolnica, jak dziwka.

–Zostaw ją! – ryknął Joe. – Dotknij ją, a znajdziesz się w piekle!

Mężczyzna podniósł zamaskowaną twarz. Światło lampy oświetliło każdą bruzdę.

Tylko oczy pozostały martwe.

–To było ci pisane, Joe, zanim się urodziłeś.

Kciukiem i palcem wskazującym zrolował Ninie rajstopy do zakrwawionych kolan. Nie mógł dalej, bo była przybita. Zaraz potem ściągnął jej majtki.

Jezu, jeśli kiedykolwiek z tego wyjdziemy, zabiję go gołymi rękami i umrę za to szczęśliwy.

Joe zamknął oczy. Słyszał, jak mężczyzna odpina sprzączkę paska. Słyszał, jak Nina kwili. Jezu, proszę cię, oszczędź mi tego. Nie pozwól na to. Czy mogę się już obudzić?

Kątem oka dostrzegł, że napastnik opuścił skórzane spodnie aż do łydek. Czarne, kosmate włosy, kosmate uda i czerwony, sterczący penis. Jedyne, co mógł zrobić, to skupić się na wykrzywionej grymasem bólu twarzy Niny, gdy mężczyzna rozszerzył jej pośladki i wszedł w nią.

Szarpała się w boleściach, choć na razie to jeszcze nie były bóle. Zielone tęczówki zwięzły się. Otworzyła usta, jakby nie mogła złapać tchu.

–Kocham cię – powiedział Joe. Na nic więcej nie było go stać. Jego ból w dłoniach i kolanach podobny był pocałunkom, w porównaniu z tym, co cierpiała – szarpiąc się i opierając – ona. Jeśli już musiał umrzeć, chciałby zginąć jak mężczyzna, tak jak jego przyjaciele – na ulicy, w sprawiedliwej walce za coś, w co wierzy.

A on... A on był przybity do podłogi, podczas gdy jakiś sadysta gwałcił i torturował jego żonę. I to tuż przed jego oczami. Twardy mąż i obrońca przybity do cholernej podłogi.

Na czoło Niny jak korona z pereł wystąpiły krople potu. Mężczyzna napierał coraz silniej, zaczęła sapać.

–Niezła jest! – powiedział. – Dała ci dwójkę dzieci, ale to nic. Jest ciasnutka jak orzeszek!

Joe zobaczył, jak Nina zamyka oczy i zaciska zęby. Wtedy zamaskowany mężczyzna ryknął z nagłą:

–Tak, tak, o tak! O to chodzi, do cholery!

Nina krzyknęła, a spaghetti nie mogło już dłużej pozostać w brzuchu Joego. Cała zawartość żołądka napłynęła mu do gardła, wypełniła usta i zwymiotował sobie na rękę.

Olbrzym znieruchomiał.

–No nie, Joe, przestań! To nieładnie. Próbowaliśmy się tu trochę zabawić. Nieładnie.

–Zabijesz mnie! – krzyknęła Nina. – To boli! Już dłużej nie wytrzymam!

Mężczyzna zawahał się, usiadł, podciągnął spodnie i zapiął pasek.

–Rozumiem – powiedział łagodnie, ale było w jego głosie coś takiego, że Joe bał się jeszcze bardziej niż dotąd. – Rozumiem, że tak to już czujesz.

Joe zwymiotował raz jeszcze. Struga śliny zawisała mu na podbródku.

–Nie możesz już odejść? – błagała Nina. – Nie widzisz, że mamy dosyć?

–Dosyć? – zapytał, jakby nie wierzył temu, co słyszał. – Co to znaczy dosyć? To szósty z siedmiu rytuałów, rozumiesz?

Szósty rytuał, pomyślał Joe spuszczać głowę. Teraz przynajmniej rozumiał, kim jest napastnik, i tak go to przeraziło, że nawet nie mógł krzyczeć. Każdego miesiąca tego roku w Bay Area, Forest Hill, Crocker Amazon, Pacific Heights, Bernal Heights, College Park została zmasakrowana rodzina. Morderca działał z premedytacją, odprawiając jakiś rytuał. W większości przypadków ofiary były zabijane w sposób tak okrutny i dziwaczny, że gazety i telewizja nie podawały szczegółów. Bo jak opisać, że facet został zmuszony do wepchnięcia ręki do odpływu zlewu, by uratować żonę od spalenia.

Morderca zostawiał mało, przeważnie nieważnych śladów, ale po każdym zabójstwie dzwonił do radia KGO i brał na siebie odpowiedzialność. Joe słyszał z taśmy jego głos w telewizji. *Każda z tych poświęconych ofiar przybliży wielki dzień. Niedługo, jak jest napisane, powstanie mój pan.*

Joe nie przypominał sobie, aby był podobny do głosu maniaka, który przybił ich do podłogi. Ale był zbyt pokaleczony, aby myśleć z jakąkolwiek przejrzystością.

KGO nazwało zabójcę Szatanem z Mgły. Zabójstwa nie wykazywały żadnych szczególnych prawidłowości, wyłączając to, że były rytualne i nikt ich nie przeżył, nawet dzieci, aby dać znać policji, co się dzieje. Gdy Szatan z Mgły kogoś odwiedza, to już po nim i po jego rodzinie.

W wyborze ofiar Szatana z Mgły nie dostrzegano żadnej logiki. Jeden urzędnik, inny robotnik. Jedna rodzina meksykańska, druga chińska. Dwie katolickie, trzy związane z hotelarstwem. Nie było wśród nich homoseksualistów ani żołnierzy. Dwie miały pontiaki, jedna volkswagena.

Albo Szatan z Mgły wybierał swoje ofiary na chybił trafił, albo wchodziło tu w grę okrutne prawo wendety, którego nikt jeszcze nie wyjaśnił. Kiedyś Joe aresztował mężczyznę strzelającego do każdego, czyje imię zaczynało się na „B”, a kończyło na „G”: Dlatego że się wywyższali i udawali Boga.

Ulicznej brutalności Joe potrafił się przeciwstawić. Zaakceptować, że wraz z całą rodziną stał się ofiarą szaleńca, z którym powinien stanąć do walki, to było dla niego za wiele.

–Wiesz, co teraz zrobię? – szepnął mężczyzna. – Przyprowadzę wasze dzieci. Zabiorę je z betów i przyprowadzę, aby was zobaczyły. Powiedzą wam „dobranoc”. W gruncie rzeczy powiedzą i więcej, powiedzą „żegnajcie”.

Joe szarpnął się.

–Jeśli im spadnie choć włos z głowy...

Czarna, błyszcząca maska nachyliła się nad nim.

–To co? Co zrobisz? Wyrwiesz sobie mięsko z nogi i mnie kopniesz? A może mnie przeklniesz, co? Cóż, przekleństwo odpada. Bo nie ma gorszego przekleństwa ode mnie.

Joe przełknął ślinę i wypluł kawałek wieprzowiny.

–Słuchaj, jeśli chcesz złożyć ofiarę, ja nią będę, ale błagam, nie ruszaj dzieci. Daj im spać.

Przełknął ślinę i mówił dalej:

–Możesz mnie teraz zabić. No już. Możesz mnie zabić. Ale nie rusz, proszę, dzieci.

Mężczyzna słuchał uważnie. Odwrócił się. Zdawało się, że czas się zbliża do przedwczesnego kresu, jakby logika topiła się niczym jeden z gumowych zegarków kieszonkowych z obrazu Salvadora Dali.

–Wiesz co? – powiedział w końcu olbrzym. – Nie zgadzam się. Los, przeznaczenie, możesz to nazwać jak chcesz. Nie wiesz, dokąd cię zaprowadzi, nie widzisz, co się wokół ciebie dzieje. Powraca stary porządek. Nie ten zaśmierdły od pierdnięć pionierów, ale prawdziwy stary porządek. Czyste zło, Joe. Czyste i zimne! Ten czas był przepowiedziany. I nic go nie powstrzyma.

–Ale nie ruszaj dzieci, dobrze? – poprosił Joe.

Mężczyzna odczekał, podłubał sobie nożem w zębach i powiedział:

–Daj mi minutę, dobrze? – I spokojnie wyszedł drzwiami.

–Nie ruszaj dzieci! – krzyknął Joe.

Zapadła długa cisza. Nina płakała.

–Już dobrze! – pocieszał ją Joe. Gardło zawałała mu wymiocina. – Wszystko będzie dobrze. Jest stuknięty, to wszystko. Chciał nas tylko poniżyć.

–Jestem już tak poniżona. Tak poniżona. Czego on jeszcze chce? – rozpacziała Nina.

–Spokojnie, spokojnie – błagał ją. Czuł się perfidnie jak kłamca, głupio jak clown. A najgorsze, że pozwolił najohydniejszemu i najdziwniejszemu zabójcy, jakiego widziało Bay Area, włamać się do własnego domu i sterroryzować rodzinę. A sam był absolutnie bezradny. Jeśli zabójca zechce torturować i składać ofiarę z dzieci, nic go nie powstrzyma.

–Joe – westchnęła Nina. – Joe...

Joe poruszał dłońmi po kawałeczku, z boku na bok. Każda chwila była skrajnie bolesna, coraz to krew zbierała się dokoła główki gwoździa i spływała między palce. Po jakimś czasie pokrywała już całe dłonie.

W prawo, w lewo. W prawo, w lewo. Jezu, nie myślałem, że coś może aż tak boleć.

–Próbuję się uwolnić – szepnął. – Nie martw się, Nina. Nie naruszyły kości. Próbuję się uwolnić.

W głębi duszy płakał. W głębi duszy czuł się bezbronny jak dziecko.

–Nie, Joe – szepnęła. – Zrobisz sobie krzywdę. Jeśli rodzina ma umrzeć, umrzemy razem. Nie próbuj z nim walczyć, Joe.

–Zgwałcił cię – syknął. – Zgwałcił!

W złości wrzasnął „aaa” i oderwał prawą dłoń od podłogi. Rozległo się głuche mlaśnięcie, a na gwoździu został szkarłatny mięsień. Dłoń tryskała krwią w każdym kierunku. Z ostrym „sssy” zablokował oddech i przycisnął rękę do piersi. Ból był straszniejszy od wszystkiego, czego dotychczas doświadczył. A co gorsza nigdy by się nie zdobył na oderwanie drugiej ręki, bo zbyt był okaleczony, bo nie miał jaj. A poza tym żadnej szansy uwolnienia nóg. Powinien klęczeć na podłodze, a nie szarpać się.

To chwila, gdy cierpienie przewyższa odwagę, gdy trzeba przyznać, że więcej się po prostu nie może.

–Joe – szeptała Nina. – Joe?

Podniósł głowę:

–Co jest?

–Chcę tylko, żebyś wiedział, że cokolwiek się stanie, zawsze cię kocham i za nic nie winię.

Otarł dłonią twarz i zabrudził sobie krwią policzek. Zaczął szlochać. Głęboko szlochać, niemal skowycząc jak cierpiące zwierzę. Szlochał, szlochał i myślał, że już nigdy nie przestanie.

Aż do momentu gdy do pokoju wszedł mężczyzna, jedną ręką prowadząc Karolinę, a drugą Joego Juniora. Obydwa dzieciaki z bladymi twarzami i oczyma pełnymi strachu. Joe natychmiast przyłożył dłoń do podłogi, jakby wciąż była przybita.

–Mamusiu? – szepnęła Karolina. – Tatusiu?

–Spokój, dzieciaki! – Olbrzym ścisnął je za nadgarstki. – Obiecałyście być cicho, nie? No to spokój!

–Wszystko w porządku – wycharczał Joe. – Wkrótce to się skończy. Róbcie, co wam mówi, a wszystko będzie dobrze.

–Powiem ci, Joe – zaśmiał się mężczyzna – że jesteś swoistym optymistą.

–Ale ich nie krzywdź, dobrze? – nalegał Joe.

–Wielki pan wymaga cierpienia. Cierpienia i poniżenia. Modlitwy i przebaczenia.

–Jeśli choć draśniesz któreś dziecko, usmażysz się w piekle, obiecuję ci. Myślisz, że policja pozwoli ci bezkarnie zabijać? Możesz być absolutnie pewien, że zgotują ci najbardziej bolesną śmierć, jaką zdołają wymyślić.

–Mogą zapytać Szatana. – Znowu się roześmiał.

–Usmażysz się w piekle! – krzyknął Joe. – Usmażysz się w piekle.

Joe Junior zaczął wyć jak lokomotywa i próbował wyrwać się mordercy. Jednak olbrzym przytrzymał go i warknął:

–Zamknij się, gówniarzu.

Rzucił dzieci w poprzek na tapczan. Joe odwrócił głowę. Wiedział, że nie zdoła na to patrzeć. Nina natomiast nie mogła od nich oderwać oczu. Cały czas szeptała niby zakłęcie: Nie krzywdź moich dzieci, dobry Boże, nie krzywdź moich dzieci, dobry Boże, nie krzywdź moich dzieci.

Mężczyzna wyciągnął z torby długi, nylonowy sznur żeglarski i zręcznie związał lewy nadgarstek Karoliny z prawym Joego Juniora. Żadne z dzieci nie płakało, ale kwiliły i drżały tak żałośnie, że Joe zdecydował, iż mimo bólu oderwie się od podłogi. No, Joe, mówił sobie, musisz wstać.

Zacisnął zęby, sięgnął za siebie, zakrwawioną dłonią złapał się za kostkę, tak że mógł podnieść nogę i oderwać od podłogi. Raz, dwa, trzy...

Krzyknął, ale nie usłyszał swego krzyku. Ból doprowadził do konwulsyjnych skurczów mięśni. Tak mocno ścisnął zęby, że pękła jedna z porcelanowych koronek. Ale wciąż nie mógł się podnieść. Nie mógł. Nie mógł. Gwóźdź zbyt głęboko tkwił w podłodze, a Joe nie miał już ani siły, ani woli, aby jeszcze raz próbować go wyrwać.

–Nic ci nie jest? – zapytał olbrzym.

Dziwny spokój opanował całą rodzinę Berrych, wszystkich czworo. Spokój absolutnego przerażenia. Spokój śmierci, prawdziwej śmierci spoglądającej wprost z czarnych, aksamitnych oczu.

Mężczyzna podprowadził dzieci do ściany. Chwycił prawą rękę Karoliny i podniósł nad głowę. Joe zobaczył, że idzie w ruch młotek oraz gwóźdź.

–Nieeee! – wrzasnął.

Dlaczego dzieci nie płakały? Przecież musiało je boleć tak samo jak jego i Ninę. One jednak stały niezwykle cicho, a ich milczenie bardziej niż krzyk mroziło Joemu krew w żyłach. Jakby przygotowane były na wszystko, bo nie wierzyły, że tata je obroni, że nie pozwoli im umrzeć.

Odgłosy walenia odbiły się w uszach Joego niczym echo pukania do kostnicy.

–Ou, ou, ou – jęczały dzieci z delikatną skargą do okrutnego świata, który tak je krzywdzi. Ale nie krzyczały, nie płakały. Z każdym uderzeniem młotka Joe jakby więdnął, aż gdy już było po wszystkim, z jego duszy został strzępek suchego liścia.

Mężczyzna przybił dzieci do ściany jak dwie papierowe lalki, z rozłożonymi rękami i stopami ledwie sięgającymi podłogi. Ani Joe, ani Nina nie widzieli ich twarzy.

–Mamusiu, to boli – szeptała Karolina. – Mamusiu, to tak bardzo boli. – A Nina mogła tylko klęczeć i płakać.

Olbrzym przechadzał się dokoła pokoju. Jego cień padał to na jedną, to na drugą ścianę. Stukając główką młotka w dłoń, podziwiał dzieło własnych rąk.

–Teraz się pomodlimy, tak? Teraz poprosimy wielkiego pana, żeby nam przebaczył. Teraz poświęcimy nasze życie dla starego porządku.

–Proszę – błagał Joe. – Jeśli chcesz, zabij mnie, ale dzieciom daj spokój.

Mężczyzna pokręcił głową.

–Nie, Joe. Teraz odnajdziecie spokój w bogu, do którego wszyscy odwróciliście się plecami. Od prawdziwego boga.

Znów zajrzał do swej torby i wyjął butelkę z łatwo palnym płynem.

–O Boże, tylko nie to – jęknął Joe.

–Co? Co? – zapytała Nina.

Joe nie mógłby odpowiedzieć. Jeśli było coś pozytywnego w przybiciu do podłogi, to to, że Nina nie widziała tego co on.

–Joe? – niepokoila się. – Joe?

Napastnik chodził dokoła dzieci polewając je płynem. Po włosach, piżamach, rękach, nogach. Joe Junior kasłał i dusił się od oparów, ale nadal żadne z dzieci nie płakało.

–Co z modlitwą o przebaczenie? – zapytał mężczyzna, kołysząc czarną maską niby ogromny owad odprawiający rytualny taniec. – Może powtórzycie za mną: „O wielki Beli Ja’alu, którego dzień już nadszedł, przebacz mi, przebacz, przebacz”.

–Zwariowałaś?! – krzyknął Joe w nagłym przypiływie paniki i odwagi. Jezu Chryste, kogo obchodzi, co ten człowiek z nim robi. Może być tylko gorzej.

–No już, do tego nie trzeba pomocy – przynaglał mężczyzna. – Powtarzajcie tylko za mną „O wielki Beli Ja’alu, którego dzień już nadszedł...”

Joe nie przerywał milczenia, ale Nina zaczęła:

–O wielki Beli Ja’alu... którego dzień już nadszedł... przebacz mi.

Joemu zdawało się, że w pokoju przygasło światło.

–No, Joe – nalegał tamten. – „O wielki Beli Ja’alu, którego powrót spisany jest na kartach z prochu, którego imię przeżyje, gdy każde inne zmiecie wiatr...”

Joe pokręcił głową i zaczął recytować własną modlitwę:

–Ojczy nasz... jako w niebie tak i na ziemi...

Przestał, bo wiedział, że mógłby prosić Boga o przebaczenie, gdyby jak on potrafił odpuszczać grzechy swoim winowajcom. A on nigdy nie byłby w stanie wybaczyć temu człowiekowi w czarnej masce. Ani w niebie, ani nawet w piekle.

–No, Joe, liczymy na ciebie. „O wielki Beli Ja’alu, którego powrót spisany jest na kartach z prochu...”

Mówiąc to zbliżył się do wiszących na ścianie dzieci. Karolina najwyraźniej dostawała jakiegoś ataku, bo oczy zwróciły jej się do środka głowy, a na ustach pojawiła się piana. Joe Junior trzymał oczy mocno zamknięte.

Mężczyzna powtarzał coraz łagodniej:

–...którego imię przeżyje, gdy każde inne zmiecie wiatr...

Nagle nachylił się nad dziećmi, zapalił zapałkę i bawił się przesuwając ją pod ich podkurczonymi ze strachu stopami.

ROZDZIAŁ DRUGI

Larry jadł kolację i rozmawiał z pełnymi ustami, gdy wahadłowymi drzwiami wszedł szeryf Burroughs i stanął z rękami na biodrach, rzucając na prawo i lewo krótkie spojrzenia. Początkowo szeryf nie zauważył Larry'ego siedzącego za szybą oddzielającą wejście od jadalni. Ale Larry widział, że szeryf zatrzymuje kelnera Vitę, a poprzez gwar restauracji doleciały go słowa „porucznik Foggia”. Vito wskazał na stolik pod lustrem.

–Niech to jasna cholera – zaklął Larry próbując zasłonić twarz. – Pierwszy wolny wieczór od dwóch miesięcy.

–Co się stało? – zapytała Linda odwracając głowę i marszcząc brwi.

–Idzie Dan Burroughs z twarzą świętej Joanny.

–O nie, tylko nie tu – zaprotestowała Linda.

–Masz gościa, Larry – powiedział Vito. – Przykro mi, próbowałem go przekonać, że jesteś w „Pergo”, ale nie uwierzył.

–A kto jada w „Pergo”?

Dan Burroughs bez zaproszenia wysunął krzesło i usiadł. Był to wysuszony, siwy mężczyzna z ogorzałymi policzkami i ściągniętymi ustami. Spoglądał bez wyrazu oczami jak kamyki rzeźbione przez ocean. Głos miał zachrypnięty od wielu lat palenia i przebywania w klimacie San Francisco.

–Cześć, Dan, zapraszam – powiedział sarkastycznie Larry. – Zjesz coś? Mają dzisiaj dobre *gnocchi*.

–Oszczędź sobie, Larry, dobra? Nie przerywałbym ci kolacji bez poważnej przyczyny. Cześć, Linda, przepraszam cię za to.

Larry dolał Lindzie orvieta i napełnił swój kieliszek. Domyślał się, że to ostatni kieliszek wina, jaki dane mu będzie wypić dziś wieczór. Dan był pamiętliwy i twardy jak kamień, ale nie mógł mieć nikomu za złe kieliszka wina, bo wtedy dopiero stałby się nie lubiany.

–Znowu morderstwo – powiedział Larry'emu. – Przepraszam, Lindo, ale może wolałabyś nas na moment opuścić. Nie chciałbym, żebyś została, delikatnie mówiąc, dotknięta tym, co mam tutaj do powiedzenia. Może wolałabyś to raczej usłyszeć od męża niż ode mnie.

Linda wolno odłożyła widelec.

–Chyba nic mi nie będzie, jak ciebie posłucham.

–Proszę bardzo. – Dan wzruszył ramionami. – Ale obawiam się, że to naprawdę złe wieści. Nasz rytualny zabójca znowu pojawił się w mieście.

–Myślisz o Szatanie z Mgły? – zapytała Linda.

Dan rzucił jej ostre spojrzenie i twierdząco skinął głową. Nie znosił górnolotnych imion, jakie dziennikarze nadają zabójcom, gwałcicielom i handlarzom narkotyków. Dla niego były to tylko ludzkie śmiecie, takie same jak setki kilogramów martwej skóry i wypadłych włosów, wymiatanych codziennie ze środków komunikacji miejskiej w San Francisco.

–Cztery trupy – powiedział. – Ojciec, matka i dwoje dzieci. Straszne, naprawdę straszne, nawet nie będę mówił jak. Ale tym razem jest coś jeszcze. Tym razem

wykończył naszych.

Larry przełknął ślinę.

–Zabił gliniarza?

–Prawie. Eks-glinę. Znacie go. Joe Berry. Całą rodzinę Berrych.

Linda ze zgrozą zasłoniła usta.

–Joe Berry? I Nina? I dzieciaki? O Boże, nie mogę w to uwierzyć!

Larry poczuł się, jakby Dan dał mu w twarz. Ogłuszył go i nagle porucznik poczuł bliskość śmierci. Skrzywił się.

–Co się stało? – spytał spokojnie. – Boże kochany, widzieliśmy Joego w zeszły piątek. Przyniósł stolik, który nam zrobił. Boże, nie chce mi się wierzyć.

–Nina i dzieci naprawdę nie żyją? – zapytała Linda.

–Przykro mi – skinął Dan. – Cała czwórka. Mówiłem, że to cholernie niemądra wiadomość.

Linda zaczęła szlochać. Larry ścisnął jej dłoń.

–Spokojnie – mówił. – Spokojnie. – Sam, do cholery, też by sobie popłakał.

Dan wyjął paczkę marlboro i zapalił papierosa.

–Wszystko to zdarzyło się dopiero przed godziną. Sąsiad usłyszał strzały i podniósł alarm.

–Jest już Arne?

–Owszem, można tak powiedzieć. Teraz tam jest.

Larry zrozumiał intonację głosu. Bez pytania wiedział, co Dan ma na myśli.

Niemniej jednak zapytał:

–Może się mylę, ale mam wrażenie, że chcesz go zdjąć.

Dan wypuścił dym.

–On jest zdjęty, a na scenę wchodzisz ty.

–Ja?

–Zgadza się. Przekazuję ci sprawę, Larry. Od teraz Szatan z Mgły należy do ciebie. Do pomocy wyznaczyłem ci sierżanta Brougha, Jonesa i Glassa. I kogo tam jeszcze chcesz, z wyjątkiem Gatesa i Migdolla.

Larry spojrział z niepokojem na Lindę i z powrotem odwrócił się do Dana. Ani trochę mu się to nie podobało. Dobry był w zabójstwach między sąsiadami, wendetach i domowych awanturach. Dobrze czuł się z braćmi Włochami, którzy za napastowanie sióstr strzelali do marynarzy. Albo z właścicielami chińskich restauracji, którzy wieszają konkurenta za wykradnięcie przepisu na kurczaka i la żaba. Ale nie miał pojęcia o pracy nad serią rytualnych, najobrzydliwszych masakr, jakie kiedykolwiek znała Bay Area. Co więcej, Arne Knudsen podskoczy ze złości do sufitu, gdy się dowie, że mu zabrano sprawę Szatana. Arne lubił myśleć o sobie jako o Szwedzkim Cieniu, nieugiętej ścigającym przestępców przez dżunglę zepsucia, aż w końcu docierającym do ich drzwi z nakazem aresztowania i zgarniającym ich z uśmiechem na twarzy.

–Dan... – powiedział. – Z całym szacunkiem... Ale nie jestem pewien, czy to moja specjalność.

–Masz taką specjalność, jaką ja ci przydzielę.

–Ale najlepszy jest w tym Arne, no nie? Wiem, że to zrzęda, ale niezły detektyw. Pamiętasz sprawę zabójstw Petrie?

–Jasne – skinął Dan. – Ale zabójstwa Petrie były regularne. Miały matematyczny schemat. Jeśli chodzi o schematy i systemy, Knudsen jest niezastąpiony. Jest bardziej konsekwentny niż pan Spock. Ale ten facet, Szatan z Mgły, nie zabija według schematu ani w sposób usystematyzowany. Przynajmniej my nie możemy go rozpracować. Zwyczajnie torturuje i zabija. Za każdym razem wybiera inne miejsce i przypadkową rodzinę.

Zaniepokojony Salvatore podszedł do ich stolika.

–Nie smakuje...? – zapytał Larry’ego.

–Jeśli boskie ły jakoś smakują, to takie właśnie jest to danie – odrzekł Larry. – Ale obawiam się, że właśnie dostałem złą osobistą wiadomość. Następnym razem, dobrze?

Salvatore zauważył, że Linda płacze.

–Naprawdę mi przykro. Życzy sobie pani czegoś? Kawy? A może brandy?

–Wszystko w porządku, Salvatore. Zamów może taksówkę. Linda pojedzie do domu.

–Chyba nie chcesz zaczynać zaraz? – powiedziała Linda.

–Muszę.

–Musi – potwierdził Dan. – Uwierz mi, że psując wam wieczór czuję się jak skurwiol.

–Ale dlaczego Larry musi brać tę sprawę? – zapytała. – Zatyra się.

Dan pyknął dymem i odkaslnął. Wysoka, czarnowłosa kobieta przy pobliskim stoliku spojrzała na niego z takim niesmakiem, że ich stolikowi zagroziła utrata różowej powierzchni.

–Linda, wszyscy tyramy. Tyra Knudsen. Pasqual tyrał. W zeszłym tygodniu Rosetti minął żonę na ulicy i nie poznał jej. Larry bierze tę sprawę, bo burmistrz Agnos stanowczo zażądał policjanta najwyższej klasy, a nie mamy na służbie lepszego niż twój mąż.

–Dwa procesy Armaniego nie czynią ze mnie...

–Nie wciskaj kitu, Larry – powiedział Dan. – Masz łatwy kontakt z ludźmi i wydaje się, że zawsze robisz coś pożytecznego, nawet jeśli nie chcesz.

–Czy nie myślisz, że ta sprawa może przewyższać moje umiejętności? – zapytał Larry. – Poza tym Joe był moim osobistym przyjacielem. Nie chciałbym być podejrzanym o jakąś wendetę.

–Wendetę? Nie rozśmieszaj mnie. Jesteś Włochem. Vincent Caccamo był twoim wujem. Całe twoje życie to jedna wielka wendeta.

Dan odchrząknął głęboko, „od serca”, aż kobieta przy sąsiednim stoliku upuściła widelec. Jej wyglądający na nerwowego partner zawołał:

–Pardon, sir, próbujemy tutaj jeść!

Dan przechylił się do tyłu i kamiennym wzrokiem popatrzył na młodzieńca.

–I jeszcze co? – zapytał.

–Dan... – zaczęła Linda. – Powiedz mi, czy Berry’owie mocno cierpieli?

Dan spojrział na nią przelotem. Zanim odpowiedział zgasił papierosa i odwrócił się do młodzieńca przy stoliku obok:

–Przepraszam – rzekł. – Miałem dzisiaj straszny dzień.

–Proszę się nie przejmować – powiedział młodzieniec, a kobieta syknęła:

–Na miłość boską, nie przejmować się?

–Z tego, co wiemy – rzekł Dan do Lindy – cierpieli strasznie. Ten facet to maniak.

Wygląda na to, że siedzi w domu i wymyśla okrutne sposoby zabijania ludzi. Uwierz mi, że nie powinnaś znać szczegółów. Z wyjątkiem tego, że śmierć była dla nich litościwym rozwiązaniem.

–Czy mogę w czymś pomóc? – zapytała. – Może kogoś powiadomić?

–Jutro rano miałem zawieźć wiadomość do matki Joego. Jest w sanatorium w Berkeley. Może chciałabyś pojechać ze mną? Miałbym moralne wsparcie.

–Wszystko, co zechcesz – skinęła Linda.

Vito przyszedł powiedzieć, że taksówka czeka. Larry odprowadził Lindę do drzwi, Dan podążył za nimi.

–Ile jestem winien? – zapytał Larry Salvatorego, ale ten tylko potrząsnął głową.

–Nie przejmuj się, Larry, następnym razem zjesz ze smakiem.

Stali na Polk Street. Była to jedna z tych widmowych nocy, kiedy San Francisco wyglądała jak statek zanurzony we mgle. Dan Burroughs kasłał zasłaniając usta dłonią. Po raz pierwszy od długiego czasu Larry nie był pewien tego, co robi, obawiał się o przyszłość. Wcale mu się nie podobało to uczucie. Przypomniały mu się pierwsze tygodnie w „zabójstwach”, kiedy zanosił się śmiechem – okrutnym, nieprzerwanym śmiechem – za każdym razem, kiedy został wezwany na obdukcję czyjegoś ciała. Rozśmieszały go codzienne odkrycia, że nieważne, jak pompatyczna i zarozumiała była osoba, ciało jest zawsze niczym więcej jak mięsem, żyłami i kośćmi. Powiedział kiedyś Lindzie, że pracując przy zabójstwach, był bliski zniechęcenia Boga. W przeciwieństwie do wszystkich, z wyjątkiem lekarzy, wiedział, jak nieprzyjemny jest wewnątrz człowiek. Nawet ten najlepszy, najprzejrzystszy. Oglądał wybory Miss America i nie widział nic oprócz mięśni, czaszek, poskręcanych jelit – parady potencjalnych trupów w kostiumach kąpielowych.

Larry nie wyglądał na zgorzkniałego ani histeryka. A już zupełnie nie na detektywa. Na przyjęciach ludzie próbując zgadnąć, kim jest, przypuszczali często, że muzykiem albo kimś w rodzaju akwizytora. Miał w sobie coś władczego, także spokojny sposób rozmowy i sarkastyczny humor.

Był zbyt szczupły jak na prawdziwego przystojniaka. Miał pociągłą twarz z głęboko zarysowanymi liniami policzkowymi oraz czarne, przycięte na jeża włosy. Najpiękniejsze miał oczy – ciemnoszmaragdowe, błyszczące i zawsze pełne życia. Linda uwielbiała jego wolno pojawiający się uśmiech.

Jako nastolatka Linda była zawsze za niska dla mężczyzn, którzy jej się podobali. W liceum jej pierwsza miłość – Glenn Basden II – nazywał ją „półmaleństwem”. Była pulchną beztroską brunetką i lubiła śpiewać. Ale twarz miała jak święta Teresa Berniniego – białą jak kość słoniowa, z ciężkimi powiekami i idealnym nosem. Dokładnie taką, aby poruszyć serce typowego Włocha, jakim był Larry. Nie

przeszkadzało mu, że ma niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu. Obudziła w nim poczucie opiekuńczości.

Owo właśnie poczucie opiekuńczości złapało Larry'ego w kleszcze. A przynajmniej lubił tak myśleć. W innym wypadku nie wiedziałby, dlaczego rok za rokiem wystawia się na niebezpieczeństwo i wszystkie te bzdury, dlaczego obcuje z tymi wszystkimi, którzy przypominają mu, że życie człowieka jest ubogie, paskudne, pełne samotności i brutalności, a do tego krótkie.

A tak czuł, że ma pewnego rodzaju misję. A jeśli nie misję, to na pewno powinność do spełnienia. Lindzie zdawało się, że Larry jest w nie sprecyzowany sposób nawiedzony, ale nigdy nie miała mu tego za złe. Nie wiedziała, kim byłby bez swojej misji, i wcale nie była pewna, czy chciałaby to wiedzieć.

Larry puścił jej ramię, pocałował w czoło, a potem w usta.

–Jak dzieci jeszcze nie śpią, to powiedz im dobranoc.

–Dobrze – zapewniła Linda. – Kiedy cię zobaczę?

Dan znowu zakasłał.

–Wiesz, że lepiej o to nie pytać, pani Foggia. Powiedz, co chcesz na Gwiazdkę, i pocałuj go na dobranoc.

Linda obdarowała Larry'ego delikatnym, przelotnym pocałunkiem w policzek.

–Mam nadzieję, że to nie... hm, że nie będziesz miała koszmarów.

Bez słowa wsiadła do taksówki, a Larry nachylił się do kierowcy i powiedział:

–Najkrótszą drogą do Russian Hill.

–*In un amen* - odpowiedział taksówkarz.

Larry popatrzył, jak taksówka odjeżdża, a tylne światła zapalają się na krótko przy skrzyżowaniu z Union Street.

–Wiesz, co jest najgorsze w tym mieście? – zapytał Dana. – Za dużo tu się kręci tych cholernych Włochów.

Wsiedli do brązowego caprice'a Dana i ruszyli w stronę Fulton Street.

Prowadząc samochód Dan wziął w usta następnego papierosa i sięgnął po zapalniczkę.

–Nie mówiłem ci wszystkiego, bo chciałem oszczędzić Lindzie okrutnych szczegółów – powiedział. – Ale ciebie chyba powinienem przygotować, zanim dojedziemy.

Larry obserwował, jak Dan zapala papierosa, i nic nie mówił. Samochód podskoczył na wyboju.

–Facet dostał się do budynku wyłamując okno w mieszkaniu na parterze. Nikogo nie było, bo właściciele wyjechali. Drzwi wejściowe do Berrych wywalił takim samym lewarem, jakiego używają strażacy. Poszły całe cholerne drzwi, razem z framugą i progiem. Trudno powiedzieć, co działo się potem, ale sądząc po nacięciu na gardle Niny, facet sterroryzował ich i zmusił Joego do współpracy. W każdym razie taka jest teoria Arnego.

Dan z papierosem w ustach odwrócił się do Larry'ego.

–Jesteś gotowy? – zapytał. – Facet kazał Joemu uklęknąć i przybił go do podłogi.

–Co zrobił?!

–Przybił do podłogi. A potem, naprzeciwko, przybił Ninę. Po jednym gwoździu w każdą rękę i po jednym w każde kolano. Wielkim jak cholera, kolejowym gwoździu.

–Matko boska – jęknął Larry. Nie potrzebował pytać, jak zabójca zmusił Joego, żeby był spokojny, kiedy go przybijał. Kiedyś w opuszczonym budynku przy Embarcadero dopadł go szalony morderca – neapolitańczyk, i przystawił pistolet do brzucha. Larry usłyszał swój własny głos: „Tak, oczywiście, co tylko chcesz”.

Dan niecierpliwie trąbił na zastawiającą drogę taksówkę.

–To nie wszystko. Facet przed nosem Joego zgwałcił Ninę. I jeszcze – nie wiemy i nie bardzo chcemy myśleć kiedy – wyciągnął z łóżka dzieci i przybił do ściany. Tak, to co słyszysz: przybił je do ściany.

Mówił niskim, lakonicznym, pozbawionym emocji głosem jak jakiś posłaniec. Powtarzał zapamiętane słowa, jakby nie wiedząc, co znaczą.

–Może widziały, jak gwałci ich matkę, a może nie. W każdym razie polał je łatwo palnym środkiem i...

–Spalił je? Żywcem?

–Tak. Ale to jeszcze nie koniec. Podpalił je, ale nie pozwolił im umrzeć. Po dłuższej chwili zagasił ogień kocem. Potem odszedł zostawiając na ścianie dwójkę nadpalonych dzieci i przybitych do podłogi rodziców, obserwujących prawdopodobnie ich agonię.

Larry zaniemówił, nie mógł wykrztusić ani słowa. Dan obrócił kierownicę i skręcił w Fulton.

–Widzieliśmy wiele okropieństw, nie? – zauważył. – Ale jak zrozumieć coś takiego. Jak zrozumieć, że jedna ludzka istota może tak skrzywdzić drugą? – Pierwszy raz wyraził do tego jakiś stosunek.

–Jeśli facet wyszedł – zaczął Larry – zostawił cierpiące dzieci i przybitych rodziców, to jak umarli?

Czerwone i niebieskie światła przebłyskiwały przez mgłę. Przed domem przy Fulton Street tłoczyły się policyjne radiowozy, straż pożarna i samochody telewizyjne. Dan zaparkował przy wozie lekarzy sądowych, wjechał na krawężnik i zablokował hamulec.

–Joe nie mógł znieść cierpienia dzieci. Oderwał się od podłogi. Bóg jeden wie jak. Zostawił przy gwoździach pokaźne kawałki ciała. Dowłókł się do sypialni po pistolet. Zastrzelił dzieci, Ninę, a potem siebie.

Larry wziął głęboki oddech. Nie wiedział, czy chce wyjść z samochodu, czy nie.

–A co myśli Arne? – zapytał. – Pewien jest, że to był tylko jeden napastnik?

–Nie ma wątpliwości. Chory i silny psychicznie. I chociaż nie zabił sam – tak jak to było z innymi przypadkami – Arne jest pewien, że to on. Nikt inny tylko Szatan.

–Żadnych opisów naocznych świadków?

–Jeszcze nie. – Dan pokręcił głową. – Chociaż całkiem możliwe, że ktoś widział, jak wchodzi albo wychodzi, i nie przestraszy się o tym powiedzieć. Pamiętasz, co było z poprzednimi zabójstwami? To ostrzeżenie w *Chron*? „Kto wskaże palcem, straci go, kto cokolwiek widział, straci oczy”. Niezły sposób, żeby zastraszyć opinię publiczną, co?

–A co z prasą? – zapytał Larry pocierając oko. – Ile mają wiedzieć? Powiedziałeś im już, że rodzinę zabił Joe, nie napastnik?

–Eee. Powiedzieliśmy tylko, że rodzina Berrych została zaatakowana, torturowana i że cała czwórka nie żyje. Nie chcę mówić więcej, zanim nie będziemy mieli jaśniejszego pojęcia o tym, co zaszło.

Reporterka z *Examiner* zauważyła w samochodzie Dana i Larry'ego. Pędem przemierzyła ulicę pociągając za sobą dziesięciu innych dziennikarzy, rażące reflektory i kamerę telewizyjną.

–„Żal jest ślepy, a ja z nim” – zacytował Larry. Zawsze lubił Shelleya. Shelley był trochę dziwny i dobry dla trupów. – „Po cóż mi żyć i cierpieć katusze”.

Dan wyrzucił papierosa i dodał:

–„Panowie, czas chwycić byka za rogi i stanąć twarzą w twarz z faktami”. James McSheehy.

Jakaś dziennikarka już wsunęła palec za szybę. Larry rozpoznał Fay Kuhn, dawniej z *Oakland Tribune*. Zajmowała się rytualnymi zabójstwami od samego początku. Przystojna, wykształcona i zawsze dobrze ubrana. Napisała kiedyś kontrowersyjny artykuł o serii zabójstw, które miały miejsce w San Francisco w 1906 roku. Pięć rodzin zostało rytualnie zgładzonych, podobnie jak dziewięć prostytutek z domu publicznego przy O'Farnell.

–Sugeruje pani, że to ten sam człowiek? Więc co mamy robić? Obstawić burdele? – zapytał wtedy Dan Burroughs.

Larry wysiadł z samochodu. Fay Kuhn już przy nim była.

–Poruczniku Foggia, może pan powiedzieć, co czuje pan podejmując się sprawy Szatana z Mgły?

Larry uśmiechnął się do niej łagodnie.

–Nie zostałem jeszcze oficjalnie poinformowany, że przejmuję śledztwo. A poza tym, nie możemy nazywać sprawcy Szatanem z Mgły. To nie diabeł ani nadczłowiek. Nieważne, jak głupie może się wydawać jego zachowanie, ale to wciąż istota ludzka – z matką, ojcem, przyjaciółmi i własnym imieniem.

Fay Kuhn odgarnęła ciemny kosmyk włosów. Zawsze przypominała Larry'emu Jackie Onassis w roli Jacqueline Bouvier – bardzo młodą i wypielęgowaną. Kompletny idiota, jakim był detektyw Linbarger, zaliczyłby ją do tego rodzaju kobiet, których mężczyźni z dochodami poniżej 350 tysięcy rocznie nie mają nawet co się starać zapraszać na lunch.

–Naprawdę pan myśli, że dowie się jego nazwiska? – zapytała ostro. – Porucznik Knudsen zaprzepaścił taką szansę.

Dan wygramolił się z wozu, trzasnął drzwiami i krzyknął:

–Dosyć, Fay. Musimy iść do pracy.

–Porucznik Knudsen niczego nie zaprzepaścił – rzekł jednak Larry. – Nie można powiedzieć, że statek międzyplanetarny został zmarnowany dlatego, że jeszcze nie doleciał. Porucznik Knudsen to nadzwyczaj dobry detektyw i jeśli zostałem przydzielony do tego śledztwa, to wiem, że to, co po sobie zostawi, będzie w nieskazitelnym stanie.

–Nie „jeśli” – poprawiła go. – To już niepotrzebne słowo.

Spojrzał na nią uważniej, zastanawiając się, czy mówi poważnie.

–To pani działka – powiedział w końcu. – Pani znajduje błędy w wypowiedziach, a ja znajdę w końcu tego Szatana z Mgły.

–Larry! – zawołał piskliwym głosem Rick Tibbles z *Chron.* - Chodzą plotki, że to wszystko zabójstwa z zemsty... Ktoś wyrównuje stare rachunki. Czy coś na to wskazuje?

Ale Fay Kuhn uśmiechnęła się szeroko do Larry'ego i powiedziała:

–A więc przyznaje pan, że przejął sprawę?

–Nie, madame – powiedział Larry – ale mam jedną niewielką prośbę.

–W tym tygodniu mam zarezerwowane wszystkie wieczory – odpowiedziała Fay. Bez wątpienia była szybka, bardzo szybka.

–Nie o to chodzi, pani Kuhn. Chcę tylko, aby pani dziennik skończył z tymi błyskotliwymi nagłówkami. Wie pani z którymi: „Foggia we mgle”, „Foggia z mgły poluje na Szaleńca z Mgły”.

–Jak sądzisz, Larry – powtórzył Rick Tibbles. – To zabójstwo z zemsty?

Larry pokręcił głową, ale nie odrywał oczu od Fay Kuhn.

–Kto wie? Jeśli tak, nie znamy jeszcze związku między nimi.

–„Foggia we mgle”, co? – zapytała Fay Kuhn z łobuzerskim uśmieszkiem.

Dan obszedł samochód i wziął Larry'ego pod ramię.

–Dajcie spokój, ludzie. Porucznik Foggia musi iść do pracy.

Omijając kałuże szli Fulton Street ramię w ramię. Z obu stron otaczali ich reporterzy i operatorzy. Larry raz jeszcze obejrzał się, aby zobaczyć, dokąd poszła Fay Kuhn. Zauważył jej niebieską garsonkę po drugiej stronie ulicy. Z pewnych powodów wyraźnie czuła, że ma wszystko, czego na razie potrzebuje.

Dan prowadził wzdłuż policyjnych kordonów ku klatce schodowej. Schody były marmurowe z pomalowaną na czarno poręczą. Ściany pokrywała tapeta w czarno-żółte kwiaty. Ktoś postarał się, żeby dom wyglądał na taki z końca poprzedniego wieku. Na półpiętrze wisiała reprodukcja „Tańca brzucha” Aubreya Beardsleya – demoniczne stwory tańczące z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami. Wchodząc na górę widzieli zbiegających oficerów, fotografów i lekarzy. Wszyscy bladzi jak statyści w filmach Felliniego. Cały budynek wypełniały echa głosów i błyski aparatów fotograficznych.

Dotarli w końcu do mieszkania Berrych. Larry stanął na korytarzu, przypatrując się rozwalonej framudze. Dan cierpliwie czekał za nim. Lewar strażacki leżał tam, gdzie został porzucony – na gruzach i pokruszonych ceglach. Drzwi wisiały na jednym zawiasie, kołysał się beużyteczny łańcuch. Na wizytówce widniał napis: „Berry”.

–Ile w tym budynku jest mieszkań, Dan? – zapytał w zamyśleniu Larry.

–Trzy. W dwóch pozostałych lokatorów nie było.

–Myślisz, że ten facet wiedział o tym? Albo interesował się tym?

–Nie wiem. Nie wygląda na to, żeby przejmował się hałasem.

–A co jest za tymi drzwiami?

–Pusto. Czyścili tutaj dywany. Po drugiej stronie mieszkają Ormianie. Nic nie słyszą, nic nie mówią. Nawet po ormiańsku.

–Kto doniósł o strzałach?

Dan strząsnął pył z marynarki.

–Ktoś, kto podał się za sąsiada. Żadnego nazwiska.

–Widziałeś już kiedyś coś takiego, Dan? Wywalone całe cholerne drzwi. I to tylko po to, żeby zamordować? Włamywacze dla paru tysięcy dolarów otwierają drzwi łyżeczkami do kawy. Ale tutaj wszystko jest dziwne. Nic tu do niczego nie pasuje.

Weszli do mieszkania. Pokój był nienaturalnie rozświetlony halogenowymi lampami, podobnymi do tych ze studia telewizyjnego. Larry spostrzegł stojącego pośrodku Arnego Knudsena. W jaskrawozielonym prochowcu, dzięki któremu dorobił się przyzwiska Jolly. Obok stał Phil Biglieri – lekarz śledczy; ze szpakowatą brodą i zmęczonymi, podkrążonymi oczami. Ubrany w brązowe spodnie i brązowy, tweedowy płaszcz. Dalej Houston Brough, partner Arnego – w skórzanej, obszernej kurtce. Dolną wargę miał jak zwykle wygiętą z zacięciem do dołu.

Dan położył dłoń na biodro.

–Weź teraz głęboki oddech, okay? Czegoś takiego jeszcze nie widziałeś.

–Mogę ci ufać? – Larry zawahał się.

–Co to znaczy?

–To znaczy, że potrzebuję zabezpieczenia.

–Zabezpieczenia? Prosisz mnie o płachtę bezpieczeństwa?

–Chcę tylko usłyszeć z twoich ust, że nie pokazujesz mi tych kałuż krwi i flaków pętających się pod nogami, aby ze mną skończyć. Chcę usłyszeć z twoich ust, że przydzielasz mnie do tej sprawy, bo wierzysz we mnie.

Przerwał i zaraz dodał:

–Chcę usłyszeć z twoich własnych ust, że nie zwalniasz Knudsena, żeby ze mnie zrobić ofiarę.

Dan ściągnął policzki i odkaslnął:

–Wiesz co, Larry? Na swoje szczęście jesteś zbyt cholernym idiotą. Wymyślasz dla siebie kary, które nigdy nie przemknęły mi przez głowę.

–Zobaczymy – powiedział Larry.

Wiedział, jaki nieodgadniony może być Dan Burroughs. Widział wiele z pozoru interesujących śledztw przydzielanych detektywom, które były początkiem końca ich kariery. Pamiętał na przykład Billa Hyatta, doskonały, pełen entuzjazmu oficer – taki co ładnie wygląda, dobrze mówi i potrafi uporządkować wszystko, co napotka na swej drodze. Dan dał mu morderstwo Murisalniego – jedno z najbardziej skomplikowanych zabójstw na tle etnicznym, z jakim miała do czynienia policja San Francisco – i po trzech miesiącach Bili Hyatt oddał swoją odznakę. „Mogę zabić się, przemienić w Japończyka albo odejść. Wybieram to trzecie”.

–Nic nie szkodzi, chcesz, abym przejął tę sprawę, to ją przejmę.

–Larry... – zaczął Dan, a Larry po raz pierwszy ujrzał w jego szarej, pomarszczonej twarzy jakieś ostrzeżenie, a możliwe, że i niepokój. To upewniło go bardziej niż jakiegokolwiek słowa, które Dan mógłby powiedzieć.

–Wiesz co, Dan? – powiedział idąc przez pokój. – Drań z ciebie, skończony drań.

–Czas leci, Larry – mruknął rozbawiony Dan.

Arne Knudsen spojrział na Larry'ego, kiedy ten przechodził przez pokój, ale nie powiedział ani słowa. Zapewne domyślił się już, jak się sprawy mają. Houston Brough spojrział niedbale i bąknął coś, co mogło znaczyć: „Jak się masz?” Larry odpowiedział: „Cześć, Jolly” czy „Jak się masz, Jolly”, ale znalazł się twarzą w twarz z najokropniejszym i najobrzydliwszym widokiem, jaki przez dwanaście lat w zabójstwach udało mu się zobaczyć. Usta odmówiły mu posłuszeństwa. Stał po prostu i patrzył, a ciało zdawało się spływać jak woda po szybie.

Najpierw ujrzał Ninę Berry. Upadła do przodu, tak że białe policzki przycisnęła do podłogi. Nadal jednak częściowo klęczała w pozycji, w której została przybita. Dokoła głowy rozciągała się ciemnokarmazynowa plama. Jakby powoli uciekającego życia. Krew zaczynała już wsiąkać między dębowe klepki. Larry'emu od razu przyszło na myśl, że zanim będzie można na nowo sprzedać mieszkanie, trzeba będzie całkowicie wymienić podłogę.

Jakieś pół metra od rozrzuconych włosów Niny wystawały dwa wielkie gwoździe. Każdy z nich ozdobiony niczym lanca matadora, kawałkami krwistego mięsa. Dwa pozostałe wciąż sterczały z kolan Joego. On sam leżał na plecach przy ścianie. Obiema dłońmi ścisnął wsunięty jeszcze lufą do ust rewolwer. Na ścianach i częściowo na suficie widać było rozprysnięty mózg.

Joe miał poranione kolana i dłonie. Larry widział nawet ścięgna i więzadła, jak na „Lekcji anatomii” Rembrandta. Dokoła pokoju ciągnęły się krwawe ślady, znaczące drogę, jaką przebył Joe.

Nie sposób wyobrazić sobie jego cierpienia, gdy czołgał się z jednej części pokoju do drugiej, zabijał po kolei swoją rodzinę, a potem także siebie.

Najgorzej wyglądały dzieci. Kiedy Larry na nie spojrział, wiedział, że już nigdy nie będzie w stanie ich zapomnieć, a ten widok długo nie pozwoli mu spokojnie zasnąć. Były szkarłatno-czarne, przybite do ściany, częściowo rozpoznawalne po strzępach nocnej bielizny. Nogami sięgały podłogi, a ramiona bezwładnie wisiały jak u pajaców z zerwanymi nitkami.

Do obydwójga Joe strzelał patrząc im w twarz. Z kąta, z jakiego celował, nie mógł prawdopodobnie rozpoznać Karoliny. Zamiast buzi miała kawałek lekko podpieczonego mięsa. Chociaż twarz Joego Juniora była okopconą jak osiemnastowieczna statuetka Murzyna, a czubek głowy miał odtrącony, wydawać się mogło, że spokojnie śpi.

Larry długo, bardzo długo patrzył na nie, aż odwrócił się.

–Niezbyt to ładne, co? – powiedział z charakterystycznym szwedzkim akcentem Arne.

Larry'emu zaschło w gardle. Mógł jedynie przełknąć ślinę.

Arne odwrócił się na pięcie, prochowiec zaszeleścił.

–Wyłamał drzwi, torturował ich, ale w przeciwieństwie do innych przypadków odszedł i nie zabił.

Arne miał kręcone jak Shredded Wheat włosy i pozbawione wyrazu oczy. Sue-

Anne z *Records* powiedziała, że jest najlepszym kochankiem, jakiego miała. Może właśnie dlatego Larry tak go nie lubił. Za jego reputację, za chłód i za jasnozielony prochowiec. Nie mówiąc już o bulwiastym nosie.

–Dlaczego sądzisz, że odszedł? – zapytał Larry. – Nie ma podstaw, by mieć pewność, że Joe poszedł po pistolet i wszystkich zabił. Nie ma nawet podstaw, aby sądzić, że Joe się w ogóle ruszał. Myślisz, że któreś z nich mogło przeżyć? Może dziecko?

Arne wolno pokręcił głową.

–Uważam, że wyszedł – mówił z pełnym pewnością siebie grymasem – bo facet był zupełnie pewien, że oni nie chcą żyć. Był chyba przekonany, że zabrał im cały sens życia,

–A więc tak to odczytałeś?

–A jak jeszcze można?

Larry musiał przyznać, że Arne ma prawdopodobnie rację. Ale to dosyć dziwne, że zabójca, który z okrucieństwem torturował i zabił pięć rodzin, nagle postanawia, że szóstą zostawi, aby się sami zabili. Żadnej konsekwencji, żadnej logiki. Żadnego rytmu, który pozwala się niemal natychmiast domyślić, dlaczego to ciasto z owocami nie dopiecze się już nigdy.

–Sam nie wiem... – rzekł Larry. – To cholernie ryzykowne, zostawiać żywe ofiary.

–Może chce być złapany – zauważył Houston Brough.

–Nie, nie – odrzekł Arne. – Gdyby chciał być złapany, wszystko układałoby się w jakiś logiczny porządek. Wydaje się, że kołesia specjalnie nie obchodzi, czy go złapiemy, czy nie. Myśli zupełnie innymi kategoriami.

Zrobiwszy co swoje, podszedł do nich Phil Biglieri. Zawsze przypominał Larry'emu pantoflarza, takiego barczystego gościa, co wraca do domu i oddaje się w opiekę tyranizującej żony.

–Będziemy już zabierać ciała – ogłosił. Odstawił swoją torbę. – To niezbyt przyjemne.

–Rany postrzałowe? – zapytał Larry.

Phil Biglieri zrobił dziwną minę.

–Bez wątplenia. Raport będziesz miał późnym popołudniem. No, może już po lunchu.

Larry, Arne i Houston Brough cofnęli się, a pielęgniarki prawie z nabożeństwem zdjęli ze ściany Karolinę i Joego Juniora. Po zdjęciu ciał na tapecie pozostały okopcone kontury. Gdy dzieci, zostały delikatnie zapakowane w worki i wyniesione, pielęgniarki zajęli się Niną i Joem.

Arne rozpakował z zielonego papierka gumę do żucia i włożył do ust.

–Cieszysz się, że dostałeś to śledztwo?

–Nie wybierałem go, zostałem przydzielony.

–Bzdura. Kazano ci. Tak samo jak mnie kazano zwijać manele i jechać nad Pacyfik. Przez trzy miesiące znaleziono tam trzy otrute podstarzałe wdowy. Cyjankiem potasu i bez żadnych motywów. Jak u Sherlocka Holmesa, co?

Larry obejrzał się na stojącego w korytarzu Dana Burroughsa z rękami w

kieszeniach. Palił zawzięcie i nie patrzył na nic.

–Jolly, na miłość boską, nie masz chyba do mnie o to żalu? Tak samo chcę wziąć Szatana z Mgły, jak ty oddać.

–Nigdy niczego nie oddawałem. Nie oddałem Stana Williamsa. Nie oddałem Jacka Couderca. Jego szukałem trzy lata. Ale dobra, pieprzyć to, jak mam ci oddać, to przynajmniej z fasonem. Witaj, bracie! Cóż, to tylko smutek! Tortury, trele-morele. No, dalej, bierz to! Cieszę się z tego powodu.

Larry nie wiedział, co powiedzieć. Nie lubił Arnego, ale wolałby, żeby Burroughs zmienił detektywa ze względów politycznych niż według zwykłej policyjnej procedury. A tu jeszcze Arne. A Arne pomyślnie rozwiązywał większość powierzonych mu spraw. Dumny był z tej reputacji. Spędził niezliczone godziny przy policyjnym komputerze. Akta jego spraw wyglądały jak książki telefoniczne. Analizował wszystko jak chemik, wszędzie szukał śladów. Motywy? Wrogowie? Adresy? Kontakty? Grupa krwi? Numer rejestracji? Prawie z każdym detektywem oddziału okręgowego utrzymywał bliskie stosunki.

W przeciwieństwie do Arnego, Larry zawsze zdawał się tylko na swoją intuicję, operową pasję i więzy krwi z każdym Włochem w San Francisco. Arne uważał go za coś pośredniego między Peterem Falkiem, Sylwestrem Stallone i Frankiem Langalle. Za zbyt romantycznego jak na gliniarza, zbyt natchnionego.

Jednak może Dan Burroughs wie, co robi. Może logika to nie wszystko. Może jedynie błędząc na ślepo można złapać Szatana z Mgły. Przeczuciem, zgadywaniem, intuicją.

–Powiedz mi – rzekł Larry – masz już w głowie jakiś obraz tego faceta? Może to psychopata? Jeden z dziennikarzy sugeruje zemstę.

–Może i zemsta – zaryzykował stwierdzenie Houston Brough. – Mimo wszystko Joe był gliniarzem. Może jakiś były więzień miał na niego oko.

Arne pokręcił głową.

–Nie wierzę, że to zemsta. Co Joe mógł komuś zrobić, żeby doszło do czegoś takiego? Nawet takiemu, którego wsadził do więzienia? To nie zemsta. To szaleństwo! Sprawca podpalił dzieci Joego! Przybił do podłogi żonę! Wszystko dlatego, że lubi ludzkie cierpienie.

–Myślisz, że tylko tyle?

–A co jeszcze? Trudno w to uwierzyć? Facet zabija ludzi, jest stuprocentowym sadystą. Jedyna rzecz, jaka go wyróżnia, to niesłychana pomysłowość. Potrafi wymyślić takie tortury, jakie się nikomu nie śniły. Jest jak koszmar, można się tylko uszczypnąć, żeby się upewnić, że już go nie ma. Jest nawet gorszy od koszmaru. Gorszy, bo prawdziwy.

Dan niechętnie wszedł do pokoju.

–Jak leci, chłopaki?

–Ze śledztwem czy w ogóle? – zapytał Arne.

Dan zignorował to.

–Jasna cholera – zaklął rozglądając się dokoła, jakby rozważał możliwość kupna mieszkania. – Biedny Joe. Kto by pomyślał, że tak skończy. Niech to. Pamiętam, jak

ściskałem mu rękę, kiedy odchodził ze służby.

–Znajdziemy go – powiedział Arne. – Nie mam najmniejszych wątpliwości. Ale to wymaga czasu.

Dan podszedł do okna. Patrzył na mgłę i na własne odbicie. Westchnął.

–I w tym właśnie problem, Arne, bo my nie mamy czasu.

–Bądźmy rozsądni, szefie – zaprotestował Arne. – To nie jest sprawa, którą można rozwiązać pstryknięciem palców. Przy takim zabójcy trzeba przemyśleć każdy ruch, każdy ślad, każdą plotkę. Nie można po prostu kopem otwierać drzwi, wskazywać twarży, a potem wymuszać zeznania. Przepraszam. Wiem, że major i prasa bardzo cię zjechały. Ale tego nie da się przyspieszyć. Jeden zły ruch, a stracimy go na zawsze, a może zrobić coś dziesięć razy gorszego niż do tej pory.

–Arne – powiedział zniecierpliwiony Dan. – Namyśliłem się. Larry przejmuje śledztwo od zaraz.

Arne wziął głęboki oddech.

–I pewnie chcesz liczyć na moją współpracę?

Dan odwrócił się od okna i posłał mu słodki uśmiech.

–Oczywiście, musimy przecież złapać tego skurwiela.

–Wiem, wiem – powiedział Arne. – Nie tylko złapać, ale i pokazać, że łapiemy.

Chcesz robić ze śledztwa wielką sprawę.

–Arne, chcę dorwać tego maniaka – powiedział Dan. – I to jak najszybciej.

–Tak jest – rzekł Arne. – Chyba wszyscy tego chcemy. Ale ja się nie mogę cieszyć. Nic nie mówię o sposobie pracy Larry’ego, każdy wie, że to dobry detektyw. Ale to śledztwo wymaga rozwagi, wiesz? Wymaga finezji.

–Na miłość boską, finezji? – zapytał Dan. – Nie tańczymy cza-cza, do cholery.

–Ale jest szczegół...

–Arne, a może przez przypadek to śledztwo wymaga kogoś, kto widzi drzewa, a nie cały las.

Arne nie odpowiedział. Cokolwiek by rzekł, nie pomogłoby mu. Gdy Dan coś postanowił, nic nie zmieniało jego decyzji, nawet tygodnie słusznej argumentacji. Rzecz w tym, że Dan pracował w policji od trzydziestu lat i jeśli nawet czasami zdarzały mu się niewielkie techniczne błędy, prawie zawsze okazywało się, że ma rację.

Larry chrząknął i powiedział.

–Może... eee... mógłbym się rozejrzeć.

–Tak, jasne – powiedział Arne. – Teraz ty tu rządysz. Ale nie znaleźliśmy nic nadzwyczajnego.

–Czworo ludzi przybitych gwoździami, a ty mówisz „nic nadzwyczajnego”.

–To rzeczywiście nie jest zwyczajne, ale chciałem powiedzieć, że nie znaleźliśmy niczego, co poszerzyłoby naszą wiedzę o Szatanie z Mgły. Żadnych śladów znanych z poprzednich wypadków. Ani guzików od spodni mechanika samochodowego, ani długopisu z Hair Replecement Center. Ani porzrzuconej po pokoju pizzy. W każdym razie nic, od czego mógłbyś zacząć.

–Wolałbyś umierać długo czy krótko? – zapytał Larry.

–Krótko. Albo i długo. Chciałbym patrzeć z tygodnia na tydzień, jak mnie obserwujesz, a ja wciąż żyję. Chciałbym widzieć, jak powoli, bardzo powoli uświadamiasz sobie, że mimo wszystko nie zamierzam umrzeć.

–Jeszcze słowo o pizzy, a umrzesz.

Arne zwrócił się do wyjścia. Położył Larry’emu dłoń na ramieniu i nagle zmienił swe zachowanie.

–I jeszcze coś, Larry. Nie chciałem o tym mówić przy szefie. Jest jeden ślad łączący wszystkie te morderstwa z tym, jeden jedyny ślad. Gdybym powiedział o tym szefowi, za pięć minut byłby u burmistrza Agnosa i wołał, że już prawie mamy mordercę. I wszystko oczywiście spaliłoby na panewce. A to ważne. Musi być ważne. Problem w tym, że nie wiem dlaczego. Chciałbym wiedzieć, co ty o tym sądzisz.

–Dlaczego?

–Ponieważ do takiej sprawy jak ta każdy może wnieść coś pożytecznego. Nawet taki neapolitański kamikadze jak ty.

–Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że do śledztwa nie zgłosiłem się na ochotnika.

–Ależ tak, oczywiście – odparł Arne. – Z drugiej jednak strony nie sprzeciwiałeś się czynnie, gdy dostałeś przydział. Powiedziałaś: „Nie, Dan, to sprawa Arnego, dziękuję bardzo”? Ta sprawa to był mój konik, mój punkt honoru.!

–Dlaczego nie mówisz o Szatanie z Mgły? – zapytał Larry. Czytał wszystkie artykuły na ten temat, słuchał dzienników telewizyjnych. „Rytualna masakra w Forest Hill”, „Morderstwo rodziny w College Park”, „Szatan zabija czwórkę ludzi”. Chciał jednak wiedzieć, co Arne ma na myśli. Chciał złapać trop, za którym podążał Arne. Ten ulotny zapaszek, który każdy morderca pozostawia na wietrze.

–Jasne – rzekł Arne. – Najpierw chodź tam, popatrzemy.

Larry poszedł za Arnem do dzieciennego pokoju.

–Wiesz, prawie to przeoczyłem – powiedział Arne. Do połowy zamknął za sobą drzwi. – Patrz, co o tym sądzisz?

–Jezu! – Larry skrzywił się.

Do boazerii przygwożdżone były szmaciana lalka i królik. Wytarte przez lata ściskania, całowania i upuszczania. Główki miały przybite takimi samymi kolejowymi gwoździemi, którymi dzieci zostały przybite do ściany.

Na ich widok Larry’ego ogarnął chłód może nawet większy, niż gdy zobaczył dwójkę martwych dzieci. To była jak ostateczna okrutna napaść na każdą rzecz, która jest droga normalnemu człowiekowi.

–Nie wiem, co powiedzieć – westchnął Larry.

–Myślałem, że ci to pomoże.

–Masz pojęcie, co to może znaczyć?

–Nie mam najmniejszego – odparł Arne.– Żadnego śladu, ale przy tych czterech czy pięciu poprzednich mordach mieliśmy do czynienia z czymś podobnym. W Bernal Heights na kuchennym stole znaleźliśmy żywą złotą rybkę. Nie przybitą, lecz rozpląszczoną. W College Park – kota przyszpilonego za uszy do płotu. W Crocker Amazon na drzwiach garażu wisiał za język pies.

–Nic o tym nie słyszałem.

–Wielu rzeczy nie słyszałeś, przyjacielu. Aby zapobiec strachowi i panice, starałem się trzymać śledztwo pod kluczem. Bestia ma apetyt na ludzki strach, żywi się nim. Dziś w nocy, tu, w tym mieszkaniu, doprowadził ludzi do takiego stanu, że zdolni byli pozabijać się nawzajem! Wyobraź sobie, jaką miał ucztę.

Arne był zły i rozwścieczony. Larry jeszcze nigdy go takim nie widział. Po sposobie, w jaki patrzył na lalkę i królika, jasne się stało dla Larry'ego, że zrobiłby wszystko, aby tak zwanego Szatana z Mgły rzucić na kolana i przygiąć mu karku. Arne zdolny był zrobić to z każdym.

–Kto wie – powiedział ciszej Arne. – O wielu wydarzeniach milczałem dla dobra śledztwa. O innych – nie wiem. Chyba dobrze, że nie podawałem prasie szczegółów. Potem bym czytał w każdej gazecie o jego wszystkich cięciach brzucha. Niektóre były zbyt okrutne do publikacji, zwłaszcza te na kobietach. To naprawdę straszne. Wolałbym tego wszystkiego nie wiedzieć. Cóż, ty chyba będziesz musiał to poznać, przecież teraz Dan przydzielił tobie śledztwo. Lepiej, żebyś nikomu podobnemu nie wchodził w drogę. Poza tym obawiałem się naśladowców. Gdybym powiedział prasie o złotej rybce, za kilka dni wszystkie koty, kanarki i psy stąd do Pillar Point wisiałyby na płotach. A co najistotniejsze, najbardziej chciałem ukryć fakt, że za każdym razem próbował się z nami skontaktować i mieliśmy możliwość zidentyfikowania go. Przybite zwierzaki i zabawki to tylko potwierdzenie związków istniejących między wszystkimi zabójstwami.

–Domyślasz się, o co tu chodzi? – zapytał Larry. Nie mógł oderwać oczu od lalki i królika. Myślał o śpiących w domu Frankiem i Mikeyu. Frankie na pewno ścisnął błękitnego stworka Cookie, a Mikey przytulał szare stworzonko, które nazywał To.

–A ty się domyślasz? – odpowiedział pytaniem Arne.

Larry pokręcił głową.

–Może ukrzyżowanie? Kto wie? A może facet po prostu lubi przybijając przedmioty? Może gdy był mały, rodzice zmuszali go do pracy w stolarni.

–To ma być śmieszne? – zapytał Arne

–Chyba czas założyć sidła na tego faceta. Dosyć już narozrabiał. Mam szacunek dla twoich sposobów, Arne. Wierz mi, nie blaguję. Uważam cię za jednego z najlepszych detektywów. Ale osobiście wydaje mi się, że teraz trzeba działać jak szybki gonzo.

–Nie pieprz mi tu, Larry! – Oczy Arnego zaszły mgłą. – Włożyłem w to dochodzenie całe serce i dusze. I całą karierę.

Larry ostatni raz rozejrzał się po dzieciennym pokoju. Zgrozy dodawał fakt, że jeszcze przed godziną Karolina i Joe Junior spali tu i śnili dziecięce sny.

–Jest jeszcze coś, o czym nie wiem? – zapytał Larry. – Coś rytualnego, dziwnego, takiego jak te zabawki?

–Nie, to już wszystko.

–Dzięki, Jolly.

–Nie dziękuj mi, cholera jasna. To nie mój pomysł. Jesteś ostatnim facetem, któremu powierzyłbym to śledztwo. Może i szanujesz moją technikę, ale jestem

pewien, że swojej wcale.

–Daj spokój, Jolly. – Larry klepnął go w ramię. – Dostaniemy tego gościa *di riffe o di raffe*. A przy okazji – szanuję twoje metody śledcze, ale nie znoszę tego cholernego płaszcz. Nic dziwnego, że nigdy nie mokniesz. Żadna szanująca się kropla deszczu na ciebie nie spadnie.

–Żartów ci się zachciewa? – zapytał Arne.

–Tak – rzekł Larry. – A wiesz dlaczego? Bo Joe i Nina byli moimi bliskimi przyjaciółmi. Karolinę i Joego Juniora kochałem jak własne dzieci. Żartuję, bo nie znam innego sposobu na postępowanie z kimś takim cholernym, okropnym, pieprzonym jak ten frajer. I nie próbuj mnie nabierać, bo czujesz to samo. Tylko że ty jesteś Szwedem, a Szwedzi nie rozumieją, że kiedy istota ludzka jest zła na coś, czego nawet nie może wymówić, wtedy się śmieje.

Arne wyciągnął czystą chusteczkę, rozłożył ją i otarł płaszcz.

–Wiesz, co jest z tobą nie tak, Larry? – spytał. – Plujesz, gdy mówisz.

–Jezu – syknął Larry i wyszedł z sypialni. Czuł się jak ogień, jak Wezuwiusz. Jednocześnie był smutny, zdenerwowany i wybuchowy.

Wrócił do domu o siódmej rano. Pod pachami przyniósł pełno akt i brązową torbę z czterema *focaccia* i długim, płaskim chlebem. Dla swojej toyoty musiał poszukać miejsca na ulicy, bo Linda przy podjeździe zaparkowała buicka. Nad miastem cały czas wisiała mgła, ale tu, w Russian Hill, rozrzedzała się i momentami wyglądało słońce. W ogrodzie śpiewały ptaki.

Akta i chleb Larry odłożył na pomalowanej na biało werandzie i szukał klucza. Na poręczy przysiadła przepiórka i uważnie go obserwowała.

–No, czego tam chcesz? Śniadanka? – zapytał. – Ja też.

Wszedł do niewielkiego korytarza z jasnym parkietem, starym marynarskim kufrem i olejnymi obrazami dawnego San Francisco. Odwrócił się i zamknął drzwi. W domu panowała cisza. Wyglądało na to, że cała rodzina jeszcze śpi. Odłożył teczkę z aktami na krzesło w pokoju i ściągnął buty.

Od razu skierował się do głównej sypialni. Białe drzwi uchylone były na kilka centymetrów, przez otwór widział leżącą w żółtej pościeli Lindę. Miała zamknięte oczy i rozrzucone na poduszce włosy. Nad głową widniała grafika Curriera Ivesa przedstawiająca dwa zadowolone z siebie cherubinki zbierające z miski śmietanę.

Nie otwierał drzwi, nie chciał jej obudzić. Czuł w jakiś sposób, że wchodząc do sypialni zakłóci jej sen brutalnością i okropieństwem minionej nocy. Ogniem i krwią, gwoździami i ciałem.

Chwilę obserwował Lindę. Smutno mu było za nią. A jeszcze bardziej za Joego i Ninę. Kiedyś, po pół butelki Jacka daniela, Dan Burroughs powiedział mu: „Jak pracujesz w zabójstwach, przyjacielu, to żałoba cię nie opuszcza”.

Larry nie był pewien, czy „żałoba” to odpowiednie słowo. On czuł raczej wściekłość niż żal. Opuścił sypialnię i na palcach poszedł do kuchni.

Otworzył lodówkę i zajrzał do środka. Zastanawiając się, co zjeść na śniadanie, popijał z pudełka sok pomarańczowy. Już prawie odstawił pudełko do lodówki, gdy usłyszał za sobą chłpiący głos:

–Jak to jest, że ty możesz robić to, czego nam nie wolno? Mówiłeś, że to niehigienicznie.

Odwrócił się. W drzwiach stał i przymrużonymi oczami patrzył na niego Frankie ze stworkiem Cookie. Ubrany nie w piżamę, lecz w starą koszulę, tak lubił najbardziej. Jeśli nie liczyć niebieskiego futerka, Cookie był nagi. Frank miał czarne oczy, kręcone włosy i był tak chudy, że matka Lindy strofowała ją za głodzenie chłopca. „Patrz na tego dzieciaka! Jak ptaszek! Wszystko przez ten wasz makaron! Nie ma żadnych wartości odżywczych. Równie dobrze moglibyście jeść papier!”

Linda dość często wyjaśniała, że jeśli jedzą makaron, to Larry zawsze dba, aby był świeży. A poza tym wcale nie jedzą go za dużo. Ale matka Lindy zawsze pragnęła, żeby jej jedynaczka wyszła za poważne pieniądze – złoto, hotele, limuzyny, nie wspominając już, że najlepiej anglosaskie albo protestanckie. U niej w domu zdjęcie ślubne Lindy i Larry’ego miało czarne oprawki, jakby oboje byli już martwi. Jednak ojciec Lindy mniej się tym przejmował. Odbiło mu trochę od ciągłego oglądania golfa w Burlingame. Najbardziej ekscytującym wydarzeniem roku było dla niego doroczne, nadzwyczajne wydanie *Sports Illustrated*. Do tej pory nie przyjął do wiadomości, że Ronald Reagan nie jest już prezydentem.

Larry otworzył kuchenkę i wyjął ruszt.

–Hej, Frankie, chcesz *focaccia coi ciccioli*?

Frankie usiadł na stołku i położył Cookiego na stole.

–Jasne.

–W takim razie buzia na kłódkę. Rodzice mają od Ojca Świętego specjalne pozwolenie na picie z pudełka. Tak samo jak mogą kłaść łokcie na stół i mlaskać. Mamy to na piśmie, prosto z Rzymu, rozumiesz?

–Tak jest – rzekł Frankie. – Mogę prosić o dużo bekonu?

Larry uważnie kładł na ruszt kawałki bekonu. Gdy przyrządzał *focaccia coi ciccioli* stawał się pedantem. Robił wszystko dokładnie według przepisu – nic tylko zawijał w ciasto skruszały bekon. Ale tak samo jak imitacja pizzy podawana z kiełbaskami, kukurydzą, posypana pieprzem albo Bóg jeden wie czym jeszcze, tak jego *focaccia* nie była pozbawiona wpływów amerykańskich. Ojciec Larry’ego zabierał w tornistrze do szkoły *focaccia* posypaną wyłącznie morską solą, ewentualnie odrobiną suszonej szalwi. No i plasterek cebuli do smaku.

–Mama mówiła, że całą noc pracowałeś – powiedział Frankie.

–Rzeczywiście, to prawda. Mikey już wstał?

–Jest na podwórku.

–A co on tam robi, do diabła?

–Poszedł zrobić kupę.

Larry z niepokojem popatrzył na Frankiego.

–Czy ja dobrze słyszę? Mikey poszedł zrobić kupę na podwórko? Coś nie tak z łazienką?

–Wczoraj oglądaliśmy Tarzana i Mikey chce zostać Tarzanem.

–A robić kupę w krzakach to znaczy być Tarzanem?

–Tarzan nie miał łazienki.

Larry rozdziawił i zaraz zamknął usta.

–Tarzan... nie... miał... łazienki – powtórzył. – Tarzan, na miłość boską, nie miał też samochodu! A to wcale nie znaczy, że Mikey będzie w drodze do szkoły skakał z drzewa na drzewo.

Drzwi się otworzyły i wszedł zmarznięty Mikey. Z wyjątkiem slipek i przykrótkiej góry od piżamy był nagi. Miał odsłonięty pępek i gęsią skórę na przedramionach.

Larry popatrzył na niego ze złością, a Mikey odwzajemnił się zaciekleym spojrzeniem sześciolatka.

–No i jak było? – zapytał Larry.

Mikey uderzył się w pierś.

–Ja Tarzan.

–Jasne, wiem o tym – powiedział Larry odwracając się do bekonu, – Pytałem jak było? Załatwiać się na świeżym powietrzu?

Mikey zmieszał się. Błądził wzrokiem po kuchni w poszukiwaniu jakiejś odpowiedzi na poważny, wynikły z nienacka problem życiowy.

–Czy Tarzan używał liści? – zapytał w końcu.

Powstała pauza, gdy wszyscy się zastanawiali.

–Jasne, chyba tak – powiedział Larry.

Mikey poważnie skinął głową i pobiegł do swojego pokoju.

–Nie wiedziałeś – zawołał za nim Larry – dlaczego krzyczał „Aaooeeeeoooooooooooo!”

–Ale śmieszne – mruknął Mikey i zatrzasnął drzwi.

–Możecie się zamknąć! – niespodziewanie krzyknęła ze swej sypialni Linda.

Jedli *focaccia* z bekonem w błogiej męskiej ciszy zalegającej w kuchni – Larry, Mikey i Frankie. Trzech facetów: duży, mały i malutki, związanych miłością i radością. Stworek Cookie próbował powąchać danie, ale coś mu nie pasowało.

Larry starał się nie myśleć o Karolinie i Joem Berrych, ale nic nie mógł poradzić, że ogarnia go zbyt wielka złość i gniew. Zjadł ponad połowę *focaccia*, wstał i wyglądając na pozłacaną słońcem mgłą, zastanawiał się, czy tamtych dwoje biedactw na pewno wzięła w swoje ramiona Najświętsza Panienka.

Gdy był chłopcem, wyobrażał sobie, że ramiona Najświętszej Panienki są blade i zimne, zimne jak żelazo. I gdy go pocałuje, zostawi mu na policzku łzę przejrzystą jak kropla rosy. Matki płaczą nad swoimi umarłymi dziećmi, ale tylko Najświętsza Panienka może płakać nad wszystkimi.

–Ktoś zamordował dziecko? – zapytał Frankie.

Larry odwrócił się i spojrzał na niego.

–Tak – powiedział cicho. – Skąd wiesz?

–Zawsze wiem, kiedy ktoś morduje dzieci, bo wtedy robisz dobre śniadania i nie krzyczysz: „Nie mów z pełną buzią”.

Larry pomyślał, skinął głową i odgarnął włosy z głowy chłopca.

–Chyba tak. Chyba zawsze bardziej się staram, kiedy zginą czyjeś dzieci.

–Tarzan by się nie dał – powiedział Mikey.

–Tak? Niech Tarzan pokaże najpierw tacie, gdzie zasrał podwórko.

Później, gdy Frankie i Mikey oglądali telewizję, Larry na tacy zaniósł do sypialni kawę oraz sok pomarańczowy i usiadł na brzegu łóżka obok śpiącej jeszcze Lindy. Wyglądała jak zaczarowana Śpiąca Królewna, czekająca na pocałunek, który wyzwoli ją z samotnej nocy i nie kończącego się niepokoju.

Wyglądała jak kobieta, która była na zbyt wielu pogrzebach i śpi, bo nie chciałaby już chodzić na następne.

–Linda? – powiedział wreszcie. Natychmiast otworzyła oczy. – Przyniosłem ci kawę.

–Która godzina? – Przetarła oczy.

–Ósma.

–Tak późno? Obiecałam sobie, że wstanę, jak przyjdiesz.

–Nie ma sprawy. Chłopcy nie spali. Zrobiłem im śniadanie.

–Och, przepraszam. – Ścisnęła mu dłoń z krótkimi, silnymi palcami i kępkami czarnych włosów. Dłoń gawera, architekta albo szlifierza kryształów.

–Za co? Wiesz, że potrzebowałem czasu, żeby odetchnąć.

Wypiła połowę soku pomarańczowego i z powrotem położyła się na poduszce. Nigdy nie przestawał podziwiać jej urody. Za każdym razem, kiedy na nią spojrzął, wiedział dokładnie, dlaczego się zakochał.

–Śpiąca Królewna – powiedział.

Linda uśmiechnęła się.

–Śpiącą Królewnę budził pocałunek, a nie kawa z ekspresu.

Pocałował ją w rozgrzane od snu czoło. Potem w usta smakujące jak pomarańcza.

–Ty masz jedno i drugie.

–To źle?

Skinął głową. Wiedział, że jest zmęczony i gdyby zaczął wyjaśniać, jak naprawdę jest źle, zaniepokoiłby ich oboje i jeszcze chłopców na dodatek.

–Arne się wkurzał? – zapytała.

–No. Jeszcze jak. Próbował tego nie okazywać, ale to było silniejsze od niego.

–Wiesz, dlaczego Dan powierzył ci to śledztwo?

Larry usiadł prosto.

–Z początku nie, ale teraz już chyba trochę wiem.

–Chyba nie chce zrobić z ciebie Kevina Defendorfa, co?

Kevin Defendorf był jednym z tych błyskawicznie awansujących detektywów, których kariera rozwijała się w zawrotnym tempie, a którzy, według słów Lawrence'a Ferlinghettiego, znaleźli się „bez zardzewiałych ostróg, które skończyły na zwiędłej trawie obok pogiętych puszek, starych brzytw i rozbebeszonych materacy...”

Larry wzruszył ramionami, pociągnął nosem i powiedział:

–Możliwe, ale to nie ma znaczenia.

–Oczywiście, że ma – zaprotestowała. – Przecież chodzi o twoją karierę.

–Eee – nie zgodził się Larry. – Nie widziałaś tego co ja. Gdybyś widziała, przyznałabyś, że to nie ma żadnego znaczenia. Ktoś musi tego faceta złapać, obojętne jakim kosztem.

–Larry...?

Próbował się uśmiechnąć. Prawie mu się udało.

–Lindo, nie warto się przejmować tą sprawą, dopóki nie zamieni się w kruczatę.

–Ale ty musisz o wszystkim myśleć. O Frankiem, o Mikeyu, o mnie!

Larry wziął ją za rękę i dotknął obrączki.

–A jak myślisz, co by się stało, gdybym odmówił przyjęcia tej sprawy? Co by mi zrobił Dan? Jak by mnie traktowali inni? Arne, Brough, Migdoll? Jak główniarza, którym naprawdę bym się okazał. Mimo to Dan nie miał tu nic do rzeczy. Chciałem wziąć to śledztwo. Dla siebie, dla Joego, dla Niny. Ktoś musi się tym zająć. Ktoś musi znaleźć zabójcę ich dzieci.

Linda przyglądała się, jak kręci jej obrączką.

–Wiesz, co mi zawsze mówiła Nina? – zapytała. – Że jest w Joem coś, co robi z niego gliniarza, ale nie wiedziała co to. Chociaż nie podobała mu się ta praca, urodził się do niej. W dzień, kiedy nie poszedł do pracy, pobiegła do kościoła zapalić świeczkę i podziękować Bogu za cud.

–Ty też tak to odczuwasz? – zapytał Larry.

Linda pokręciła głową.

–Myślę, że lepiej cię rozumiem.

Zapanowała między nimi długa cisza. Za oknem mgła nieubłaganie opanowała miasto. Nie ujrzą dzisiaj słońca. Nie ujrzą go przez kilka dni. Larry to przeczuwał.

–Chcesz śniadanie? – zapytał Lindy.

–Najpierw joga. Poza tym idę na kawę do Marjorie.

–Doborowe towarzystwo. Cóż... jeśli nie masz nic przeciw temu, pójdę przejrzeć trochę akt. Ale jeśli chcesz, możesz mi przeszkadzać. Żaden Foggia nie był oskarżony o gwałt. Można sprawdzić w policyjnych kartotekach.

Gdy Linda zabrała chłopców do letniej szkoły sportowej, Larry wziął prysznic. Potem wyszedł z łazienki i przejrzał się w lustrze. Smukły, muskularny, ale bez przesady. Na owłosionej klatce piersiowej widniały dwie sutki w kolorze migdałów. Ciężki penis i jądra jak dojrzałe owoce. Uda wygięte na kształt włoskich mebli.

Włożył kremowe spodnie i bladoczerwoną koszulkę polo. Potem usiadł w kuchni i czytając *Chronicle* wypił dwie filiżanki zabójczo mocnej kawy. Była piętnasta rocznica szpalty Herba Caone. Larry dobrze go znał i lubił. Tak bardzo jak tylko zbyt romantyczny trzydziestoosmioletni włoski detektyw może znać i lubić przewrotnego, siedemdziesięcioletniego dziennikarza. Kilka razy jedli razem śniadanie, a Herb napisał kawałek o pracy policji w San Francisco, przyrównując ją do opery. Albo wysoko, albo nisko.

Mgła zrzędała, ciągnęły sznury samochodów, ale były to przywary San Francisco, a nie jakichś tajemnych sił. Gorączka złota uczyniła San Francisco takim, jakie jest. I nawet dzisiaj, w 1988 roku, to wciąż miasto gorączki złota. Pełne chciwości i zuchwałości. Miasto duchów, nowobogackich i królowych jednej nocy.

To miasto na skraju świata. I może jest w nim coś, co pobudza Szatana z Mgły do krwawych czynów.

Przez siedem godzin, aż do chwili gdy mgła zaczęła opadać jak brudna kurtyna, Larry czytał akta od Arnego. Co jakiś czas przerywał: najpierw dzwonił Houston

Brough, który cierpliwie pukał do wszystkich mieszkających w promieniu pół kilometra od mieszkania Berrych, potem Dan Burroughs, potem Phil Bilgieri – lekarz śledczy, ze wstępnym raportem o śmierci Berrych. Po piątej nie odebrał już ani jednego telefonu, chociaż słyszał, jak co chwila włącza się automatyczna sekretarka. Czytał notatki, diagramy, raporty laboratoryjne, analizy, przesłuchania. Nie mógł marzyć o lepszym materiale. Arne zajął się każdym aspektem, który mógł Larry'emu wpaść do głowy, a może zrobił i więcej. Komputerowo zbadał zadane sztyłem rany i ustalił typ użytego przez mordercę sztyletu, a nawet firmę, która go wyprodukowała, i sklep, w którym został kupiony.

Zwrócił uwagę na niesłychaną siłę, z jaką Szatan z Mgły wyważał drzwi do mieszkań swoich ofiar. Za każdym razem wysadzał drzwi lub okno niczym bombą.

Jednak Arne nie potrafił doszukać się w tym żadnej logicznej przesłanki. Prawie w każdym z sześciu przypadków mógł zostać użyty zwykły łom. A w College Park morderca wywalił całe okno, podczas gdy tylne drzwi były otwarte na oścież.

Larry odchylił się na krzesło i długo spoglądał na biurko z papierami. Przekraczały jego siły. Jakoś się z sobą łączyły, ale czegoś w nich brakowało. Oczywiście Arne poruszał sprawę motywów. Rozmawiał z pracownikami socjalnymi i psychologami. Usiłował znaleźć związki z innymi rytualnymi morderstwami na terenie całych Stanów Zjednoczonych, a także w Europie. Zaglądał też do daleko sięgającego artykułu Fay Kuhn o rytualnych zabójstwach z 1905 roku. Daleko zaszedł wskazując podobieństwa między dwoma z krwawych zabójstw a mordami w Port-au-Prince na Haiti.

Ale wciąż umykał mu cel. Nie znajdował odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”

Ani żadnego przekonującego powodu – logicznego czy nie – dla którego ktokolwiek zadawałby niewinnym rodzinom tak wymyślne tortury.

W tym szaleństwie, potrzebnym, gdy detektyw stawia się w pozycji takiego zabójcy, również nie potrafił dostrzec jakiejś inspirującej myśli. Takiej samej, na którą próbował wpaść, gdy miał do czynienia z neapolitańczykiem, który zatłukł na śmierć ukochanego swojej córki. Albo gdy Koreańczyk z zimną krwią zastrzelił przy wejściu do Haight Street handlarza narkotyków. Albo gdy facet udusił wiktoriańską ozdobną poduszczką (wyłącznie przez litość) umierającą kochankę.

Otworzył notes i sporządził listę wszystkich rytualnych morderstw, z datami, ważniejszymi szczegółami i sugestiami Arnego.

Forest Hill 9.03.1988: Włamanie do domu rodziny Tesslerów miało miejsce niewiele po godzinie drugiej rano. Młotem pneumatycznym zostały wyważone drzwi od strony ogrodu. Pan Alan Tessler (lat 47) i pani Irena Tessler (lat 42) zostali zmuszeni do rozebrania się, a potem mocno związani twarzą w twarz i zakneblowani. Ich córka Jeanette (lat 24) i służąca Maria (lat 26) także zostały obnażone i związane. Obydwie młode kobiety zostały zgwałcone na oczach państwa Tessler. Także obydwie zostały skatowane szkarłatnym wałkiem do ciasta z zabytkowej kolekcji pani Tessler. Piłą do metalu morderca oderwała państwu Tessler nogi w połowie łydek. Pan Tessler umarł z szoku traumatycznego, pani Tessler z upływu krwi. Jeanette i Maria zginęły od uderzenia w tył głowy tym samym młotem pneumatycznym, który

został użyty do wylamania drzwi. Wszystkie z trzydziestu ośmiu ptaszków pana Tesslera miały połamane nóżki.

Crocker Amazon 20.04.1988: Drzwi do domu rodziny Wusterów zostały rozbite kilofem około godziny 23.00. Pani Pamela Wuster (lat 40) została przywiązana do kuchennego krzesła i polana łatwo palnym płynem. Najwidoczniej pod groźbą podpalenia żony pan Douglas Wuster (lat 39) został zmuszony do wciśnięcia dłoni w odpływ zlewu. Palce i dłoń miał prawie całkowicie zmiażdżone. Potem z ręką zawiniętą w ręcznik został przywiązany do krzesła obok żony. Zabójca wyciągnął z pokoju trójkę dzieci: Lance (lat 17), Andreę (lat 12) i Petera (lat 9), i przywiązał naprzeciw rodziców. Wtedy pani i pan Wuster zostali, na oczach dzieci, pozbawieni języków ich własnym nożem kuchennym. Później morderca udusił nylonowym sznurkiem po kolei każde z dzieci. Pozostały jeszcze przy życiu pan Wuster dostał śmiertelny cios w tył głowy. Pies Wusterów, labrador, został znaleziony z językiem przybitym do drzwi garażu.

Pacific Heights 8.05.1988: Frontowe drzwi domu rodziny Yee około godziny 3.00 nad ranem zostały wyważone młotem pneumatycznym. Pan Kim Yee (lat 51) i jego żona (lat 46) zostali rozebrani i zakneblowani, a potem przywiązani twarzami do kuchennego bufetu. Ich dwaj synowie: Kingmen (lat 20) i Hsu (lat 17) w saunie związani zostali plecami do siebie i z przeciętych nadgarstków wykrwawili się na śmierć. Ręce państwa Yee zostały toporem rzeźnickim odrąbane w łokciach, a po jakichś trzydziestu minutach zmarli od wbicia sześciocalowych gwoździ w potylicę. Do bufetu zostało także przybitych dziewięć złotych rybek.

Glen Park 19.06.1988: Wolno stojący dom należący do rodziny McGuire w College Terrace został zaatakowany niedługo po godzinie 21.30. Napastnik za pomocą stalowej liny, przywiązanej do tylnego zderzaka pojazdu z napędem na cztery koła, wyrwał z futryną okno salonu. Pan Grant McGuire (lat 35) i jego siostra Blare Furst (lat 29) zostali rozebrani i związani razem. Najwidoczniej pod groźbą zabicia sześciolatniej córki Gardenii, pani Furst została zmuszona do obcięcia bratu uszu (świadczy o tym krew na jej dłoniach), a potem McGuire obciął jej małżowiny. Następnie na ich oczach morderca utopił Gardenię w plastikowej misce z wodą. Oboje zostali zabici strzałem w lewe ucho, pistoletem używanym przez budowlańców do wbijania kołków. Domowy kot wisiał przybity za uszy do płotu.

Bernal Heights 6.07.1988: Włamanie do rodzinnego domu Ramirezów miało miejsce o godzinie 5.00 rano, gdy wielkie okno zostało wybite żelbetonową sztabą. Pan Hector Ramirez (lat 45) i jego żona Isabella (lat 33) zostali rozebrani, zakneblowani, częściowo związani i ułożeni plecami na podłodze. W pobliżu morderca związał plecami do siebie ich dwoje dzieci: Nadię (lat 9) i Juana (lat 11). Po kropli lał im na głowę stężony kwas siarkowy do momentu, aż pani Ramirez zgodziła się (przypuszczalnie) na oślepienie kwasem męża. Następnie każdemu członkowi rodziny napastnik poderżnął gardło. O zwierzętach nic nie wiadomo.

Larry skończył pisać, odłożył pióro i wstał. Na dworze zrobiło się ciemno. Za pięć lub dziesięć minut ma wrócić Linda z chłopcami. Wiedział, że powinien się przespacerować po domu i włączyć światła, aby zrobiło się przytulniej. Jednak

więcej horrorem raporty Arnego o Szatanie z Mgły jakoś go sparaliżowały. Pytał siebie, co by zrobił, gdyby kazano mu wlać Lindzie do oczu kwas siarkowy. Próbował sobie wyobrazić, jak to jest. Jaka to okropna desperacja, gdy się nie ma wyboru.

Przycisnął czoło do zimnego okna. Było tak ciemno i mgliście, że widział swoje odbicie – widmo Larry’ego Foggii. Zastanawiał się, co za człowiek zmusza innych do takich okaleczeń. Próbował sobie wyobrazić, jak to jest: stać przed ludźmi i patrzeć, jak składają z siebie ofiarę. Ale pierwszy raz od wielu, wielu lat nie potrafił, nawet częściowo, wejść w skórę zabójcy.

Z okrucieństwem i torturami spotykał się już wcześniej. Jednak w większości przypadków cel był oczywisty. Mężczyźni i kobiety byli torturowani dla wydobycia informacji, z zemsty albo z powodów seksualnych. Nigdy nie widział ludzi torturowanych na tak przemyślane sposoby i to dla samego zadawania bólu i cierpienia.

Wydawało się, że Szatan z Mgły nie ma celu. W kilku morderstwach seks wchodził w rachubę, ale nie we wszystkich. W niektórych przypadkach można było podejrzewać chęć grabieży.

W kilku domach zwierzęta były torturowane w ten sam sposób co ich właściciele, ale Arne nie był w stanie określić znaczenia tych faktów.

Za każdym razem ludzie byli wiązani (lub jak w przypadku Berrych przybici), a potem kaleczeni, ale nigdy dwa razy tak samo. Larry’emu przyszedł na myśl Kuba Rozpruwacz i sposób, w jaki wyrywał, a potem bawił się organami swoich ofiar. Ale Kuba Rozpruwacz – chociaż chory – postępował konsekwentnie.

W zachowaniu Szatana z Mgły nie było nic logicznego. Poza tym, że wybierał, jak się zdaje, rodziny szczęśliwe i bez najmniejszej litości doprowadzał je na skraj przerażenia i bólu. Jednak w różnych, nie związanych ze sobą punktach geograficznych. Warta uwagi, ale niewiele wyjaśniająca, była kwestia wybijania wejścia z pomocą ogromnej siły. Potwierdzała jedynie, że wszystkie te morderstwa popełnił ten sam człowiek.

Istniało mnóstwo sprawozdań z badań laboratoryjnych porównujących zadrapania na szyjach i rękach zgwałconych ofiar, ślady na dywanach i kuchennych płytach. Była także czerwona farba, którą laboratorium FBI zidentyfikowało jako domowej roboty mieszanek benzyny ekstrakcyjnej i szminki.

Nie znaleziono odcisków palców, ale zabójca zostawił spermę i włos łonowy. To pozwoliło Arnemu ustalić, że zabójca był rasy kaukaskiej, z grupą krwi AB oraz ciemną cerą. Po rozmiarze buta, rozpiętości dłoni i oczywistej tężyznie fizycznej Arne utworzył obraz ponadczterdziestoletniego mężczyzny, wzrostu około metra dziewięćdziesięciu i dziewięćdziesięciu do dziewięćdziesięciu dwóch kilogramów wagi.

Jeśli kiedykolwiek go złapią, z pomocą kodu genetycznego będzie go można zidentyfikować bez najmniejszych wątpliwości.

Po każdym zabójstwie morderca dzwonił do radia KGO i straszył, że ukarze każdego, kto go może wydać. Arne dał Larry’emu taśmy (także maszynopis) z zamaskowanym i niewyraźnym głosem, na których dało się słyszeć około

czterdziestopięcioletniego mężczyznę.

Arne wywnioskował, że Szatan z Mgły pochodzi z San Francisco albo od dawna tu mieszka, bo wie, gdzie i kiedy zaatakować otwarcie i z hałasem, aby mieć niewielką szansę na odkrycie.

Chyba że go nie obchodzi, że zostanie odkryty.

Chyba że chce być odkryty.

Larry usłyszał szcęk klucza we frontowych drzwiach. To Linda. Stał po ciemku, aż weszła do jego pokoju i włączyła lampę.

–Larry? – zapytała. – Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że nikogo nie ma.

–Przepraszam. – Odwrócił się od okna. – Byłem daleko stąd.

–Dzwoniłam tuż po piątej. Dlaczego nie odbierałeś?

–Nie mogłem rozmawiać. Miałem za dużo czytania.

–Strasznie wyglądasz. Jadłeś coś?

Potrząsnął głową.

–Chyba zapomniałem.

–Chcę zrobić *messicani di vitello*. Kupiłam śliczne *scallopine*.

–Nieźle brzmi.

Podeszła do biurka, spojrzała na raporty medyczne, komputerowe wydruki oraz mapy. Podniosła zdjęcie sześciolatniej Gardenii Furst utopionej w plastikowej misce przed oczami matki.

–Nie powinnaś na to patrzeć – powiedział stłumionym głosem.

–Jest aż tak źle? – zapytała, drżącą ręką odkładając zdjęcie.

–Gorzej, niż mogłabyś sobie wyobrazić. Prasie nie powiedzieliśmy nawet połowy.

–I dlaczego to musisz być ty?

–Jeśli nie ja – Larry wzruszył ramionami – to byłby ktoś inny.

–Wiesz, o co mi chodzi.

Larry słyszał, jak chłopcy biją się w korytarzu, i nie chciał już dłużej myśleć o Szatanie z Mgły. Objął Lindę ramieniem i poprowadził do pokoju. Zaniknął za sobą drzwi.

–Dan chyba chciał, żebym to był ja, bo myśli, że mogę zrozumieć tego szaleńca. Jak swój swego.

–Larry... – powiedziała Linda i głos jej ugrzązł w gardle.

–No już dobrze. – Larry przytulił ją i pocałował w czoło. – Mimo wszystko to tylko człowiek, a człowieka można odszukać i złapać.

Frankie i Mikey ruszyli do niego biegiem i złapali za ręce.

–Tatusiu! Tata Benny'ego mówił, że może nas zabrać na lody do „Mariny” i na mecz.

–Tak mówił? Rzeczywiście się zgodził?

–Możemy iść? Tatusiu, możemy iść?

Larry podniósł Mikeya tak, by sięgał mu prawie do szczęki. Widział, jak Linda na niego patrzy, i wiedział, co sobie myśli. Dlaczego nigdy nie zabrałaś dzieci ani na mecz, ani na lody do „Mariny”? Dlaczego to zawsze musi być cudzy ojciec?

Postawił Mikeya na podłodze.

–Okay – powiedział. – Jeśli ojciec Benny’ego się zgodzi, możecie iść. Ale w sobotę pójdziemy razem do Muir Woods, a potem na obiad do „Basta Pasta”.

–Muir Woods? Co za nudy – wykrzywiając twarz powiedział Frankie.

–W Muir Woods jest ładnie, miło i przyjemnie – rzekł Larry.

–Jak dla kogo – odpowiedział Frankie.

–Nie znoszę „Basta Pasta” – zamarudził Mikey.

–Muszę się napić – powiedział Larry do Lindy. – A ty?

–Przyniosłam verdicchio.

Poszli do kuchni. Larry otworzył wino, a Linda rozpakowała zakupy i oplukała kawałek cielęciny.

–Możesz do mnie mówić – powiedziała.

–Nie wiem, czy mam ci coś do powiedzenia – odparł nalewając wina.

–Możesz mnie spytać, jak mi minął dzień. Jak ze szkołą, co jadłam na lunch, czy pan Chabner jeszcze się czepia, czy panu Kotchoni znowu spadła peruka... Ja też nie chcę jechać do Muir Woods.

–O Jezu, w porządku – powiedział Larry. – Nie musimy. Chciałem tylko zapewnić rodzinie trochę rozrywki.

–Przepraszam. – Linda podeszła do niego i pocałowała go. – Wiem, że cię to dotknęło. Zabiłabym Dana za to, że dał ci to śledztwo.

–Ty, ja, Arne, cała trójka.

Zapadło długie milczenie, długi spokój. Jeden z tych momentów w dobrym małżeństwie, gdy do wyrażenia myśli nie potrzeba słów.

Chwilę tę przerwał dzwonek telefonu. Larry podniósł słuchawkę i powiedział:

–Foggia.

–Cześć, Larry, tu Houston. Właśnie dzwonili z KGO. Mieli telefon od naszego ptaszka.

–Znów ostrzeżenie?

–Nie wiem, coś w tym rodzaju. Tym razem powiedział... czekaj, nie mogę znaleźć tej kartki... o jest: „On nadchodzi z drugiej strony. Nadchodzi”.

–Kto? Mówił, kto nadchodzi?

–Żadnych nazwisk – powiedział Houston. – Ale mówił o nim z wielką radością. Jakby z czcią.

–Powiedział tylko tyle? – Larry myślał o Karolinie i Joem, o ich ciałach spalonych na węgiel, poskręcanych jak korzenie drzewa i przybitych do ściany.

Houston przełknął ślinę.

–Nie, jeszcze dużo. Coś w rodzaju: „Przywiedli go z powrotem”. A później: „Oddali życie z własnej woli. Jak w ofierze. Zawsze tak było. A teraz nadszedł czas, to już prawie wszystkie stopnie” i coś dalej dodał bez znaczenia, a potem: „Nadchodzi z drugiej strony. Potrzebuje tylko pożywienia. Nie będziecie wiedzieć, kiedy przyjdzie, nie będziecie wiedzieć gdzie”.

Larry wszystko zapisał na magazynie Lindy *Sunset*.

–Już?

–Już. Z wyjątkiem hałasów w tle. Przedtem nigdy ich nie było.

–Co to za hałasy?

–Trudno powiedzieć. Wysłałem je do analizy do Norma Diandy. Słychać jakiś gwar i muzykę.

–Dobra, Houston. Dobrze zrobiłeś. Będę w głównej kwaterze za jakąś godzinę. Odłożył słuchawkę.

–Cholera – zaklął.

–Co, serduszko? – zapytała Linda.

–Nie wiem – odparł Larry. – W tych zabójstwach było coś niesamowitego, coś wykraczającego poza granice rozsądku. Co to wszystko, do diabła, może znaczyć? Gdzie sens, gdzie logika? Ale trochę to przerażające. Może jest pod słowami ukryte znaczenie, jak w piosenkach, które się śpiewało w szkole.

„Patrz, jak się niemowlak śmieje,

Jedź i miej na śmierć nadzieję”.

Linda obserwowała, jak wciąż od nowa czyta, co zabójca powiedział KGO: „Druga strona. Nadchodzi z drugiej strony”.

–Z drugiej strony czego?

Linda podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

–Z drugiej strony? – zapytała.

Dzielił słowa na grupy i podkreślał. Z DRUGIEJ STRONY.

–Nie nic. Houston powiedział coś takiego.

–Nie chcesz mi powiedzieć?

–To nic nie znaczy. To po prostu – nic.

–Daj spokój, Larry. Nie strugaj wariata. Powiedz, o co chodzi.

–Jezu, Lindo, nie wiem, o co chodzi.

„Patrz, jak małe dziecko płonie,

Patrz, jak wije się w agonii”.

–Dobra. Jak uważasz. *Messicani di vitello* już się robi.

Zacząła maczać chleb w talerzu z mlekiem, a Larry w milczeniu stał obok niej z kieliszkiem wina.

–Jesteś roztrzęsiony – powiedziała po chwili.

–Nie. Wszystko ze mną w porządku.

–Larry, wiem, kiedy jesteś roztrzęsiony. I teraz właśnie jesteś.

–Dobra, jestem roztrzęsiony! – wykrzyknął. – Cały dzień przeglądałem zdjęcia zamordowanych rodzin. Jezu, nawet ty byłabyś roztrzęsiona! Każdy byłby roztrzęsiony!

Linda odstawiła talerz i zaczęła siekać szynkę z cielęcina na nadzienie. Chociaż pochodziła z rodziny anglosaskiej (z domieszką krwi duńskiej), miała w sobie spokój charakteryzujący neapolitańskie kobiety. Nie wzruszały jej żadne krzyki męża.

Choćby sufit walił się nad głową, nie panikować – gotować.

–No to co za „druga strona”?

–Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia. Morderca powiedział coś takiego do radia.

–Twoja mama zawsze tak mówi, nie? Przynajmniej kiedyś tak mówiła.

–Co zawsze mówi moja mama? – Larry zmarszczył brwi.

–„Druga strona”. Na przykład, że twój tata przeszedł na drugą stronę.

–Co to znaczy?

–Mówiła tak zamiast „umrzeć”. Nie zauważyłeś? Nigdy nie mówi: „Kiedy tata umarł”, zawsze: „Kiedy tata przeszedł na drugą stronę”.

Larry pomyślał chwilę i zmrużył oczy.

–Racja – powiedział. – To ma coś wspólnego z tymi spirytystycznymi bzdurami, którymi się zajmowała.

–Chciałeś powiedzieć „zajmuje” – poprawiła Linda.

–Jeszcze się zajmuje? – Larry był zaskoczony. – Skąd wiesz?

–Hm... Powinnam ci była powiedzieć...

–Powiedz teraz – nalegał. Nigdy nie potrzebował zbytnio nalegać.

Słuchał, co mówiła o matce. Dopił wino i ponownie dolał sobie.

–Co zamierzasz? – zapytała cicho Linda.

Larry przełknął wino.

–A co robi każdy dobry Włoch? Rozmawia z mamą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jego matka cały czas mieszkała jeszcze w tym samym domu w Ashbury Heights, gdzie Larry przyszedł na świat. Gdy żył ojciec Larry'ego, rodzina Foggiów zajmowała cały pięciopokojowy dom. Teraz jednak Eleonora Foggia zamieszkała na parterze, a resztę domu wynajęła dwóm młodym małżeństwom. Jedno składało się ze skrajnie awangardowego malarza i byłej tancerki z Jeffrey Ballet z uszkodzoną kostką i uzależnieniem od valium.

Mgła zaczęła się podnosić. Larry'ego rozboleła głowa. W czasie jazdy migaly mu przed oczami mroczki w kształcie kijanek. Dom matki, pomalowany na kremowo, wyglądał jak z niedowołanej fotografii – trzypoziomowy, z białej cegły, rzeźbione nadproża i balkony zawieszane na tym, co jego ojciec zwykł był nazywać „zbyt wypracowane żelazo”.

Wszedł po schodach i zadzwonił do matki. Otworzyła natychmiast, bo Linda na pewno upредиła telefonicznie o jego przyjściu. Matka miała siedemdziesiąt lat bez dwóch miesięcy i była tak przystojna, że pasował do niej ten wiek. Bielutkie włosy wiązała w prosty kok. Ostre rysy twarzy wyglądały dostojnie i elegancko. Oczy miała duże, zielone i błyszczące. Mimo że zwykle ubierała się na czarno, wyglądała na pełną życia...

–Ciao, mama – powiedział i mocno ją uściskał. Zawsze zadziwiała go jej delikatność.

–Kogo ja tu widzę? Cześć! – przywitała go. Nie dzwonił od ponad półtora tygodnia. – Kawa na stole.

Korytarzem w kwieciste tapety poszedł za nią do saloniku, który pełnił teraz rolę pokoju gościnnego. Był dość obszerny i ciemny z niesłychanie wysokim sufitem i brązowymi zasłonami. W dzieciństwie, dzięki czarnemu parkietowi i meblom o surowych kształtach, czuł się tutaj jak w kościele. Teraz matka zawiesiła na ścianach kilimy i ozdoby. W klatce skrzeczała do siebie papuga. Gdzie spojrzął, widział lustra, dzięki którym salonik wyglądał jak jeden ze stu ciemnych pokoi zajmowanych przez jedną ze stu ubranych na czarno Eleonor Foggia i jedną ze stu papug.

–Cześć, Mussolini! – zawołał do papugi. Zatrzepotała skrzydełkami, a potem zawołała:

–*Che violino! Che violino!*

–Czas już oddać tego ptaka do menażerii.

Matka naląła mu *capuccino* z wiórkami czekoladowymi. Larry nigdy nie pijał *capuccino*, za gęsta i za słodka jak dla niego, ale matka lubiła mu przyrządzać, więc nie mógł odmówić. Zwłaszcza gdy nad kominkiem wisiał duży, olejny portret surowo spoglądającego ojca.

–Chcesz ciasta? – zapytała matka, choć w gruncie rzeczy to wcale nie było pytanie. – *Torta casereccia di polenta*.

–Jasne, pewnie, że chcę – zapewnił Larry. – Ale nie za dużo. Detektyw musi dbać o linię.

Usiedli na dużych krzesłach z okrągłymi oparciami i aksamitnym obiciem. Prawie twarzami do siebie – jak do gry w szachy lub do seansu hipnotycznego.

–No to o co chodzi? – spytała matka, głośno siorbiąc kawę. – Linda mówiła, że coś cię trapi.

–Dzwoniła Linda?

–No pewnie. Nie myślałeś, że synowa dzwoni do teściowej, gdy jej syn zachowuje się dziwnie?

–Nie zachowuję się dziwnie. Linda tak nie powiedziała.

–Linda powiedziała, że dostałeś sprawę tych strasznych morderstw.

–Tak. Szatana z Mgły.

–Mówiła, że zachowujesz się nienormalnie.

–Ja? Nienormalnie? O nie!

–Powiedziała dokładnie: nienormalnie, z niepokojem, z podekscytowaniem.

Larry ugryzł polenty naszpikowanej rodzynkami, orzechami i figami.

–To ta sprawa jest nienormalna – wymamrotał. – I może jedynym sposobem na jej rozstrzygnięcie jest nienormalne myślenie. Ale nie zachowywałem się nienormalnie.

–A Linda mówiła, że tak. Jeszcze ciasta?

–Nie, dziękuję. – Larry podniósł rękę. – Wystarczy.

–Wszystko jest dla ciebie – zaprotestowała matka.

–Daj to Mussoliniemu. Może zrobi nam tę łaskę i zapcha się.

–*Tiemi duro! Tiemi duro!* - zaskrzeczał Mussolini.

Eleonora Foggia położyła suchą, pełną pierścieni rękę na kolanie syna.

–Gdyby cię nic nie trapiło, nie przychodziłbyś do swojej mamy.

–Cóż, masz trochę racji – przyznał Larry. – Chodzi o to, czy wciąż zajmujesz się tymi spirytystycznymi bzdurami? Całym tym hokus-pokus, ruchomymi stolikami i kryształową kulą, tym czego się nauczyłaś od babci.

Matka zmrużyła oczy. Zupełnie tak samo jak on, gdy go coś zaskoczy.

–A co się tak nagle tym zainteresowałaś?

–To ze względu na to śledztwo. Jak dotąd mieliśmy sześć masowych morderstw. Sześć w ciągu sześciu miesięcy.

–Czytałam o tym. Straszne. Wszystkie straszne.

–Dziwne w tym wszystkim, że każde z nich jest inne, choć w pewnym sensie takie samo. Nie mogę rozpracować tego podobieństwa. Musi być w nich jakiś związek, prawda? Ale ja go nie umiem dostrzec.

–I myślisz, że ja go rozumiem?

–Nie wiem, może tak, a może nie. Chodzi o to, że jak dotąd ten facet dzwonił do radia KGO i dawał jakieś ostrzeżenia. Na przykład: „Jak powiesz, co widziałeś, utnę ci język i nakarmię nim rybę”. Ale tym razem powiedział coś innego. Teraz powiedział... Chwileczkę, mam tu gdzieś zapisane... O! Powiedział: „Nadchodzi z drugiej strony... nadchodzi. Oddali życie z własnej woli, tak samo jak Jezus... a teraz nadszedł czas...”

Eleonora Foggia milczała niezręcznie długo. Potem spojrzała na Larry’ego i pierwszy raz zdał sobie sprawę, że jest nie tylko piękna, ale i stara. Skórę miała pomarszczoną jak papier z pudełka na kapelusze...

–Wciąż nie rozumiem, dlaczego przyszedłeś do mnie? – rzekła, choć z pewnością

zrozumiała. Chciała tylko, żeby powiedział jej to głośno i wyraźnie. Gdy prosił ją o coś, zawsze nalegała, by tak mówił. Nie mrucz, nie kręć, tylko powiedz, czego chcesz. I nie zapomnij dodać „poproszę”.

–Oj, mam. Zawsze mówisz „druga strona”. Zwłaszcza przy tych – no jak to się nazywa? – seansach z babcią. Pomyślałem sobie, że może mieć to coś wspólnego z tym, co chciał nam powiedzieć ten maniak.

Eleonora Foggia odwróciła się do olejnego portretu męża, ojca Larry’ego.

–Jesteś do niego podobny, wiesz? Tak bardzo, że gdy dorośniesz, będziesz wyglądał kropla w kroplę jak on. Babcia uważa tak samo. Straciła syna, ja – męża. Ale mamy jeszcze ciebie. Babcia mówi na ciebie: „Mały Duch Maria”.

–Powiedz mi o drugiej stronie – poprosił Larry.

–Gdy umrzesz, a nie byłeś gotowy na śmierć, trafiasz na drugą stronę.

–A co się dzieje na tych waszych seansach? Złapałyście kiedyś kontakt z kimś z drugiej strony?

Matka zasmuciła się z lekka.

–Tak nam się zdawało, ale być może przemawiały do nas nasze tęsknoty. Słyszałyśmy szepty, czułyśmy, jak coś nas dotyka. Ale kto wie? Może i nic takiego nie było? Już dawno z tym skończyłam. Na długo, zanim dorosłeś.

–Byłaś na sesji spirytystycznej siedemnastego czerwca tego roku. Na 1591 Jackson Street, jeśli mam być dokładny. Gospodarzem był niejaki Wilbert Fraser.

Powoli zabrała rękę.

–Śledziłeś mnie? – spytała z matczynym przest్రachem.

–Pewnie, że nie. Zwariowałaś? Moim zawodem jest wykrywanie różnych rzeczy. Poza tym powiedziałaś o wszystkim Lindzie, a nie myślisz chyba, że miała zamiar to przede mną ukryć.

–Kobiety nigdy nie dotrzymują sekretów – przyznała matka.

–Dotrzymują, ale Linda jest moją żoną, a ty moją matką. Dlaczego mielibyśmy mieć przed sobą tajemnice?

Eleonora Foggia uścisnęła dłoń syna i uśmiechnęła się.

–*Cuore di Mama* - powiedziała.

–Naturalnie – powiedział Larry i nachylił się, żeby ją ucałować. – Ale powiedz coś o drugiej stronie.

–Przez wiele lat nie miałam pewności – powiedziała. Odsunęła krzesło i wstała. Sylwetkę miała szczupłą i kruchą jak rzeźby Giacomettiego. – Czasami w nią wierzyłam, czasami nie. Czasami przykładalam głowę do poduszki i słyszałam szept twojego ojca. Słyszałam, jak powoli i równomiernie oddycha, jak zwykle. Czasami urządzałam seans i czułam, że stoi obok mnie, czułam także jego zapach. Tytoń, wodę kolońską. Wtedy przyjaciółka Anne poradziła mi, żebym poszła do Wilberta Frasera.

–I co u niego zaszło?

Matka uśmiechnęła się.

–Widziałam go, rozmawiałam z nim.

–Widziałaś go? Widziałaś ojca? Chyba żartujesz.

–Ależ nie.

–Widziałaś go i rozmawiałaś z nim? Dlaczego nie mówiłaś o tym wcześniej?

Eleonora wzruszyła ramionami.

–I tak byś mi nie uwierzył. Pomyślałbyś, że mi odbiło albo coś, i zabroniłbyś mi chodzenia do Wilberta.

–Masz rację, nie uwierzyłbym ci. Jezu, mamu. Mogę zrozumieć, że wciąż wydaje ci się, że ojciec jest obok, ale żeby rozmawiać...

–To prawda, Larry – powiedziała spokojnie matka. – Druga strona rzeczywiście istnieje.

–Mówisz, że byłaś u Wilberta Frasera. – Larry odstawił szklankę. – Widziałaś ojca, rozmawiałaś z nim, i tak dalej?

–Tak.

–No to co mówił? Opowiadał, jak to jest być trupem?

–Nie żartuj sobie, Larry. Jestem twoją matką i mówię prawdę. Ojciec pytał o ciebie. Powiedziałam, że wszystko w porządku.

Larry wstał. Krążył po pokoju z rękami w kieszeniach. Potem znowu usiadł.

–Nie wiem, co powiedzieć.

Matka wyglądała na całkiem spokojną.

–Pytałeś o drugą stronę, więc ci odpowiedziałam. Co masz mówić?

–No dobrze. Załóżmy na chwilę, że naprawdę istnieje. Myślisz, że to możliwe, aby ludzie z drugiej strony... jak to powiedzieć... Wracali na tę stronę?

Matka uniosła brwi.

–Pytasz, czy ludzie mogą zmartwychwstawać?

–Powiedzmy, że tak.

–Cóż... chyba nie. Jak już odszedłeś, to odszedłeś. W każdym razie tak mi się wydaje.

–Czy był u Wilberta ktoś, kto sądził inaczej?

Eleonora Foggia zamyśliła się.

–Tak... dziewczyna. Wierzyła, że może wskrzesić zmarłego synka. Naprawdę w to wierzyła. Ale nikt nie brał jej poważnie. Ja oczywiście też. Aa... i jeszcze jeden młodzieniec. Spierał się o coś z Wilbertem, ale nie wiem o co.

Larry długo milczał. Zupełnie nie wiedział, czy ma prowadzić w tym kierunku śledztwo, czy nie. Zawsze był przesądny (sypał sól przez lewe ramię, nie przechodził pod drabiną). Ale poważnie nie wierzył nigdy w rozmowy ze zmarłymi, a nawet w zapach tytoniu zmarłego. Jednakże wszystkie zabójstwa Szatana z Mgły miały rytualne, prawie religijne znaczenie. Poza tym ostatnie ostrzeżenie, że ktoś nadchodzi z drugiej strony, wszystko to przekonywało Larry'ego, że zabójca wierzy w jakieś tajemnicze rzeczy.

Powstaje kwestia: co to za religia? Co za ceremonie? Czyim wyznawcą jest Szatan z Mgły? Na pewno okrutnego, krwawego boga. Jednak czemu służyły wszystkie te zabójstwa? Do czego prowadziły? Wszystkie były barbarzyńskie i niewiarygodnie okrutne. Były tak bestialskie, że Larry odsuwał przypuszczenie, iż mogły zostać popełnione bez celu. Cały czas próbował doszukać się jakiejś logiki.

Mógłby odwołać się do jakiejś przepowiedni, a przepowiednia pozwoliłaby dowiedzieć się, który dom padnie teraz ofiarą, i przygotować w nim sidła na Szatana z Mgły.

–Chodzisz tam jeszcze? – zapytał matki.

–Czy chodzę? Dokąd?

–Na kolejne seanse Wilberta Frasera.

–Nie planowałam.

–A gdybym cię o to poprosił? I poprosił jeszcze, żebyś mnie ze sobą zabrała?

–Dlaczego miałbyś prosić?

–Chce po prostu zrozumieć, o co chodzi z tą drugą stroną. Być może nie ma to nic wspólnego z Szatanem z Mgły, ale muszę to sprawdzić.

–Cóż... Nie planowałam tam chodzić. Ale jeśli chcesz. Spotkania są we wtorkowe wieczory. Ale jest jedna rzecz, stawiam warunek. Musisz obiecać mi, że nie rozgadasz wszystkim, iż jesteś policjantem, i że nie przysporzysz mi kłopotów.

–Ależ, mam! Czy ja ci przysparzam kłopotów?

–Tak – ostro odparła matka. – Całe życie mam z tobą kłopot. Dzieci zawsze sprawiają rodzicom kłopoty, tak samo jak rodzice dzieciom.

–Mamo! – zaprotestował Larry.

Pochyliła się i pocałowała go w czoło.

–Pomogę ci, ile zdołam. Nie martw się.

Przeszła na drugą stronę pokoju i przejrzała się w lustrze na pokrywie patefonu. Włączyła „Si, mi chiamato” Mimi z „Cyganerii”.

–Powinnaś wyjść za mąż – powiedział. – Jesteś taka piękna.

Uśmiechnęła się patrząc na niego sponad lustra.

–Nie było nikogo prócz twojego ojca. Nikogo poza nim nie pragnęłam.

–Trudno ci o nim zapomnieć, co? – Larry dokończył *capuccino*.

–I pamiętaj jeszcze o jednym, jak pójdziesz ze mną do Wilberta.

–O czym?

–Że, być może, jeśli będą dobre wibracje, zobaczysz ojca. Może nawet porozmawiasz z nim. Ale nie wolno ci się bać.

–Nie jestem pewien, czy chcę zobaczyć ojca. Trup to trup, wiesz.

–Nie, Larry, śmierć to też życie, tylko w innym miejscu. Blisko, bardzo blisko, ale zupełnie gdzie indziej.

–*Pesci in fascia! Pesci in fascia!* Ryba na twarzy!

–Co sądzisz o eutanazji starych papug? – zapytał Larry.

Tego wieczora Houston przywiózł go do Fulton, aby porozmawiał z kobietą mieszkającą po przeciwnej stronie mieszkania Berrych. Twierdziła, że tego wieczora, gdy zostali zabici Berry'owie, na krótko przed dziewiątą widziała mężczyznę, który spoglądał „to na dół, to do góry”.

Mieszkała na pierwszym piętrze w pomieszczeniu cuchnącym kocimi odchodami i kwaśnym mlekiem. Podczas rozmowy siedziała owinięta kolorowym kocem. Larry stał przy oknie i spoglądał na zamgloną ulicę. W pokoju wszystko pokrywała kocia sierść, nie wiedział, gdzie usiąść.

Ku radości Larry'ego Houston zaczął:

–Mówiła pani, że był wysoki.

–Tak, wysoki.

–Jak pani przypuszcza, ile miał wzrostu: metr dziewięćdziesiąt, metr dziewięćdziesiąt pięć, może więcej?

–Był po prostu wysoki i potężny.

–A co miał na sobie? – zapytał Houston.

–Już mówiłam. Dżinsy i luźną koszulę. I torbę czy worek na ramieniu.

–A jakiego koloru miał włosy? Ciemne czy jasne?

–Już mówiłam – odpowiedziała. – Był łysy albo wyglądał na łysego. Tak jak dzisiaj, była mgła, a wtedy ciężko coś zobaczyć.

–Zatem spoglądał to na dół, to do góry, to wszystko? Nie widziała pani, jak wchodził do budynku?

Kobieta pokręciła głową. Rozlazły kot wskoczył jej na kolana i zaczął pocierać łebkiem o dłoń.

–Basil, już stąd – wygoniła go. – Bądź grzeczny.

–A jak robił coś innego? – Houston spytał tak głośno, jak podpowiadała mu jego amatorszczyzna.

–Nie widziałam. Już panu mówiłam – warknęła kobieta.

–Czy zechciałaby to pani jeszcze powtórzyć dla porucznika Foggii?

Przekręciła się w fotelu i badawczo spojrzała na Larry'ego. Jeden z kotów miauknął i przyłączyły się następne.

–Koty pana nie lubią – powiedziała.

–Poczuły ode mnie papugę – odrzekł Larry.

–A zatem powie pani porucznikowi, co pani widziała?

–No... widziałam, jak zakładał sobie torbę na głowę.

–Torbę? – zapytał Larry. – Jaką torbę? Może kaptur? Może szal?

–Torbę. Może ja i głupia, ale torbę rozpoznam. To była wielka sportowa torba.

Schylił się i włożył sobie na głowę.

Larry zerknął na przeciwną stronę ulicy. Trudno było cokolwiek dojrzeć we mgle.

–Patrzyła pani przez okno i widziała wysokiego, łysego mężczyznę, który zakładał sobie torbę na głowę?

–Zgadza się.

–Więc dobrze. Co było dalej?

–Stał chwilę.

–Rozumiem. Z torbą na głowie?

Szczelniej opatulila się kocem. Miała haczykowaty nos i Houstonowi przypominała orła w poszarpanym gnieździe.

–Myśli pan, że się pomyliłam?

Larry pokręcił głową.

–Bynajmniej. Dobry ma pani wzrok?

–Lepszy niż twoje maniery, chłopcze.

–Przepraszam – powiedział Larry. – Nie chciałem pani urazić. Dzwoni do nas tak

wielu ludzi z fałszywymi informacjami, więc musimy się zawsze upewnić, to wszystko.

–I wierzy pan, że widziałam na dworze mężczyznę ze sportową torbą na głowie? – upierała się.

Larry nachylił się przed nią. Próbował się uśmiechnąć. Chciał być miły i wzbudzać zaufanie. Czuł od niej zaschłą urynę.

–Wierzę, że widziała pani coś, co wyglądało jak mężczyzna z torbą na głowie. Ale spójrzmy na to realnie. Jak często widzi pani takie rzeczy! Chyba nie za często, prawda?

–Dlatego pana o tym poinformowałam – odrzekła. – To, co miało miejsce w tamtym domu, też się nie zdarza często.

–Cóż, ma pani rację, dziękujemy za pomoc.

W połowie drogi po nie oświetlonej klatce schodowej Houston powiedział:

–Przepraszam. Gdy rozmawiałem z nią pierwszy raz, zdawało mi się, że mówi bardziej do rzeczy.

–W porządku, nie ma sprawy. Chcę sprawdzić wszystko. Każde spotkanie, każdą notatkę. Pod tym wszystkim kryje się coś, czego nie możemy zrozumieć. Wiesz, co mam na myśli?

–A co z tym łysym i jego torbą?

Larry otworzył drzwi na ulicę i wzruszył ramionami.

–Kto wie? Może myślał, że jak ma łysą głowę, to w torbie będzie uchodzić za piłkę.

–Nie znoszę zapachu kocich odchodów – wyznał Houston. – Zwłaszcza teraz.

Norm Dianda odłożył słuchawkę i mrugnął do Larry'ego.

–Okay... Udało nam się rozpoznać parę rzeczy. Porozdzielałem je, jak tylko się dało, ale o kilku dźwiękach bardziej oddalonych trudno cokolwiek powiedzieć.

–No to posłuchamy, co tam masz – powiedział Larry. Popijał kawę siedząc na kanapie u Norma Diandy, policyjnego eksperta od spraw dźwięków. Norm nosił okropny sweter, który matka zrobiła mu na drutach, i kibicował Kickersom, ale potrafił odszyfrować najbardziej skomplikowane dźwięki. Jego praca obrastała powoli legendą. Tu, w głównym laboratorium, pełno było magnetofonów, odtwarzaczy i różnorodnej najbardziej skomplikowanej aparatury do analizy dźwięku. Lepszej nie miały ani CIA, ani FBI. Przynajmniej tak twierdził Norm.

Prawie cały weekend spędził na rozszyfrowywaniu taśmy z telefonem od Szatana z Mgły. Dla laika w tle były wyłącznie uliczne hałasy. I tak właśnie słyszał to Larry.

–O czym to świadczy? – zapytał. – Że facet dzwonił z miejsca w pobliżu ulicy?

–Ale nie z byle jakiej ulicy – powiedział Norm. – Posłuchaj dalej.

Larry słuchał uważnie. Rozpoznał samochody, ciężarówki, czasami klakson. Spojrzał na Houstona, ale ten mógł tylko wzruszyć ramionami.

–Słuchacie, ale nie słyszycie – rzekł Norm. – Ten uliczny hałas ma dwie cechy charakterystyczne. Po pierwsze słyszeć przerwy w ruchu i zmiany kierunku. Zmiany można słyszeć dzięki echu i efektowi Dopplera. To wskazuje, że nasz ptaszek dzwonił z miejsca niezbyt oddalonego od sygnalizacji świetlnej. Najpierw ruch uliczny

podąża w jedną, a potem w drugą stronę.

–Norm, wiesz, ile jest w San Francisco skrzyżowań? – zaprotestował Larry.

–Jasne, ale jest jeszcze jeden dźwięk. Słuchajcie. Za każdym razem, kiedy ruch uliczny odbywa się w jedną stronę, słycać pewne kling-klong.

–Kling-klong? – spytał rozbawiony Houston.

–No pewnie. Słuchajcie. O teraz. Kling-klong. Kling-klong. Gdy przejeżdża ciężarówka, dźwięk jest głośniejszy i trochę inny. O proszę. Kling-kling-klong-klong-klong. Dwa razy koła kabiny i trzy razy skrzyni.

–Wiesz, co to może być? – zapytał Larry wiedząc, że Norm aż się pali, żeby im to powiedzieć.

–Cóż... – powiedział trochę figlarnie Norm. – Wydaje mi się, że to ciężka stalowa pokrywa od wejścia do kanału. Znajduje się tylko z jednej strony ulicy.

–Rzeczywiście, to już trochę precyzyjniej – zauważył Larry.

–Mam coś jeszcze. – Znów przegrał taśmę, uwydatniając tym razem muzykę i dźwięki rozmów. Głos Szatana z Mgły pozostał w tle niczym grom letniej burzy.

Rozmowy nie były zrozumiałe. Same śmiechy i głośne stuknięcia, okazyjne szmery. Muzyka brzmiała jak lambada.

–Prawdopodobnie dzwonił z baru – powiedział Norm. – W tle jest sześć albo siedem głosów i chociaż nie można rozpoznać, co mówią, słycać hiszpańską intonację. Słycać uderzenia szklanek o drewniany bar. Te szmery prawdopodobnie powstały, gdy barman wsuwał szklanki do zlewu z lodem. Słycać dwie różne melodie i ze sposobu, w jaki po sobie następują, można przypuszczać, że pochodzą raczej z taśmy niż z szafy grającej. Pierwsza to „Hot Lambada” Juana Ochoa i „Antics”. Druga to „Love in Guadalajara” Border People.

–Posłuchajcie tego faceta – włączył się Houston. – Brzmi jak prezenter z rozgłośni Latino FM.

–Bar w stylu meksykańskim usytuowany przy skrzyżowaniu ze stalową pokrywą – powiedział Larry. – Na pewno nie będzie trudności ze znalezieniem.

–Na pewno to będziesz wiedział, gdy znajdziesz odpowiednie miejsce – rzekł Norm. – Nie ma studyjnie nagranej kasety, po której „Hot Lambada” leciałoby obok „Love in Guadalajara”. Innymi słowy właściciel baru pewnie sam nagrywał piosenki i istnieje tylko jedna taśma z taką kolejnością utworów.

–Jesteś geniuszem, wiesz? – powiedział Larry.

–To tylko analiza – odrzekł Norm. – Oczywiście po raz pierwszy mieliśmy jakiś podkład w telefonie od tego ptaszka, więc przypuszczalnie przedtem za każdym razem dzwonił z domu albo jakiegoś innego cichego miejsca.

–Ale facet ten sam?

–Na pewno. Tylko posłuchajcie. – Znów puścił taśmę. Tym razem uwydatnił głos Szatana z Mgły.

W sobotę po południu Larry słuchał nagrania sześć czy siedem razy. Chłód głosu tamtego człowieka mroził mu krew w żyłach. Słyszał jego oddech, słyszał, jak mlaska językiem i oblizuje usta. Jakby Szatan z Mgły szeptał mu wprost do ucha.

„Sprowadzimy go z powrotem. Oddali życie z własnej woli. Jak w ofierze. Zawsze

tak było. A teraz nadszedł czas, to już prawie wszystkie stopnie. Musimy tylko go wezwać. Musimy tylko dać mu pożywienie. Potem będziecie cierpieć, potem zapłacicie. Nadchodzi z drugiej strony. Potrzebuje tylko pożywienia. Nie będziecie wiedzieć, kiedy przyjdzie, nie będziecie wiedzieć gdzie”.

Larry pokręcił głową, a Houston powiedział:

–Jezu, co za okropieństwo!

–Z tego, co mogę wnioskować, jest mężczyzną rasy kaukaskiej, po czterdziestce. Ma trochę szorstki głos, możliwe, że to palacz. Akcent brzmi jak miejscowy, chociaż słyhać delikatne latynoskie seplenienie przy wymowie „es”.

–Nigdy przedtem nie słyszałem analizy takiego kawałka – powiedział Larry. – Zawsze tylko „Potem zapłacisz” albo „Będziesz cierpieć”.

–W oryginale brzmiało to niewyraźnie, ale za pomocą komputera udało mi się poprawić jakość.

–Wykonałeś niewiarygodną robotę – powiedział Larry. – Jak złapiemy tego faceta, cały splendor będzie się należał tobie.

–Mogę żyć bez splendoru, ale podwyżka by się przydała. – Napił się kawy Larry’ego z ekspresu i wykrzywił usta. – Jak możesz pić to świństwo?

–Dobrze robi włosom na piersi. Widziałeś kiedyś szanującego się Włocha bez włosów na klatce piersiowej?

–Jasne – powiedział Norm wyłączając aparaturę. – Sopię Loren.

Przez mgłę widać było tyle, co przez szarą flanelę, i Houston zauważył, że tylko „prawdopodobnie” znajdą bar, z którego dzwonił Szatan z Mgły. Larry zabrał z policyjnego garażu swoją toyotę i za dwadzieścia minut spotkał się z Houstonem przy skrzyżowaniu Green z Front Street. Houston siedział w zrujnowanej bagażówce saratoga. Miał otwarte usta i zamknięte oczy. Larry zapukał w okno.

–Co to? Cisza nocna?

Houston wygramolił się z samochodu i zachrypiął:

–Nie za dobrze spałem.

–Nikt z nas nie sypia dobrze. Wyśpimy się, jak przyszpilimy ptaszka.

–Dobra. To jedyne miejsce w mieście, gdzie na skrzyżowaniu jest metalowa pokrywa i meksykański bar.

Nocna mgła nie opadała. Ten róg na Front Street dzięki mgle, wyłączonym neonom i wilgotnemu chodnikowi wyglądał jak scenografia zbudowana specjalnie dla kryminalnych filmów. Oświetlały go przejeżdżające samochody, które najeżdżając na pokrywę wydawały dźwięk kling-klong.

„Kantyna Alfonsa” znajdowała się pomiędzy sklepem z towarami importowanymi „Anselmo Inc.” a galerią „Rainwater”.

–Byłeś w środku? – zapytał Larry, gdy przechodzili przez ulicę.

–Jeszcze nie. Patrolowałem kiedyś Front Street i nie chciałem być teraz rozpoznany.

Larry wszedł w podwójne drzwi do „Alfonsa”. W środku było mroczno, pełno dymu i prawie pusto. Grała muzyka *mariachi*. Oprócz długiego baru stało wiele stolików z czerwonymi obrusami i świeczkami wetkniętymi w puste butelki po winie.

Na ścianie wymalowana była walka z bykiem w Tijuanie. Nadzwyczaj ogromny byk mordował kogoś pokrwawionego, wyglądającego na biseksualnego matadora.

Mężczyzna z dziobatym nosem i zaczesanymi do tyłu włosami czyścił szkło i rozmawiał z tęgawą, czarnowłosą kobietą w purpurowej sukience. Kobieta piła margaritę i paliła cygaretkę. Larry podszedł do baru, stanął obok niej i zapytał:

–Jak leci?

Kobieta zmierzyła go od stóp do głów. Miała grubo upudrowaną twarz, która najwyraźniej świadczyła o walce, jaką toczy jej właścicielka z powagą swojego wieku. Na szyi wisiało kilka złotych łańcuszków z krzyżykami, wisiorkami i łapką królika.

–My się znamy? – zapytała zgryźliwym głosem.

–Już tak. Larry Foggia. Mogę ci postawić?

–Nie zaszkodzi. Przypuszczam, że chcesz coś w zamian.

–Na przykład?

–Zależy, co cię interesuje. Przed laty dawałam dupy, a teraz wróżę z ręki.

–Pan jest właścicielem? – Larry zwrócił się do faceta za barem.

Tamten pokręcił głową.

–Właścicielem jest Vegas. Ja tu tylko pracuję.

–Jak się nazywasz?

–Herve, a co?

–Byłeś w piątek w pracy, Herve?

–Jasne. Pracuję tu co wieczór. A ty kto jesteś, glina czy co?

Larry pokazał odznakę. Kobieta w purpurowej sukience podniosła pomalowane brwi i wypuściła dym.

–Nieźle. Ja tylko oferowałam wróżenie z dłoni, nie?

Larry zamówił jej margaritę, a dla siebie i Houstona po piwie.

–Szukam faceta, który w piątek koło siódmej stąd dzwonił. Taki silny z czarnymi włosami, po czterdziestce.

Barman spojrział pod światło na szklankę i dalej czyścił.

–Nie wiem. Zwykle cały czas jestem zajęty.

Larry rozejrzał się. Telefon wisiał na ścianie obok podwójnych drzwi. Przed hałasem odgradzała go żółta zasłona, ale każdego dzwoniącego można było bez trudu dojrzeć zza baru. I jeśli Szatan z Mgły, jak można wnioskować, wygląda charakterystycznie, to prawie niemożliwe, aby barman go przeoczył.

Larry wyjął dwudziestodolarowy banknot, złożył go i dwoma palcami podsunął barmanowi.

–Wysoki... możliwe, że z ogoloną głową. Także muskularny. Jakby dużo pracował.

Barman zignorował pieniądze i pokręcił głową.

–Nikogo nie widziałem.

–Daj spokój, Herve, nie wyglupiaj się – nalegał Larry.

–Traciecie czas – przerwała kobieta w purpurowej sukience. – Jakieś trzy lata temu Herve miał złamane palce, bo powiedział żonie jednego faceta, że ten pił tutaj z inną kobietą. Odtąd cierpi na totalną ślepotę wobec klientów. Ale nie martw się, mój drogi.

Chyba widziałam gościa, o którym mówisz.

–Naprawdę? – Nie był pewien, czy kobieta nabiera go, czy nie. Ale coś mu się w niej podobało. Była otwarta i przyziemna, a on takich ludzi lubił. Może odreagowywał w ten sposób nierealność swego wychowania w nawiedzonym przez ducha ojca mieszkaniu.

Kobieta wyciągnęła rękę.

–Nie myślisz chyba, że powiem ci więcej za darmo? Jemu chciałeś dać dwudziestaka.

Larry podał jej banknot, a ona uważnie schowała go za stanik.

–Jak się nazywasz? – zapytał.

–Edna-Mae. Edna-Mae Lickerman. Pani Edna-Mae Lickerman.

–Mieszkasz w pobliżu?

–W Vallejo, w warsztacie garncarskim. Za dnia lepę garnki, a wieczorem piję. – Roześmiała się szczerze i ochryple.

–No dobrze – powiedział Larry. – Powiedz coś o tym facecie.

–Przyszedł w piątek, piętnaście po szóstej – powiedziała pewna siebie Edna-Mae.

–Skąd ta pewność co do czasu? – zapytał Houston.

–Byłam po trzeciej margaricie, mój drogi, a ja mierzę nimi czas. Pierwszą piję piętnaście po piątej, drugą za piętnaście szósta, a trzecią piętnaście po szóstej. To się nazywa orientacja na picie. Słyszeliście o tym?

–Okay. Jak wyglądał?

–Widziałam go już wcześniej. Nie przychodził tu często. Może raz na cztery, pięć tygodni. Ale na pewno z nikim go nie myliłam. Był zbudowany jak buldożer. Na głowie nosił jakąś chustkę, ale twarzy nigdy wyraźnie nie widziałam.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

Kobieta zaciągnęła się dymem.

–Sama nie wiem. Wyglądał tak perfekcyjnie, wiesz? Niebieskie oczy, silny podbródek. Trochę podobny do Yula Brynnera, tylko trochę wyższy. Ale był jakiś dziwny, jakby miał nierówno pod kopułą.

–Rozmawiałaś z nim? – spytał Larry

–Nie, nigdy. Zawsze siadywał i pił sam. Nie wyglądał na takiego, którego interesują pogawędki.

–Domyślasz się, gdzie mieszka?

–Nie.

–A słyszałaś, jak się nazywa?

–Nie.

–Jak był ubrany w ów piątek? – zapytał Houston.

–W džinsy, koszulkę i czarną motocyklową skórę. Może ciemnobrązową.

–Zawsze przychodził tak ubrany?

–Najczęściej.

–Jakiego koloru miał koszulkę? Z jakimś nadrukiem? – pytał Houston.

–Chyba czerwoną. I coś na niej było napisane, ale nie wiem co. Nie czytuję emblematów na koszulkach dziwaków.

Larry spojrział na zegarek.

–Masz trochę czasu? – zapytał kobietę. – Chciałbym cię zabrać ze sobą do kwatery głównej i dać do obejrzenia kilka zdjęć. Może byś go rozpoznała.

–Cóż... – powiedziała. – Planowałam się napić.

–Możesz zamówić butelkę tequili. Uwierz, to bardzo ważne. Możesz pomóc w ujęciu mordercy.

Otworzyła szerzej wymalowane oczy.

–Mówisz, że to morderca? Ten młodzieniec?

–Nie jesteśmy pewni, ale istnieje taka możliwość.

–No cóż... zabójca! Jeszcze nigdy nie widziałam zabójcy. Z wyjątkiem pana Lickermana, mojego byłego męża. Zabił naszą miłość.

–Skończyłaś pić? No to chodźmy.

–Dobrze – zgodziła się Edna-Mae. – Ale najpierw pokaż swoją dłoń. Obiecałam ci przecież. A może wolisz co innego?

Larry uśmiechnął się.

–Myślę, że obejdzie się bez jednego i drugiego.

–Ależ nalegam, mój drogi. Nigdy nie przyjmuję drinka za darmo. Nie chcę być niczyją utrzymanką!

–No dobrze – zgodził się Larry podając dłoń. – Wybieram czytanie z ręki.

Edna-Mae zgięła mu palce i studiowała linie. Miała długie paznokcie pomalowane na liliowo. Na lewej dłoni zamiast ślubnej obrączki nosiła srebrny pierścień z emaliowanym jasnoniebieskim oczkiem, niby ludzkim okiem. Wyglądało tak sugestywnie, że patrząc na nie, Larry czuł się nieprzyjemnie.

–To się nazywają interesujące linie – powiedziała Edna-Mae. – To nie są normalne linie małżeństwa, śmierci, dzieci. Są bardzo artystyczne, indywidualne. Rysujesz, prawda? I gotujesz? Lubisz muzykę? Nie mów, że operę?

Houston rozglądał się rozdrażniony.

–Nazywa się Larry Foggia. Z tych z Bay Street! I nie gadaj, że tego nie wiedziałaś. Pytasz, czy lubi operę? A Pavarottiego lubi? A co ze spaghetti? Spaghetti lubi?

Edna-Mae odsłoniła pozbawione koloru zęby.

–Owszem, kochanie, lubi. Popatrz tu, na tę linię, to linie sekretnej osobowości.

–No, dalej – śmiał się Larry. – Zobaczymy, co z tą moją nadzwyczajną przyszłością.

Edna-Mae przesuwiała palec po linii szczęścia Larry'ego i zatrzymała go mniej więcej na środku.

–Nigdy nie zarobisz dużych pieniędzy, możesz mi wierzyć. Przez resztę życia będziesz biedny, ale uczciwy.

Houston rozbawiony kręcił głową.

–Jest gliniarzem, a ta mówi, że będzie biedny, ale uczciwy.

–Atu twoja linia serca. Jesteś kochliwy, ale także lojalny. Reprezentujesz taki typ mężczyzny, który na całe życie obdarowuje kobietę całą swą miłością. Ale tutaj, patrz, linia serca jest przerwana. Będziesz miał kłopoty w małżeństwie. Nie wiem dokładnie jakie, ale wygląda na to, że niedługo.

–Ja wiem: Linda zaprosi swoją matkę – wystrzelił Houston.

Edna zmarszczyła brwi, podniosła dłoń do oczu Houstona i cicho powiedziała:

–Nie, nie. To nie to. Nie przestaniesz jej kochać. Nie pokłóćcie się. Z jakiegoś powodu to, co nastąpi, będzie przerwaniem waszego małżeństwa. To będzie prawdziwa bomba.

Larry uśmiechnął się nieznacznie.

–To wszystko? Możemy już jechać do kwatery głównej?

–Czekaj, daj sprawdzić linię głowy. Widzisz tu? Pierwszy palec należy do Jowisza, drugi do Saturna, trzeci do Słońca, a czwarty do Merkurego. Twoja linia głowy odchodzi od Jowisza, poprzez dłoń do wzgórka Marsa.

–I co ci to mówi? – zapytał Larry starając się zachować cierpliwość. Barman przyglądał im się chuchając i przecierając szklanki.

–Pokłócisz się z kilkoma ludźmi, na których ci zależy – powiedziała Edna.

–Na przykład z Arnem Knudsenem. I pewnie Danem Burroughsem także – dodał Houston.

–Spotkasz kogoś, kto odmieni twoje życie, ale pozwól, mój drogi, że cię ostrzegę. Nade wszystko powinieneś porzucić pragnienie poznania tej osoby.

–To kobieta? – zapytał Larry. Z początku odnosił się do wróżenia Edny bardzo sceptycznie, ale mówiła z takim przekonaniem w głosie, że prawie jej uwierzył.

–Kto? – Spojrzała na niego.

–Ten ktoś... Ta osoba, która ma zmienić moje życie. Jest kobietą czy mężczyzną?

–To... to...

Oczy zaszyły jej mgłą. Patrzyła na dłoń Larry'ego tak, jakby nie wiedziała, po co ją trzyma, ani nawet gdzie sama jest.

–To... – jąkała się. – To...

–Patrz, jak sobie dogodziła margaritą – powiedział Houston z uśmiechem.

Nagle Edna wypuściła dłoń Larry'ego, prawie ją odrzuciła. Larry widział jej drgające mięśnie policzkowe.

–Hej... wszystko w porządku? – zapytał ją.

Skinęła głową, próbowała przełknąć ślinę, próbowała coś powiedzieć.

–Co się stało, Edna?

–Hej, Larry – powiedział zmartwiony Houston. – Wygląda, jakby straciła formę.

–Spokojnie, spokojnie – mówił Larry.

Edna usiadła sztywno na barowym stołku i zaczęła się trząść. Gdyby Larry nie wiedział, że to niemożliwe, pomyślałby, że przeżyła wstrząs elektryczny. Biała upudrowana twarz zrobiła się purpurowa, jakby kobieta nie mogła złapać tchu.

–Hej, Herve, możesz podać szklankę wody? – poprosił Larry.

Herve natychmiast napełnił szklankę i podał Larry'emu. Larry przystawił ją kobiecie do ust.

–No, Edna, napij się.

Patrzyła na niego.

–Twoja dłoń – wykrztusiła. Cygaretką spadła jej na podłogę. Houston schylił się, żeby ją podnieść.

–Moja dłoń? Co z nią?

–Twoja dłoń!

Larry podniósł dłoń i zajrzał do wnętrza.

–Widzisz? – wysyczała Edna.

Znów ujęła jego palce i odciągnęła je do tyłu. Wtedy Larry poczuł na dłoni coś dziwnego, jakby jakieś wibracje. Przyjrzał się i dostrzegł coś alarmującego – na skórze poruszały się ciemne plamki.

Od razu spojrział na sufit, aby zobaczyć, czy to światło tak dziwnie pada. Ale wtedy uświadomił sobie, że to cienie same z siebie tańczą po skórze. Purpurowo-szare cętki układały się w coś na kształt znamienia.

–Houston! – powiedział. – Spójrz na to!

Houston nachylił się i popatrzył.

–Dziwne – zauważył. – Naprawdę dziwne. – Końcem palca dotknął wzoru, ale cień nie miał żadnej substancji. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem. I to się rusza!

–To twoja przyszłość. Nie widzisz? – mówiła Edna. – To jutro ci się przydarzy! Jakiś człowiek zrzuci na ciebie smutek! Nadchodzi!

–No, już dobrze – powiedział Larry próbując zabrać od niej dłoń. – Bądźmy poważni. To taka sztuczka, prawda?

Ale Edna ze wściekłością pokręciła głową, z trudem wykrztusiła słowa:

–Nadchodzi! Potrzebuje pożywienia!

Larry próbował wyrwać od niej palce, ale trzymała kurczowo.

–No już, Edna, odłóżmy to do jutra.

Zaczęła rzucać głową z jednej strony na drugą.

–Przyszłość! Przyszłość! – skrzeczała.

Nagle Larry poczuł w dłoni dogłębny ból, jakby ktoś wbił mu paznokieć. Spojrział i zobaczył, że cienie uformowały się w rozpoznawalny kształt męskiej twarzy – z oczami, ustami, nosem.

–Patrz na to – wykrztusił Houston. – Co to może być, do diabła?

Barman podszedł do nich i zacytował:

Uade retro Satana,

Sunt mala quae libas

Nunquam suade mihi uana

Ipse uenena bibas.

Był to jeden z wierszyków, których jezuici uczą dzieci dla odstraszenia diabła.

Twarz na dłoni Larry'ego pociemniała i stała się bardziej wyraźna. Oczy zdawały się otwarte i patrzyły na Larry'ego. Po dłoni wciąż tańczyły cienie. Wyraz twarzy zmieniał się. Mężczyzna na dłoni jakby się uśmiechał. Wyglądało na to, że został uwieczniony w ręce Larry'ego. Sam Larry był spokojny i zadowolony z siebie.

To złudzenie, przekonywał się. Złudzenie optyczne. Albo inne dziwactwo. Może jestem przemęczony, a może w powietrzu unosi się jakiś narkotyk. Może Edna coś paliła.

Jednak czuł na dłoni, że twarz porusza się, że zamykają się i otwierają oczy, czuł chłód i wilgoć ust.

I cały czas czuł ból, jakby ktoś przybijał mu rękę do baru.

Oczy zwróciły się ku niemu, a z ust popłynął szept: „Czas pożywienia, przyjacielu”. Larry usłyszał to. Usłyszał, że twarz mówi.

Edna-Mae wrzasnęła. Larry też krzyknął. Wyrwał jej rękę i mocno zacisnął w pięść. Zdawało się, że wyczuwa na swej skórze twarz – włosy, zęby, usta. Lecz wtedy palący ból przeszył mu dłoń, a pomiędzy palcami błysnęło światło. Zmrużył oczy, gdyż na moment oślepiła go tańcząca we wnętrzu dłoni jasność, która stopniowo słabła.

Edna-Mae stoczyła się ze stołka na podłogę. Upadła na ręce i kolana. Larry trząsał się, zalewał go zimny pot. Stał i patrzył w dłoń. Skóra jeszcze czerwieniała, jakby sparzona gorącą wodą, ale twarz i cienie zniknęły.

–Nadchodzi, on nadchodzi, o Boże, on nadchodzi – panikowała Edna. Zaczęła chodzić na czworakach po podłodze. – Nadchodzi i nic się nie da zrobić! Pragnie pożywienia! Z nas! Chce nas zjeść! Nasze płuca i wątroby! Zjeść nas!

–Rachunek! – Houston pstryknął na barmana i zbliżył się do Edny, jakby podchodził królika.

–*Si, señor* - wymamrotał Herve i wszedł za bar. – *Crux sacra sit mihi lux.*

–Larry? Nic ci nie jest? – zapytał Houston. – Pokaż tę rękę.

Larry patrzył na niego. Potrafił rozpoznać jego rysy twarzy: oczy, usta, wąsy, nos. Przez chwilę jednak nie mógł skonstatować, kto to jest.

–Widziałeś to? – zapytał. – Widziałeś?

Houston dotknął końcami palców wnętrza dłoni Larry’ego.

–Nic nie ma, zupełnie nic.

–Ależ też to widziałeś?

–Jasne. Coś jak twarz.

–I słyszałeś, jak mówi?

Houston popatrzył uważnie.

–Nie.

–Mówiła, wierz mi. Mówiła do mnie moja własna dłoń. Możesz w to uwierzyć?

–Nie słyszałem, poruczniku. Widziałem, ale nie słyszałem. Może...

–Może co? Może straciłem zmysły?

–Nie to miałem na myśli, ale, no wiesz, może słyszałeś co innego, a pomyślałeś, że to coś mówi. Wiesz, jak to się łatwo pomylić, a tu jeszcze tak gorąco.

Larry pocierał dłonią o rękaw.

–Muszę się napić – powiedział. Wyglądał, jakby ledwo co wygrzebał się z wypadku samochodowego. Jakby czas zatrzymał się dla niego i zaraz znów ruszył.

–Nie wiem, co za sztuczkę zrobiła Edna, ale czułem... Jezu, czułem, jakby to była prawdziwa twarz. – Znowu potarł dłonią o rękaw. – Jezu, myślałem, że mi odbiło. Jak myślisz, Houston, to hipnoza? A może miała na palcach jakiś środek halucynogeny?

Edna-Mae wciąż chodziła na czworakach po podłodze. Herve próbował pomóc jej wstać, ale była dla niego za ciężka, poza tym odpychała go.

–Zostaw mnie... Zostaw mnie, bydlaku! To czas pożywienia! Słyszysz? Czas

pożywienia!

–Houston! – zawołał Larry. – Podaj tej cholерnej biedaczce rękę.

Houston razem z barmanem próbowali podnieść ją z podłogi, ale była zupełnie bezwładna, więc zaciągnęli ją do jednego ze stolików. Siedziała tam nie patrząc na nich, trzęsła się, drżała i mamrotała:

–Czas pożywienia, słyszcicie? Czas pożywienia. O tak, taka jest przyszłość.

Widziałeś tę dłoń, panie Mądry? Ble, ble, ble, czas pożywienia.

Herve podszedł do telefonu i wykręcił numer pogotowia ratunkowego.

–„Kantyna Alfonsa”. Tak. Kobieta zwariowała. Tak. Skąd mam wiedzieć? Nie, nie, tylko zwariowała.

Odłożył słuchawkę, stanął obok Larry’ego i popatrzył na Ednę.

–To sprawa diabła, nie?

–Możesz dać mi się napić? – poprosił Larry. – Dużą whisky, czystą.

Herve nalał johnniego walkera, a sam napił się prosto z butelki.

–To sprawa diabła – powtórzył. – Wspomnicie moje słowa.

–Nikomuni słowa o tym – przykazał mu Larry podając dwadzieścia dolarów. Tym razem Herve przyjął pieniądze bez oporów.

–Nikomuni. Przysięgam.

Podszedł Houston przytykając długopisem.

–Może powinniśmy obsadzić to miejsce. Może nasz ptaszek znów się zjawi?

–Była twarz, no nie? – Larry wciąż patrzył w dłoń. – Twarz.

–Nie wiem – powiedział Houston. – Chyba tak. Ale wiesz, co powiedzą. Rzeczy nigdy nie są takie, jakimi się wydają.

Larry jeszcze raz otarł dłoń o brzeg baru. Czuł, jakby była brudna i splamiona. Nie mógł się uwolnić od natarczywego swędzenia.

–To na pewno jakaś hipnoza – powtórzył. – Coś jak zbiorowa sugestia. Są takie widowiska, nie? Że ludzie widzą rzeczy, których nie ma.

–Jasne, że są – potwierdził Houston starając się być wiarygodny. – Mój wujek trzy czy cztery razy na miesiąc widzi czarnego psa. Przez całe życie. Obojętnie, gdzie pojedzie, nawet w czasie wojny we Włoszech.

–Nie zgrywasz się?

–A skąd. To prawda. Ciągłe o tym wspomina. Na przykład: „Widziałem dzisiaj czarnego psa w Mili Valley”. Jakieś trzy lata temu jechał w interesach na północ i czarny pies wyskoczył mu na drogę. Chciał go ominąć i walnął w przydrożne drzewo.

–Żartujesz?

Houston pokręcił głową.

–Nie zabił się, ale złamał kręgosłup. Teraz jest w domu w Sausalito. Nie chodzi i nie mówi. Zupełnie jak nieżywy. A tego cholernego psa wciąż widzi.

Usłyszeli syrenę karetki pogotowia. Zbliżała się i stawała coraz głośniejsza. Edna pokręciła głową i nasłuchiwała.

–Wezwaliśmy karetkę – powiedział głośno Larry.

–Ty – spojrzała na niego marszcząc brwi. – To ty jesteś ten z dłonią!

Larry odstawił drinka i podszedł do niej między stolikami. Nagle wstała z hałasem

przewracając krzesło.

–Nie dotykaj mnie! – powiedziała. – Rób, co chcesz, ale nie dotykaj mnie!

–Słuchaj – spokojnie rzekł Larry. – Miałaś... nie wiem... coś w rodzaju ataku.

Pozwól lekarzom zbadać ci serce i ciśnienie krwi. Nie chcemy, aby ci się coś stało.

–Coś mi się stało?! – krzyknęła, jakby powiedział coś nieprzyzwoitego. – Coś mi się stało?!

Larry podszedł bliżej. Podniósł dłoń próbując pokazać, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale ona natychmiast cofnęła się.

–To ty! – krzyknęła. – To ty!

Larry usłyszał podjeżdżający, kling-klong, ambulans i ruszył w stronę wyjścia.

–Zaczekaj – powiedział Houston. – Powiem im, że tu jesteśmy – i wyszedł na ulicę.

–Nie zapomnij... – Ale nie skończył, bo Edna-Mae weszła za pokiereszowane drzwi z napisem „Señoras. Dla pań”. Larry usłyszał, jak zamyka je na klucz.

–Cholera – warknął. Natychmiast podszedł do drzwi i zaczął w nie pukać. – Edna-Mae? Edna-Mae? No, Edno, nie musisz się niczym przejmować! To tylko złudzenie i tyle. Chcesz zobaczyć moją dłoń? To tylko złudzenie.

–Odejdź! – krzyczała Edna. – Ty jesteś ten z dłonią! Odejdź!

–Na miłość boską, Edno, źle się czułaś. Wyjdź, to porozmawiamy.

–Nie potrzebuję pomocy, idźcie stąd.

Zapadło długie milczenie. Larry jeszcze raz zapukał, ale Edna nie odpowiedziała. Nie wiedział, co jest grane, ani jak przekonać rozhisteryzowaną kobietę, żeby wyszła z toalety, i zaraz poczuł złość, jak zawsze, gdy coś wymykało mu się spod kontroli. Walnął pięścią w drzwi. Jego matka zawsze mówiła, że to ta neapolitańska krew, ognista jak u ojca.

Houston wszedł do „Kantyny” z Chińczykiem w kitlu. Lekarz przedstawił się jako Bryan Ong.

–W czym problem, poruczniku? – zapytał lekarz.

–Nie jestem pewien – powiedział Larry. – Mamy w łazience rozhisteryzowaną kobietę w średnim wieku. I z tego, jak się zachowuje, można wnioskować, że dostała jakiegoś ataku. Albo to *delirium tremens*. Praktycznie żyje na margarytach.

Bryan Ong bez wrażenia pokiwał głową.

–Sierżant mówi, że coś nie tak także z pana ręką.

Larry podniósł dłoń, jakby przysięgał na sztandar.

–Nie, nic. Może lekkie zaczerwienienie, to wszystko.

–A co się stało?

–Nie wiem, chyba gdzieś otarłem.

Lekarz popatrzył na drzwi łazienki i przełknął ślinę.

–Cóż... Chyba musimy ją stamtąd zabrać.

–Masz zapasowy klucz, Herve? – zapytał Larry.

Barman pokręcił głową.

–Jest tylko jeden, señor.

Larry podszedł do drzwi łazienki i pociągnął za klamkę.

–Edno! Wyjdiesz spokojnie czy nie?

Znów żadnej odpowiedzi. Jednak Larry był pewien, że słyszy stłumiony szloch, jakby ktoś płakał w chusteczkę.

–Edna! Nic ci nie jest?

–Wyważmy drzwi – powiedział lekarz stawiając torbę na stole. – Wygląda na to, że ma konwulsje.

–Okay, jak pan chce – zgodził się Larry. Sprawdził dłońmi framugę, cofnął się i kopnął w zamek. Za pierwszym razem nie udało się całkiem, ale kopnął drugi raz i drzwi stanęły otworem.

Przywitał go zimny podmuch i jasny blask.

Houston przytrzymał go za ramię.

–Spokojnie, poruczniku. Chyba poszły bezpieczniki.

–Edno?! – krzyknął Larry. – Słyszysz mnie?

Wszedł do środka. Były tylko dwie kabiny z czerwonymi drzwiami pokrytymi *graffiti*.

–Może wyszła tyłem – zasugerował Houston.

–Nie – powiedział Larry. – Drzwi są zamknięte od środka, patrz. A w oknie jest krata.

–Co to, do cholery, za światło? – skrzywił się zasłaniając oczy ręką.

Obok wyważonych drzwi stanął Bryan Ong.

–Jesteście pewni, że tu jest?

–Naturalnie – powiedział Larry. – Edna-Mae? Kopniakiem otworzył drzwi pierwszej kabiny. Była pusta, deska klozetowa była złamana, a na podłodze leżał rozwinięty papier. Kopnął w drugie drzwi, był pewien, że słyszy jej szloch.

–Jezu – powiedział stojący obok Houston. – Co tu się stało?

Początkowo nie zauważył jej. Była mała. Boże, jaka malutka. Kucnęła w kącie za taboret. Ręce trzymała na wyłysiałej główce. Oczy miała tak duże i ciemne jak u rezusa. W stawach skóra ciasno opinała kości.

–Co to? – głosem drżącym ze strachu zapytał Houston.

–To ona – odpowiedział Larry. – Nie wiem, co się stało, ale to ona.

–Niemożliwe. To nie jest większe od psa.

Ale purpurowa sukienka wykluczała pomyłkę. To samo złote łańcuszki i łapka królika.

Larry’emu usta wyschły na suchy wiór. Odsunął drzwi i powoli zbliżył się do niej. Malutkie stworzenie – Edna-Mae – spoglądało na niego jednocześnie ze strachem i złością.

–Edna-Mae – wyszeptał Larry. – Edno, to ty?

Malutkie stworzonko drgnęło i zasłoniło twarz dłońmi. Obwisła skóra miała kolor gniazda os.

–Co jej się stało? – pytał Houston. – Jak to możliwe?

–Przestań zadawać głupie pytania i lepiej mi pomóż – upomniał go Larry.

–Co mam robić? – zapytał Houston. – Chryste, poruczniku, to niesłychane!

–Owszem, niesłychane – zgodził się Larry. Cofnął się i powiedział: – Panie doktorze, można prosić o nosze? – Potem zwrócił się do małego stworzenia: – No,

Edno, nic ci nie zrobimy. Po prostu chodźmy stąd, dobrze? Wszystko będzie w porządku.

Lekarz wepchnął do toalety nosze na kółkach.

–Potrzebuje pan pomocy? – spytał, choć wyraźnie bez entuzjazmu.

–Edno – przymilał się Larry do wyschniętego stworzenia. – Obiecuję, że nikt cię nie skrzywdzi.

Uklęknął na mokrej podłodze i sięgnął za miskę klozetową. Edna-Mae drapnęła go i uciekła.

–Aj! – krzyknął Larry bardziej z zaskoczenia niż z bólu. Jednak udało mu się złapać ją za rękaw sukienki, a potem za ramię z kości jak u kurczaka. Miała za dużą czaszkę, żeby precyzyjnie się pod rurką w kabinie. Walczyła wierzgając i drapiąc, ale w końcu udało się Larry’emu złapać ją i podnieść do góry. Prawie nic nie ważyła. Miała wzrost pięcioletniego dziecka, sukienka wisiała na niej jak na wieszaku. Czuł, że klatkę piersiową mógłby zgnieść jak papierek.

Cały czas wierzgała nogami, drapała i syczała przez zaciśnięte zęby. Z trudem poznawał śmiałą kobietę, którą zaczepił przy barze.

Wszyscy trzej przywiązali ją do noszy. Z furią wodziła oczami to w jedną, to w drugą stronę. Trzęsła kończynami. Niebieskawy język wystawał spomiędzy warg jak na wpół przejechany martwy ślimak spod koła samochodu.

–Przykryj ją – polecił Larry. – Tylko dokładnie. Nie chcę, aby ktoś ją zobaczył.

Lekarz rozwinął koc. Gdy próbował go na niej rozłożyć, podniosła wyschniętą głowę i ugryzła go w rękę. Wrzasnął i zabrał dłoń, ale zdążyła oderwać mu od kości spory kawałek mięsa. Na koc i podłogę toalety spadły krople jasnoczerwonej krwi.

–O Boże! – jęknął Larry. Rozwinął trochę papierowego ręcznika ze ściany, złożył i przycisnął do ręki lekarza. Ten zrobił się siny. Dysząc i pocąc się oparł się o ścianę. Prawie natychmiast pojawił się jego kolega – potężny mężczyzna o silnych ramionach.

–Co tu się, do diabła, dzieje? – zapytał. Zmrużył oczy po zapaleniu światła.

–Lepiej nie pytać – odrzekł Larry. – Zabieraj nas do szpitala. Tę kobietę, twojego kolegę i mnie. Mój sierżant pojedzie za nami.

–Nic ci nie jest, Ong? – zapytał potężny lekarz.

–Zastał ugryziony, to wszystko – wyjaśnił Houston. – Ta kobieta go ugryzła.

Zaciekawiony lekarz nachylił się nad noszami. Podniósł koc i popatrzył na Ednę-Mae z wyrazem twarzy przypominającym kawał rozbitej wołowiny.

–Ostrożnie – powiedział Larry. – Może być niebezpieczna.

Lekarz zawahał się przez chwilę i z powrotem przykrył ją kocem.

–To ma być kobieta? – zapytał.

Zdenerwowany Larry pocierał wewnątrz dłoni.

–W pewnym sensie tak.

–Kobieta w pewnym sensie. Cholera.

–Zabierz nas stąd – huknął Larry – i nikomu o tym nie mów! Rozumiesz? Inaczej flaki ci wypruję.

–Tak, poruczniku, pewnie, poruczniku, co tylko pan każe, panie poruczniku –

odpowiedział potężny lekarz. Objął ramieniem przyjaciela i powiedział:

–No, Ong, idziemy.

Tego wieczora Larry nie mówił nic przez prawie całą kolację. Mikeya i Frankiego Linda wcześniej wysłała do łóżka, bo następnego dnia jechali na biwak do Kirby Cove. Spakowali już ubrania i kanapki, także soczewkę, którą Mikey kupił za swoje kieszonkowe na wypadek, gdyby zgubili się w lesie i dla zwrócenia czyjejs uwagi musieli rozpalić ogień.

Skończyli wino i Linda zaczęła zbierać talerze.

–Co się stało? – zapytała. – Siedzisz tak, jakby cię tu nie było.

–Sam nie wiem. Zdarzyło mi się coś bardzo dziwnego.

–Usłyszałeś miłe słowo od Dana Burroughsa?

Nawet się nie uśmiechnął.

–Nie, nie. Jeszcze dziwniejszego.

–Dziwniejszego niż miłe słowo w ustach Burroughsa? Nie wyobrażam sobie nic takiego.

Podniósł lewą dłoń spodem do góry.

–Uwierzysz... – zawahał się. – Uwierzysz...

Linda cały czas stała z naczyniami w rękach.

–Larry, co?

–Nie wiem. Uwierzysz, że ktoś może mieć na skórze czyjs wizerunek?

–Nie rozumiem. Jaki wizerunek? Myślisz o tatuażu?

–Cóż, trochę tak, ale o ruchomym.

–Ruchomym?

–No właśnie. Ruchomy obrazek. Czyjejs twarzy.

Długo na niego patrzyła. Potem lekko potrząsnęła głową.

–Zupełnie cię nie rozumiem. Czyja twarz? Gdzie?

Przechylił się na krześle do tyłu.

–Byliśmy dzisiaj w meksykańskim barze na rogu Front i Green Street. Nasz ptaszek chyba stamtąd dzwonił. W każdym razie w barze była kobieta, która mówiła, że widziała jego albo kogoś bardzo podobnego.

Linda odłożyła talerze, odsunęła krzesło i usiadła. Słuchała z głową podpartą na łokciu. Najwyraźniej zdawała sobie sprawę, że Larry jest bardzo przemęczony.

Podniósł dłoń.

–Zaproponowała, że powróży mi z ręki. Wszystko wyglądało na żart. Ale gdy wróżyła, pojawiły się cętki na skórze, a potem zaczęły się ruszać.

–Jesteś pewien, że to nie złudzenie albo coś w tym rodzaju?

Pokręcił głową.

–Przypominały trochę cienie. Z początku też tak myślałem, ale potem wszystkie się połączyły i utworzyły wizerunek twarzy.

–Znasz ją? – zapytała Linda.

–Nie wiem, nie, chyba nie. Była bardzo przeciętna. To mógł być każdy.

–Wygląda na to, że to jakaś halucynacja.

–Tak też myślałem, ale wtedy kobieta dostała ataku, jakby epileptycznego.

Krzyczała coś o mojej dłoni, nie pozwoliła się do siebie zbliżyć. Zamknęła się w kabinie i trudno ją było stamtąd wyciągnąć. W końcu musiałem wyłamać drzwi.

Zmieszał się. Wciąż miał przed oczami pomarszczoną głowę. Ciągle czuł ramię z kością jak u kurczaka. Słyszał jeszcze świszczący, wysoki, złośliwy głos.

–Co dalej? – zapytała Linda.

Larry wzruszył ramionami.

–Gdy eee... Gdy wyważyliśmy drzwi i znaleźliśmy ją, skurczyła się.

–Skurczyła – powtórzyła Linda, a potem zapytała: – Powiedziałeś: skurczyła?

–Tak. Skurczyła się do rozmiarów dziecka. Straciła połowę włosów, a skóra cała powysychała. To bardzo nieprzyjemne. Wyglądała jak jeden z tych dzieciaków, jakie widać na zdjęciach z Etiopii.

–Ile czasu była zamknięta w kabinie?

–To najśmieszniejsze ze wszystkiego. Cztery, co najwyżej pięć minut.

–Jak można się tak skurczyć i to tak szybko?

–Nie wiem – powiedział Larry. – Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem.

Widziałem trupy zeschnięte prawie jak mumie, ale nigdy czegoś takiego. Muszę się jeszcze napić.

–Strasznie to dziwaczne – powiedziała Linda.

Otworzył lodówkę i wyjął kolejną butelkę vedicchio.

–Ty mi to mówisz? Cholernie dziwaczne było, gdy nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać.

Ściągnął z butelki sreberko i wbił korkociąg.

–Skurczyła się, ale żyła. Każdego drapała i gryzła. Wezwaliśmy lekarzy, żeby ją zabrali, i jednego z nich ugryzła.

–A gdzie jest teraz?

–W szpitalu pod strażą. Prosiłem doktora Jensena, żeby na nią uważał. Wiesz, to endokrynolog. Houston Brough uważa, że być może ona cierpi na nagły zanik adrenaliny. Coś z lekka podobnego do AIDS.

Linda patrzyła, jak pije wino.

–A co według ciebie się zdarzyło?

Nie patrząc na nią Larry uśmiechnął się.

–Nie wiem, kochanie. Naprawdę nie wiem. Staram się nie wierzyć w to, co widziałem na własne oczy. Próbuję się przekonać, że to przepracowanie, stres, a może nawet syndrom Manillowa.

W policji San Francisco syndrom Manillowa polega na odmawianiu wiary wszystkiemu, co znajduje się przed samym nosem.

Larry znów podniósł lewą rękę i popatrzył do wnętrza, jakby wierząc trochę, że twarz może znów się pojawi.

–Może masz rację. Może to coś z drugiej strony.

–Chcesz w ten weekend pojechać do Muir Woods? – zapytała Linda.

–Zmieniłaś zdanie? – spojrzał na nią zaskoczony. – Wczoraj siłą by cię tam nie zaciągnął.

Wstała, położyła mu ręce na ramionach i pocałowała w policzek.

–Wiem. Ale może potrzeba ci trochę ciszy, spokoju i natury.

Odwzajemnił się pocałunkiem. Za każdym razem, gdy na nią patrzył, zachwycał się jej urodą. Była naprawdę cudowna.

–Dobrze, jeśli znajdę czas – powiedział. – Śledztwo rozwija się, jakby ktoś podsypał drożdży.

–Ale jeden warunek – powiedziała Linda. – Nie pójdziemy do „Basta Pasta”.

–Podoba mi się tam.

–Ale ja chcę do „Monroe”.

–Z moimi zarobkami?

–Poproś o zaliczkę. Powiedz, że nie złapiesz Szatana z Mgły, dopóki nie dołożą ci dziesięciu tysięcy dolarów rocznie.

Roześmiał się i pocałował ją. Właśnie takiego spokoju i takiej miłości potrzebował.

Jednak gdy w tym ciemnym, nadmorskim mieście okrytym mgłą kładł się wieczorem spać, zdawało mu się, że czuje na lewej dłoni coś dziwnego. Zacisnął ją w pięść, ale dziwne uczucie tylko się wzmogło, jakby ktoś wbijał mu w dłoń ostre paznokcie.

Zbliżył rękę do iluminowanej tarczy, budzika. Na skórze majaczyły szare kształty i cienie, łączyły się w grupy. Wyglądały jak znamiona. Niezwykły wzór tworzył się na jego oczach.

Po chwili cienie zaczęły do siebie przylegać jak skrawki wełny, kurz i pajęczyna do kamiennej podłogi. Stopniowo zebrały się w tę samą twarz, którą widział w „Kantynie Alfonsa”.

Uśmiechniętą, zadowoloną z siebie twarz, egzystującą w miejscu i czasie poza wyobraźnią. Wyglądała, jakby wiatr potargał jej włosy i świeciło na nią słońce.

–Czas pożywienia – wyszeptał Larry.

Przyłożył rękę do ucha i słuchał jak dziecko próbujące usłyszeć w muszli szum morza.

„Czas pożywienia, przyjacielu, czas pożywienia”.

Rozprostował palce. Nagle na dłoni pojawiły się białe iskierki. Zdawało mu się, że czuje jakiś ostry aromat, na przykład palonej trawy. Ale zapach zniknął, a pokój na powrót wypełniła ciemność. Słyszał jedynie oddech Lindy i odgłosy nocy.

Klaksony, syreny. Krzyki ludzi nie mających dokąd pójść.

Przez chwilę skłonny był obudzić Lindę i powiedzieć, co się stało. Jednak ostatecznie położył głowę na poduszce i zrezygnował. Chociaż nie wiedział dlaczego, doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie, gdy ona się o tym nie dowie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dogmeata Jonesa spotkał na rogu Sixteenth i Valencia Street. Był późny, jeszcze mglisty ranek. Dogmeat wyglądał, jakby się przespał w ubraniu. Jak zwykle miał dużą, zdobioną, skórzaną kurtkę z brudnym futrem i naszywkami: „Wątpię w Nixona” i „Niech żyją kiepskie konie”. Na nogach nosił nadgryzione przez mole spodnie i brązowe kowbojskie buty z ukośnie ściętym obcasem, tak że musiał chodzić z ugiętymi kolanami.

Dogmeat pochodził z Crete w Illinois. Do San Francisco przybył w czasie rozkwitu ery hippisowskiej. Teraz zbliżał się do pięćdziesiątki, ale twarz zachowała dziwnie chłopięcy, prawie anielski wygląd. Na nosie miał ośmiokątne różowe okulary przeciwsłoneczne, a na plecy spadały siwe włosy związane w kitkę. Wiedział wszystko, co działo się w środowisku artystów oraz rzemieślników. Larry uważał go za jednego z najlepszych informatorów.

–Jesteś głodny? – zapytał Dogmeata.

–Usiadłbym i posmakował czegoś meksykańskiego, *mon pal* - powiedział Dogmeat.

–Może w „La Cumbre”?

–*Nein, nein*. Tam są za długie kolejki. Chodźmy do „Pancho Villa Taqueria”. Zamówimy coś z vegetariańskiej kuchni: *quacende* z nasionami.

–Ty rządzisz.

W „Pancho Villa” zajęli stolik naprzeciwko dziewczyny, która głośno rozprawiała o swojej ostatniej aborcji i paliła coś ohydneho i nielegalnego. Dogmeat zabrał się na poważnie do wielkiego vegetariańskiego lunchu, podczas gdy Larry bez apetytu sączył czarną kawę. Po tym, jak pojawiła się twarz, nie spał dobrze i teraz czuł się, jakby miał kaca.

–Wierz mi, jak czasami ciężko jest coś wyrazić – odezwał się Dogmeat przeżuając jakieś nasiona. – Wszystko ćwierka jak ptaki, a ja słucham to tu, to tam. Każdy ćwierka, każdy jest jakiś niespokojny, kumasz?

–I myślisz, że to ma jakiś związek z Szatanem z Mgły? – zapytał Larry. – Dlaczego?

–To bardziej plotka niż jasna rzeczywistość – mówił Dogmeat. – Raczej dzwonek niż specyficzne ostrzeżenie. Chwytasz? Na mieście coś się dzieje, *n'est-ce pas*? Coś pachnie, ale nikt nie wie skąd.

Larry odstawił filiżankę.

–Powiedz coś – prosił cierpliwie.

–Dwie rzeczy – odparł Dogmeat. – Po pierwsze: znasz artystę Davida Greena? Właśnie malował, gdy nagle odwrócił się i na oknie zobaczył twarz. Twarz prawie, jak to opisywał, z negatywu fotograficznego. Nie za oknem, ale na oknie, na szkle. To nie wszystko, twarz patrzyła, ruszała się i twierdzi, że do niego przemówiła. W te same słowa, co Szatan z Mgły przez radio. No wiesz, te bzdury z drugą stroną i pożywieniem. I jak to wyjaśnić? Może Davidowi zaszkodziła ta nowa kolumbijska koka. Lubi sobie przyćpać. Ale przysięga, że to wszystko *vrai*. Co więcej, tego samego dnia zniknął i już nigdy nie wrócił jego kochanek – Tim Terry. Nawet nie

zadzwoił. Żadnego *billet doux*. Zostawił nie dokończone lody, tenisówki i nocną koszulę, taką w ciapki. Z początku David nie przejmował się. Ale w nocy po raz drugi zobaczył twarz. To go całkiem rozkleiło i poszedł do misji Harry'ego i Barry'ego Kuzdenyi.

–A druga rzecz? – zapytał Larry robiąc, co się da, żeby zachować spokój. „Twarz ruszała się i twierdzi, że także przemówiła”.

Dogmeat otarł usta grzbietem dłoni i głośno beknął.

–Druga rzecz miała miejsce w restauracji „Hana”, naprzeciwko japońskiego centrum. Michael Leibowitz, grawermistrz, był na obiedzie z kuzynem z Seattle, Billem Frebergiem. Jadł *yose rabe*, gdy nagle zobaczył w zupie odbicie czyjejs twarży. Nie wiedział czyjej, ale na pewno nie swojej. Twarz uśmiechała się do niego. Pewnie tam skamieniał. W każdym razie kuzyn zabrał go do domu, dał garść tabletek nasennych i Michael spał jak zabity. Gdy rano się obudził, Billa nie było. Zostawił bagaż i zniknął. Michael dzwonił po całej rodzinie, nawet do byłej żony. Telefonował na policję. Nikt go nie widział. Jakkolwiek by na to patrzeć, to się już wszędzie zdarza. Ludzie widzą twarze tam, gdzie nie mają one racji bytu. I ludzie znikają jak mrówki w szczelinach chodnika.

Larry'ego kusilo, aby opowiedzieć, co się zdarzyło w „Kantynie Alfonsa”, ale Dogmeat to taki postrzeleniec, że za godzinę cała dzielnica by wiedziała, że nawet porucznik policji widział twarz tam, gdzie nie miała ona racji bytu.

Jednakże w dużym stopniu poczuł się pewniej. Skoro inni ludzie także widywali ruszające się, żyjące i mówiące twarze, być może cienie na ręce są zjawiskiem naturalnym i możliwym do wyjaśnienia. Może to jakieś halucynacje spowodowane nietypową w sierpniu mgłą. A może jest coś w wodzie?

Dogmeat odsunął talerz.

–Umarłbym za takie żarcie. Gdybym nie miał kłopotów z wydalaniem gazów, jadłbym to cały czas. Komu potrzebne mięso? Wiesz, że zanim się zabija bydło, wstrzykuje mu się środek na skruszenie mięsa. Niektórzy piją krew z przebitej krowiej szyi. Człowieku, wyobrażasz sobie, jaka to męka? Nie, nie można sobie wyobrazić. Ziaren, dajcie mi ziaren, a przynajmniej nie będę czuł się winny zbrodni. Kto to powiedział?

–Chcesz coś na deser?

–Jasne. O ile z czegoś, co nie chodziło ani nie fruwało.

Larry poprosił kelnerkę i zapytał Dogmeata:

–Znasz Ednę-Mae Lickerman? Potężną kokietkę z czarnymi włosami. Pali cygaretki. Prowadzi w Vallejo sklep z naczyniami.

–A Ednę-Mae? Oczywiście – rzekł Dogmeat. – Edna ma teraz dobry czas. Zrobiła fajeczki, które nadają się do każdego towaru. Nie jest taka, jak wygląda. Nieszczęśliwe małżeństwo odcisnęło piętno na jej twarzy. Jej stary nazywał się Nathan Lickerman. Prowadził Szkołę Tańca Ekspresyjnego. Powinna się nazywać Szkołą Dla Młodych Dziewcząt, Które Chcą Być Rozpustne. Nathan coraz mniej czasu spędzał w domu, a coraz więcej w sali tanecznej pomagając młodym dziewczynom zdejmować majteczki. Początkowo Edna-Mae była załamana, potem

odpłacając pięknym za nadobne znalazła sobie kochanka. W gruncie rzeczy nawet kilku kochanków. Ale największą miłością był Julius Kwolek. Gdy pierdnął, za każdym razem odwracał się, żeby sprawdzić, skąd pochodzi hałas. Ale Edna-Mae zwariowała na jego punkcie. Rozwiodła się z Nathanem. Posypało się przez to wiele naczyń. Edna i Julius mieli się pobrać, ale wyniknęły niespodziewane trudności. Na dwa tygodnie przed ceremonią Julius umarł na chorobę wieńcową. Edna już nigdy nie przyszła po tym do siebie. Zaczęła zajmować się spirytyzmem, tequilą i trawą, a wierzy mi, że te rzeczy mogą cię postarzyć w ciągu nocy. Widziałem ją ze dwa, trzy tygodnie temu. Jak zwykle siedziała przy barze w jakiejś meksykańskiej knajpce. Postawiła mi *cerveza*. Zdaje się, że zerwała z trawą i przestała pić tequilę.

–Z tego, co mówiłeś, zajmuje się jeszcze spirytyzmem – powiedział Larry. – Sama czy w jakiejś grupie?

–I tak, i tak. Ona przepowiada szczęście. W tym jest najlepsza. Dobry chiromanta może przepowiedzieć przyszłość do ostatniej minuty. Wiesz, że są prowadzone badania naukowe mające na celu zbadać zależność między życiem a liniami papilarnymi. Spójrz na dłoń. Jeśli linie są rozgałęzione, to masz przesrane życie.

Uwaga była zbyt bliska prawdy, aby Larry się roześmiał.

–Powiedz, co jeszcze chcesz zjeść.

–Niespodziankę Dzieciaka z Cisco z samymi owocami.

Larry skończył kawę i czekał. Nagle zdał sobie sprawę, że Dogmeat przed czymś się wstrzymuje.

–Masz jakiś problem?

–Powiedzmy *un poco* - rzekł niepewnie Dogmeat.

–Jest coś, co chciałbyś mi powiedzieć w zaufaniu?

–Sam nie wiem. To było tak dawno. I tak *mucho* nieprzyjemne, *versteh*? Wszyscy byliśmy wtedy młodzi, sklep Edny najpopularniejszy w mieście. Do San Francisco trafiła grupa ludzi zainteresowanych czarną magią. Żeby nikt ich nie zidentyfikował, mieli sekretne imiona i mówiło się, że jeśli ktokolwiek wspomni tylko o ich istnieniu, będzie miał poderżnięte gardło. Odchodziły niezłe jaja, wy to nazywacie *merde lourde*. Mówiło się o czarnych mszach, ofiarach ze zwierząt i takich tam. Kiedyś jakaś kobieta uklękła na Union Square, naprzeciw hotelu „St. Francis” i ucięła sobie głowę. Po jakimś czasie, nikt nie wie dlaczego, wszystko ucichło i nie wiadomo, co się stało z tamtymi ludźmi.

–A ostatnio Edna-Mae wspominała coś o tych sprawach? – zapytał Larry.

Kelnerka przyniosła Dogmeatowi Niespodziankę Dzieciaka z Cisco. Spojrzał z rozczarowaniem.

–Coś nie tak, proszę pana?

–Nie ma tu nic szczególnie niespodziewanego.

–Nie wiem. – Też się skrzywiła. – Może gdyby spodziewał się pan czegoś innego?

–Jak pani myśli, co by o tym powiedział Dzieciak z Cisco?

–Nie wiem – odpowiedziała. – Nawet nie wiem, kim był Dzieciak z Cisco. A deser jest taki, żeby zaskakiwać dzieci z San Francisco.

Dogmeat wbił łyżeczkę w kolorowe owoce.

–Dzięki Bogu, Duncan Renaldo tego nie słyszy.

–Słyszałeś kiedyś o spirytyście Wilbercie Fraserze? Chcę z matką dzisiaj do niego iść.

–Jasne, że znam. Przez wiele lat, mieszkaliśmy na tej samej ulicy, ale jakaś zakochana wdowa zostawiła mu w spadku kupę forsy i przeprowadził się do Nob Hill. Jest niezrównanym guru dla niedzielnych poszukiwaczy prawdy. Przekracza nieprzekraczalne granice życia pozagrobowego. Swego czasu też był związany z Edną-Mae, ale nie pytaj w jaki sposób.

–Dobry jest?

–Tobie do pięt nie dorasta, ale tak. Przynajmniej tak słyszałem. Powiem ci, kto był u niego, żeby porozmawiać ze zmarłą córką... – tu nachylił się i szepnął Larry’emu nazwisko niezwykle wpływowej i znanej w towarzystwie damy.

–O, cholera – mruknął Larry.

–Tak, cholera. – Dogmeat skończył Niespodziankę Dzieciaka z Cisco, wydmuchnął nos w chusteczkę higieniczną i zapytał: – No to ile to wszystko warte?

–Masz na myśli dzwoneczek i twarze w zupie?

Dogmeat pociągnął nosem i skinął uszczęśliwiony.

–Sam nie wiem – powiedział Larry. – Chyba *burrito vegetariano* i Niespodziankę Dzieciaka z Cisco.

–No nie, daj spokój – zaprotestował Dogmeat. – Przecież dostarczyłem ci tu niepowtarzalnych informacji. Są warte przynajmniej ze dwadzieścia dolców.

–Zanim zapłacę, chcę jeszcze coś usłyszeć, dobra? Jakies twarze, zniknięcia.

–Masz w tym jakiś osobisty interes? – Pod różowymi okularami zmrużył oczy.

–Nie zapomnij do mnie zadzwonić, dobra?

–W porządku – powiedział Dogmeat. – Ale za drugim razem będzie pięćdziesiąt. A jak nie, żona ci się w gorącej wodzie utopi.

–Mówi się dziecko, a nie żona – poprawił go Larry.

–Dziecko też.

Choć nie pił ani kropli, po przyjsciu do Gmachu Sprawiedliwości czuł się jak na kacu. Poszedł do gabinetu Dana Burroughsa i zapukał w otwarte drzwi. Dan siedział w chmurze szarego dymu z papierosa i pisał miesięczne sprawozdanie dla szefostwa. Juka wyglądała, jakby zwiędła z uduszenia, a jedyną ozdobę pokoju stanowiła fotografia Dana ściskającego dłoń Karlowi Maldenowi oraz plakat ze Studebaker Museum – Dan uważał, że ostatnim wielkim amerykańskim aktorem był Humphrey Bogart, a studebaker ostatnim amerykańskim samochodem.

–Jest jakiś postęp? – zapytał. – Obiecałem prasie oświadczenie do wiadomości o szóstej.

–Wolisz usłyszeć o postępie rzeczywistym czy paranormalnym?

–A co to, do diabła, za różnica?

Larry wszedł do gabinetu i usiadł przy biurku.

–Dan, w tym śledztwie jest coś dziwnego.

–Ach tak? – prowokował Dan.

–Mówił ci Houston o tej Lickerman?

–Mówił. I co z tego? Cierpi na ostrą formę niedoczynności gruczołów i już. To powszechny objaw AIDS. Lekarze codziennie wykrywają nowe symptomy.

–Niedoczynność gruczołów? W pięć minut?

–A kto to może, do diabła, wiedzieć. Zostawmy to lekarzom. Ja tylko chcę, żebyś znalazł tamtego faceta.

–Przypadek Edny-Mae Lickerman wiąże się z nim.

–Houston mówił, że na wypadek gdyby ptaszek miał wrócić, obstawileś lokal.

–To prawda. Jest tam Bili Glass.

–A co z gośćmi?

–Przesłuchaliśmy prawie wszystkich bywalców i trafiliśmy na dziewięciu z trzynastu, którzy w piątek jedli tam kolację.

–I?

–Niektórzy pamiętają, że wysoki facet w skórze dzwonił, ale większość nic nie widziała.

–Jakieś ślady?

–Nie za bardzo. Pokazywaliśmy im zdjęcia wszystkich koleśków, których aresztował Joe Berry, nawet tych, którzy jeszcze siedzą.

Dan zaciągnął się głęboko papierosem i zgasił w wiecznie pełnej petów popielniczce.

–Ktoś musi znać tego maniaka. Na pewno miał kochankę, przyjaciela. Gdzieś musi mieszkać, pracować.

–Na szóstą będziemy mieli portret pamięciowy od tego artysty, jeśli to cię pocieszy – rzekł Larry.

–To dobrze. Ale chcę tu zobaczyć kawał porządnej detektywistycznej roboty. Obiecałem burmistrzowi Agnosowi, że ten facet już nigdy nie zrobi żadnej masakry.

–Mam nadzieję, że uda nam się dotrzymać tej obietnicy. Wierz mi, Dan, w tym śledztwie jest o wiele więcej, niż widać gołym okiem.

–Na przykład co? Niewiarygodnie skurczona kobieta? Bądź łaskaw, Larry... Potrzebuję natchnienia, a nie science fiction.

–Przyślę ci ten portret.

Na Larry'ego czekał w gabinecie Houston. Wyglądał na tak samo zmęczonego jak Larry. Czytał zeznania właścicielki domu w Mission District. Donosiła, że jej lokator zachowuje się podejrzanie: „Śpiewa i pali dziwne papierosy, a tego ranka znalazłam u niego topór rzeźnicki. Myślę, że powinniście o tym wiedzieć”. Potem przez dwie godziny przesłuchiwał obszarpanego młodzieńca w podartej koszulce gianta i z czerwonymi pryszczami, który twierdził, że jest Szatanem z Mgły, ale nie pamięta szczegółów swoich zbrodni i tej nocy, gdy zabito rodzinę Berrych, opiekował się dziećmi swojej siostry.

–Są jakieś wieści ze szpitala? – zapytał Larry.

–Nie za wiele – odparł Houston. Przez moment siedzieli w milczeniu. Na końcu korytarza słychać było dzwoniący telefon, ale nikt nie odbierał. Za oknem nic prócz szarzyzny rozmazującej kształty swojskich budynków.

–Myślisz, że ktoś odbierze? – zapytał Houston.

Larry wzruszył ramionami. Zaczął się bawić długopisem. Z oprawionej w srebrne ramki fotografii spoglądały na niego uśmiechnięte twarze Lindy, Mikeya i Frankiego.

–Gdzie się ruszyć? – zapytał Houston. – Wygląda na to, że jedyny sposób, aby go złapać, to pukać do każdych drzwi w tym cholernym mieście. A jak nie, to liczyć na szczęśliwy przypadek.

–Zaczęliśmy od „Kantyny” – powiedział Larry.

–A co, jeśli już nigdy tam nie trafi?

–Na podstawie pytań ustalimy portret pamięciowy i będziemy się modlić, żeby już nigdy nie zabił.

Houston siedział i w milczeniu długo patrzył na Larry’ego.

–Uważasz, że to ma coś wspólnego z okultyzmem, prawda? – zapytał w końcu.

–Ja nie uważam – skinął Larry. – Jestem o tym przekonany. Widziałeś moją dłoń. Widziałeś Ednę-Mae. Żaden z tych przypadków nie był naturalny ani możliwy do wyjaśnienia. I nieważne, co Dan może o tym sądzić. A w nocy jeszcze raz mi się to zdarzyło.

Podniósł dłoń wnętrzem do góry.

–Zeszłej nocy czułem ból w dłoni i zobaczyłem majaczące cienie, słyszałem, też szept. I nie jestem jedyny. Rozmawiałem dzisiaj z Dogmeatem i powiedział, że przynajmniej trzy albo cztery osoby doświadczyły podobnego zjawiska.

Houston wysunął dolną wargę. Był poważnie zmartwiony.

–I co zamierzasz z tym począć?

–Zamierzam podzielić śledztwo. Z jednej strony będziemy prowadzić zupełnie tradycyjne, rutynowe dochodzenie. Jak w książce. A z drugiej zajmiemy się jego nadnaturalnym aspektem. I to jak najdokładniej zdołamy.

–Myślisz, że Dan na to pójdzie?

–Dan się o tym nie dowie. Jeśli ty mu nie powiesz.

–Nie wierzysz chyba, że działo się coś nadnaturalnego?

–Wierzę w to, co widzę na własne oczy, Houston, nieważne, jak to nazwiesz. A co do śledztwa, to czuję, że jeśli zatrzymamy się na progu tego co zrozumiałe, ptaszek nam się wyniknie, śmiejąc się z naszego braku wyobraźni, i może dojść do kolejnych morderstw na rodzinach, a może nawet do czegoś o wiele gorszego, a nam nigdy nie uda się go złapać, nigdy.

–Cóż, poruczniku – powiedział Houston. – Skoro tak uważasz.

–Houston, zeszłej nocy, gdy leżałem w łóżku, ta twarz znowu się pojawiła i przemówiła do mnie.

–Tak jest.

–I myślisz, że powinienem zignorować to zjawisko. Złożyć je na karb przepracowania albo zbyt dużej ilości wina przed snem? A może myślisz, że powinienem uważnie rozważyć, czy nie wciągnąć tego do akt?

Houston patrzył na wyglansowane buty, a potem znów do góry.

–Następnym razem powinienes chyba nagrać to na taśmę video. Wtedy może nie będzie zbyt trudno skłonić ludzi, aby uwierzyli.

–Ale przecież ty wierzysz. Sam to widziałeś.

–Nie wiem. Jasne, chyba coś widziałem. Ale to, co mówiłeś: przepracowanie, stres. Czasami można w coś wierzyć tylko dlatego, że się tego chce.

–Houston – powiedział Larry podnosząc się z krzesła i siadając na brzegu biurka – przynajmniej dwojgu ludziom w tym mieście przydarzyło się to samo. – Wydarł z notatnika ich personalia: – „Dawid Green, Michael Leibowitz” – Dawid Green jest artystą. Teraz siedzi załamany u bliźniaków Kuzdenyi. Michael Leibowitz pracuje dla „Mint”. Idź i porozmawiaj z nimi. Dowiedz się, co o tym sądzą. Dowiedz się, co ty o tym sądzisz.

Houston niechętnie wziął skrawek papieru i wyszedł z gabinetu. Dzwoniło jeszcze więcej telefonów. Larry zamyślony i lekko zaniepokojony pozostał na skraju biurka. Wiedział, że Houston jest absolutnym zwolennikiem naukowej szkoły dochodzenia Arnego Knudseny, ale nie był pewien, gdzie w tym wszystkim stoi Dan Burroughs i na ile Houston będzie za nim.

Zadzwoił telefon. Larry odebrał i powiedział:

–Foggia.

–O, cześć – powiedział jasny, grzeczny głos. – Tu Fay Kuhn, twoja ulubiona dziennikarka. Chcę do wtorkowego magazynu napisać o tobie kilka zdań. Mógłbyś jutro poświęcić mi trochę czasu?

–Panno Kuhn, jestem w samym środku złożonego i poważnego śledztwa.

–Dla Dogmeata Jonesa znalazł pan godzinę.

–Skąd pani o tym wie?

–Oj, poruczniku. Nawet *burritos* mają uszy.

–Cóż... – Larry odwrócił biurowy notatnik. – Mam dla pani piętnaście minut o jedenastej. I ani chwili dłużej. I może będę musiał skrócić spotkanie. Wszystko zależy od postępu śledztwa.

–A zatem jest postęp? – zapytała Fay Kuhn.

–Porozmawiamy jutro.

–Dziękuję, poruczniku. I jeszcze...

Westchnienie zniecierpliwienia.

–O co chodzi?

–Słyszał pan o twarzach, które pojawiają się tam, gdzie nie powinny?

Larry rozmasował sobie kark. Czuł skurcze. Mięśnie napinały się jak liny. Mógł się domyślać, że Dogmeat współpracuje z prasą. Powinien dać mu dwudziestaka. Przy tak skomplikowanym śledztwie należało pójść na kompromis, zwłaszcza że wart był kilku butelek taniego wina.

–Co pani rozumie przez twarze pojawiające się tam, gdzie nie powinny?

–Myślałam, że pan mi powie, poruczniku. Twarze w oknach, w japońskiej zupie. Może w San Francisco rozpoczęła się nowa era magicznych cudów.

–A może Dogmeat Jones coś pokręcił?

–A może doktor Howard Kaplan nie dowie się, co się stało Ednie-Mae Lickerman?

–No, no! – zawołał z uznaniem Larry. – Dobra pani jest. Moje gratulacje. Ale nie złożę ich jutro osobiście, jeżeli nie zachowa pani tego wszystkiego dla siebie, przynajmniej na razie.

–Co Dan Burroughs powie wieczorem w oświadczeniu? – zapytała Fay Kuhn.

–Wysłucha go pani ze wszystkimi. Ale na pani miejscu zostawiłbym kilka klitek, żeby zrobić zdjęcia.

–Dziękuję. Do jutra. A tak przy okazji, nasza sekretarka redakcji uważa, że jest pan przystojny.

Larry odłożył słuchawkę. Odczekał długą chwilę, znów podniósł i wykręcił numer. Telefon dzwonił prawie minutę, aż lakoniczny głos oznajmił:

–„Guido Bar”.

–Mam wiadomość dla Dogmeata – powiedział Larry. – Powiedz mu, że dzwoni jego benefaktor.

–Benny jak?

–Jego be-ne-fak-tor. Chińczyk jesteś czy co?

–W samej rzeczy.

–Przepraszam. Przykro mi.

–Nic nie szkodzi – odpowiedział lakoniczny głos. – To się zdarza. Przynajmniej nie jestem cholernym Japońcem.

–Proszę powiedzieć Dogmeatowi, że dzwonił jego benefaktor i kazał powiedzieć, że z niego dogmeat.

Chwila przerwy, a potem:

–Powiedz Dogmeatowi, że jest Dogmeatem*? [* Dogmeat – gra słów. *Dogmeat* w języku angielskim oznacza psie mięso.]

–Dokładnie – powiedział Larry i odłożył słuchawkę.

O ósmej zadzwonił do matki. Mgła zaczynała się przersedzać, ale miasto wciąż wyglądało tak, jakby je ktoś oglądał przez zaparowane okulary. Matka włożyła letni płaszcz od Chanel, a wysadzaną diamentami spinką z tej samej firmy spięła włosy. Wyglądała elegancko i Larry był z niej dumny. Wolałby, żeby szli na kolację do „Washington Square Bar Grill”, a nie do Wilberta Frasera na rozmowę o nieboszczykach.

Z trudem wsiadła do toyoty Larry’ego.

–Twój ojciec nigdy by nie kupił japońskiego samochodu – zauważyła. – Dla niego istniał lincoln town car albo żaden.

–Mój ojciec nie był gliniarzem.

–Dzięki Bogu, nie musiał.

Wolno jechali do Frasera. W niższych okolicach zalegała mgła, ale na wzgórzach było niemal zupełnie czysto. Pierwszy raz od wielu dni Larry dostrzegł wieżę Coit. Z jakichś powodów widząc ją czuł się pewniej. Stanowiła dla niego istotną część życia. Jej wysokie światła obserwował z dziecięcej sypialni aż do czasu, gdy podrósł i uwierzył, że jedyną rodziną, w jakiej może żyć, jest rodzina dzieci-kwiatów, gdzie króluje: miłość, pokój i dobra trawa.

W każdym razie hippisowskie czasy minęły, jak mijają zachody słońca. Gdy Larry skończył osiemnaście lat, na powrót uznał swoją tradycyjną rodzinę – obciął włosy, w ciemnym ubraniu siadał obok ojca na obiedzie, ścisnął dłoń Benowi Swingsowi, Louisowi Luries’mu, a nawet pani Hans Klaussman.

–Nie musisz jechać tak szybko, kochanie – powiedziała Eleonora. – Lepiej spóźnić się na tym świecie, niż być za wcześnie na tamtym.

–Dziś wieczór będziemy chyba mieć obydwu.

–Proszę cię, nie żartuj z pana Frasera, dobrze? Jest bardzo wyczulony na sceptycyzm.

Eleonora podprowadziła go do dużego wiktoriańskiego domu – jednego z niewielu, który przetrwał trzęsienie ziemi z 1906 roku. Światło prześwitywało przez okna, a zasłony wyglądały jak pokryte wypryskami. Przed wejściem nie było nic prócz wiązek wyschniętego ostu. Na frontowej werandzie leżały nagromadzone glicynie bez kwiatów. Przypominały trochę wytarte peruki.

–Wilbert nie jest bogaty – powiedziała Eleonora jakby dla usprawiedliwienia wszystkiego.

Larry zablokował przednie koła i zamknął samochód. Z uczuciem wzrastającej niechęci pobiegł za matką po schodach. Kiedyś, szukając okrutnego mordercy Henry’ego Kwo, wchodził do chińskiej restauracji i miał takie samo uczucie niechęci, straszliwej niechęci – jakby małe dziecko uchwyciło go za kostki, a on za każdym krokiem strząsałby je na podłogę. Jedyna różnica polegała na tym, że szukając Henry’ego Kwo mógł w każdej chwili wyciągnąć swoją trzydziestkę ósemkę i skoczyć do wyjścia. U Wilberta Frasera nie mógł sobie na to pozwolić.

Drzwi frontowe otworzyły się, zanim do nich dotarli. Korytarz oświetlał wysoko zawieszony szklany kinkiet, tak że z Wilberta Frasera Larry widział tylko jego kontur. Udało mu się jednak dopatrzeć zaczesanych do tyłu siwych włosów, luźnego swetra i okularów z grubymi szklami.

–Pani Foggia, jak to miło znów panią widzieć! – zawodził podając dłoń. Larry dostrzegł błysk sygnetów z brylantami. – A kogóż ma pani dziś ze sobą? To chyba nie pani syn? Nie wierzę!

Larry ścisnął dłoń Wilberta. Czuł, jakby złapał ciepły, śliski pęczek rozgotowanych szparagów.

–Jestem Larry, bardzo mi miło. Moja matka ma tyle lat, na ile wygląda, to ja jestem trochę, hm, dojrzały jak na swój wiek.

–Witam, proszę pana do środka. Mglisto dzisiaj, a mój bronchit, sami wiecie. Jak raz zacznę charczeć, nie przechodzi tygodniami.

–Ilu gości dziś się pan spodziewa? – zapytała Eleonora, gdy ruszyli wąskim korytarzem. – Ma przyjść pani Sheraton Jardiner, prawda?

–Chciała, ale musiała, biedactwo, odwołać – powiedział Wilbert wskazując drogę do wysokiej, obszernej poczekalni. – Pan Jardiner miał wypadek w górach. Pojechał tam z sekretarką zamiast z nią.

–Ale z pana plotkarz, Wilbercie – powiedziała Eleonora, ale jasne było, że wyrazem twarzy adoruje plotkarza. I to w sposób, w jaki adoruje kobieta, która wszystko ma już za sobą, jej mąż nie żyje, a majątek podupadł. Kiedyś były wspaniałe czasy dla Foggiów, nie mówiąc już o Ghirardellich albo rodzinie Domenica.

Cała poczekalnia udekorowana była na brązowo. Brązowe aksamitne fotele, brązowe tapety z motywami roślinnymi, brązowe obrazy, kilimy, dywany. Kiedyś to

wszystko było piękne, ale żeby takie pozostało, trzeba było pieniędzy, a tak: aksamit się sfilcował, a dywany pozamieniały w wycieraczki. Dokoła unosił się lawendowy zapach odświeżacza do wnętrza.

Przyszło już pięcioro ludzi. W dwojgu Larry natychmiast rozpoznał przyjaciół matki. Łysiejącego sześćdziesięciolatka w okularach cierpiącego na chroniczną anginę. Był to Bembridge „Bembo” Caldwell, który kiedyś pracował jako menedżer hotelu „Mark Hopkins”.

Także wysoką kobietę po czterdziestce z angielskim akcentem, roztrzepanymi włosami i dzikością w oku. Nazywała się Samantha Bacon. Ze względu na karierę filmową przeprowadziła się z Londynu do Hollywood, z Hollywood donikąd, a znikąd do San Francisco. Tu starszy mężczyzna z niemal nieuleczalnym bzikiem na punkcie jej pierwszego filmu odzwyczał ją od wódki, papierosów i środków uspokajających.

Larry ścisnął ręce i próbował się uśmiechać. Z wielu powodów czuł się porytowany i rozzłoszczony, dłonie zaczynały go świerzbic, jakby całe popołudnie przycinał bluszcz. Dom wydawał się szczelnie zamknięty. Mimo że dwa okna w salonie były otwarte, nie czuć było żadnego przewiewu, żadnego napływu powietrza. Pozbawione koloru ciężkie zasłony w kwiatki i ptaszki wisiały bez ruchu. Jednak Larry słyszał odgłosy ulicy.

–Larry, jak ty wyrosłeś – powiedziała Samantha. Miała na sobie czerwoną sukienkę z falbankami przy ramiączkach, która gryzła się z włosami. Oczy gryzły się ze wszystkim.

Larry pocałował ją w policzek.

–Jak leci, Sammy?

–Znasz kogoś z drogowki? – zapytała.

Uśmiechnął się.

–Dużo masz mandatów?

–Z tysiąc. Nawet nie proszę o darowanie, tylko o czas, żebym zdążyła zapłacić.

Larry położył dłoń na jej bladym, piegawatym ramieniu. Niektórych kobiet lubił dotykać, innych nie. Samantha zawsze była chłodna, jakby jej ciało właśnie zostało wyłowione z zatoki.

–Możesz mnie przedstawić? – poprosił.

–Ach tak, oczywiście. To John Forth, jest architektem. – Larry potrząsnął dłonią trzydziestoparolatka z małymi oczkami, bez podbródka i z charakterystycznym nosem. – John zaprojektował od nowa Garden Court w Sheraton-Palace, ale miasto uznaje, że to obiekt historyczny i projekt Johna został odłożony *ad infinitum*. To znaczy na zawsze.

–Masz pecha – powiedział Larry. – Ale wiesz, mnie zawsze podobał się Garden Court, więc może wszystko dobrze się skończyło.

Był pewien, że zaraz usłyszy, jak John Forth zgrzyta zębami. Był wrażliwy na takie rzeczy, także na to, że Samantha Palace nazwała Sheraton-Palace. Urodzeni i wykarmieni tu mieszkańcy San Francisco wciąż jeszcze, nawet dzisiaj, obrażają się, gdy się dodaje tę nazwę.

Przez pokój przeszła kobieta bez piersi, w niezbyt ładnej sukience, pokazała

Larry'emu perły i końskie zęby.

–Margot Tryall – przedstawiła się. – Nasi ojcowie grali razem w golfa.

–Ach tak – rzekł Larry. – Jack Tryall? Jak mu się wiecie? Co z biznesem jachtowym?

–Dziękuję, biznes kwitnie – zasepleniła Margot. – Ale ojciec w lutym nas opuścił.

–Opuścił? – zapytał Larry niepewny, co to znaczy.

–Tak, on... – Podniosła w górę oczy, Larry zrobił to samo i wtedy zdał sobie sprawę, że Jack Tryall oszedł wyżej niż ponad ten wiktoriański sufit.

–Dlatego tu jestem – powiedziała Margot.

–Na naszym ostatnim spotkaniu Margot długo rozmawiała z ojcem – wyjaśniła Eleonora. – Rozmawiali o wszystkim: o jachtach, o przyjęciach i o tym, jak przycinać krzaki.

–Niezła pogawędka – powiedział ze zrozumieniem Larry.

Ostatnim z gości był mężczyzna niewiele powyżej czterdziestki. Miał atletyczną sylwetkę, po części siwe, po części wyblakłe od słońca włosy. Uśmiechał się, jak zadufany w sobie idiota, a Larry szczególnie tego nie lubił. Mężczyzna wyglądał na takiego, który rzuca się na detektywa w cywilu, bo pomylił go ze złodziejem.

–Dick Volare – powiedział ujmując dłoń Larry'ego. – Domyślam się, że płynie w nas ta sama neapolitańska krew. *Gumba?*

–Jak leci, Dick? – zapytał Larry.

–OK... w interesach najlepiej, jak to możliwe. Jestem właścicielem brzegu oceanu. Może słyszałeś o Volare Views Inc.? Chcesz zobaczyć morze? Przyjdź do Volare Views. My ci to załatwimy.

Larry skinął i uśmiechnął się.

–Zwykle, kiedy chcę zobaczyć morze, jadę na plażę, ale kto wie...

Wilbert Fraser klasnął, żeby przywołać ciszę. W pełnym świetle salonu Larry po raz pierwszy mógł go wyraźnie zobaczyć. Miał długi, porowaty nos, cofnięte czoło i włosy zaczesane do tyłu w stylu, który w 1939 roku uwielbiali Czesi, Polacy i Rumuni. Z bladą skórą kontrastowały wąskie purpurowe usta. Oczy błyszcząły jak brylanty na palcach. Mimo sceptycznego podejścia do seansu Larry czuł, że znajduje się w obecności kogoś, czyja wiedza wykracza poza rzeczywistość, poza dotykanie, ściskanie i klaskanie w dłonie.

–Chciałbym podziękować wszystkim za przybycie – powiedział Wilbert lekko przytłumionym głosem. – Szczególnie tym, którzy są po raz pierwszy i dla których w korytarzu rozpoczęła się pierwsza przygoda ze światem duchowym. – Zwrócił się w stronę Larry'ego i skinął głową. Larry odwzajemnił się uśmiechem.

–W przeciwieństwie do innych spirytystów nie preferuję stolika – wyjaśnił Wilbert. – Zawsze uważałem, że powinniśmy stać twarzami naprzeciw siebie, otwarcie i nie przeszkadzając nikomu. Niektóre z moich wypraw do świata duchów wymagają, by wszyscy goście byli całkowicie nadzy, ale... – zobaczył nagły niepokój na twarzy Margot Tryall -...dziś wieczór jesteście tak ubrani, zwyczajnie i bezpretensjonalnie, że to nie będzie potrzebne.

Na długą chwilę zamknął oczy. Na tak długą, że Larry zaczął się zastanawiać, czy

nie zasnął na stojąco. Jednak w końcu otworzył oczy, skłonił się każdemu z osobna, podniósł złożone ręce i uśmiechnął się.

–Nigdy nie łapiesz innych za ręce?

Wilbert Fraser pokręcił głową.

–Media, które tak robią, czynią to zwykle dla swojego bezpieczeństwa. Świat duchów ma taką siłę, że mogą stracić panowanie i wtedy wzmacniają opór umysłami i psychiką połączonych ze sobą istot ludzkich. To działa zupełnie tak samo jak oporniki elektryczne.

–Ale ty wolisz działać bez takich zabezpieczeń, prawda? – pytał Larry.

–To prawda – rzekł Wilbert. – Nie istnieje dla mnie nic ponad pełną, nieskrępowaną energią zaświatów, niczym nie tłumioną ani nie osłabioną. Można by powiedzieć, że lubię chwytać pełen kontakt z nadrzeczywistością. W ten sposób można doświadczyć świata duchowego w niezapomniany sposób, niezapomniany nawet po skończeniu życia i przyłączeniu się do duchów z przedsonka zaświatów.

–Wilbercie, mój drogi, będziemy mogli wziąć w tym udział? – zapytała Eleonora.

–Naturalnie – rzekł Wilbert. – Staram się tylko wyjaśnić twojemu synowi, że dziś wieczór pokażę mu zaświaty tak wyraźnie jak żadne inne medium w Kalifornii.

–Już mu mówiłam, jaki jesteś dobry, mój drogi – wtrąciła Eleonora.

–Cóż, skoro prawisz mi takie komplementy, ty zaczniesz naszą przygodę. – Wilbert Fraser uśmiechnął się. – Domyślam się, że znów chciałabyś się spotkać ze swoim mężem?

Larry spojrzał na matkę z niepokojem. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że przybyła tu, aby nawiązać kontakt z ojcem, ale nie przyszło mu do głowy, że sam może dziś wieczór go zobaczyć. Ta myśl przyprawiła go o dreszcz strachu na karku. Poczuł, że trzęsą mu się nogi – takie uczucia nawiedzały go zawsze, gdy wiedział, że ma zobaczyć szczególnie nie milego nieboszczyka.

Z jakichś powodów przypomniało mu się, jak był zmuszony otworzyć kiedyś porzuconą puszkę, która od półtora miesiąca stała w ciemnym zakątku podziemnego parkingu i ktoś poczuł wydobywający się z niej smród. Wieko puszkę jęknęło i puściło. Okazało się, że była pełna zielonych, śliskich baloników, a między nimi, niczym ostrygi, pływało dwoje oczu. W powietrzu unosił się taki odór, że Larry czuł go jeszcze przez tydzień.

Eleonora była zajęta Wilbertem Fraserem, ale gdy Larry spojrzał na nią, odwróciła się i dostrzegła jego pełen niepokoję wzrok.

–Czy nie moglibyśmy zacząć od Margot, drogi Wilbercie? Larry jeszcze nigdy nie był na takim seansie... Może gdy będzie wiedział, czego się spodziewać, łatwiej mu przyjdzie odbyć spotkanie z ojcem.

–Naturalnie – zgodził się Wilbert. – Nikogo nie chcemy przymuszać.

Ustawił wszystkich w koło na środku salonu. Zanim sam do nich dołączył, zgasił wszystkie światła, z wyjątkiem stojącej za zasłoną lampki, okrytej abażurem z frędzelkami. Rozejrzał się, by nabrać pewności, że wystrój pokoju jest odpowiedni, i jak poprzednio, podniósł ręce. Wszyscy podążyli jego śladem. Larry czuł się, jakby podnosił ręce przed wycelowanym pistoletem.

–Nie, Larry – rzekł Wilbert. – Nie jesteś aresztowany. Musisz wyprężyć ręce, popchnąć kosmos.

–Co popchnąć?

–Kosmos, cały świat. Wyobraź sobie, że jesteś mimem, jak Marcel Marceau, i wnętrzem dłoni popychasz wyimaginowaną szybę. „Pchać” to dobre słowo. Musisz poczuć napór kosmosu.

Szczerze mówiąc Larry nie czuł żadnego naporu, ale niczym Marcel Marceau pchał niewidzialne okno, co wcale nie było trudne. Spojrzał na Eleonorę, ale nie wiedział, czy ma się do niej uśmiechnąć. Może istnieje jakaś specjalna etykieta seansów, która zabrania uśmiechów. Margot Tryall wyglądała oczywiście poważnie, a Dick Volare z Volare Views Inc., jakby zjadł na obiad zepsutą rybę. Nie czas ani miejsce na kawał o jasnowidzu, który wysłał przyjaciela, żeby przespał się z jego żoną.

–Doskonale – powiedział Wilbert Fraser. – Najpierw poszukamy ojca Margot. Margot... mogłabyś stanąć w środku?

Drżąc z napięcia Margot wystąpiła w kierunku środka kręgu, a wszyscy przesunęli się nieco, aby zachować między sobą jednakowe odległości.

Wilbert Fraser wbił oczy w sufit i powiedział swobodnie:

–Szukam kogoś, kto pomoże mi odnaleźć Jacka Tryalla. Jest u mnie jego córka i bardzo chciałaby zamienić z nim kilka słów.

Dla Larry’ego nie zabrzmiało to wcale jak wywoływanie duchów. Spodziewał się, że pośród dymu z kadzideł Wilbert Fraser będzie recytował starodawne litanie mające zmarłych zbudzić ze snu po drugiej stronie. Ale jeśli nawet nie tego, to czegoś bardziej formalnego, rytualnego. A tu zwykle „jest tam kto?”. Ogarnęła go fala sceptycyzmu i zaczął się czuć coraz bardziej idiotycznie. Cieszył się, że nikt z pracy nie widzi go, jak stoi z podniesionymi rękami i gra w łapki z kosmosem.

–Szukam kogoś, kto pomoże mi odnaleźć Jacka Tryalla – powtórzył Wilbert. – Czy nikt nie chce mi pomóc? – Zabrzmiało to, jakby wzywał pogotowie gazowe.

Larry przełknął ślinę. Z wysiłku zaczynały go boleć ręce i obiecał sobie, że już nigdy nie każe aresztantom stać z podniesionymi rękami dwadzieścia minut, a czasem nawet pół godziny.

Westchnął.

–Wciąż szukam kogoś do pomocy w odnalezieniu Jacka Tryalla – ogłaszał Wilbert. – Wciąż szukam kogoś do pomocy w odnalezieniu Jacka Tryalla.

Nagle Larry’emu wydało się, że zobaczył nad czołem Wilberta niebieskie światełko. Zamigotało i zniknęło. Czekając, aż zjawisko się powtórzy, nie spuszczał z Wilberta oczu.

–Słyszę cię – powiedział Wilbert. – Słyszę cię bardzo słabo. Jakbyś mówił przez kartonową tubę. – Znów mignęło niebieskawe światełko, ale tak szybko i nieznacznie, że Larry prawie je przegapił. Za plecami, z najciemniejszego kąta, dolatywał delikatny szelest, łagodny jak jedwab, jak tchnienie, jakby ktoś mały grając w chowanego pławił się w jedwabiu. Larry chciał się obejrzeć, ale matka zerknęła na niego i surowo pokręciła głową.

–Słyszę cię, ale niewyraźnie – mówił Fraser. – Jesteś młody, tak? Jesteś dzieckiem. Może powinieneś poprosić kogoś dorosłego, żeby ci pomógł znaleźć Jacka Tryalla.

Szelest za plecami Larry'ego na kilka chwil ustał. Ale nagle niebieskawe światelko nad czołem Wilberta zaczęło rosnać i migotać z coraz większym nasileniem. Zaczęło jaśnieć i błękitnymi brylantami odbijać się w oczach Wilberta. Jego twarz nabrała białoniebieskiej bladości, jakby Fraser był tak samo nieżywy jak wszyscy ci, których dusze wzywał.

–Musisz mówić głośniejsze, mój drogi – Wilbert przymilał się do ducha. – Musisz się pokazać.

Samodyscyplina Larry'ego wyczerpała się już i czuł, że musi się odwrócić. Usłyszał za sobą jakieś nowe szepty i szelesty. Poczul kłujący chłód, jakby ktoś otworzył drzwi do chłodni w masarni. Spojrzał na matkę, ale stała spokojnie, bez żadnego strachu czy ruchu. Margot Tryall stała pośrodku z zamkniętymi oczami i odrzuconą do tyłu głową. Tak jak wszyscy miała podniesione ręce, ale w odróżnieniu od innych mocno zaciskała pięści. Dick Volare pochylił głowę i Larry nie mógł dostrzec jego twarzy, ale przypuszczał, że z grymasem szczerzy zęby. Caldwell również miał zamknięte oczy i szeptał coś pod nosem. Stał najbliżej Wilberta, więc i na jego twarz padał niebieski blask. Samantha Bacon wpatrywała się wprost w Larry'ego, ale najwyraźniej nic nie widziała szeroko otwartymi oczami. Przynajmniej Larry'emu wydawało się, że patrzy wprost na niego; mogła jednak równie dobrze patrzeć za jego ramię i widzieć to, czego on nie widzi.

–No, mój drogi, musisz się pokazać – prosił Wilbert duszka. – Nie pomożesz nam odszukać przyjaciela, jeśli nie pokażesz nam drogi.

Larry dosłyszał głośniejszy szelest. Potem dobiegł go dźwięk niepodobny do niczego, co w życiu słyszał. Jakby czyjś oddech płynący z najdłuższego tunelu, jaki zdołał sobie wyobrazić. Jednak z każdym pojedynczym oddechem ktoś się przybliżał. Mimo to wciąż pozostawał w oddali.

Larry poczuł dreszcz strachu. Wiedział, że musi się obejrzeć.

–Larry – usłyszał szept Wilberta. – Cokolwiek by się działo, nie odwracaj się!

–Co? – spytał zdezorientowany Larry.

–Nie odwracaj się! Zakłócisz równowagę! Już niedługo zobaczysz jej ojca i swojego też.

Oddech intensywniał coraz szybciej. Szybciej, szybciej i szybciej. Szelest stawał się coraz głośniejszy, bliższy i bardziej nerwowy.

–Szybciej, mój drogi, szybciej – ponaglał Wilbert Fraser. – Czekamy na ciebie tu w naszej rzeczywistości, w realnym świecie! Szybciej!

Nad jego czołem jaśniało niebieskie światło, które nadawało jego twarzy wygląd podobny do pośmiertnej maski. Światło oślepiało niemal jak blask słońca w zimowej mgle. Gdyby Larry nie dostał ostrzeżenia o możliwości zakłócenia równowagi, osłoniłby dłonią oczy. Nagle światło wydłużyło się, sięgnęło czyichś rąk, a potem skacząc z jednych dłoni na drugie zatoczyło krąg, zostawiając świetliste więzy intensywnej energii.

–No, malutki, dalej! – Głos Wilberta był głośniejszy od szeptu.

Larry uważnie nasłuchiwał. Nie dochodził go już żaden dźwięk, choć cały czas czuł na plecach chłód i powiew. Nagle, wraz z podmuchem lodowatego powietrza, obok łokcia Larry’ego przeleciała mała, mniej więcej jedenastoletnia dziewczynka. Zawadziła o grzbiet jego dłoni. Tak go przestraszyła, że wykrzyknął: „Ach!” i bezwiednie zrobił krok do tyłu.

Dziecko nie mogło się dostać do pokoju inaczej, jak tylko przez okno albo wychodząc z kryjówki za zasłoną. Larry szóstym zmysłem wyczuwał ludzi stojących za swoimi plecami. Odczuwał ich aurę, ruch cząsteczek powietrza. Jednak to małe dziecko podeszło do niego tak blisko, że mogło wsunąć mu między żebra nóż, a on nie usłyszałby nawet szmeru.

–Nie ma obawy – zapewnił go Wilbert. – Wszystko jest w porządku. Zrobi, co w jej mocy, aby doprowadzić nas do Jacka Tryalla. Pamiętaj, że to nie takie proste. Ani dla ciebie, ani dla niej. Wierz mi, że nie ma gorszego cierpienia nad umieranie, oddzielenie od ludzi, których się kocha, oraz świadomość, że przestało się żyć.

Larry wybałuszonymi oczami wpatrywał się w plecy dziecka. Weszło do kręgu i stało naprzeciw Margot Tryall. Margot wciąż miała odrzuconą do tyłu głowę, zamknięte oczy i zaciśnięte pięści. Zdawało się, że dziewczynka chce, żeby otworzyła oczy i zobaczyła ją.

Larry nie widział jeszcze jej twarzy, ale dostrzegał ciemne włosy splecione w warkocze i zawiązane nad uszami kokardy. Ubrana była w białą sukienkę z tafty, białe podkolanówki i białe, błyszczące pantofelki.

Chociaż w pomieszczeniu nie było przeciągu, włosy i sukienka dziewczynki falowały. Larry uzmysłowił sobie, że gdzieś rozlega się delikatny dźwięk. Podobny do odgłosów z tunelu metra. Jakby niewyraźne krzyki, odległe pociągi, a może po prostu wiatr wiejący z jednego korytarza metra do drugiego.

–Witaj, malutka – powiedział Fraser bez żadnego strachu. – Jak się nazywasz? Pomożesz nam odnaleźć tatę tej pani?

Dziewczynka powiedziała coś niezrozumiałego. Wilbert, wciąż z podniesionymi rękami, nachylił się i powtórzył:

–Pomożesz nam odnaleźć tatę tej pani? Nazywa się Jack Tryall. Pokażesz nam, gdzie jest?

–Umarł – powiedziała głosem tak pustym, że Larry’emu znów zeszytniał kark. Brzmiało to, jakby ktoś mówił do pustego dzbanka.

–Jasne, malutka, wiemy, że odszedł. Dlatego chcemy z nim porozmawiać. Chcemy go pocieszyć, zobaczyć, pokazać, że o nim nie zapomnieliśmy.

–Umarł – powtórzyła dziewczynka.

Wilbert znowu się wyprostował i spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem na twarzy.

Larry zaczął się zastanawiać, czy ten pokaz ducha to sprytny żart. Może to siostrzenica Wilberta albo uczennica ze szkoły aktorskiej. Może ten chłód za plecami to nic nadzwyczajnego, tylko zwykła wentylacja. Niebieskiego światełka nie potrafił wyjaśnić, ale być może i na to jest proste, naukowe wyjaśnienie. Może to jakaś elektryczność wytworzona przez generator van der Graafa.

W tym momencie dziewczynka odwróciła się i spojrzała wprost na niego. Mimo wszystko wzdrygnął się. To pewnie żart, to jakieś dziecko-aktor. A jeśli nie? A jeśli ona naprawdę nie żyje, a to jej duch?

Miała dziobatą, nadpsutą, piegowatą twarz, świńskie oczka i małe usta, tak małe jak rana po nożu w brzuchu tygodniowego nieboszczyka. Z pewnością nie wyglądała na ducha. Raczej na zwykłego berbecia, który siedzi nadąsany w teatrze, a matka bez przerwy poprawia mu włosy i karci za nieposłuszeństwo.

Przez chwilę Larry myślał, że mała chce coś powiedzieć, ale z powrotem się odwróciła. W tym samym momencie Margot Tryall otworzyła oczy i spojrzała na nią.

–Ty jesteś moim duchem przewodnikiem? – zapytała szeptem Margot.

Dziecko skinęło.

–Musisz pokazać tej pani, gdzie jest jej tata – powtórzył Fraser. – Rozumiesz? Nie musisz mówić. Wystarczy, że na tak skiniesz raz, a na nie dwa razy. Moglibyśmy używać stołu. Pukanie jest pewniejsze.

Dziewczynka podniosła rękę i dotknęła dłoni Margot. Salon zdawał się wypełniać światłem i chłodem. Światło łączące dłonie wszystkich zaczynało blednąć i silniej migotać, jak jarzeniówka tuż przed wypaleniem.

Larry miał uczucie skondensowanego niepokoju. Odwrócił się do Eleonory, ale ona pokręciła tylko głową. „Nie zakłóć równowagi”, wyczytał z jej twarzy. „Poczekaj, aż zobaczysz, zanim powiesz, że nie wierzysz”.

–Chcemy, żebyś zabrała tę panią do taty. Rozumiesz, malutka? Wystarczy jedno twoje skinienie.

Dziewczynka zawahała się i skinęła. Wilbertowi poprawiła się mina.

–Wszyscy w końcu na to się zgadzają – powiedział bardziej do niej niż do kogo innego. – Ale niektórzy sprawiają nam więcej kłopotów niż inni.

–Dziewczynko, dziewczynko – szepnęła Margot. – Jak się nazywasz?

–Roberta Snow – odpowiedziało dziecko.

Margot uśmiechnęła się życzliwie do wszystkich w pokoju.

–Roberta, jak ładnie! Miałam kuzynkę: Robertę Somerville! Umarła, gdy była mniej więcej w twoim wieku. Może ją znasz?

–Daj spokój, Margot. Nie mamy czasu – przerwał Wilbert. – Musimy znaleźć twojego ojca.

Dziewczynka stała przez chwilę w milczeniu, a potem wysepleniała:

–Umarł. Jej ojciec umarł.

–Wiem o tym. – Margot ze smutkiem pokiwała głową. – Dlatego chcę z nim porozmawiać. Możesz go dla mnie odszukać?

Pokój zaczął ciemnieć, a powietrze drgało jak dopiero co zerwana struna skrzypiec. W ciemności Larry widział niewiele. Jedynie rozwianą taftową sukienkę, bladą twarz Margot Tryall i błysk brylantowych oczu Wilberta.

Miał niezwykle wrażenie, że znajduje się nie w salonie Wilberta, a w katedrze. Spojrzał do góry i widział łukowe sklepienie oraz witraże w wysokich oknach. Słyszał wysoki śpiew chóru i niski akompaniament organów. Odczuwał chłód marmurowej posadzki i otaczające go kamienne posągi świętych z martwymi oczami, zastygłe w

geście miłości, litości lub świętej nagany.

Jednak równie wyraźnie widział salon Wilberta Frasera, swoją matkę, Samantha Bacon, Dicka Volare'a i Bembridge'a Caldwell. Stał jakby w dwóch miejscach jednocześnie, a jedno doświadczenie zachodziło na drugie.

Hologram, pomyślał. Najbardziej nieskazitelny hologram, jaki w życiu widziałem. Rozejrzał się, aby sprawdzić, czy dostrzeże ukryty gdzieś projektor.

W tym momencie mała Roberta skinęła dłonią i spojrzała na niego z niczym nie zmaconym okrucieństwem.

–Ty! – syknęła głosem zimnym jak u węża.

–Larry – powiedział Wilbert. – Nie rozglądaj się! Nie zakłócaj równowagi.

Błękitne światełko błysnęło i zgasło. Z każdej dłoni spadły na dół iskierki. Larry nie wiedział, czy stoi w salonie, czy w katedrze. Podłogę pokrywał karmazynowy dywan, ale jednocześnie była marmurowa. Ich głosy niknęły w zasłonach, a jednak zdawało mu się, że słyszy ich echo. Atak na jego zmysły przypominał trzęsienie ziemi, gdy ściany oraz podłogi kołyszą się i przestają być oparciem.

Przez krótką chwilę myślał sobie: Larry, nabierają cię tutaj. Chcą cię doprowadzić do takiej dezorientacji, byś uwierzył we wszystko.

Złap dziewczynę, myślał. Tę tak zwaną Robertę Snów, a wszyscy upewnią się, że to kawał.

–No, malutka – nalegał Fraser. – Musimy się śpieszyć. Chcemy jeszcze dzisiaj rozmawiać z innymi ludźmi.

–Chwileczkę, panie Fraser – powiedział Larry. Jego głos zabrzmiał jak spod poduszki. Zastanawiał się, czy ktoś go słyszał. Wystąpił krok naprzód i wyciągnął rękę w stronę dziewczynki.

Odwróciła głowę i znów na niego spojrzała.

–Ręce przy sobie – ofuknęła go. Już prawie dotykał jej ramienia, gdy na jej twarzy pojawiło się coś dziwnego i zatrzymał rękę.

Jej włosy rozplotły się i zaczęły się wolno podnosić, jakby leżała na wznak w kałuży. Twarz zbladła, a policzki wypełniły się powietrzem. Wciąż patrzyła na niego ze złością, z oburzeniem, choć źrenice zmatowiały jak gotowana ryba na talerzu.

–Larry, przestań – powiedział Wilbert. – Sam nie wiesz, ile możesz narobić szkody!

Larry nie wiedział, co powiedzieć, co zrobić. Jednak od momentu, kiedy zobaczył, jak dziewczynce podnoszą się włosy, był już przekonany, że nie patrzy na hologram. Uznał, że to, czego doświadcza, jest prawdziwe – nawet jeśli nie całkiem jest tym, za co uważa to Wilbert Fraser.

–Spokojnie, malutka – wymamrotał Wilbert. – Wszystko w porządku, wszystko okay. Nikt cię nie dotknie, nikt cię nie skrzywdzi, jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

Była to chwila krańcowego napięcia. Spojrzawszy na matkę Larry zobaczył, że szeroko otworzyła oczy ze strachu i napięła wszystkie ścięgna na szyi. Margot Tryall trzęsa się łapiąc oddech. Bembridge Caldwell zzieleniał i spocił się bardziej od innych.

–No, malutka.

Dziewczynka wrzasnęła. Wysokim, gardłowym głosem, od którego mogły popękać szyby. Z nosa i z ust pociekło jej mnóstwo zielonej wody. Rozlało się na dywan. Stała charcząc i rżąc. Z nosa zwisały jej wiązki śliskich chwastów.

–Spokojnie, malutka – rzekł Wilbert wyciągając rękę. Ale dziewczynka zrobiła unik i wymknęła się z kręgu. Larry odwrócił się, by zobaczyć, dokąd pójdzie. Pobiegnęła prosto w stronę głównego okna.

–Chryste, zatrzymajcie ją! – krzyknął. – Chce ska...

Przerwał oszołomiony. Dziewczynka biegła do okna, a z przeciwnej strony zbliżało się jej odbicie. Postawiła nogę na sofie pod oknem i rozkładając ramiona oraz odchylając głowę, rzuciła się w okno. Zniknęła.

Zaległa długa cisza przerywana jedynie równomiernym kapaniem wody. Larry pierwszy podszedł do okna i dotknął go. Szyba była zimna i nawet nie pęknięta. Na dworze oprócz mgły i nocy nie było nic. Z okna było tak wysoko, że nawet akrobata nie wyszedłby z upadku bez złamanej nogi.

Larry odwrócił się. Popatrzył na Wilberta Frasera i na gości.

–Zniknęła – powiedział. – Widzieliście? Skoczyła w okno i zniknęła.

Wilbert bez słowa złożył ręce.

–Larry – powiedział po chwili. – Zanim zaczęliśmy, mówiłem ci, że będziemy mieli do czynienia z nieokiełznaną energią zaświatów.

Tknięty nagłą myślą Larry odwrócił się do okna i spróbował je otworzyć. Może Wilbert Fraser otwiera je i zamyka tak szybko, że trudno sobie zdać sprawę z tego, co się dzieje. Jednak to było ciężkie wiktoriańskie okno z framugą wyrobioną od wielu lat otwierania i zamykania. Pokrywała je kremowa farba. Pociągnął za klamkę, ale nie mógł jej poruszyć.

–Larry, kochanie – błagała Eleonora. Miała bielutką twarz. – Wiem, że trudno uwierzyć w ducha. Zwłaszcza kiedy widzi się go po raz pierwszy.

Larry wrócił do kręgu.

–Jak to zrobiłeś? – zapytał Frasera wprost, wskazując palcem na wodę na podłodze.

–Wyleciało z tej dziewczynki – rzekł Wilbert. – Gdy naruszyłeś jej rzeczywistość, nie miała wyboru i musiała pokazać ci, że naprawdę nie żyje. Pamiętaj, że duchy są bardzo wrażliwe na punkcie tego, co im się stało za życia. Zwłaszcza dzieci.

Margot Tryall miała łzy w oczach.

–Mogłam zobaczyć ojca, Larry – powiedziała. – Roberta by mnie do niego zabrała.

–Cóż, przykro mi, że wszystko popsulem – powiedział Larry. – Przepraszam za swój sceptycyzm. Wstyd mi. Wydawało mi się, że to takie hokus-pokus.

–Chcesz poszukać ukrytych projektorów, mikrofonów i maszyny do lodów? – zapytał ostro Wilbert. – Naprawdę nie mam nic przeciwko temu.

–Już dobrze, zapomnijmy o tym. Przepraszam – powiedział Larry. Wciąż był pod wrażeniem dziewczynki. – Chyba cierpię na chorobę detektywów. Nie przyjmuję niczego na słowo, nawet jeśli jest to przed moim nosem.

–Nie jesteś jedyny – powiedział Wilbert już trochę bardziej przyjaźnie. – Mam nadzieję, że przekonałem cię, iż druga strona rzeczywistości istnieje.

–Tak – powiedział Larry. – Naprawdę.

Dick Volare złościł się, że Larry tak nagle przerwał seans.

–Tak? Przekonałeś się wreszcie? Wiesz, myślę, że my, neapolitańczycy, mamy wyobraźnię i także trochę wiary. Wierzysz w Matkę Boską, w Niepokalane... jak to tam się nazywa, a nie możesz uwierzyć w drugą stronę? Coś ci powiem, Larry: cieszę się, że nigdy nie byłem oskarżony, i nie musiałem do niczego cię przekonywać.

–To biedactwo – szeptała Samantha Bacon. – Przypomina mi mnie, gdy byłem mała.

Bembridge Caldwell był zbyt zajęty odpluwaniem flegmy w chusteczkę, aby cokolwiek powiedzieć. John Forth oddychał szybko i nerwowo, był w lekkim szoku.

–Nie powinniśmy już kontynuować seansu – powiedział Fraser. – Świat duchów jest zaniepokojony. Moglibyśmy przypadkowo wywołać ducha, który uczyniłby więcej szkody niż pożytku.

Larry zmarszczył brwi.

–Jaką szkodę może wyrządzić duch?

–Ależ bardzo dużą, za dużą, by o tym wspominać – odparł Fraser.

–Ale co takiego może zrobić duch?

–Zapewniam cię, że bardzo wiele. Ale skończmy już z tym.

–Przecież duchy nie są z krwi i kości, prawda? A skoro nie mają substancji materialnej, jak mogą zrobić nam krzywdę?

Wilbert Fraser nie kwapił się z odpowiedzią.

–Nie moglibyśmy jeszcze raz spróbować porozmawiać z moim ojcem? – poprosiła Margot Tryall. – Tylko raz.

–Nie – rzekł Wilbert. – Gdy duchy są niespokojne, wzywanie ich może być niebezpieczne. Larry pyta dlaczego i chyba muszę mu odpowiedzieć.

Wiele z duchów ma zdolność przybierania rzeczywistych, fizycznych, ludzkich postaci – mówił Fraser. – I to na kilka sposobów. Pożyczają albo wykradają ciało od żywych. Przypuszczam, że słyszałeś o ektoplazmie. Duch pożyczka wtedy ciało od osoby żyjącej – przeważnie medium – aby stworzyć pozór swej fizyczności. Duch zajmuje ciało medium... Czasami tylko głowę, rzadko całą postać. Przy takim objawieniu trzeba być bardzo ostrożnym, ponieważ krzywdząc ducha, krzywdzi się siebie.

Istnieje wiele zdjęć zjawisk ektoplazmatycznych. Jedno z tysięcy osiemset siedemdziesiątego ósmego roku z Londynu, gdzie najślawniejsze medium William Eglinton ze swojego brzucha stworzył Araba. Inne z Lizbony, zrobione pod koniec pierwszej wojny światowej, kiedy zmaterializowała się nieludzko wyglądająca zakonnica.

–Ale dziewczynka nie wcieliła się w nikogo, prawda? Ona tylko spacerowała.

–Ona była tylko duchem. Silnym wspomnieniem tragedii małego dziecka. Nie była bardziej materialna od aktorki na ekranie filmowym.

–Jestem pewien, że czułem dotyk jej sukienki.

Wilbert Fraser uśmiechnął się i pokręcił głową.

–Czułeś to, czego się spodziewałeś. To było niczym. W każdym razie niczym materialnym.

–Mówiłeś coś, że duchy mogą wykradać ciała.

–Tak... Nie lubię rozmawiać o takich rzeczach – powiedział Fraser. Rozejrzał się po kręgu i złożył ręce. – Myślę, że dość nam wrażeń jak na jeden wieczór.

–Powiedz, jak duchy kradną ciała? – zapytał Larry.

Wilbert spojrział niechętnie.

–To się rzadko zdarza – powiedział. – Mam nadzieję, że nie zrażę obecnych tu do kontaktowania się z ukochanymi, ale istotnie zdarzają się duchy, które wykradają ludziom ich cielesną powłokę.

–W jaki sposób?

–Zwyczajnie żywią się ludzką duszą. Także ciałem, krwią, a co najgorsze osobowością.

–A co się dzieje z człowiekiem, który stanie się ofiarą takiej istoty?

Wilbertowi nie powiodła się próba uśmiechu.

–Najprawdopodobniej umiera.

–A jeśli nie?

–Naprawdę nie wiem. Nigdy nie słyszałem o kimś, kto przeżył takie doświadczenie.

–Myślisz, że mógłby zmienić postać? – zapytał zaniepokojony John Forth.

–Może się skurczyć? – dodał Larry.

Wilbert Fraser po raz pierwszy spojrział wprost na niego.

–Zdarzyło się coś takiego? Tu, w San Francisco? – pytał. – Ostatnio?

–Podałem przypadek hipotetyczny – powiedział Larry.

–Zdarzyło się, prawda?

–Powiedzmy, że tak. Mamy w szpitalu nie wyjaśniony przypadek wyniszczającego braku wydzielin gruczołowych.

–Do jakiego stopnia wyniszczającego?

–Utrata ponad pięćdziesięciu kilogramów wagi. Z sześćdziesięciu trzech do dwunastu.

–Czy to nie anoreksja? – zapytał Wilbert. – Gdy chorych na nią zmusza się do jedzenia, wyglądają czasem jak opętani przez złe duchy.

–To nie anoreksja. A jeśli tak, to nigdy o takiej nie słyszałem. Ta kobieta straciła swój ciężar w czasie krótszym niż cztery minuty.

Margot Tryall westchnęła ze zdziwienia.

–Cztery minuty – szepnął z niewiarą Dick Volare.

–Ponad trzy – poprawił go Larry.

–Trudno uwierzyć – powiedziała Samantha Bacon. – To chyba jakaś dieta, nie sądzicie? Może to trzeba opatentować? **W ZAŚWIATACH STRACISZ NA WADZE!**

–Nic tu do śmiechu – wtrącił John Forth. – Włos się jeży na głowie.

Larry nie odrywał wzroku od Wilberta.

–Czy to możliwe? – zapytał tak cicho, że tylko Wilbert mógł słyszeć.

Wilbert Fraser wykrzywił usta w zamyśleniu.

–Naprawdę nie potrafię na to odpowiedzieć.

–Nie chodzi o tak lub, nie. Wystarczą jakiegokolwiek informacje.

–Nie wiem – rzekł Wilbert. – Chciałbym, ale nie znam tego przypadku...

–To Edna-Mae Lickerman – powiedział Larry.

Z tego, co mówił Dogmeat, Wilbert Fraser z Edną-Mae Lickerman zaangażowani byli w różne tajemnicze sprawy. Dlatego Larry'ego nie zaskoczył błysk w oczach Wilberta, błysk, o którym każdy detektyw wiedział, że wyraża zdenerwowanie.

–Brzmi jakoś znajomo... – powiedział Fraser.

Larry bez odpowiedzi uniósł brwi.

–To ona straciła tyle na wadze?

Larry skinął głową.

–Cóż – powiedział Wilbert. Larry dobrze wiedział, że udaje. Musiało mu się cisnąć mnóstwo pytań. – Możliwe, że znalazła się w takim położeniu przy udziale jakiegoś pożywiającego się ducha.

–Pożywiającego się ducha? Dobrze usłyszałem?

–Tak. Niektóre ze starych duchów zdolne są pozbawić człowieka całego wnętrza. Serca, duszy, wypatroszyć jak rybę. Zabrać wszystko, co czyni człowieka tym, kim jest.

–I to przytrafiło się Ednie?

–Niewykluczone, choć, jak mówiłem, nie sposób stwierdzić tego na pewno. Jeśli jest w pobliżu San Francisco taki duch, powinienem o nim wiedzieć jako jeden z pierwszych.

–I co teraz mamy robić? – zapytała zrzędlwym tonem Eleonora. – Może duchy się uspokoją? Może usiądziemy, napijemy się czegoś i damy im trochę czasu na ukojenie? Szkoda przerywać teraz, po takim wyraźnym objawieniu się Roberty Snow.

–Przykro mi, Eleonoro – powiedział Wilbert. – Naprawdę zmęczyłem się tym wszystkim. Duchy zawsze są wymagające. Może zadzwonicie do mnie jutro i zorganizujemy drugie spotkanie?

–Och, Wilbercie, nie zmienisz zdania? – błagała Margot Tryall.

–Przykro mi. – Bez wątplenia rozstroiła go wiadomość o Ednie-Mae. – Naprawdę nie jestem w nastroju.

–Wielkie dzięki, *gumba* - powiedział Dick Volare do Larry'ego.

Larry zignorował go i wyciągnął rękę do Wilberta Frasera.

–Miło było cię poznać – powiedział. – Wierz mi, że jeśli dowiem się czegoś o Ednie-Mae...

Wilbert spojrzał tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale nagle zmienił zdanie.

–Może następnym razem.

–Następnym razem? – zapytał Dick. – A co on robi następnym razem? Zamknie ducha przewodnika do aresztu?

–Hej, *aqua in bocca*.

–Siedź cicho – odpowiedział Dick.

Larry i Eleonora powiedzieli wszystkim dobranoc. Wilbert odprowadził ich do drzwi. Zanim wyszli, położył Larry'emu dłoń na ramieniu i powiedział:

–Może moglibyśmy kiedyś porozmawiać?

–Oczywiście – rzekł Larry. – O czymś szczególnym?

–O tym i owym. O starych czasach. Pamiętasz tę letnią noc w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku, gdy na przyjęciu przy Belvedere Street aresztowano Rudolfa Nurejewa i Margot Fonteyn za palenie trawki? To było moje przyjęcie. Belvedere Street 42. Pamiętam jak wczoraj.

–Edna-Mae też tam była? – zapytał Larry.

Wilbert wsunął rękę do kieszeni i spojrzał w mgłę.

–Kierujesz się w dobrą stronę. Spróbuj tak trzymać.

–Co to znaczy?

–To znaczy, że nadchodzi czas jakiegoś pożywienia. A może dojść do czegoś jeszcze gorszego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pojechali do domu Eleonory.

–Szkoda, że nie porozmawiałeś z ojcem.

Larry zaparkował samochód i pomógł matce wysiąść. Mgła wisiała jak mokra zasłona nad światem.

–Może to i lepiej. Ta dziewczynka przestraszyła mnie jak cholera. Gdybym zobaczył ojca, mógłbym zrobić nie wiadomo co.

–Nie wolno przeklinać. Co by ojciec na to powiedział?

–Przepraszam – powiedział Larry. Uniósł wzrok do nieba i dodał: – Przepraszam, tato.

Odprowadził ją po schodach i otworzył drzwi.

–Napijesz się herbaty? – zapytała. – Mam wspaniałą orange pekoe.

–Z przyjemnością – odparł. – Mogę zadzwonić?

–Pewnie. Możesz wstawić wodę? Wiesz, gdzie co jest?

Larry nalał wody do czajnika w ciemnej, wyłożonej sosnowymi płytkami kuchni i przeszedł do pokoju.

–*Che violino! Che violino!* - skrzeczał Mussolini. Larry podszedł do klatki i wałną dłonią w pręty. Mussolini rozwrzeszczał się z wściekłości.

–Jeszcze jedna obraza, a zrobię z ciebie papuzią kanapkę, rozumiesz?

Podniósł słuchawkę i wykręcił domowy numer. Linda odebrała natychmiast. W tle słyhać było rockową muzykę. Linda słuchała rock'n'rolla tylko wtedy, gdy Larry'ego nie było w domu.

–Cześć, kochanie. No i jak było? – zapytała. – Porozmawiałeś sobie z tatusiom?

–Nie śmieć się. Z ojcem nie rozmawiałem, ale widziałem prawdziwego ducha.

–Widziałeś prawdziwego ducha? – zapytała takim tonem, jak gdy pytała Mikeya, czy naprawdę widział w łazience potwora.

–Naprawdę, Lindo. Małą dziewczynkę. Przestraszyła mnie jak cholera. Chciałem powiedzieć: na śmierć.

–Żartujesz sobie.

–A brzmi to jak żart?

–Może i nie, ale na pewno, jakbyś coś wziął.

–Nie wygłupiaj się. Czy ja kiedyś brałem?

–Jak pierwszy raz się kochaliśmy, przyniosłeś z kilo trawy.

–Bo za pierwszym razem byłem zdenerwowany. Teraz jestem przerażony. A to pewna różnica. Jak wrócę do domu, wszystko dokładnie opowiem. Muszę jeszcze położyć mamę spać i zadzwonić do Houstona Brougha.

–O której wrócisz?

–Nie później niż o dwunastej.

–Kocham cię, ty szalony Italiańcu.

Rozłączył się i wykręcił numer do Houstona. Połączono go z posterunkiem przy Haight-Ashbury, gdzie Houston pojechał porozmawiać z Davidem Greenem.

–Przyszedł po południu i poprosił, żeby go zamknąć w celi. Mówił, że boi się, bo ktoś chce go posiekać na kawałki. Nie powiedział kto. Zapytałem, czy osoba, która

mu grozi, ma jakiś związek z tą, którą widział w oknie, ale zrobił tylko głupią minę. Jest załamany nerwowo. Później zabiorą go do szpitala.

–A potrafi opisać twarz w oknie?

–Przykro mi, ale nie zdołałem się tak szczegółowo wypytać. Całkiem zdziwaczał.

–A co z Leibowitzem?

–Nie ma go w domu. Sąsiedzi nie widzieli go ani nie słyszeli od piątku rano.

–Muszę go mieć, Houston. Potrzebuję opisów. Jakichś faktów.

–Staram się, ale co ja mogę? Zaangażowałem w poszukiwania prawie wszystkich jasnowidzów stąd do Fairfax.

–Może mniej o tych czarach, a więcej pomyśl o normalnym śledztwie.

–Wracam do miasta. Rano dam znać.

–Dobra.

Eleonora wniosła tacę z herbatą i *torta di noci* domowego wypieku oraz kieliszek orvieto dla Larry'ego. Usiadła obok niego i wzięła go za rękę.

–Ojciec byłby z ciebie dumny, wiesz?

–Mimo że odwróciłem się plecami do rodzinnych interesów.

Uśmiechnęła się, pochyliła i pocałowała go w czoło.

–Twój ojciec był mądrzejszy, niż to się innym zdawało.

Larry uniósł kieliszek w milczącym toaście na cześć ojca. W salonie było niezbyt jasno. Larry mógł sobie wyobrazić, że ojciec jest gdzieś tutaj – siedzi na swoim fotelu i jak zwykle patrzy w ogień. Larry'ego korciło, aby wstać i upewnić się, że ojca nie ma.

–Też czujesz jego obecność? – zapytała matka.

Larry skinął głową.

–To dziwne, prawda? Wydaje nam się, że zmarli wciąż są z nami, że możemy ich dotknąć. Nigdy bym nie przypuszczał.

–Są tu naprawdę – wyszeptała Eleonora. – W nocy ożywiają się. Są bardzo podekscytowani.

–Po tym, co się zdarzyło u Wilberta, nic mnie już nie zaskoczy.

–Może mimo wszystko powinniśmy porozmawiać z ojcem.

Larry spojrzał uważnie.

–Co masz na myśli? Słyszałaś, co mówił Wilbert. Był zbyt zmęczony i kontynuowanie seansu groziło niebezpieczeństwem.

–To nigdy nie jest niebezpieczne. – Eleonora uśmiechnęła się. – Wilbert wymawiał się, bo był podenerwowany. Jak rozmowa z ojcem może być niebezpieczna?

–Ale przecież Wilbert nie będzie już dzisiaj chciał nam pomóc, prawda?

Matka nachyliła głowę.

–A kto tu mówi o Wilbercie? Poradzimy sobie sami.

–Hej, hej, chwileczkę. Nie jesteśmy mediami, prawda? Poza tym nawet nie wiemy, jak się do tego zabrać!

–Ja wiem. Twoja babcia mi pokazała. Zawsze mówiła, że jestem wrażliwa.

–Pamiętam. Myślałem, że mówi o twojej skórze.

Matka roześmiała się.

–Daj spokój – powiedziała. – Spróbujmy. Tak mocno wyczuwam ojca... Z pewnością uda nam się z nim porozmawiać. Chociaż kilka słów, Larry! Żeby tylko udowodnić sobie, że można! Mówię ci, jakie to wspaniałe! Pamiętasz, jego głos? Pamiętasz, jak się śmiał?

–Nie jestem pewien – rzekł Larry. Po doświadczeniach z utopioną dziewczynką nie był przekonany, czy spotkanie z ojcem to taki świetny pomysł. Może ojciec będzie czuł się w obowiązku pokazać – tak samo jak Roberta Snow – w jaki sposób umarł? Może rzeczywiście do niego przemówi, powie coś, o czym Larry przedtem nie wiedział, o czym nie chciał słyszeć? Może Mario Foggia nie okaże się taki wielki, jakiego go Larry pamięta? Może to wcale nie ten neapolitański heros, który gołymi rękami miażdżył orzechy, ale zwykły mężczyzna z wąsikami w trzyczęściowym garniturze?

A może zaskoczy ich duch, który jak rybę wypatroszy ich z serca, duszy i wszystkiego, co stanowi o ich tożsamości?

–To bardzo łatwe – powiedziała Eleonora – o ile się wierzy. Zgasimy światło i jednocześnie pomyślimy o ojcu, a potem wezwiemy kogoś, żeby nas poprowadził.

–Sam nie wiem, mamo.

–E tam, będzie ci się podobać.

Przeszła po pokoju i pogasiła wszystkie lampy z wyjątkiem jednej w stylu art deco, z grzybami na ciemnożółtym tle. Mimo protestów Mussoliniego zasłoniła także jego klatkę.

Usiadła i podniosła ręce w taki sam sposób jak Wilbert Fraser.

–Może powinniśmy się złapać za ręce... – zaproponował Larry. – Pamiętasz, co Wilbert mówił o mocy zaświatów? To jak trzymanie gołych przewodów.

–Nic nie będzie – zapewniła matka. W ciemności z trudem dostrzegał jej twarz. Cienie mebli na ścianach urosły do ogromnych rozmiarów. – No, podnoś ręce!

Larry z niechęcią zrobił, co kazała. Matka zamknęła oczy i medytowała przez chwilę. Larry również próbował myśleć o ojcu. Tato, gdzie jesteś, tato! Pomieszczenie nie utrudniało wspomnień. Każde krzesło, stolik, obrazek, firanka – wszystko przesiąknięte było obecnością ojca.

Larry zamknął na chwilę oczy, ale wrażenie bliskości ojca tak gwałtownie się wzmogło, że natychmiast je otworzył. Przez sekundę miał wrażenie, że ktoś jest w pokoju.

–Czy ktoś nas poprowadzi do Maria Foggii? – zapytała matka.

Cisza. Larry'emu wydawało się, że obniżyła się lekko temperatura. Czuł, że atmosfera gęstnieje do konsystencji zupy z płatkami kukurydzianymi. Mussolini skrzeczał nerwowo spod przykrycia.

–Kto pomoże nam znaleźć Maria Foggię? – powtórzyła Eleonora. – Czy ktoś pomoże nam znaleźć Maria Foggię?

Larry pamiętał, żeby dłonie trzymać płasko i popychać kosmos. Tym razem czuł, że kosmos odpowiada naporem. Mnóstwo cząsteczek naciskało na jego ręce. Dotykał jakby chłodnej, ruchliwej materii nocy.

Jeszcze raz zamknął oczy. Wydawało mu się, że pod powiekami jest gdzie indziej

niż na zewnątrz. Był pewien, że czuje obecność aury ojca, ale trudno było mu przywołać na pamięć jego twarz. Tato, tato! Ale widział tylko czarny garnitur w jodełkę, perfekcyjne mankiety i odświeżaną powierzchnię klap. Bez twarzy. Tylko ubranie, zapach tytoniu i wody kolońskiej. Przypomniał sobie jego śmiech. Słoneczny, ale wietrzny dzień, chmury sunące po niebie jak przestraszone owce i śmiech ojca.

–Ten pan Lupone próbuje pokazać, jaki jest grzeczny i dobrze wychowany i wiesz, co mówi, gdy chce iść do łazienki? Pyta, gdzie jest *ubacasa!* Gdzie jest wychodek.

Dlaczego zapamiętał coś tak nieważnego, tak głupiego? Czuł zapachy kuchenne, *spaghetti al sugo di pesce* - spaghetti z sosem rybnym, które w piątek wieczorem ojciec zawsze jadł, *i primi*.

–Ty, Laurence, zawsze mówisz *gabinete*. Nie musisz mówić jak wielki pan z przedmieścia.

Larry otworzył oczy. Wydawało mu się, że widzi niebieskawy blask okalający głowę matki niczym ognista aureola. Blask jaśniał, zaczął drżeć i migać. Larry był już pewien, że go widzi.

Eleonora otworzyła oczy i spojrzała na syna z triumfem.

–Chyba coś mam – szepnęła. – Słyszę głosy! Ktoś chce nas poprowadzić.

–Mamo, ostrożnie, na miłość boską!

Białoniebieskie światełko migotało teraz nad ramionami Eleonory, nagle dotarło do jej dłoni, zawahało się i przeskoczyło na rękę Larry'ego.

Ogarnęło go jeszcze dziwniejsze uczucie niż w domu Wilberta Frasera. Od chwili gdy połączył się z matką, słyszał te same głosy co ona. Krzyki, szlochy, wołania. Bardzo odległe, niczym głosy ludzi na tonącym statku.

–Chyba trochę się niepokoją – powiedział do matki. – Może powinniśmy dać im spokój.

–Zawsze tak krzyczą – powiedziała Eleonora. – Żałują utraconego życia. Nie przejmuj się, ktoś przyjdzie nam pomóc.

Aby zachować spokój, Larry wolno oddychał. W salonie robiło się coraz chłodniej i nieprzyjemniej. Chociaż nie próbował się odwracać, żeby przerwać łączność ze światełkiem, zaczął czuć na dłoniach swędzenie.

–Ciągle szukam kogoś, kto mi pomoże odnaleźć Maria Foggię – powtórzyła Eleonora. – No, proszę, kto mi pomoże?

Eleonora siedziała na krześle z wysokim oparciem, ręce unosiła do góry. Wyglądała prawie nabożnie. Larry pomyślał, że jest taką wspaniałą matką i że tak bardzo ją kocha. Dziwne uczucie patrzeć na kobietę i wiedzieć, że kiedyś było się w jej ciele, w ciepłe i bezpieczeństwie, że się kręciło i kopało, spało i śniło o wielkości. Babcia Larry'ego mówiła, że synowie nigdy nie wybaczą matkom tego, że wydały ich na świat. Mogą je niezmiernie kochać, ale nigdy tego nie wybaczą.

–Potrzebuję przewodnika! – wołała matka. – Jest was tak wielu. Czuję to, czuję. Dlaczego się cofacie?

Odczucie na dłoniach Larry'ego wzmagало się. Jakby ktoś drapał go paznokciem.

W tym samym czasie białoniebieskie światełko zaczęło mocniej drżeć i przeskakiwało z jednego palca Larry'ego na drugi, wydając przy tym dźwięk przypominający ciche wyładowania elektryczne.

Larry czuł, jak w salonie rośnie napięcie, temperatura natomiast spada jak kamień do studni.

–Zimno – powiedział do Eleonory.

–Oznaka obecności duchów – odpowiedziała. – Są tutaj bardzo blisko, ale z jakiegoś powodu zachowują dystans.

Wtem białoniebieskie światełko zgasło. Pomieszczenie znów zalał mrok, w którym przebłyskiwał jedynie miodowy odblask lampy.

Eleonora poruszyła się na krześle i wyjęła w ciemności oczy.

–Coś tu jest nie tak – rzekła. – Światełko jest dla nas drogowskazem, sprowadza do nas przewodników. Zawsze jest pomocne, łagodne i nigdy się tak nie zachowywało.

–Może nie powinniśmy już dzisiaj próbować?

Eleonora nie odpowiedziała. Wciąż nasłuchiwała i nasłuchiwała.

–Coś tu jest – szeptała. – Coś tu jest!

–Ojciec? – zapytał Larry. Miał już sucho w ustach.

–Nie jestem pewna. Dziwne. Też to czujesz?

Swędzenie w dłoni stawało się nie do zniesienia. Spojrzał do wnętrza. Na wierzchu poruszały się drobne plamki w kształcie chmur, pod którymi śmiał się kiedyś jego ojciec. Zmarły ojciec. Zmarły ojciec, którego wołał dziś wieczór.

–Mamo... – powiedział, ale Eleonora go ofuknęła.

Znów popatrzył na dłoń. Plamki zaczęły się układać w możliwy do odróżnienia kształt przypominający ludzką twarz. Mężczyzna miał odwróconą głowę, jakby rozmawiał z kimś obok. Larry widział, jak porusza wargami, uśmiecha się, potakuje. Przypominał postać z filmu rysunkowego.

–Mamo, spójrz na to.

–Ciii, Larry, proszę cię. – W jej głosie było czuć strach i napięcie.

–Mamo...

–Coś tu jest – szeptała. Odwróciła się i spojrzała na niego. Wyglądała, jakby krew odpłynęła jej z twarzy. Stała się biała jak kreda.

–To ojciec?

Eleonora zawahała się, ale zaraz szybko pokręciła głową.

–Coś jest na jego krześle.

Larry szybko odwrócił się w tamtą stronę. Serce mu zamarło, gdy zobaczył rękaw, ale uprzytomnił sobie, że to od matczynego płaszcza.

–Nic nie ma, mamo.

–Matko Boska, coś tam jest.

–Uspokój się, mamo. – Larry wstał. – Nic tam nie ma, pokażę ci.

–Nie! – krzyknęła. Nigdy nie słyszał w jej głosie takiego strachu.

Należało to przerwać natychmiast. Larry podszedł do krzesła, gdzie czarny płaszcz matki leżał tak, jak go zostawiła – ze zwisającymi rękawami i postawionym

kołnierzem.

Spróbował się uśmiechnąć do matki.

–To tylko twój płaszcz. Nic więcej. Tylko płaszcz.

Podniósł i pokazał jej. Ale ona wciąż kulila się i patrzyła na płaszcz, jakby był żywy.

–Mamo... – powiedział zaczynając się niecierpliwić i ruszył do niej z płaszczem w ręku.

–Nie, Larry! Nie! Zabierz to! – paplała matka. – Larry!

–Mamo, uspokój się. To tylko pł...

Lecz nagle uświadomił sobie, że płaszcz był czymś więcej.

Coś w nim było.

Coś mające masę i objętość. Płaszcz wypełniał się utwardzającą się substancją. Stawał się większy i cięższy. Stawał się bezgłową istotą z czarnego materiału.

Oszołomiony Larry próbował zabrać rękę. I dopiero wtedy zrozumiał, co się dzieje. Z wnętrza jego dłoni lał się szarobiały żel. Lał się prosto do rękawa płaszcza, a płaszcz powiększał się z każdą sekundą. Ektoplazma, mówił mu Wilbert Fraser. Mogą pożyczyć lub wykraść ludzkie ciało. Mogą wypatroszyć je jak rybę.

Płaszcz zabierał jego własną substancję duchową, aby wypełnić się życiem.

Larry szarpnął ręką. Ektoplazma ciągnęła się jak klej do tapet. Cofał się, zawadził o tacę i zrzucił ją ze stołu. Patrzył na kształt ogromnego ducha i sapał nie wiedząc, co zrobić. Salon zdawał się uginać pod własnym ciężarem.

–Mamo... – wykrztusił obejmując jej ramię. – Mamo... zabierz to! Wyślij tę cholerną rzecz tam, skąd przybyła.

Eleonora Foggia cała się trzęsła.

–Nie umiem – jęknęła. – Nie wiem jak.

–To nie ojciec, prawda?

–Nie wiem, kto to jest. – Pokręciła głową.

Płaszcz nie okazywał znaku życia. Czarny, ślepy, bezgłośny stał z metr od nich. Bił od niego przejmujący ziąb, wokół zdawał się wiać wiatr poruszający aksamitnymi zasłonami w taki sposób, jakby ktoś się za nimi ukrywał.

–Czego chcesz? – zapytał Larry.

Postać z płaszcza jakby się skurczyła, ale to wszystko.

–Kim jesteś? Czego chcesz? – Larry stanowczo żądał odpowiedzi.

–Idź stąd! – zapiszczała Eleonora. – Idź stąd, wracaj na drugą stronę!

Postać z płaszcza wciąż poruszała się na swoim własnym kosmicznym wietrze i wciąż nie dawała żadnej wskazówki, czego pragnie, kim jest, ani po co się zjawiała.

–Jezu, dzwonię po Wilberta – powiedział Larry.

Z trudem opanowując drżenie rąk otworzył książkę telefoniczną, odszukał nazwisko Frasera Wilberta i wykręcił numer. Usłyszał jedynie równomierny syczący dźwięk, jakby Wilbert Fraser wykręcił numer i nie odłożył słuchawki na widełki.

Larry się rozłączył.

–Larry – powiedziała matka gwałtownie zmienionym głosem.

Poczuł lekki wstrząs. Niepodobny do trzęsienia ziemi, lecz raczej do niskiego

dźwięku powstającego, gdy pociąg z dużą prędkością przejeżdża przez tunel pod San Francisco Bay. Ostatnia lampa zamrugła i zgasła. Potem długi, straszny moment trwali w absolutnej ciemności.

–Mamo?! – zawołał Larry wyciągając przed siebie ręce.

Eleonora Foggia nie odpowiedziała.

–Mamo – powtórzył Larry. – Mamo, nie ruszaj się.

W pokoju panował spokój i chłód. Rozlegał się jedynie delikatny szmer wiatru. Nieskazitelną ciemności nie zakłócał nawet najmniejszy blask żadnego z kolekcji luster.

–Nic ci nie jest, mamo? – zapytał Larry na ślepo macając rękami.

Słyszał jakieś uderzenia, a potem nagle puste „aaaach”, jakby ktoś krzyczał z bólu i desperacji.

Poruszał się do przodu, aż jego kolano zawadziło o krzesło matki. Sięgnął ręką, próbując jej dotknąć, ale wyglądało na to, że jej tam nie ma.

–Gdzie jesteś, mamo? Co się stało?

Po raz drugi zapanowało milczenie. Nagle oślepiło go bijące światło – światło napelniające pokój cieniami i zamieniające rzeczywistość w japoński teatr. Postać z płaszcza zamieniła się z istoty ciemnej w coś tak zupełnie jasnego, że aż rażącego w oczy.

Larry zasłonił twarz. Słyszał, jak matka krzyczy najwyższym tonem swojego głosu. Z podniesionymi ramionami, zaciśniętymi pięściami i wyrazem męki na twarzy klęczała na podłodze u stóp postaci z płaszcza.

–Odejdź! – krzyknął Larry do stwora. Zuchwale postawił krok naprzód, lecz wtem wielka, jasna, mglista istota fizyczną siłą cofnęła go. Czuł także, jakby ktoś zamroził mu umysł.

Słyszał jakąś szarpaninę, straszliwe dźwięki łamania kości – dźwięki przypominające napinanie ścięgien i oddzielanie skóry od ciała. Eleonora złapała za swoje szczęki, rozwarła je szeroko i krztusiła się, zipała próbując złapać oddech. W desperackim wysiłku przetrwania bólu, strachu i krztuszenia tupiała nogą w bucie na wysokim obcasie. Cała się trzęsła.

–Zostaw ją! – Larry ostrzegwał stwora. – Zostaw ją, bo cię kropnę.

Wyciągnął swoją trzydziestkę ósemkę i wycelował ją oburącz.

–Zostaw ją! – powtórzył jeszcze raz.

Postać zignorowała go. Może wcale go nie widziała. Może nie wiedziała, co to pistolet. Może wiedziała, ale nie przejmowała się tym.

Larry przybliżył się, cały czas celując do postaci.

–Kimkolwiek, do diabła, jesteś, odejdź! Rozumiesz? Odejdź!

Postać znów go zignorowała. Larry gotów był do strzału, gdy nagle przypomniał sobie słowa Wilberta Frasera. Przy takim objawieniu trzeba być ostrożnym, bo raniąc ducha rani się samego siebie.

Eleonora ciężko dyszała i rzęziła w agonii. Larry wahał się. Wciąż trzymał pistolet, ale już z mniejszym przekonaniem. A jeśli Wilbert się mylił? Widział sączącą się z własnej dłoni ektoplazmę, ale czy to możliwe, że ta mglisto-światlista postać

powstała z niego? A nawet jeśli Wilbert Fraser miał rację, jak można pomóc matce, nie narażając własnej skóry? Zanim zdążył pomyśleć, co ma robić, matka zaczęła szarpać się na klęczkach, wygięła plecy do tyłu aż do bólu, usta miała szeroko rozwarte. Na wpół sparaliżowaną ręką próbowała dotknąć syna, z szaleństwa oczy niemal wypłynęły jej z orbit, a Larry nie wiedział, czy strzelać, uciekać, a może przewrócić postać na podłogę, czy stać i modlić się, żeby matce nic się nie stało.

–Nie jesteś prawdziwy! – krzyknął. – Nie jesteś prawdziwy, nikogo nie możesz skrzywdzić!

Jednak cokolwiek to było, z jakiegokolwiek zakamarka umysłu pochodziło, istniało naprawdę.

Larry słyszał, jak matka próbowała coś z siebie wykrztusić. Jej klatka piersiowa drgała w konwulsjach. Nagle jej usta wypełnił ogromny kłęb światła, krwi i wrzasku.

Larry stanął jak wryty, nie mógł się poruszać, nie mógł mówić. Nigdy nie próbował sobie wyobrazić, jak wygląda ludzka dusza – jak naprawdę wygląda esencja, gdy wywlec ją z ciała.

Teraz już wiedział. Wyglądała jak wymiociny wszystkiego, co matka robiła, czuła, myślała i doświadczała. Postać zmusiła matkę do zwrócenia nie tylko tego, co zjadła, ale i tego, co przeżyła.

Widział krew, ciało, na wpół przeżute ryby, światła neonów, dzieci, twarze, burze deszczowe, rowery, poduszki. Słyszał płacz i śpiew, fortepiany i orkiestry. Słyszał tupot stóp i trzaskanie drzwiami. Słyszał setki tyknień i dzwoneń zegara. Czuł zapach dymu, zapach kuchni, perfum, kwiatów i świeżo wypieczonego chleba.

Potem, z ostatnim drgnieniem matki, które wstrząsnęło nią jak szmacianą lalką, zobaczył litry krwi, umazaną we krwi twarz ojca i jeszcze coś – coś, czego nie rozumiał – zalaną światłem słonecznym, tajemniczo uśmiechniętą twarz innego mężczyzny.

Cała ta chaotyczna gmatwanina powleczone była oślepiającym światłem bijącym z figury. I to światło pochłonęło całą tę plątaninę.

Rozległ się ogłuszający huk. Rozdzierający hałas, przypominający eksplozję w kopalni. Skurczona do rozmiarów karła Eleonora upadła na brzeg dywanu. Wiła się i konwulsyjnie wierzgała nogami.

Larry przeżegnał się. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, chroń mnie, Chryste. Obiema rękami podniósł pistolet i wycelował w sam środek oślepiającego światła.

Ale w ostatniej chwili nerwy go zawiodły. A jeśli strzeli i zabije siebie? Kto wtedy złapie Szatana z Mgły? Houston Brough? A może Arne ze swoją nie kończącą się analizą, wydrukami komputerowymi i sądowymi testami?

Poza tym wysoka ektoplazmatyczna postać zaczęła przygasać. Zdawało się, że łagodny, chłodny wiatr wieje teraz w przeciwną stronę, że jest wsysany przez swoje źródło.

–Kim jesteś?! – zapytał Larry ochrypłym głosem.

Postać pokiwała wielką, ciemną głową.

–Kim jesteś?! – krzyknął Larry. – Czego chcesz? Co zrobiłeś mojej matce?

Postać nie odpowiedziała. Zrobiło się ciemniej niż w najczarniejszym mroku.

Jeszcze przez chwilę wiał wiatr, ale i on ustał.

Płaszcz matki upadł pusty na podłogę.

Larry podszedł i podniósł go. Przez króciutki moment słyszał oddalającą się muzykę i niknące światelko. Zdawało mu się, że doszedł go śmiech i podnoszące na duchu dźwięki. Czuł zapach prażonej kukurydzy i charakterystyczny aromat cukrowej waty.

Wszystko minęło.

Stał oszołomiony i mocno poruszony. Na dole, na podłodze, słyszał kaszel matki. Uklęknął i aby jej ulżyć, uniósł jej trochę głowę. Patrzyła w ten sam sposób co Edna-Mae. Na głowie pozostały tylko place włosów, jakby po egzemie. Miała zapadnięte policzki, a kończyny chude jak patyki. Ubrania zwisały z niej, a pierścionki pospadały na podłogę.

–Mamo... to ja, Larry. Słuchaj, mamó, zabiorę cię do szpitala.

Eleonora szeroko wytrzeszczyła oczy. Nie ważyła więcej od wyrośniętego kota. Stopy zwisały bezwładnie, gdy niósł ją korytarzem i wychodził na pełne kłębow mgły powietrze.

Nie wydawała z siebie żadnego dźwięku, ale otwarte oczy świadczyły o tym, że nie umarła.

Kolanem otworzył drzwi toyoty i ułożył matkę na siedzeniu. Pas bezpieczeństwa zapiął uważnie, aby dokładnie ścisnął skurczone ciało. Z dolnej wargi zwisała jej nitka śliny. Patrzyła na niego otwartymi oczami, ale nie dawała znaku, że go poznaje ani że rozumie, co się stało. Larry był w większym szoku, niż się przed sobą przyznawał, a gdy usiadł obok niej, ręce tak mu się trzęsły, że z trudem umieścił kluczyk w stacyjce.

Zapalił silnik i zjechał z krawężnika. Taksówkarz zatrąbił na niego, bo zapomniał włączyć światła.

–Przepraszam! *Scusi!* Nie zauważyłem.

–Zapomniał! – wrzasnął taksówkarz. – Nie myślałem, że takie dupki mają oczy!

Gdyby Larry nie był taki zdenerwowany, mógłby spisać numer i podać go do raportu. Ale teraz zależało mu na jak najszybszym dowiezieniu matki do szpitala.

Zapalił światła i docisnął gaz do dechy. Samochód zerwał się i pomknął wzdłuż Larking. Mgła była tak gęsta, że widoczne były tylko oślepiające światła i fluorescencyjne znaki.

–Mario! – zakrakała matka kołysząc głową.

–Wszystko w porządku mamó, nie krzycz.

–Mario! – wrzasnęła.

–Już dobrze, mamó. To nie potrwa długo. Miałaś wypadek, to wszystko.

Ale matka zwróciła ku niemu wzrok. Jej oczy płonęły nienawiścią.

–Mario, skurwielu, zdradziłeś mnie.

–Słuchaj, mamó – powiedział Larry kładąc jej dłoń na ramieniu. – Ja jestem Larry. Miałaś wypadek. Wszystko będzie dobrze. Uspokój się.

Samochód podskoczył, gdy wjeżdżał na Polk. Matka prawie wyślizgnęła się spod pasa bezpieczeństwa. Z mgły wyłoniła się przed nim czerwona ciężarówka Lasarda's

Pane Integrale. Cholerna włoska bryka, zaklął w myśli i nacisnął na klakson.

–Policja! – krzyknął. – Z drogi, kurwa mać.

Kierowca nie usłyszał go zza szyby i zwyczajnie pomachał ręką.

Larry wyminął ciężarówkę, pomknął przed siebie i prawie rozbił samochód na skrzyżowaniu z Van Ness. Matka uderzyła czubkiem głowy w przednią szybę, ale nie przestała zrzedzić i przeklinać.

–W rocznicę ślubu, w nasze srebrne wesele, poszedłeś gdzieś z jakąś dziewczyną i zaciągnąłeś ją do łóżka, może nie? Cała rodzina na nas czekała, a ty się spóźniałeś. Wszyscy wiedzieli, gdzie byłeś.

–Uspokój się, mamó – prosił Larry. – Jesteśmy już prawie na miejscu.

–Ty nic nie wiesz. – Splunęła i zaczęła się szarpać w konwulsjach.

–Wytrzymaj. Jeszcze tylko trzy minuty.

–Ty nic nie wiesz! – krzyknęła.

–Już dobrze, mamó. Pamiętasz? Dziadek zawsze powtarzał: *Giovane potesse, vecchio sapesse*. Młodzi mają energię, a starzy wiedzą, co z nią robić.

–Nic nie wiesz, skurwielu – skrzeczała. – Upokarzałeś mnie raz za razem, przed całą rodziną. Tak mnie poniżyć.

–Mamó, nie wiem, o czym, do diabła, mówisz.

Matka trzęsła się i szarpała na fotelu. Larry dostawał już prawie histerii: Co ja, u diabła, zrobiłem, myślał. Zniszczyłem własną matkę. Tę elegancką, piękną kobietę, którą tak bardzo kochałem. Matko Boska, miej na nią baczenie, miej na nią baczenie.

Była podobna do starego nikiemnego karła. Przewracała oczami, pocila się i toczyła pianę z ust. *Sancta Maria, ora pro nobis*.

–Mamó, wytrzymaj, na miłość boską.

Lecz wtem, w połowie drogi między Willow a Eddy, matka zaczęła się rzucać z boku na bok, machać rękami, wierzgać nogami. Nachyliła się w stronę Larry'ego i ugryzła go w rękę.

Toyota zjechała na drugą stronę ulicy i potrąciła powoli ruszającą ciężarówkę. Kawałki rozbitego plastiku rozsypały się we mgle. Larry zakręcił kierownicą, ale matka ugryzła go teraz w ucho. Odepchnął ją, lecz zwróciła się ku niemu z jeszcze większą zaciekłością. Sapała, skrzeczała i charczała. Szamotanina z nią przypominała walkę ze złośliwym kotem.

–Mamó, na miłość boską!

Ugryzła go w twarz. Czuł jej zęby na kościach policzkowych. Samochód wpadł w poślizg, obrócił się i koniec końców uderzył w krawężnik. Zatrzymał się na hydrancie. Przednia szyba rozprysła się w drobny mak. Larry odbił się głową od kierownicy i wcisnął plecami w siedzenie. Przez otwór po rozbitej szybie, wciąż skrzecząc, matka wyskoczyła na pełną kawałków szkła maskę. Larry próbował złapać ją za kostkę, ale była szybsza.

–To ty! – krzyknęła. – Zdradziłeś mnie! Poniżyłeś mnie!

Trochę skacząc, trochę spadając, znalazła się na jezdni.

Larry nawet nie zauważył zdążającej do Golden Gate potężnej zielonej ciężarówki z przyczepą. Był w zbyt silnym szoku i panowała zbyt gęsta mgła. Właściwie nawet

jej nie słyszał.

Lecz gdy matka powłócząc nogą ruszyła w stronę przeciwnego krawężnika, z mgły wyłonił się zarys pojazdu i rozległ się ryk klaksonu.

–Mamo! – wrzasnął Larry. Chociaż już nie za bardzo była jego matką.

Koła ciężarówki o centymetry minęły kuśtykającą postać, ale ona rzuciła się pod przyczepę. Wielka opona roztarła ją po powierzchni ulicy jak dojrzałego pomidora. Zapiszczały hamulce. Opony zawyły do wtóru. Eleonora Foggia była teraz krwistą smugą rozciągającą się na prawie dziesięć metrów. Nie zostało z niej nic prócz szkarłatnej mazi, gdzieniegdzie udekorowanej kawałkami połamanych kości, włosami, strzępami tkaniny i poplątanych jelit.

Larry spuścił głowę. Kolana bolały go od uderzenia w spód deski rozdzielczej. Podbródek miał mokry od krwi. Nie wiedział, co robić. Siedzieć i czekać, aż ktoś mu pomoże, czy udawać, że wcale go tu nie ma.

Czarnoskóry mężczyzna w daszku zajrzał przez rozbitą szybę.

–Co ty tu robisz? – spytał.

–Nic złego. Nic złego – powiedział Larry.

–To twój dzieciak wybiegł na ulicę?

Larry pokręcił głową.

–To nie było dziecko, tylko... – Dotknął ręką oczu i uświadomił sobie, że płacze. – Cholera! – powiedział złościąc się na swoje mazgajstwo.

–Miałem pierwszeństwo, no nie? – zapytał czarnoskóry.

–Jasne – rzucił Larry. Podniósł cudem działający radiotelefon. Mężczyzna patrzył ze zdziwieniem, a on zadzwonił do komendy głównej i poprosił Houstona Brougha. Houston prawdopodobnie już wyszedł, ale Glass powiedział, że może jest jeszcze na 24 Street i przesłuchuje mężczyznę, który twierdzi, że jego sąsiad całą noc śpiewa i pali kadzidełka. Larry'emu wciąż drżał głos i od czasu do czasu musiał przerywać, by zaczerpnąć oddechu i zapanować nad sobą.

–Houston? Miałem straszny wypadek przy Van Ness. Między Eddy a Willow. Ze mną wszystko w porządku, nic mi nie jest, ale moja matka została, hm, zabita.

–Jezu, Larry! Nie wiem, co powiedzieć.

–Słuchaj, ona była niezupełnie taka jak zwykle. Ona... ona się zmieniła. Tak jak Edna-Mae.

–Co ona? Nie kapuję?

–Jadę porozmawiać z Wilbertem Fraserem. Potem wrócę na Bryant Street. Która godzina?

–Trochę po dziesiątej.

–Dobra. Spotkamy się o wpół do dwunastej. I zrobisz coś dla mnie? Zadzwoń do Lindy i powiedz, co się stało. Powiedz jej, że moja matka nic nie czuła, że jestem zdrowy i że później do niej zadzwonię.

–Jest cztery po dziesiątej, Larry.

Tymczasem na miejsce wypadku przyjechały dwa patrole i karetka pogotowia. Po drugiej stronie ulicy oficer policji – Chińczyk! – złapał za ramię czarnoskórego kierowcę, który wysiadł z samochodu i chodził w kółko. Larry szarpnięciem otworzył

uszkodzone drzwi toyoty i z trudem wygramolił się na zewnątrz. Podszedł do niego młody policjant i zapytał:

–Nic panu nie jest? Jeszcze przez chwilę nie powinien się pan ruszać. Niech pana zbadają lekarze.

Larry pokazał odznakę.

–Musisz mnie podwieźć – powiedział miękkim głosem. – Poczekamy na twojego partnera i podrzucicie mnie na Jackson Street.

–Za chwilę, poruczniku. Musimy wyjaśnić kilka szczegółów. Wie pan, co mam na myśli? Ta papierkowa robota.

–Jasne – powiedział Larry. – Nie ma sprawy.

Stał przy swoim pogruchotanym samochodzie i gazą ocierał krew z twarzy. Nie patrzył na ciężarówkę ani na ciemną maź, która kiedyś była jego matką. Czerwone światła karetki raziły go w oczy. Tak samo jak czarnoskórego, który stał obok i spoglądał z szacunkiem.

–Ja miałem pierwszeństwo, prawda? – znów zapytał.

Larry skinął.

–Oczywiście. To nie ulega kwestii.

Gdy Larry dotarł na Jackson Street, odjeżdżali właśnie ostatni goście seansu Wilberta. Samantha Bacon w zabawnym jasnym futrze (żadna aktorka, nawet tak zapomniana twarz, jak Samantha Bacon, nie mogła sobie pozwolić na strój nie pasujący do ich środowiska) i brzydko wyglądający Bembridge Caldwell.

Larry podziękował policjantowi za podwiezienie i wysiadł. Gdy przemierzał schody, w otwartych drzwiach stanął Wilbert Fraser.

–Mój Boże, Larry! Co się stało? – zapytał. – Wyglądasz jak po wypadku.

–Domyślny jesteś – powiedział Larry. Usta zaschły mu na wiór. – Przy Van Ness miałem kraksę. Matka zginęła.

–Nie żyje? Eleonora nie żyje? Mówisz poważnie? Eleonora?

–Przykro mi, ale mówię poważnie.

–O Boże! O mój Boże! Nie wiem, co powiedzieć.

Wilbert przygryzł wargi. Larry dojrzał łzę w kąciku jego oka i modlił się do Boga, żeby dał mu na tyle siły, aby sam powstrzymał się od płaczu. Przynajmniej na razie. Pozwól mi zapłakać w samotności, gdy to wszystko dobiegnie końca.

–Muszę porozmawiać – powiedział do Wilberta.

–Ależ oczywiście, jak najbardziej. Proszę, wejdź. Chcesz się umyć? Pożyczę ci czystą koszulę. Biedna, droga Eleonora. Jak to się stało?

Wilbert Fraser zamknął drzwi wejściowe i zaprowadził Larry'ego do wielkiej łazienki z marmurową wanną, mahoniową boazerią i naklejkami z zaklinającym węża nagim chłopcem oglądanym przez Arabów.

–Tu się możesz umyć. Nie przejmuj się, jak zakrwawisz ręczniki. Chcesz kawy?

–Potrzebuję czegoś mocniejszego niż kawa, jeśli można.

–Ależ tak, naturalnie.

Larry przestraszył się, gdy zobaczył w lustrze swoją postać. Twarz miał pokrytą zaschniętą krwią, a na prawym policzku, gdzie matka go ugryzła, widniała głęboka

bruzda. Także ręce pełne były ran i zadrapań. Włosy miał szare od kurzu i pełne rozbitego szkła.

Powoli, uważnie napełnił wannę gorącą wodą i umył się. Woda nabrała od krwi rdzawego koloru. Potem poszedł do salonu, gdzie z butelką jacka danielsa i kieliszkami z ciętego kryształu czekał na niego Wilbert.

–Usiądź – powiedział Fraser.

Larry rozsiadł się w rozłożystym brązowym fotelu i wypił spory łyk whisky. Otrząsnął się. Gardło mu płonęło, ale rozgrzał się, rozluźnił i stłumił okropne uczucie przypominające atak serca, a spowodowane dostarczeniem do organizmu zbyt wielkiej dawki adrenaliny.

–Nie bardzo wiem, dlaczego chcesz rozmawiać ze mną – rzekł Wilbert.

–Urządziliśmy sobie własny seans – powiedział Larry.

–Nie rozumiem.

–Wróciliśmy wieczorem do domu, ja i matka, i urządziliśmy sobie własny seans.

Matka była pewna, że nam się uda. Organizowała je nieraz z babką.

–Psiakrew – powiedział Wilbert. – Psiakrew. Domyślam się, że chciała porozmawiać z twoim ojcem?

Larry skinął.

–Tak ją podekscytowała ta mała dziewczynka. Zwłaszcza że ja uwierzyłem.

–I co się stało? – zapytał Wilbert zdejmując i składając okulary. – Duchy były dziś niespokojne. Przeraźliwie niespokojne.

–Tak samo jak tutaj złapaliśmy się za ręce. Wiem, wiem. Wiem, co mówiłeś. Do takiego seansu potrzeba naprawdę silnego medium. Próbowałem jej to przypomnieć, ale uparła się, że zrobi to tak jak ty. Czyste połączenie, rozumiesz?

–Oczywiście – skinął Wilbert. – Ale to niewiarygodnie niebezpieczne.

–Nie żartowałeś. Świeatko pojawiło się... a potem płaszcz mojej matki wyciągnął z mojej dłoni ekto plazmę. Cóż... tak mi się zdaje, że ekto plazmę. Płaszcz sam stał.

–O Boże – westchnął Wilbert. – Żadnemu z was nie przyszło na myśl, że to niebezpieczne? Komunikowanie się ze światem duchów jest zwykle tak bezpieczne, jak latanie boeingiem 747. Ale nie pozwoliłbyś latać trzyletniemu dziecku, prawda? A może i byś pozwolił. Bo kto oprócz ciebie pozwoliłby komuś tak niedoświadczonemu jak Eleonora na kontakt ze zmarłymi?

–Nie zdawałem sobie sprawy – mówił Larry. – Mówiłem, żeby była ostrożna, żeby złożyła ręce.

–W obliczu ducha, który potrafił wyciągnąć z ciebie ekto plazmę, nie sprawiłoby to większej różnicy.

Larry poczuł się gorzej. Wypił za dużo whisky.

Wilbert popatrzył na niego w zamyśleniu.

–Mówiłeś: dłoń?

–Proszę?

–Mówiłeś, że wyciągnęło ekto plazmę z twojej dłoni?

–Dokładnie. Coś się nie zgadza?

–Nie, nie, skądże. Ale to niezwykle. Duchy najczęściej pobierają ją z boku, z

brzucha, rzadziej z głowy. Nieczęsto słyszy się o ektoplazmie czerpanej z dłoni. Mogę popatrzeć?

Larry nachylił się na fotelu i wyciągnął dłoń. Wilbert dokładnie ją obejrzał i przebadał. Potem, nie ruszając się, spojrział Larry'emu prosto w oczy.

–Jesteś jednym z nich? – zapytał z niedowierzaniem.

–Z jakich „nich”?

–Wiesz, o czym mówię. Jezu! O wizerunkach na dłoni.

Larry gwałtownie zabrał rękę.

–Słyszalesz o tym?

–No pewnie. Jesteś członkiem Czarne Bractwo. Nic dziwnego, że mój seans z Margot Tryall szedł tak opornie.

–Czarne Bractwo? Co to, do diabła, jest?

–Masz obraz na dłoni i nie wiesz, co to jest?

–A powinienem?

–Czarne Bractwo to najprężniejsza okultystyczna grupa, o jakiej słyszało San Francisco.

–Dogmeat Jones coś wspominał!

–Są trochę przerażający. Naprawdę – powiedział Wilbert i zmienił temat. – Dogmeat jeszcze się tu kręci? Dawno go nie widziałem.

–Edny-Mae Lickerman też już sporo czasu nie widziałeś – dodał Larry.

–Rzeczywiście – przyznał Wilbert w zakłopotaniu. – Ale faktycznie. Dopiero co mówiłem, że jej nie znam. W gruncie rzeczy znam ją doskonale. Przepraszam, że nie przyznałem się dziś wieczorem, ale obawiałem się. Mam wstręt do policjantów, którzy nie przestają być policjantami nawet po służbie. Trudno wobec nich zachowywać się zupełnie otwarcie.

Larry skończył whisky.

–Właściwie byłem wieczorem na służbie. Prowadzę poszukiwanie Szatana z Mgły.

–Rozumiem. Ale nie sądziłem, że ktoś tutaj...

–Nie, nie, oczywiście, że nie. Ale Szatan z Mgły daje ostrzeżenia, że z drugiej strony nadchodzi coś strasznego, i ma zamiar zjeść na lunch San Francisco.

„Pożywienie”, używa takiego słowa. Aż do tego wieczora nie wiedziałem o drugiej stronie nic, prócz tego, co mi opowiadała matka. A teraz, cholera, znów wolałbym zapomnieć.

–Przykro mi, Larry, nawet nie wiesz jak bardzo.

–Chcę tylko wiedzieć, czy istnieje możliwość, aby duch powrócił z drugiej strony? W pewien sposób powrócił do życia?

–Mówisz o zmartwychwstaniu? Prawdziwym zmartwychwstaniu?

–Chyba tak.

–Cóż... są na ten temat mity i legendy. Istnieje też kilka rytuałów. Ale czy one działają...

–A to Czarne Bractwo... zajmuje się takimi rzeczami?

Wilbert wzruszył ramionami.

–Czy Czarne Bractwo może mieć coś wspólnego z Szatanem z Mgły? – nalegał

Larry. – Próbuje ustalić jakieś dane. Próbuje znaleźć jakiś punkt zaczepienia.

–To ty mi możesz powiedzieć. Ty masz obraz na dłoni.

Larry przysunął mu dłoń do twarzy.

–Mówię ci, że nie mam pojęcia, skąd się to wzięło. Gdybym wiedział, jak tego się pozbyć, uwolniłbym się natychmiast. A teraz chcę wiedzieć, czy według ciebie te dwie rzeczy mają ze sobą coś wspólnego. I co to jest Czarne Bractwo?

–Dobrze, spróbuję ci wyjaśnić. Ale trudno w to wszystko uwierzyć.

–Po dzisiejszym wieczorze gotów jestem uwierzyć we wszystko.

–No tak... – powiedział Wilbert. – To było dawno temu. Dużo tu plotek, pogłosek i przesądów.

–Powiedz wszystko, co wiesz – przerwał Larry. – Potrafię oddzielić ziarno od plew.

–Sposób, w jaki natrafiłem na okultystów, był mniej lub bardziej przypadkowy – wyjaśnił Wilbert. – Ponieważ większość członków mojej rodziny, zwłaszcza ze strony matki, miała dar silnej psychiki, przez niemal całe życie uważałem to za coś naturalnego. W dzieciństwie myślałem, że każdy słyszy, widzi i czuje spacerujące wokół duchy. Nigdy się ich nie bałem. Wiedziałem, że ludzie, z którymi rozmawiam, są martwi i nic mi nie zrobią. Przeważnie było mi ich żal, bo wiedziałem, że dla wielu z nich śmierć była szokiem – zwłaszcza jeśli umarli tragicznie, jak Roberta, którą dzisiaj widzieliśmy. Pewnego razu wpadła mi do głowy myśl, żeby założyć Zakład Terapii Duchowej... odszukiwać rodziny zmarłych, pomagać im przystosowywać się do nowej rzeczywistości w świecie zmarłych. Ludzie po śmierci stają się samotni i zagubieni... tracą rodziny, przyjaciół, tracą troski i radości życia codziennego. Tracą smak, uczucia, pocałunki, miłość. Jeden chłopiec porównał śmierć do przesiedania się sprzed kolorowego do czarno-białego telewizora.

Dwie, trzy godziny temu Larry uznałby Wilberta za skończonego wariata – trochę tylko bezpieczniejszego niż Szalony Jack, zwycięzca ogólnoamerykańskiego konkursu na Mistera Szaleństwa. Teraz jednak sam widział utopioną dziewczynkę w sukience z tafty, osobiście był świadkiem okrucieństwa istoty, która zniszczyła jego matkę – i z masochistycznym zacięciem wierzył w każde słowo Wilberta. Ja się myliłem, a Wilbert miał rację. Istnieją zjawy i duchy, istnieje ruchoma twarz na mojej dłoni.

–Na Czarne Bractwo trafiłem przypadkiem. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym lub sześćdziesiątym piątym roku. Pracowałem wtedy w Muzeum Sztuki Współczesnej. Robiłem ramy do obrazów, chociaż ludziom zawsze mówiłem, że jestem artystą. Razem z przyjacielem mieszkaliśmy nad kawiarnią bitników na Valencia Street. Może mnie kiedyś widziałeś. Luźny sweter, broda, beret. Każde zdanie zaczynałem od „jakby”. Jakbym był jednym z bitników.

–Tak, jasne – rzekł Larry. Zaczynał się otrząsać po doznanym szoku. I tak samo jak widziany kiedyś przez niego policjant, który stopniowo zaczynał uświadamiać sobie, że został postrzelony, tak stopniowo zaczęło do Larry’ego docierać, że jego matka nie żyje, naprawdę nie żyje i to, co zdarzyło się dziś wieczorem, nie było maskaradą ani horrorem. Żadnego lateksu, żadnej sztucznej krwi, żadnych

manekinów.

Jego elegancka, ukochana mama została psychicznie i emocjonalnie wyzyskana przez oślepiające, białe światło, a potem na jego własnych oczach rozarta na maż z kawałkami kości i włosów. Wiedział, że zanim skończy się noc, cała ta tragedia dotrze do niego, pograży w smutku i zupełnie rozstroi nerwowo.

Ale teraz, myślał, mam pilną robotę i smutek oraz tragedia powinny na razie zostać na boku.

Wilbert dopił whisky i nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę. Ani razu nie spojrzął Larry'emu prosto w oczy – jakby się bał czegoś lub wstydził.

–Czarne Bractwo? Raz ich nie ma, raz są. Jak w piosence: „Najpierw góra jest, potem nie ma jej”. Albo wpadają nagle do miasta, jak ci źli w westernach. Było ich czterech czy pięciu, a zdawało się, że wszędzie ich pełno. Szło się na kawę – byli, w każdym razie dwóch albo trzech. Siedzieli w zacienionym kącie, nosili czarne koszule i amulety. Z wyjątkiem jednego Lepera, tak chudego, że strach było na niego patrzeć, wszyscy byli silni, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Wyglądali naprawdę groźnie. Jeden z nich przypominał Latynosa, ale reszta była absolutnie biała. Każdy miał ich już dosyć, bo wszędzie się kręcili i rozsiewali wokół siebie atmosferę napięcia. Wiesz, co mam na myśli? Zamierały rozmowy, nikt się nie śmiał.

W każdym razie mówiło się, że zajmują się czarną magią. I niektórzy ludzie zaczęli się do nich przyłączać. Ot tak, po prostu, chyba żeby wyglądać na odważnych. W tamtych czasach najważniejsze było, żeby być „swoim”, a gdy trzymało się z tamtymi facetami, było się „swoim”. Dziewczyny były nimi zafascynowane. Edna-Mae uwielbiała ich. Nawet jeśli godzinami słowem się do niej nie odzywali, nawet gdy totalnie ją ignorowali, siedziała przy nich. Patrzyła, jak piją, jak palą, słuchała, jak przeklinają Chrystusa. Mieli w sobie charyzmę, chociaż w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku tak tego nie nazywaliśmy.

Potem, na początku lata tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku zaczęli umierać ludzie. Doszło do nieprzyjemnych morderstw przy Haight-Ashbury i w Mission District. W gruncie rzeczy morderstwa te obaliły ruch miłości i pokoju, zanim zaczęli tu napływać turyści. Ludzie przestali kochać, przestali ufać. Czy można z kimkolwiek przestawać obawiając się, że ten ktoś z radością patrzyłby, jak wyciągasz nogi? Nie. Na pewno nie.

Początkowo, oczywiście, nie wiązaliśmy tych zabójstw z Czarnym Bractwem, ale oni zaczęli się nimi chwalić. I wszystko stało się tajemnicze i groźne. Niektóre dziewczyny chodziły z nimi do łóżka, ale nigdy nie słyszałem, żeby któraś szła dwa razy. Opowiadały, że w środku nocy budziły je nieludzkie głosy, że na dłoniach tych facetów widziały plamy i ruchome twarze. Ludzie zaczęli widzieć twarze na ekranach telewizorów, gdy były wyłączone, w lustrach, gdy nikt się w nich nie przeglądał, a nawet na tapetach.

–Nikt nie pomyślał, żeby wezwać gliny? – zapytał Larry.

–Daj spokój. W tamtych czasie ludzie brali tyle kwasu, że to wszystko mogło być uznane za jedną wielką zbiorową halucynację. Taki jungowski odjazd, w którym biorą udział wszyscy bliźni. Poza tym w tamtych czasach nikt nie wzywał glin. Policjanci

mieli nieprzyjemny zwyczaj włożenie tam, gdzie ich nie proszono. Wzywałś gliniarzy, gdy facet z wyższego piętra nasikał ci na parapet, i co się działo? Wpadało do ciebie dwóch napuszonych gnojków z odznakami, pistoletami i grubymi dupami i przetrząsało twoje mieszkanie jak swoje własne. Potem jeden próbował twojej dziewczynie wsunąć rękę pod szlafrok i wiesz, bum-bum, i już oskarżenie za napad na oficera policji i posiadanie trawy, którą, odkąd została zakazana, gliniarze zawsze ze sobą wozili.

Larry'emu nie było do śmiechu.

–Wygląda na to, że teraz mamy do czynienia z tymi samymi rzeczami – powiedział. – Zabójstwa, twarze.

–Tak – skinął Wilbert. – Miałem nadzieję, że to coś innego, ale wygląda na to, że to jakiś nawrót. Kwiaty we włosach zastąpione...

–Nie myślałeś, żeby powiedzieć o tym policji?

Wilbert pokręcił głową.

–W przeszłości miałem z policją pewne przejścia. Poza tym, nie byłem pewien.

–Nie jestem sam. – Larry podniósł dłoń. – W całym mieście widywane są twarze.

–Słyszałem co nieco. Czuję wibracje. – Wilbert opuścił szklaneczkę. Wyglądał na dogłębnie zmartwionego.

–Ludzie widzą je w snach. Nawet w zupie.

–A co z twoją dłonią? Czy... czy przemówiła do ciebie?

Larry zacisnął pięść i skinął głową.

Wilbert napił się whisky i pomyślał. Potem powiedział:

–Miałem seans. Wiesz, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku, gdy Czarne Bractwo zaczęło wymykać się spod kontroli. Moja dziewczyna spała z jednym z nich. Nie z Leperem, tylko z takim, który nazywał się Mandrax. Z takim wielkim, wygolonym jak księżyc Latynosem. W każdym razie dziewczyna z taką jak u ciebie dłonią z ruchomymi wizerunkami. Próbowła skłonić Mandraxa, żeby uwolnił ją od tego, ale nie chciał. Może nie potrafił. Wiesz, nie nazwałbyś tych facetów intelektualistami. W końcu mnie poprosiła, żebym ją wyzwolił od tej twarzy. Opowiadała, że leży czasami w nocy, a dłoń mówi do niej. Zupełnie zrozumiałe, że dziewczyna zwariowała. Była nazbyt nerwowa. Uważała się za przyjaciółkę Natalie Owings.

–Z moją dłonią jest tak samo – powiedział Larry. – Widzę plamki, a potem twarz, która mówi.

–Nie wiem dokładnie, skąd to się bierze, nigdy tego nie widziałem. Ale przed kilku laty rozmawiałem w Berkeley ze starym medium. Człowiek ten mówił, że potężna siła duchowa może przedstawić swój wizerunek na oknach, lustrach, na wszystkich błyszczących powierzchniach. Także na dłoni, ponieważ dłoń jest zwierciadłem ludzkiej duszy... bardziej nawet niż oczy. Dlatego chiromanci czytają z dłoni. Dlatego Indianie unoszą dłoń i mówią *hawk*. Proszę, wejrzyj w moją duszę, nic nie ukrywam.

–Co się stało podczas tego seansu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku? – zapytał Larry.

Wilbert nadął policzki.

–Uuuu, co się stało? Seans rozpętał piekło. Z powodu tego seansu modliłem się, żeby sprawa Szatana z Mgły nie miała nic wspólnego z Czarnym Bractwem. Organizowaliśmy seans w moim mieszkaniu w Belvedere. Było nas siedmioro. Celowo wybrałem siódmkę, bo zapewnia ona w pełni połączenia psychiczne bez trudnego do opanowania przeciążenia, gdy jest trzynaście osób. Przy trzynastce może zerwać dach. W każdym razie była wśród nas dziewczyna z naznaczoną dłonią. Nazywała się Shetland Piper. Drugim medium był... George Menzel. W tamtych czasach byłem naturalnie mniej doświadczony, więc przeprowadziłem to całe trele-morele, śpiewy, wprowadzenie. Ale zanim skończyłem, Shetland zaczęła krzyczeć, bo z jej dłoni wypłynął duży bąbel ekto plazmy.

Trzymała dłoń grzbietem do stołu, więc zobaczyliśmy część twarzy. To był najstraszniejszy widok, jaki widziałem w życiu. Twarz wyglądała jak częściowo rozdarta, jak w połowie podarta fotografia. Było zbyt jasno, żeby orzec, czy twarz należy do człowieka. Zaczęło przeraźliwie cuchnąć, jakby rozniósł się odór ścieku albo szurzego mięsa. Niektórzy zaczęli wymiotować.

Udało nam się zadać trzy pytania: „Kim jesteś?”, na co twarz odpowiedziała: „Najgodniejszy”. Drugie pytanie: „Czym jesteś?” i odpowiedź: „Panem Prawdy”. Oraz trzecie: „Czego chcesz?”, na co twarz odrzekła: „Pokoju”.

Potem zerwała się piekielna burza i wszystko w mieszkaniu zaczęło fruwać. Obrazy, krzesła, stoły. Jedna z dziewczyn dostała kawałkiem szkła i o mało nie straciła oka. Sama ekto plazma zamieniła się w huczący ogień. Dziewczyna miała, oczywiście, poparzoną rękę, ale nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy została pozbawiona ducha. Gdy odwożono ją do szpitala, była o półtora kilo lżejsza.

–Moja ekto plazma też do mnie nie wróciła – rzekł Larry.

–To wejdź na wagę i zobacz, ile ważył twój duch. Różnie bywa. Ekto plazma zawiera więcej światła i energii niż materii, ale nie zdziwiłbym się, gdybyś stracił ze cztery, pięć kilo.

Larry od razu poczuł swoje ręce, uda, brzuch. Czuł się lżejszy. Był lżejszy.

–Co się działo po seansie? – zapytał Wilberta.

Wilbert był z lekka rozdrażniony.

–Po seansie, jak zabraliśmy Shetland i Suzie do szpitala, pojechałem do domu George’a Menzela i długo rozmawialiśmy o tym, co się stało. George miał wtedy prawie siedemdziesiąt lat, a duchy wywoływał jeszcze przed wojną, w Wiedniu. Podczas wojny przebywał w Dachau i organizował seanse dla Niemców, dzięki temu udało mu się przetrwać. Prowadził też badania nad duchami, demonami i Bóg wie nad czym jeszcze. Twierdził z pewnością, że Czarne Bractwo przejęło sukcesję po starotestamentowej bestii – Belialu, Królu Kłamstwa. Belial przypuszczalnie jako jeden z pierwszych aniołów został strącony z nieba, ale George uważał go za stwór bardziej przyziemny. Mówił, że istnieją pewne nadnaturalne zjawiska stworzone przez ludzkie żądze i słabości. Podobnie jak smog, kwaśny deszcz i odpadki rafineryjne koncentrują się w środowisku, tak w człowieku koncentruje się okrucieństwo, nienawiść, nieczułość. Także choroby. Demon Pazuzu z „Egzorcysty” to nie diabełek z widłami, to nagromadzenie ludzkich dolegliwości. Wiesz, że można wejść do domu,

na jakąś ulicę, a nawet do dużego miasta i natychmiast odczuć instynktownie, że to złe miejsce. To jest uświadomienie sobie obecności jednego z tych demonów, jednego z tak zwanych upadłych aniołów.

Larry usiadł wygodnie na krześle.

–Ale gdy spytałeś tę twarz, kim jest, odpowiedziała: „Najgodniejszy” i że nazywa się „Panem Prawdy”.

–Oczywiście, to właśnie utwierdziło George’a w przekonaniu, że mieliśmy do czynienia z Belialem albo z jakąś jego formą. Belial po hebrajsku znaczy „niegodny”, a znany jest również jako Pan Kłamstwa. Powstał z oszustw, łgarstw i zakłamania. Nie jest więc zdolny mówić prawdy.

–Więc... uznaliście z George’em, że to Belial.

–Tak – powiedział Wilbert. – Co więcej, doszliśmy do wniosku, że Czarne Bractwo postanowiło przywołać Beliala z drugiej strony. Nie byliśmy pewni co do sposobu, ale George wyczytał gdzieś, że Beliala można wskrzesić jedynie przez rytualne ofiary. Uznaliśmy, bez konkretnych wskazań, że Czarne Bractwo było zamieszane w zabójstwa na Haight-Ashbury i Outer Mission.

–I nie daliście znać policji?

–Nie.

–To co zrobiliście?

Wilbert zdjął okulary i ścisnął nasadę nosa, jakby bolała go głowa.

–Doszliśmy z George’em do wniosku, że trzeba zrobić coś straszego. Według Pism Morza Martwego, Belial żywi się najpierw wnętrzem, potem ciałem człowieka, a i tak jest nie nasycony. Wyobraź sobie rekina, jako stworzenie lądowe, niemal jako człowieka, a potem wyobraź sobie, że ten niby-człowiek poczyną sobie w San Francisco. Mówiło się o maszynie do zabijania. Belial jest jej ostateczną formą. Żyje, by mordować. Jest zachłanny na krew, ciało i ludzkie doświadczenie. Nie ma w nim nic z człowieka, ale pożąda naszego człowieczeństwa. Chce być królem. Skoro nie może panować w niebie, zdecydował się zawładnąć ziemią.

–Tego już za wiele – powiedział Larry. – Uwierzyłem w to, co widziałem wieczorem, uwierzyłem w drugą stronę, ale nie mogę powiedzieć, żebym uwierzył w takie rzeczy. Belial... Upadły anioł... Pan Kłamstwa? Daj spokój, Wilbert, bądźmy poważni.

Wilbert pozostał niewzruszony.

–Larry, wierzyłem w to w sześćdziesiątym siódmym roku, wierzę teraz. Czarne Bractwo przybyło do San Francisco i wskrzesiło Beliala.

–A co miałyby Belial robić w takim miejscu jak San Francisco? – zapytał Larry.

–Nie wiem. Zupełnie nie mam pojęcia. Jednak z George’em uważaliśmy, że on istnieje. I ja wciąż tak uważam. Sądzę po tym, co zdarzyło się później. Daję głowę, że on wciąż istnieje.

–Więc co zrobiliście? – Larry zapytał tonem, jakiego używał wobec podejrzanych, o których wiedział, że dopóki rozmawia z nimi pozwalając zachować im godność, można im ufać. Profesorów, którzy udusili gderliwe żony, sfrustrowanych podwładnych, którzy zastrzelili swych szefów. Bite kobiety, obrażane dzieci,

dziwaków.

–To George. Spalił ich.

–Spalił?

–Tak. Najpierw to przedyskutowaliśmy, a potem zaczęliśmy działać i spalił ich.

George był telekinetykiem. Wiesz, mógł sprawić, żeby latały kawałki papieru, rozginał spinacze z drugiego końca pokoju. Kiedyś widziałem, jak siłą woli przewrócił osiem kolejnych kartek słownika Webstera. Ale najłatwiej przychodziło mu rozpalanie ognia. Wystarczyło, żeby pomyślał o ognisku, jakie uzyskuje się przy skupieniu promieni słonecznych w soczewce... i już! Błyskał ogień.

Larry przypomniał sobie, że Frankie i Mikey zabrali ze sobą soczewkę na biwak do Kirby Cove. Wilbert zobaczył jego rozproszenie uwagi i nachylił się z butelką jacka danielsa.

–Napijesz się jeszcze?

–Nie... dziękuję. Powiedz wreszcie, co zrobiliście.

Wilbert namyślił się chwilę, a potem powiedział ze spokojem:

–Bractwo miało wielki, czarny samochód – deltę 88. Używali go wszyscy, ale rzadko można było zobaczyć ich razem. Czekaliśmy z Wilbertem na skrzyżowaniu Szesnastej i Mission przez cztery bite dni, aż pewnego ranka przejechali przed nami wszyscy razem. Nigdy przedtem nie widziałem George’a wzniecającego ogień. Przyłożył palce do czoła i wyrecytował: „Przybyły ze wschodu trzy anioły. Jeden przyniósł mróz, dwa ogień. Tam mróz, tu ogień. W imię Boga, amen”.

I wiesz, co się stało? Przy ruszaniu samochód eksplodował. Eksplodował i spłonął. Głośno było o tym w gazetach i w telewizji. Nikt nie potrafiłby udowodnić, że to George, nikt nawet się tego nie domyślał.

–Chyba coś pamiętam – uroczyście rzekł Larry. – Było bardzo wnikliwe śledztwo, prawda? Do San Francisco przyjechał Ralph Nader i badał wrak.

–No właśnie. Jednak wybuch bezsprzecznie przyniósł efekty. Zniknęły twarze, ustały zabójstwa. W pojedynkę załatwiliśmy Czarne Bractwo.

–Ale teraz znów się zaczęło – powiedział Larry.

–Tak – przyznał przygnębiony Wilbert.

–Myślisz, że Czarne Bractwo wróciło?

–Kto wie? Nie zajmuję się tymi sprawami. Umożliwiam bogatym kobietom rozmowy ze zmarłymi mężami. Dla Mrs Chauncey Middleberg zorganizowałem nawet spotkanie z jej pudłem.

–Jeśli ty nie wiesz, to kto wie? – zapytał Larry. – A co z George’em Menzelem?

–Umarł zeszłej jesieni. Można znaleźć jego grób na cmentarzu żydowskim.

–Może mógłbyś go dla mnie przywołać?

–Nie – rzekł Wilbert. – Mam lepszy pomysł. – Wstał i chwiejnym krokiem podszedł do biurka. Wziął pióro i napisał na kartce nazwisko oraz adres. Pomachał nią, aby wysechł atrament, i niczym czek bankowy wręczył Larry’emu. – Tara Gordon – powiedział. – Prowadzi „Waxing Moon”. To, można powiedzieć, sklep okultystyczny. Zna każdego i wie o wszystkim, co dotyczy rzeczy tajemniczych. Jeśli wróciło Czarne Bractwo, to ta kobieta ci pomoże.

–Dziękuję – powiedział Larry. Potem trochę ciszej spytał. – Możesz zlikwidować tę twarz z mojej dłoni?

Wilbert lekko wydał policzki.

–Chyba mógłbym spróbować.

–Shetland Piper pomogłeś.

–Shetland Piper poparzyła sobie rękę. Zmieniła się na zawsze.

–Wszystko jedno... pomożesz mi?

–Okay... pomyślę o tym. Ale nie dzisiaj... Taka operacja wymaga pełnej sprawności psychicznej i niezłej pary. Obawiam się, że dzisiaj brakuje mi obydwu.

–Dziękuję za wszystko. – Larry wstał. – Bardzo mi pomogłeś.

–Bądź ostrożny – ostrzegł Wilbert. – I pamiętaj, że Belial nigdy nie mówi prawdy.

Możesz polegać jedynie na tym, że wszystko, co powie, jest kłamstwem.

–Dobranoc – powiedział Larry ściskając dnu rękę. Była tak samo wilgotna jak przedtem. Wilbert odprowadził go do drzwi i patrzył, jak schodzi po schodach. Larry prawie natychmiast złapał taksówkę. Z samochodu widział Wilberta stojącego w oświetlonym wyjściu. Wyglądał na schorowanego i zmęczonego. Tak często nawiązywał kontakt z zaświatami, że chyba był już gotów pójść tam sam.

Larry pamiętał, jak jego babka siedziała w oświetlonym porannym słońcem pokoju i mówiła, że jest gotowa na śmierć.

–Za każdym razem, gdy odwiedzam świat duchów, zostawiam tam cząsteczkę siebie. Niedługo więcej mnie będzie po tamtej niż po tej stronie. I wtedy was opuszczę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Linda czekała, aż Larry wróci. Przytuliła się do niego bez słowa. Na koszuli poczuł jej łzy.

–Wszystko w porządku – zapewnił. – Właściwie to jeszcze do mnie nie dotarło.

–Ach, Larry, twoja biedna matka.

–Chyba nawet nie wiedziała, co ją spotkało.

–Co robiłeś na Van Ness? Nie rozumiem.

Larry przeszedł na drugą stronę kuchni, wyjął z kredensu butelkę whisky i nalał sobie pół szklaneczki. Jednym łykiem wypił prawie wszystko na raz.

–Larry! – powiedziała Linda. – Chcesz mieć kaca?

–Dziękuję za ostrzeżenie, ale dziś umarła moja matka i już mam kaca.

–Aresztują kierowcę ciężarówki?

–Za co? To nie była jego wina. Matka wbiegła mu wprost pod koła.

–Oj, Larry, tak mi przykro.

–Pewnie. Mnie też.

–Nie powiedziałam jeszcze chłopcom. Chyba lepiej, jeśli dowiedzą się od ciebie.

Larry skinął głową. Nie chciał już rozmawiać o swojej matce. Gdy wracał do domu, wydawało mu się, że zdolny będzie opowiedzieć Lindzie – o wszystkim, wszystko z siebie wyrzucić. Że gdy zacznie mówić, oczyści się z pewnego poczucia winy. Teraz jednak wrócił do domu i czuł, że musi zachować tajemnicę. Zanim będzie mógł porozmawiać o tym z Lindą, sam musi ułożyć to sobie w głowie. On wierzył, bo widział na własne oczy, ale nie wiedział, jak skłonić Lindę, żeby uwierzyła.

Miał przed oczami każdy szczegół wydarzeń tego wieczoru. Dziewczynkę z cieknącą z ust wodą. Własną matkę wymiotującą życiem. Czarny płaszcz upadający na podłogę. Kierowcę ciężarówki desperacko próbującego hamować. Krew i płuca matki. Dwa żółtawe pęcherzyki roztarte na asfalcie.

–Lepiej idź już spać – kładąc mu rękę na ramieniu powiedziała Linda.

–Jasne – odparł. Dokończył whisky, odstawił szklaneczkę i pocałował Lindę.

Poszedł do łazienki i stanął na wadze. Osiemdziesiąt sześć i pół. Stracił siedem kilogramów. Samantha Bacon miała rację. W ZAŚWIATACH STRACISZ NA WADZE.

Umył zęby. Zawahał się, wziął szczoteczkę do rąk i wyszorował do czysta dłonie. Przyjrzał jej się z bliska. Póki nie zaczynały pojawiać się plamki, nie było możliwości stwierdzenia, czy powstaje tam ruchomy obrazek, czy nie. Sporą chwilę szorował dłonie pumeksem, aż stał sobie naskórek i pojawił się obrzęk, jak przy oparzeniu. Potem poszedł do łóżka i zgasił światło. Jednak nie mógł zasnąć. Słyszał Lindę zmywającą w kuchni naczynia i smutne dźwięki klaksonów przy Golden Gate. Dłoń go paliła. Rano znów zacznie śledztwo – postara się znaleźć tego, który próbuje sprowadzić Beliala z drugiej strony.

Problem w tym, że pomysł wskrzeszenia starotestamentowego anioła w San Francisco w 1988 roku wydawał się cholernie niedorzeczny. Dlaczego tutaj? Dlaczego teraz? I w jaki sposób?

Czuł, jak Linda wsuwa się cicho do łóżka. Objęła go ramieniem i pocałowała w policzek.

–Nie śpisz jeszcze?

–Nie.

–Nic ci nie jest? Jesteś straszliwie spokojny.

–Nic mi nie jest.

–A co z seansem? Dowiedziałaś się czegoś?

–Niewiele. (Powiedz jej, czemu nie?)

–Wilbert Fraser nie jest dobrym medium?

–Nie jest. (Powiedz jej, na miłość boską. Powiedz o Robercie Snów, o płaszczu, o ektoplazmie).

Cisza. Potem Linda spytała:

–Chcesz trochę nytolu?

–Nie, dziękuję. Nic mi nie jest. Jestem lekko roztrzęsiony. To wszystko.

Włączył lampę i wziął *Chron* z poprzedniego dnia. Dziesięć minut rozwiązywania krzyżówki uspokoi go. Linda przykryła się i odwróciła, a on z długopisem w zębach spoglądał na pytania:

Siedem poziomo: „Ma krótkie nogi”. Larry napisał: KŁAMSTWO.

Trzy pionowo: „Właściciel niewolników”. PAN.

Jedenaście poziomo: „Posiłek po żywych”. Larry domyślił się, że chodzi o grę słów. POŻYWIENIE.

Dwadzieścia jeden pionowo: „Składa się na mięśnie”. CIAŁO.

Larry rozwiązywał krzyżówkę z rosnącą uwagą. Zbyt duży zbieg okoliczności, żeby to była prawda. KŁAMSTWO, PAN, POŻYWIENIE, CIAŁO. Ale jak duchy mogły dobrać się do krzyżówki? Czy to się stało w każdym egzemplarzu? Może to halucynacje? Może sen? A może wciąż jest u matki w domu i nic się nie zdarzyło?

Linda odwróciła się i spojrzała spod kołdry.

–Co się dzieje? Ciągłe się kręcisz.

–Nic. Chyba muszę zadzwonić.

–Co? Teraz?

–Tak, teraz. Inaczej nie będę mógł zasnąć.

Poszedł do swojego gabinetu i wystukał numer Houstona Brougha. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał. W końcu włączyła się automatyczna sekretarka: „Tu mieszkanie Houstona i Annelise Broughów...” Larry zostawił wiadomość. Potem ciągle nie chciało mu się spać, więc zadzwonił do *Chron*.

Prawie pięć minut minęło, zanim znaleziono śpiącego dyżurnego reportera. Zeszły następne dwie, zanim zaspany dziennikarz odszukał krzyżówkę.

–Chciałem pytania do siedem poziomo, trzy pionowo, jedenaście poziomo i dwadzieścia jeden pionowo – powiedział Larry.

W słuchawce zapadła cisza. Po chwili reporter powiedział:

–Siedem poziomo: użytkownik chałupy. Trzy w dół: nocne zajęcie. To chyba „spanie”. Jedenaście poziomo – chwileczkę, niech...

–Proszę się nie fatygować, to wszystko – powiedział Larry.

–Na pewno? Jedenaście poziomo to: skłania do pieczenia chleba. To chyba „głód”, nie?

–Tak – powiedział Larry. – Możliwe.

Odłożył słuchawkę. Czuł, jak wszystko wiruje mu przed oczami. Ta sama gazeta, z tego samego dnia, a inna krzyżówka. Właśnie dla niego została zmieniona. KŁAMSTWO, PAN, POŻYWIENIE, CIAŁO. Bestia go otacza, nie ma żadnych wątpliwości. Bawi się nim. Potrafię skurczyć twoją matkę, potrafię skurczyć każdego. Potrafię na twoich oczach zmienić gazetę. I ty myślisz, że mnie złapiesz?

Prawie przez dwadzieścia minut siedział w ciemnym gabinecie. Potem wrócił do sypialni i wślizgnął się do łóżka. Linda spała. Przyzwyczaiła się, że Larry w nocy wstaje i kładzie się z powrotem. Żeby być dobrym detektywem, trzeba pogimnastykować umysł. A Larry był dobrym detektywem. Przez cały dzień i cały wieczór jego umysł pracował jak szybkoobrotowy mikser. KŁAMSTWO, PAN, POŻYWIENIE, CIAŁO.

Położył dłoń na biodrze Lindy i zamknął oczy. Nie pamiętał, kiedy ostatnio się kochali. Albo ona była zbyt zmęczona, albo on, albo oboje byli zbyt pijani, albo co gorsza jakieś zdarzenie w pracy nie pozwalało mu myśleć o niczym innym, jak krew, flaki i oczy wpatrzone w oblicze śmierci. Były zawsze martwe, ale twarze wyrażały błaganie: Proszę, nie zabijaj mnie.

I po nocy nie przychodziło pocieszenie, że jest szczęśliwy i bezpieczny. Przycisnął twarz do gładkich, ciepłych pleców Lindy. Kochał ją tak bardzo, że chciałby ją teraz obudzić tylko po to, żeby jej o tym powiedzieć. Ale była już druga nad ranem, a ona potrzebowała snu. Powędrował ręką na dół i delikatnie musnął palcem włosy łonowe. Jak można tak bardzo kogoś kochać?

Zasnął wreszcie z wycieńczenia. Nagle znów zerwał się i otworzył oczy, bo wydawało mu się, że w drugiej części sypialni słyszy jakieś odgłosy. Przez wolną od uderzeń serca chwilę wyobraził sobie, że ubranie wypełnia się i podnosi z krzesła. Z zapartym tchem spojrział w tamtą stronę, ale ubranie leżało tam, gdzie je zostawił. Jeden rękaw zwisał na dół, a kołnierzyk był rozpięty.

Najostrożniej, jak potrafił, żeby nie obudzić Lindy, położył się z powrotem na poduszce. Teraz wiedział, dlaczego nie zdobył się na to, żeby opowiedzieć jej o seansie i o zdarzeniu u matki. Były to tak okrutne rzeczy, że wzbudzały zbyt dużo najprymitywniejszego strachu. Po nich można znów poczuć się dzieckiem bojącym się ciemności. Larry wiedział, że póki żyje, nie zapomni tamtego płaszcza, a nie chciałby, żeby Linda nawet w połowie dzieliła jego strach.

Próbował jeszcze zasnąć, ale sen nie chciał przyjść. Wstał z łóżka, poszedł do gabinetu i włączył lampkę na biurku. Leżały przed nim wszystkie akta i fotografie od Arnego. Tesslerowie z oderżniętymi nogami, Wursterowie z odciętymi językami. Państwo Yee z połamanymi przedramionami. McGuire'owie z urwanymi uszami. Oślepieni Ramirezowie. I Berry'owie z przebitymi gwoździami nogami i dłońmi.

Przypuszczał, że istnieje jakaś konsekwencja w następstwie pokaleczonych części ciała. Ale nie nasuwało mu się nic konkretnego.

Może to ma coś wspólnego z „nie słyszeć zła, nie widzieć zła, nie mówić o złu”. Ale jak się mają do tego ręce i nogi?

Myślał o Wilbercie Fraserze i Czarnym Bractwie. O twarzach, które ludzie widzieli

w lustrach i w oknach. O Ednie-Mae Lickerman. Także o swojej matce. Myślał o wszystkim, co zdarzyło się, odkąd podjął się tego śledztwa, i te myśli raniły go. Wszystko to przypominało słoik dżemu rozbity na podłodze supermarketu. Było rozpaćkane, śliskie i pełne kawałków szkła.

Popatrzył na podniesioną wierzchem do góry dłoń. Sam także podlegał śledztwu. Miał naznaczoną dłoń, choć może nie rozumiał, co to naprawdę znaczy, jakie mu grozi niebezpieczeństwo, ani jak się tego pozbyć.

Myślał o Belialu. Czy to rzeczywiście Pan Kłamstwa?

KŁAMSTWO, PAN, POŻYWIEŃIE, CIAŁO. Larry był przekonany, że to niepodważalny dowód. Tylko w jego gazecie pojawiło się przesłanie. A więc przeznaczone było dla niego. Bestia nie tylko miała dość siły, by wykraść ektoplazmę, potrafiła też myśleć. Znała i naznaczyła go.

Na dłoni po raz kolejny zobaczył gromadzące się plamki. Przypomniawszy sobie, co mówił Houston. Otworzył drzwiczki szafki i wyjął kamerę video. Usiadł na biurku, ręcznie nastawił ostrość i włączył.

Plamki zaczęły tańczyć, poruszać się, aż ułożyły się w obraz. Znowu obraz twarzy – uśmiechniętej i zadowolonej. I rozległ się słaby, ale wyraźnie słyszalny głos.

–Już prawie czas na pożywienie, przyjacielu. Już prawie czas.

–Pożywienie z czego? – zapytał Larry.

Nastąpiła długa cisza, jakby twarz została zaskoczona odpowiedzią Larry'ego. W końcu jednak powiedziała:

–Z tego, co zostało obiecane. Z mej ziemskiej nagrody.

–Co jest twoją ziemską nagrodą?

–Tysiąc tysięcy obiecanych.

–Masz na myśli ludzi? Tysiąc tysięcy ludzi?

–To moja ziemska nagroda.

–Kto ci ją obiecał?

–Ci, którzy mnie wezwali.

–A kim oni są?

–Jeśli słyszysz w ciemności głos, czy przejmujesz się, do kogo należy? Poza tym ich imiona nic dla mnie nie znaczą. Gdybym mógł, nimi też bym się pożywił.

–Po co cię wezwali? Mówili? Powiedzieli, czego chcą?

–A czego chcą ludzie? Władzy nad innymi, bogactwa, bezkarności.

–Kiedy to się stało? Kiedy cię wezwano?

–Dawniej, niż możesz pamiętać, przyjacielu. A ja czekałem i niecierpliwilem się. Ale teraz wyczerpał się mój czas. Teraz czas na moje pożywienie.

Larry zacisnął dłoń w pięść i trzymał mocno. Chciał wycisnąć życie z istoty, która pojawiła mu się na ręce. Chciał ją zdusić, połamać kości. Tak długo ścisnął pięść, aż w końcu zaczęła drżeć z wysiłku.

Między palcami trzema ciemnymi strugami popłynęła krew i skapnęła na fotografię Tesslerów.

–Skurwiel, skurwiel, skurwiel – syczał Larry. – Zrobię ci to samo, co ty im, tylko dwa razy wolniej.

–Larry! – powiedziała Linda.

Larry spojrzął do góry. W drzwiach do gabinetu stała naga Linda. Miała potargane włosy, wyglądała na zaspaną i wstrząśniętą.

–Co ty robisz, Larry? Co z twoją ręką?

Larry powoli wyprostował palce. Całą dłoń pokrywała krew. Ale nie było żadnych plamek, żadnego wizerunku, żadnej twarzy.

–Chyba... – zaczął. Wtedy jednak zdał sobie sprawę, że nie ma sposobu wyjaśnienia Lindzie, co zaszło, bez wyjaśnienia wszystkiego.

–Chyba za mocno ścisnąłem – dodał przytomnie.

Linda podeszła i wzięła go za rękę. Podniosła z biurka kilka papierowych chusteczek i wytarła krew.

–Widzę też, że nagrywałeś – zauważyła.

Larry niezgrabnie wzruszył ramionami.

–Niezupełnie wiem, co robię. Przeżywam szok po śmierci matki. Próbowałem zrozumieć, czym jest cierpienie.

–Myślałam, że dowiedziałeś się tego w pracy.

–Teraz chciałem je odczuć.

Pocałowała go w czoło.

–Idź do łazienki umyć ręce. Nie ma żadnego rozcięcia. Jeśli nie możesz spać, zrobię ci herbaty.

Larry wyłączył kamerę i podniósł się z krzesła.

–Przepraszam – powiedział obejmując Lindę ramieniem – że czasami wydaje ci się, że mieszkasz z wariatem.

Znów go pocałowała.

–Jak to czasami?

O siódmej obudził synów i zrobił im na śniadanie bekon z syropem kasztanowym. Usiedli do śniadania w piżamach zawiązanych na gołych ramionach. Frankie bez większego sukcesu próbował nauczyć Mikeya Deklaracji Niepodległości.

–Gdy w dziejach ludzkości wyniknie konieczność, aby jeden z ludzi... – zaczął Mikey, przerwał i zawołał: – Źle!

–Jak to źle? – zapytał Frankie.

–Nie mówi się jeden z ludzi, tylko jedna osoba.

–Ale tu chodzi o ludzi, na przykład: miliony ludzi.

–I tak źle – upierał się Mikey.

–To Deklaracja Niepodległości, nie może być źle.

–Daj spokój, Mikey – wtrącił się Larry. – Frankie ma rację.

–Dobrze, już dobrze. Aby jednego z ludzi odwołać... Jak można odwołać ludzi?

Przecież to głupie!

Samochodem Lindy Larry zawiózł chłopców na zbiórkę przy Lombard Street. Większość ich kolegów już czekała na autokar.

–Uważajcie na siebie, chłopaki – powiedział Larry i pocałował ich na do widzenia. Ulice wypełniało światło słoneczne i chociaż Larry nie spał większość nocy, poczuł lekki przyływ optymizmu. Wydarzenia zeszłego wieczora nie straciły na dziwności,

ale dawały pewne pojęcie o tym, kogo szuka i czemu stawia czoło.

W biurze, popijając mocną czarną kawę, czekał na niego Houston Brough.

–Nic ci nie jest? – zapytał Houston.

–Jakoś przeżyłem.

–El Chiefo chce nas widzieć. Prasa wyniuchwała, że prowadzimy śledztwo niekonwencjonalnym torem. Jemu to się ani trochę nie podoba.

–Już coś wydrukowali?

–Jeszcze nie, ale dopytywali się.

Szli korytarzem do gabinetu Dana Burroughsa.

–Pierwsza rzecz, jaką dzisiaj zrobiłem, to odwiedziłem Ednę. Jest ubezwłasnowolniona, ale zachowuje się spokojnie.

–Odzyskała przytomność?

–Większość czasu śpi.

Dan Burroughs stał z rękami w kieszeniach przy oknie i palił jak lokomotywa. Nie odwrócił się, gdy Larry i Houston weszli do środka, ale po ruchu ramion można było poznać, że wie, kto przyszedł.

–Rano była u mnie ta Fay Kuhn – zachrypiał. – Chciała wiedzieć, czy oficer prowadzący śledztwo w sprawie Szatana z Mgły był wczoraj wieczorem na seansie spirytystycznym.

–O jedenastej jestem z nią umówiony – odrzekł Larry – porozmawiam na ten temat.

Dan Burroughs odwrócił się. Dym z papierosa błyszczał w słońcu.

–Więc naprawdę byłeś.

–Tak. Rozpatruję wszystkie możliwości, zwykłe i niezwykłe.

–Joego do podłogi nie przybił duch.

–Tego nie powiedziałem. Ale ktoś, kto go przybił, zrobił to z jakiegoś powodu, a powód może mieć związek ze zjawiskami paranormalnymi. Ludzie zabijają ze względów religijnych, a nie zabroniłeś sprawdzenia kościołów, prawda?

–Nie bądź dzieckiem, Larry. Religia to jedna rzecz, a okultyzm – druga. To źle nastawia opinię publiczną.

–Mam gdzieś opinię publiczną, Dan. Ja szukam faceta, który obcina ludziom nogi i podpala dzieci. I jeśli czuję, że trzeba sprawdzić także zjawiska paranormalne, sprawdzam je.

Dan Burroughs odszedł od okna i zaczął wokół nich krążyć jak nauczyciel wokół uczniów, których przyłapał na picciu piwa w krzakach.

–Nie chcę słyszeć ani słowa o powiązaniach dochodzenia z zaświatami. Łamiecie wszelkie zasady prowadzenia śledztwa. Ale gdy aresztujecie sprawcę, oby jak najszybciej, macie się upewnić, że wszystko jest jasne, żadnych wątpliwości, a akta uzupełnione, zrozumiano? Chcę postawić tego maniaka przed sądem i chcę, żeby prokurator mógł bez cienia wątpliwości udowodnić, że to on popełnił wszystkie morderstwa. Chcę widzieć oskarżenie, wyrok i egzekucję.

Jeśli zwinesz go pod zarzutami uzyskanymi od duchów z cudownych stolików albo kryształowych kuł, to wierz mi, że nigdy ci nie przebaczę, Larry.

Larry nie powiedział nic. Dan położył mu dłoń na ramieniu i popatrzył jednym okiem, bo drugie zaszczypało go od dymu.

–A przy okazji – rzekł Dan. – Słyszałem o twojej matce. Naprawdę mi przykro. Była piękną kobietą. Naprawdę piękną.

–Tak, istotnie – potwierdził Larry. – Jeszcze coś?

–Utrzymujcie łączność. Chciałbym wiedzieć, jak daleko wam do naszego ptaszka.

–Z każdym dniem bliżej, Dan.

–Ale żadnych duchów, błagam.

–Daj mi trochę swobody, a będziesz miał swoją egzekucję.

Z Dogmeatem spotkał się na Fisherman's Wharf. Mgła już całkiem opadła i zatoka błyszczała w słońcu. Larry zaparkował przy molo pożyczonym samochodem, wysiadł i założył słoneczne okulary. Dogmeat w kurtce i skórzanych spodniach siedząc na balustradzie przypominał sępa.

–*Buongiorno, mon ami* - powiedział strącając popiół i wydychając dym z trawki.

–Dzień dobry, paplo – odpowiedział Larry. – Jeśli nie za posiadanie, to mogę cię zgarnąć za zaśmianie.

–Oj, oj, *pourquoi* taki niewyrozumiały? – zauważył Dogmeat.

–Bo nie spodziewałem się, że za każdym razem, gdy skończymy nasze pogaduszki, biegiesz do najbliższego telefonu i opowiadasz Fay Kuhn, o czym gadaliśmy, o *pourquoi*.

–Daj spokój, muszę dorabiać na boku. Kiedyś policja płaciła dobrze i regularnie. Teraz musiałem nawiązać współpracę z mediami.

–Kiedyś twoje informacje były dobre i regularne.

Spacerowali wzdłuż molo. Dogmeat stukał butami ze ściętymi obcasami. Na turystów było jeszcze za wcześnie, chociaż wiał już ciepły wiatr i w zatoce zrobiło się bardzo przyjemnie. Larry przechylił się przez balustradę i obserwował łódki kołyszące się na cumach niczym kaczkę.

–Dzisiaj mam coś *prima sort* - powiedział Dogmeat. – Ale muszę zobaczyć Jadźkę Gotówkę. Nawet artyści mają swoje wydatki. Świadczenia, trunki, struny do gitary, trawka.

Larry otworzył portfel i wyjął trzy dwudziestki. Dogmeat obejrzał je pod światło.

–Gliny wypuszczają więcej fałszywej forsy niż inni.

–No więc co z tym *prima sort*? – zapytał Larry.

–Rozmawiałem z Johnem de Villescascem, jest scenografem i twórcą masek w Curran Theater. To dziwak... prawie z nikim nie rozmawia. Wierzy, że słowa są cenne i nie należy ich trwonić. Mieszka w tym *turret* na Union Street. Nie jest pedałem, chociaż kiedyś ktoś mi mówił, że czuje pociąg do owiec, ale to chyba bajer. Owce są już niemodne, a John zawsze chodzi w awangardzie. Teraz, jeśli już, byłaby mowa o lamach.

–Czy mógłbyś przejść do rzeczy? – zaproponował Larry. – Mam tylko dwadzieścia minut.

–Jasne. Streszczając: w styczniu John został poproszony o zrobienie maski. Było to prywatne zamówienie, nie na scenę. Ale chodziło o *tres, tres* dziwną, czarną

maskę przypominającą ogromnego chrząszcza z oczami i rogami. Facet zamówił ją telefonicznie, a zaliczkę wysłał pocztą. Hm... płacił siedemset pięćdziesiąt dolarów, więc John nie mógł odmówić. Dużo wegetariańskiego żarcia byłoby za tyle forsy, *n'est-ce pas?*

–Skąd twój przyjaciel wiedział, o co dokładnie tamtemu chodzi? – spytał Larry.

–Klient razem z pieniędzmi przysłał rysunek.

Z uśmiechem na ustach Dogmeat wyciągnął z kieszeni brudną i pomiętą jak psu z gardła wyjętą kartkę papieru. Larry wziął ją, rozłożył i spojrzał na szczegółowy rysunek wielkiej istoty w czarnej pelerynie i z czarną, rogatą głową chrząszcza. Za postacią jak robaki wiły się setki nagich ciał, a zza chmury wyglądało słońce.

Od razu wiedział, co to za istota. Nie potrzebował spoglądać na podpis: Beli Ja'al. Pan Kłamstwa.

–Dogmeat – westchnął. Rysunek powiewał na porannej bryzie. – Dogmeat, jesteś swego rodzaju geniuszem.

–A może geniusze warci są zapłaty?

Larry skinął i wręczył mu dwie kolejne dwudziestki. Dogmeat ze zwykłą skrupulatnością sprawdził banknoty.

–Pewnie zastanawiasz się nieraz, co się dzieje z zarekwirowanymi fałszywymi pieniędzmi? Chyba nie palicie wszystkiego? Z pornografią i trawką to sarno, nie?

–Skąd wiedziałeś, że mnie to zainteresuje? – zapytał Larry.

–A więc zainteresowało cię?

–No pewnie. Pierwszy porządny dowód na to, że mi nie odbiło.

–O co ci chodzi? – zapytał Dogmeat z przesadnym zainteresowaniem. – O złapanie mordercy czy udowodnienie swego zdrowia psychicznego?

–Powiedz, skąd wiedziałeś, że mnie to zainteresuje?

–*Natürlich*, że z powodu zleceniodawcy.

–Mów normalnie, to nie żarty.

Dogmeat pogrzebał w wyszywanej na styl hippisowski torbie i wyciągnął grubego, wypalonego do połowy skręta.

–Nie przeszkadza ci, że przypalę, *monsieur?*

Larry patrzył, jak Dogmeat podpala skręta i łapczywie ciągnie dym.

–Ech... trawa już nie ta co dawniej. Minał *l'age d'or*. Czujesz to świństwo? Jakbyś palił babciny siennik.

Larry cierpliwie czekał, aż Dogmeat skończy przybierać pozę, i powiedział:

–No dobra, Dogmeat, opowiedz, jak to było.

–Aha. Po odbiór facet przyszedł osobiście. Mówił, że chce się upewnić, czy maska będzie pasować. John opowiadał, że tamten miał na głowie ciemnozieloną czapkę narciarską, spod której widać było tylko oczy. Wszedł, spojrzał na maskę i zabrał ją do łazienki. Mierzył ją przy zamkniętych drzwiach, aby John nie mógł go widzieć. Ale gdy wyszedł z łazienki, był zadowolony. Zapłacił resztę i poszedł.

–Nie wspominał, gdzie mieszka, jak się nazywa?

–Chciałbyś mieć wszystko podane na talerzu?

–A jak wyglądał?

–Potężny, ciemne włosy, około czterdziestu pięciu lat.

–To chyba ten sam.

–I jeszcze coś – powiedział Dogmeat.

–Za darmo? – zapytał Larry.

–A czy za tamte informacje warto było zapłacić?

–Jak najbardziej.

–No to za tę też warto.

Z wyraźną niechęcią Larry wyjął portfel i odliczył jeszcze czterdzieści dolarów.

Dogmeat schował je szybciej niż Dawid Copperfield.

–Rzecz w tym... – zaczął – że John ma w ścianie łazienki dziurkę do podglądania. Została z czasów, gdy mieszkanie zajmował voyeurysta. Więc, gdy facet przymierzał maskę, John go podejrzwał.

–Szkoda, że nie miał na tyle przytomności umysłu, żeby zrobić zdjęcie.

–Żeby poznać taki łeb, nie trzeba fotografii. Kiedy tamten zdjął maskę, biedny John prawie puścił pawia. Facet miał pomarszczoną i pokancerowaną głowę, pełno blizn, pozrywane płyty skóry. Do połowy przymknięte oczy i przestawiony nos.

Typowa ofiara Kapitana Pożara.

–Był poparzony? – zapytał nagle zaniepokojony Larry. To sprawa George’a. Spalił ich. Gdy ruszali, wysadził i spalił samochód.

–Ale nie jak Freddie Krueger. Ten był częściowo nadpalony: szkarłatnobrązowy. Pokiereszowany i zniszczony jak stara piłka.

–Czarne Bractwo spłonęło – powiedział Larry.

Dogmeat rozejrzył się z niepokojem po molo.

–Dowiedział się nazwy?

–Wilbert Fraser mi powiedział.

–Cóż... wtedy, w latach sześćdziesiątych nie lubili, jak ludzie wspominali tę nazwę, więc nigdy jej nie wymieniałem. W mojej pracy dyskrecja jest konieczna dla zachowania skóry.

–Myślisz, że któremuś z nich udało się przeżyć?

–Kto wie? Poparzony facet, który – zamawiał maskę, może mieć jakiś związek z rytualnymi zabójstwami... jakieś zwarcie, jak mówią elektrycy, *n'est-ce pas?*

–Znajdę tego błazna – powiedział Larry bardziej do siebie niż do Dogmeata.

–Jasne, że go znajdziesz. Wiesz, co się stało z królem, który po zatonięciu statku znalazł się na wyspie ze swoim nadwornym błaznem? Po miesiącu wpadł w czarną rozpacz.

Larry chwycił kościste palce Dogmeata i uściśnął mu rękę.

–Skontaktuję się z tobą, dobra? Póki co, miej na wszystko oko. Na wszystko... a nie minie cię premia. Powiedz kolegom, żeby zwrócili uwagę na poparzonych facetów, facetów w maskach i facetów z ciężko pokiereszowanymi twarzami. Możesz powiedzieć, że im zapłacę.

Dogmeat pociągnął skręta.

–Mocny, *es correcto?*

–*Hasta luego* - rzucił Larry i odszedł molo błyszczącym jak potłuczone lustro.

W Gmachu Sprawiedliwości czekała na niego Fay Kuhn. W beżowej garsonce z krótką spódnicą wyglądała niezwykle elegancko. Do klapy miała już przypiętą odznakę identyfikacyjną. Larry skinął głową wskazując drogę i Fay stukając obcasami ruszyła w stronę jego gabinetu.

Houston Brough także na niego czekał. Najwyraźniej chciał powiedzieć Larry'emu coś ważnego, ale gdy zobaczył Fay, uśmiechnął się nieporadnie i wzruszył ramionami.

–Dobrze, już dobrze. Widzę, że wciąż jesteś zajęty. To nic ważnego.

–Proszę spocząć. – Fay Kuhn usiadła zakładając nogę na nogę. Wyjęła notes i długopis. To raczej niezwykle, bo wszyscy dziennikarze używają teraz magnetofonów. – Notuje pani ręcznie? – zapytał.

Uśmiechnęła się. Miała błyszczące usta doskonale pomalowane na szkarłatny kolor.

–Dziennikarki uczyli mnie starzy wyjadacze, którzy potrafili prawidłowo budować zdania i robić rzeczowe notatki.

–Tom Wolfe?

–Pudło.

–Hunter Thompson?

–Pudło.

–To dobrze. – Wymienieni dziennikarze przysporzyli mu niemało kłopotów. – Czego chce się pani dowiedzieć?

–Chcę wiedzieć, czy aby złapać Szatana z Mgły albo, cytując Dana Burroughsa, „tak zwanego” Szatana z Mgły, prowadzi pan śledztwo każdym możliwym sposobem?

–Naturalnie. – Larry oparł się o krzesło i ułożył ręce na kolanach. – Każdym możliwym sposobem.

–Także niekonwencjonalnym?

–Proszę?

Fay Kuhn z niecierpliwością i prowokacyjnie przełożyła nogi.

–Czy zaprzecza pan, że ma pewne podejrzenia, iż Szatan z Mgły nie jest istotą ziemską?

–Niezbyt rozumiem, co ma pani na myśli?

–W takim razie po co poszedł pan zeszłego wieczoru na seans spirytystyczny do dobrze znanego w kręgach towarzyskich medium – Wilberta Frasera?

Larry przysunął krzesło i zaczął stukać palcami w blat biurka. Z fotografii uśmiechała się do niego Linda oraz Frankie i Mikey. Nieświadomie odwzajemnił uśmiech.

Nie wiedząc, co powiedzieć, wzruszył ramionami.

–Słyszałam plotki. Ludzie mówią, że w powietrzu jest jakiś – nie wiem, jak to nazwać – psychiczny niepokój.

–Znów nie bardzo wiem, co ma pani na myśli.

–Poruczniku, mieszkamy w San Francisco. To pechowe miejsce. Jesteśmy wrażliwi na wszelkie niepokoje – klimatyczne, sejsmiczne, polityczne, emocjonalne, a

także psychiczne. Jesteśmy jak ludzki wodorost.

Larry wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. W całym budynku nie odbierane telefony dzwoniły niczym orkiestra. Laurence Foggia i Jego Śpiewające Telefony. Postanowił zdradzić jej co nieco. Nie była idiotką, mogła nawet okazać się pomocna. Nieważne, co Dan sądzi o rozmowach z prasą.

–Owszem, były przypadki psychicznego niepokoju – przyznał.

Fay Kuhn spojrzała uważniej.

–Twarze? – spytała.

–Tak. Twarze.

–Może pan podać więcej szczegółów na ten temat?

–Nie teraz. – Larry pokręcił głową. – Jeszcze żadnego raportu nie przeczytałem osobiście, więc nie mogę o nich rozmawiać. Jednak istotnie zdarzyła się pewna liczba wypadków, które wyraźnie nie mają racjonalnego wyjaśnienia. Być może mają one jakiś związek z Szatanem z Mgły.

–Jest pan bardzo oszczędny w słowach, poruczniku – uśmiechnęła się Fay. – Ja sądzę, że mają z nim związek. Jestem tego pewna.

Przyjrzał jej się z uwagą.

–I co dalej?

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła książeczkę z postrzępioną okładką.

–Znalazłam coś takiego – powiedziała. – To „Dzień przed końcem ziemi” Doris Kelville. Znajduje się tu szczegółowy opis San Francisco od wtorku siedemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset szóstego roku aż do momentu, kiedy następnego dnia o piątej nad ranem nastąpiło trzęsienie ziemi.

Larry wrócił do biurka.

–Czego pani szukała w tak odległej przeszłości?

Przerzuciła kilka stron.

–Och... szukałam czegoś zupełnie innego. Artykułu o archiwum miejskim zasypanym w suterenach City Hall. O proszę, to tutaj.

Położyła otwartą książkę na biurku Larry’ego. Czerwonym mazakiem zaznaczone było pięć długich akapitów.

„Niedługo po północy na skrzyżowaniu Front i Green Street została aresztowana kobieta, która próbowała rozkopać bruk. Nie stawiała poważnego oporu, ale miała»nieboskie i niewłaściwe«maniery, ponieważ zabrano ją do Gmachu Sprawiedliwości (w owym czasie na Kearney Street). Okazała się najbardziej znaną w mieście wróżką i chiromantką, która w poprzednim roku publicznie ostrzegła dwudziestosześcioletniego szefa straży pożarnej, że zostanie zabity przez»grom z jasnego nieba«. Nazywała się Edith Nielsen.

Twierdziła, że odkryła»prawdziwego sprawcę«sześciu przerażających morderstw grupowych, które miały miejsce w San Francisco pod koniec 1904 i na początku 1905 roku. Edith Nielsen rozkopywała bruk, aby zapobiec siódmemu. Jednak nie powiedziała jak i dlaczego.

Masowe morderstwa znane były w tym czasie jako»morderstwa błękitnego listu«, ponieważ po każdym zabójstwie sprawca wysyłał do redaktora naczelnego *Morning*

Call list na lazurowym papierze, a w liście chełpił de swoimi poczynaniami. (Szczegóły w: Arthur Strerath:»Morderstwo na krawędzi świata«Putnam 1935).

W zeznaniach dla policji pani Nielsen powiedziała, że zaprzyjaźniony duch ostrzegł ją, że San Francisco stoi w obliczu wielkiej katastrofy i że morderstwa są jedynie preludium do niej. Od wielu tygodni widziała w oknach, zwierciadłach i na dłoniach klientów twarze, a to» pewny znak«, że»jakiś straszne nieszczęście«jest nieuniknione. Mówiła, że jednego dnia umrze przynajmniej tysiąc ludzi.

Przepowiednia częściowo sprawdziła się – trzęsienie ziemi i pożar pochłonęły 478 ofiar. Jednak szef straży pożarnej zginął, gdy przewrócił się pierwszy komin. Był to jeden z powodów, dla którego miasto zostało tak straszliwie dotknięte pożarem... brygady ogniowe straciły przywódcę”.

Larry odłożył książkę.

–Dlaczego wiąże pani ten przypadek z Szatanem z Mgły?

Fay Kuhn znów pogrzebała w swojej torbie. Tym razem wyciągnęła błyszczące, cierpko pachnące fotokopie.

–Nie mogłam zdobyć kopii oryginalnej książki o „morderstwach błękitnego listu”, ale członek Mystery Writers pożyczył mi to z własnej kolekcji.

Larry pośpiesznie przebiegł wzrokiem po stronach.

–Sześć rytualnych zabójstw masowych. Tak... widzę zbieżność. Ale nie przypuszcza pani, że po osiemdziesięciu latach ten sam sprawca jeszcze żyje i morduje.

–Oczywiście, że nie, ale proszę spojrzeć, co miało miejsce w każdym z tych przypadków. W pierwszym: rodzinie z Hayes Street obciął stopy. W drugim: podciął gardła trzem osobom na Dolores Street. W trzecim ofiary miały połamane ręce. W czwartym w Chinatown mąż wsadził żonie do ucha metalową rurkę i wlał antymon oraz rozpuszczony ołów. I tak dalej.

Larry przeczytał uważnie fotokopie. Bez wątpienia następowały według podobnego klucza co napady Szatana z Mgły. W gruncie rzeczy, według jedyne go, jaki Larry zdolny był dostrzec. W każdym zabójstwie oprawca okaleczał inną część ciała.

–Od jak dawna ma pani tę informację? – zapytał.

–Już trzy tygodnie.

–Nie pokazała pani tego porucznikowi Knudsenowi? Mogła go pani przekonać, że ten materiał wart jest wglądu.

–Ależ oczywiście, że mu pokazałam. Powiedział tylko, że nie ma tu naukowego podkładu. Powiedział, że skoro on nigdy nie sły szał o tych zabójstwach, mało prawdopodobne, aby sły szał o nich Szatan z Mgły, a więc, istnieje jedna szansa na milion, że nasz ptaszek jest – jak on to powiedział? – papuzim mordercą.

–Chyba więcej niż jedna szansa na milion.

–Na pewno. Ale proszę przekonać o tym wszechwiedzącego Knudsen a – zaakcentowała pierwsze sylaby. – Obawiam się, że brakuje tu naukowego podkładu – zacytowała Arnego.

–Nie, jeśli się w to wierzy.

–A pan wierzy? – spytała przytomnie Fay.

W tym momencie rozległo się pukanie do otwartych drzwi i stanął w nich Dan Burroughs z papierosem w ustach.

–Dzień dobry, pani Kuhn – uśmiechnął się. A potem: – Larry... będziesz miał chwileczkę...

–Zaraz skończymy – nie odwracając się powiedziała Fay Kuhn. – Chcę zadać jeszcze tylko kilka osobistych pytań.

Dan wszedł do środka, stanął przy biurku Larry'ego i podniósł fotokopie.

–A ty wciąż o tym samym, złotko? – zapytał Fay.

–Pomyślałam, że to zainteresuje porucznika. Poza tym wydaje mi się, że powierzył mu pan dochodzenie po to, aby spojrzeć na nie od innej strony.

Dan Burroughs zakasłał i pociągnął nosem.

–Pani Kuhn, przeglądałem już ten materiał i nie znalazłem tam zbyt interesujących dla nas wiadomości. Czasami pracujemy opierając się na przeczuciu i intuicji... to jeden z powodów, dla których powierzyłem to śledztwo porucznikowi Foggii... ale do sądu musimy dostarczyć dowody. I to nie byle jakie. Wiarygodne. Takie, żeby mieć pewność, że dwunastu dobrych, ale powściągliwych obywateli wyśle sprawcę tych zbrodni do komory gazowej.

Fay Kuhn zmieszała się, a potem sięgnęła na biurko Larry'ego i zabrała swoje papiery.

–Przykro mi, że zabrałam panu czas. O sprawach osobistych porozmawiamy później.

–Jak sobie pani życzy – powiedział Larry. – Wie pani, jak mnie złapać. – Chciał powiedzieć: „Wierzę ci, wierzę ci w zupełności. Spójrz na moją dłoń”, ale zbyt dobrze znał wrogie nastawienie Dana do tej dziennikarki i do każdej sugestii na temat nadprzyrodzonych koneksji Szatana z Mgły.

Odprowadził Fay Kuhn do końca korytarza.

–Musi pani wybaczyć Burroughsowi – powiedział. – Lubi się trzymać procedury.

–Czasami ludzie pokazują, że trzymają się procedury, aby ukryć rzeczy, które robią wbrew niej – zauważyła Fay.

Zatrzymali się przy windzie. Drzwi otworzyły się i ze środka wyszli dwaj policjanci z czarnoskórym nastolatkiem w różowej kurtce.

–Kto jest czarnuchem, wy białe świnię! – wołał nastolatek.

–Może pani myśleć, co chce. Zastępca szeryfa Daniel Hadrian Burroughs jest interesujący pod wieloma względami. Powinna pani na siebie uważać.

–Jeśli pan uważa za stosowne.

–Owszem. Zwłaszcza w tym przypadku. I jeszcze coś.

–Tak?

–Co Edith Nielsen próbowała wykopać na rogu Front i Green?

–Skąd mam wiedzieć? A pan wie? – wzruszyła ramionami.

–Nie mam pojęcia, ale mówiła, że chce zapobiec siódmemu zabójstwu. Jak pani sądzi, w jaki sposób?

–Też nie wiem.

–Cóż. Widzę, że obydwoje mało wiemy. Myślę, że warto, aby pani poświęciła chwilę czasu, by się tego dowiedzieć.

Fay Kuhn weszła do windy. Larry przytrzymał trochę drzwi, aby uważnie jej się przyjrzeć. Potem puścił drzwi i zniknęła mu z oczu zostawiając na chwilę w pamięci trochę gorzki uśmiech samozadowolenia.

Wracając do gabinetu Larry doszedł do wniosku, że Fay Kuhn podoba mu się.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po szybkim lunchu z Houstonem w chińskim barze i umówionym spotkaniu z detektywami Jonesem i Glassem Larry pojechał do domu matki, aby zabrać Mussoliniego. Nie miał zamiaru zatrzymywać papugi dla siebie. Obiecał ją młodemu policjantowi, który był miłośnikiem ptaków.

W popołudniowym słońcu stary dom wyglądał spokojnie. Larry otworzył go tym samym kluczem, który jego ojciec dał mu na trzynaste urodziny. W środku śmierdziało kurzem i oparami z kuchni. Przez okienko we frontowych drzwiach wpadało słońce i tworzyło na ścianie rysunek przypominający mnicha kryjącego twarz pod kapturem. Z dzieciństwa pamiętał, jak bardzo bał się tej postaci. Aż do tego stopnia, że w letnie popołudnia nie lubił sam wychodzić na korytarz, bo wiedział, że czeka na niego mnich bez twarzy.

Otworzył okno do salonu matki, a ten ruch powtórzyło kilkanaście jego lustrzanych odbić. Rozejrzał się dokoła: dywan był wciąż pościągany, stół leżał na podłodze, filiżanki po herbacie poniewierały się rozbite. Także płaszcz został tam, gdzie upadł. Larry wahał się prawie minutę, ale potem podszedł i podniósł go.

Był to zwykły płaszcz. Dwa czy trzy razy Larry pstryknął w kołnierzyk. Czuł jeszcze zapach matczynych perfum. Powiesił go na krześle i schylił się, by pozbierać skorupy filiżanek i kostki cukru. Gdy był mały, matka dawała mu do jedzenia kostki cukru, ale musiał przysięgać na Biblię, że nie powie o tym ojcu.

Na klatce Mussoliniego cały czas leżała płachta. Gdy wszedł, słyszał, jak papuga drapie pazurami drządek. Nie wykrzyknęła nic obraźliwego. Na szczęście biedne stworzonko jeszcze żyło. Może dzień diety dobrze mu robi. Larry uważał, że matka przekarmia Mussoliniego. Dawała mu zwykle orzeszki z kośćmi japońskiej mątwy. Nic dziwnego, że cholerne ptaszysko stało się takie aroganckie.

Znów usłyszał drapanie Mussoliniego.

–Już dobrze, domowy myszołowie, przyszedłem po ciebie! – zawołał. Podniósł ostatni zasuszony plasterek cytryny i wrzucił do rozbitej filiżanki.

Wstał i podszedł do klatki. Już miał ściągać czarną płachtę, gdy coś go powstrzymało. Jakieś przeczucie. Jakieś dziwne, niewytłumaczalne, nieokreślone przeczucie. Dlaczego Mussolini nic nie powiedział, gdy Larry wszedł do pokoju? I dlaczego tak bardzo drapie? Drapie, jakby ostrzył pazury.

–Mussolini? – zapytał. – To ty?

Skrob, skrob, skrob – doszło go spod czarnej płachty na klatce.

To śmieszne, nie można się bać ptaka. To tylko postrzępiona, stara papuga, w dodatku zamknięta w klatce. Na pewno umiera z głodu i pragnienia, a ty się boisz? Pociągnął za chustę, ale zaczepiła się o kółko na czubku i nie spadła.

–Okay, Mussolini. Wujek Larry cię uwolni.

–Czas na pożywienie – zaskrzeczała papuga.

–Jasne, Mussolini, czas na...

Przerwał w połowie zdania, ręce miał w górze, wciąż próbował odzepić płachtę.

–Co powiedziałaś? – zapytał ze ściskiem w brzuchu.

–Czas na pożywienie – powtórzyła papuga. – Czas na pożywienie. Czas na

oddanie tysiąca tysięcy.

Larry cofnął się. Spojrzał na wnętrze dłoni, ale było puste. Żadnych plamek, żadnych cieni ani uśmiechniętej twarzy. To nie mówiła jego dłoń, to Mussolini. Albo coś, co pod czarną płachtą udawało Mussoliniego. Larry nie wiedział, co robić. Cokolwiek to było, siedziało w klatce i prawdopodobnie nie miało możliwości wydostania się. Chyba że weszło tam z zewnątrz. Nie przykładając do tego wagi, Larry i tak chciał wiedzieć, co to jest. Miało głos podobny do jego matki: wysoki i łamliwy. Może Mussolini zawsze tak mówił, tylko Larry nie zauważył tego. Mimo wszystko to matka uczyła go mówić. Jednak z jakiegoś powodu głos wprawił go w przerażenie.

–Mussolini?! – zawołał raz jeszcze. Żadnej odpowiedzi. Sięgnął do kabury i wyciągnął pistolet. Najprościej byłoby strzelić w klatkę i zobaczyć, co się stanie.

Odbezpieczył broń.

–Mussolini? – powtórzył łagodnie. – Mussolini, to ty?

Musisz wyglądać jak skończony idiota celując z pistoletu w klatkę papugi. To tylko ptak, nic więcej. Że mówił o pożywieniu? To jeszcze nic nie znaczy. Matka zawsze go żywiła. Zna tylko pożywienie i włoskie przekleństwa.

–Mussolini, bądź ty lepiej Mussolinim, bo pójdziesz się wietrzyć.

–*Che violino!* - pisnęła papuga. – *Che violino!*

Larry opuścił pistolet. Jak mógł się tak przestraszyć zwykłej skrzeczącej papugi? Widać, jak bardzo ma zszargane nerwy i jak całe to śledztwo wpłynęło na jego odróżnianie świata rzeczywistego od fantazji. Jak złapie tego Szatana z Mgły, będzie chyba gotowy iść wypłacać koszyki.

Ściągnął przykrycie z klatki Mussoliniego i rzucił na podłogę. Odwrócony tyłem Mussolini stał przechylając głowę.

–No dobrze, Mussolini, pójdziemy na wycieczkę. Mussolini odwrócił się na swoim patyku. I wtedy Larry zobaczył duże, białe wybrzuszenie z jednej strony główki ptaka. Tak naciągało ono skórę papugi, że miała zamknięte jedno oko i przesunięty dziób. Jednakże o zatrzymaniu akcji serca Larry'ego zadecydowało to, że przypominało ono kształtem karykaturę jego własnej twarzy.

Miało do połowy uformowany nos, różową kreskę przypominającą usta oraz ciemnobrązowe oko spoglądające z całą jego inteligencją i błyskotliwością.

Drzwiczki do klatki były otwarte. Przed ucieczką powstrzymywała Mussoliniego dotąd tylko płachta.

Larry zamarł w bezruchu. Jego umysł nie wiedział po prostu, jak zareagować, a nawet gdyby wiedział, ciało nie potrafiłoby prawdopodobnie być posłuszne.

Patrzył, jak papuga drapie pazurem po drążku, a ciemnobrązowym okiem ciągle się w niego wpatruje. Dodatkowy ciężar powodował utratę równowagi przez groteskową postać, odgrywał rolę plecaka.

–Czas pożywienia – wyszeptała niemal ludzkim głosem.

–Kim jesteś? – zapytał Larry. Gardło miał tak ściśnięte, że z trudem wyrzucał z siebie słowa.

–Czymkolwiek pragniesz. Wszystkim. Ale oni obiecali mi jeden tysiąc tysięcy i

chcę jednego tysiąca tysięcy.

–Jesteś Belialem?

–Nie jestem nikim, kogo znasz.

–Belial, Pan Kłamstwa. Czy to nim jesteś?

–Jestem wszystkim, o czym śniłeś. Nie ma słodsze go nade mnie anioła.

Papuga patrzyła na niego długą chwilę.

–Spokojnie... – zaczął Larry -...tylko spokojnie.

Zrobił krok do przodu. Jeśli zdoła zamknąć klatkę, uwięzi to monstrum, a wtedy może uda im się z Wilbertem...

Lecz ni stąd, ni zowąd ze straszliwym trzepotem skrzydeł papuzia istota ruszyła do wyjścia z klatki. Larry wyciągnął broń z kabury, ale spóźnił się o ułamek sekundy. Ptak wyfrunął z klatki i wrzeszcząc, i skrzecząc, zaczął latać dokoła salonu.

Larry raz po raz, gdy papuga zbliżała się do jego głowy, robił uniki. Raz zawadziła pazurem o włosy i musiał uderzyć ją pistoletem.

–Pożywienie – skrzeczała. – Pożywienie.

Spróbował do niej strzelić. Oddał jeden prawie celny strzał, rozbijając gipsowy gzyms. I wtedy pomyślał: Jeśli ktoś jest na górze, jeden strzał przez sufit może go zabić. A co jeśli papuga wygląda tak dlatego, że przejęła to, co ja straciłem – ekto plazmę, siebie. Jeśli zabiję ją albo skrzywdzę, to samo może stać się ze mną.

Papuga, wciąż skrzecząc i piszcząc, fruwała dokoła głowy, a potem usiadła na żyrandolu i rozbijała go. Mussolini patrzył jednym brązowym, ludzkim okiem, a drugim zielonym – papuzim. Szyję miał napiętą z wysiłku potrzebnego do utrzymania ludzkiej połowy twarzy.

–Mussolini, słyszysz mnie?

–Nie słyszę nic prócz człowieczeństwa. Wspaniałego człowieczeństwa.

–Słuchaj, Mussolini, Belial, kimkolwiek jesteś... uspokój się.

–Chcę się uwolnić – syknęła papuga-człowiek.

–Czy to kolejne kłamstwo?

–Możesz o tym myśleć, jak chcesz. Prawda czy fałsz – co to dla ciebie znaczy?

Teraz Larry domyślił się, dlaczego głos papugi wydawał mu się znajomy. Nie był to głos jego matki. Miał podobny akcent, podobną intonację, ale sły chać było różnicę. Nie należał do jego matki – należał do niego. Pomijając drżenie i słabszy, z powodu mniejszego ciała papugi, rezonans. Był to jego „pomniejszony” głos. Nabrał teraz pewności, że jego ekto plazma opuściła płaszcz matki i zadomowiła w jedynym w pokoju żywym stworzeniu zdolnym do ucieczki. Kłopot tylko w tym, że Mussolini nie był zdolny absorbować całej ekto plazmy. Z jego szyi ciągle wyrastała twarz Larry’ego.

Rozejrzał się nerwowo po salonie. Na stole leżał matczy ny szal – czarny to skański szal z frędzlami, który ojciec podarował jej przed wieloma laty, kiedy ich życie było jeszcze wiosną. Ostrożnie stawiając stopy, przeszedł przez pokój i podniósł szal. Papuga-człowiek obserwowała go strasz nym okiem, niby kruk z opowiadania Edgara Allana Poe. Niespokojnie skrobała po obręczy żyrandola. Znów zaczął się kołysać.

Larry lewą ręką schował szal za siebie. Papuga-człowiek krzyknęła:

–Chcę być wolny! Będę wolny!

Larry wahał się chwilę, a potem odbił się od sofy, zarzucił szal na Mussoliniego i złapał go. Chciał zawiązać szal, żeby całkowicie uwięzić ptaka.

Papuga-człowiek w histerycznej złości drapała i dziobała. Przez prawie minutę rzucała się na boki i machała skrzydłami, a Larry robił wszystko, żeby jej nie wypuścić.

Jednak w pewnym momencie ptak uwolnił się i zaczął latać po pokoju, uderzając o ściany, sufit i żyrandol. Larry biegał i machał za nim szalem, ale pokój był zbyt wysoki, żeby dosięgnąć Mussoliniego z podłogi, nawet gdy ten przysiadł na sekundę na żyrandolu.

Mussolini tak gwałtownie uderzył w okienną szybę, że trysnęła krew. I wtedy Larry zdał sobie sprawę, że nie pozostaje mu nic innego jak wypuścić ptaka. Gdyby tego nie zrobił, Mussolini mógłby zdechnąć od uderzeń – a Bóg jeden wie, co by się stało wtedy z jego ektoplazmą.

Rzucił szal i cofnął się do drzwi. Cały czas miał w ręce pistolet. Otworzył drzwi i odsunął się kawałek.

–Dobra, ty draniu! Wynoś się stąd do diabła!

Prawie natychmiast Mussolini uspokoił się i przysiadł na żyrandolu. Siedział spokojnie, ze skrzydłami poplamionymi krwią i niehumanicznym wyrazem na twarzy, która sprawiała, że Larry miał uczucie, iż bliski jest utraty zmysłów.

–No już! – krzyknął ochryple. – Wynoś się stąd do diabła.

Lecz papuga wciąż się kołysząc, siedziała na swoim miejscu.

–No! – nalegał Larry. – Sio! – Lecz nagle uprzytomnił sobie, że zamknięte są jeszcze frontowe drzwi i papuga nie wyleci z salonu, póki nie upewni się, że ma prostą drogę ucieczki.

–Dobrze, fruwasz. – Larry warknął. Potrafił zrozumieć, że ptak może się zdeformować. Potrafił nawet zrozumieć, że zdeformowanie może być skutkiem wykradnięcia pewnej jego części. Ale nie potrafił zrozumieć, że jego własne oko patrzy na niego z taką nieżyczliwą ciekawością, jakby papuga zastanawiała się, jak to jest być całym człowiekiem, a nie zdeformowanym monstrem z cudzego koszmaru.

Larry podszedł do frontowych drzwi. Na ścianie wciąż trwał niebieski mnich, ale ze względu na położenie słońca stał się teraz o wiele szerszy. Wyglądał nawet bardziej niepokojąco niż przedtem – mnich o niewiarygodnych rozmiarach. Mnich, który może przyjść w ciemności i stanąć nad tobą w momencie najgłębszego snu.

Otworzył drzwi. Na zewnątrz słońce oświetlało Belvedere Street. Nad lotniskiem krążył samolot. Odwrócił się i w tym momencie papuga z trzepotem skrzydeł wyfrunęła i wzniosła się wysoko, wysoko do słońca. Mussolini odleciał i zabrał ze sobą część Larry'ego.

Larry próbował za nią patrzeć, ale powietrze było zbyt mało przejrzyste, linia miejskiego horyzontu zbyt poszarpana i gdy Larry zobaczył lecący kształt, ten okazał się tylko unoszonym przez wiatr kawałkiem papieru.

Larry poczuł się opuszczony. Coś zostało mu skradzione. Jakaś jego część, kawałek pamięci, coś z wyglądu, ale nie potrafił pojąć co. Czuł jedynie, że jest

pomniejszony, że jest go mniej niż dawniej.

Wrócił do salonu matki. Chodził w koło patrząc w lustra. Kim teraz jesteś? Co straciłeś?

Nie potrafił sobie odpowiedzieć. Zdjął oprawiony w srebrne ramki portret ojca i długo weń patrzył. Jakoś nic do niego nie czuł, jakby nigdy za nim nie tęsknił. Prawie jakby nie byli spokrewnieni. Odłożył zdjęcie na miejsce i pomyślał: Stało się coś poważnego. I złego. Chciałbym wiedzieć co.

Wilbert Fraser zrobił zakupy w Victoria Pastry Company, gdzie była jedyna cukiernia, która sprzedawała bezy dokładnie takie, jakie lubił. W Nature Shop kupił pozytywnie wpływające na energię psychiczną suszone wodorosty.

Czarnym lincolnem zaparkował tuż przy krawężniku przed swoim domem i z wielkim, białym pudłem wspinał się po schodach.

–Ładnie dzisiaj, dla odmiany, wzeszło słońce! – zawołała wychylająca się z sąsiedniego domu pani Wende. Wilbert pokiwał głową i zamachał ręką. Nie znosił jej. A zwłaszcza jej kotów, które zawsze przechodziły przez płot i bałaganily mu w ogródku.

Otworzył drzwi i wszedł do domu. Zawahał się. Zdawało mu się, że coś czuje. Może obecność czyjejs aury, a może zwykły zapach tytoniu, wody kolońskiej lub potu, jakby w domu był jakiś intruz. Wilbert miał bardzo wyczulony zmysł powonienia.

–Halo! – zawołał i w napięciu nasłuchiwał, ale nie padła odpowiedź. Nie rozlegał się w ogóle żaden dźwięk. Ostrożnie przeszedł do kuchni wyłożonej sosnową boazerią i wciąż nasłuchując odłożył zakupy. Teraz już nabrał pewności, że w środku ktoś jest. Ktoś z niezwykle silną aurą psychiczną, silną, lecz także niemiłą. Wilbert pomyślał sobie: „kwaśną”.

Ciągle zaniepokojony otworzył lodówkę w starym stylu i włożył do niej wodorosty. Gdy ją zamykał, zdawało mu się, że usłyszał delikatne, stłumione skrzypienie, jakby ktoś ciężki chodził po podłodze i starał się, żeby nie było tego słychać.

–Wiem, że ktoś tu jest! – zawołał groźnie Wilbert.

Milczenie. Absolutna cisza. I wtedy nagle zatrasnęło się okno pani Wende, a serce Wilberta zaczęło walić jak szalone.

Najciszej, jak potrafił, podszedł na palcach do kuchennych drzwi. Wiem, że ktoś tu jest, powtórzył sobie w duchu. Tak długo stał i nasłuchiwał, że zdrętwiały mu kolana. Na drugiej stronie korytarza z grafiki patrzył na niego święty Sebastian – nagi, z torsem przebitym trzydziestoma pięcioma strzałami (Wilbert je policzył) i penisem wyrysowanym tak dokładnie, że było oczywiste, iż artystę bardziej interesowała erotyka niż religia.

–Ktoś tu jest! Wiem to! – znów krzyknął. Lecz tym razem był to nieomal wrzask.

Wyszedł na korytarz i przechylił się do saloniku jak steward przechyla się zaglądając do kajuty na rozkołysanym statku. W salonie ciężkie, brązowe meble stały w bezruchu. Były może trochę ponure, bo Wilbert cały dzień robił zakupy i nie było go w domu. Domy, podobnie jak ludzie, mogą tęsknić, gdy są opuszczane. Wilbert był kiedyś wzywany, aby odprawić egzorcyzmy w domu, który gdy właściciele

wyjeżdżali na wakacje, robił w sobie kompletny bałagan. Różne psoty i nie wyjaśnione awarie ludzie często przypisują skrzatom, a w większości przypadków to same domy postępują tak z tęsknoty.

Aliści... Wilbert czuł coś więcej niż zły humor domu. Ktoś tam jeszcze był. Ktoś niebezpieczny, także silny. Nachylał się do każdego pomieszczenia po kolei i nasłuchiwał. Czasami krzyknął:

–Kto tam? Kim jesteś? Czego chcesz?

Wtem usłyszał oddech.

Głęboki, charczący oddech. I to niezbyt daleko. Lecz z pewnością nie w kuchni. Tam przed chwilą był. A w łazience? Trzęsąc się ze strachu, pchnął drzwi do łazienki, ale w środku nie było nikogo. Tylko Arabowie patrzyli lubieżnie na nagich chłopców. Perfumowane mydło leżało obok zasuszonych kwiatów, na ścianie wisiał papier toaletowy. „Dokąd idziesz i czego chcesz?– stary księżyc zapytał drzewa. – Na ryby, po śledzie pływające w tym pięknym morzu”.

Co, co, co, co?

–Gdzie jesteś? – szepnął Wilbert.

Ale słyszał tylko oddech. I czuł zapach kogoś znajdującego się w pobliżu.

Wyszedł z łazienki na korytarz i zobaczył przed sobą mężczyznę. Wysokiego, potężnego mężczyznę w czarnej masce całkowicie zasłaniającej głowę. Nagą klatkę piersiową pomazaną miał na czerwono. Ubrany był w obcisłe spodnie z czarnej skóry spięte łańcuchem i pasem ze srebrną sprzączką. Bił od niego zapach potu, oleju silnikowego i jakichś ziół – jakby palonego kopru.

Wilbert stał bez słowa. Nieproszony gość zrobił krok w jego stronę i złapał go za jasnozieloną koszulę.

–No, przyjacielu, nie zachowywałeś się zbyt rozsądnie, co?

Wilbert przełknął ślinę i ze strachem zapytał:

–Co?

–Rozmawiałeś z ludźmi, z którymi nie powinieneś rozmawiać. Wymieniałeś nazwy, które powinieneś zachować dla siebie.

–Nie wiem, o czym mówisz.

–Ależ wiesz o czym. O poruczniku Foggii. Nic cię nie nauczyła lekcja z sześćdziesiątego siódmego roku? Z pewnością pamiętasz, co się stało z Seanem Thompsonem i Dannym Kowano?

–Ja – wyjąkał Wilbert – ja z nikim o niczym nie rozmawiałem.

–A z porucznikiem Foggią?

–Owszem. Jego matka była moją przyjaciółką. W tym tygodniu zginęła w strasznym wypadku. Jak mogłem z nim nie rozmawiać?

–Nie chodzi o to, że rozmawiałeś – powiedział stłumiony głos spod maski. – Ale o to, co powiedziałaś.

–Nic nie powiedziałem. Składałem tylko kondolencje, to wszystko.

–Więc nie wspominałeś o Czarnym Bractwie, Mandraksie, Legerze ani o innych?

–Oczywiście, że nie. Po co?

Mężczyzna ścisnął go tak mocno, że Wilbert usłyszał skrzypnięcie obojczyka.

–Nie mówiłeś o Beli Ja’alu... wielkim Beli Ja’alu, którego czas wreszcie nadszedł?

–Nie.

–Kłamca! – ryknął na niego olbrzym. – Wszystko wygadałeś Foggii.

–Na miłość boską! – krzyknął Wilbert. Próbował uwolnić ramię z uścisku, ale olbrzym przycisnął go do ściany korytarza.

–Ani na miłość boską, ani twoją, ani czyjąkolwiek – syknął. – Przez dwadzieścia trzy lata siedziałeś cicho, ale teraz otworzyłeś gębę i musisz ponieść karę.

–Puść mnie, puść! – wołał Wilbert. – Przysięgam. Przysięgam, że nic mu nie powiedziałem.

–Ale... – powiedział tym razem łagodniej. – Ale ja wiem na pewno, że wygadałeś.

–Zwariowałeś? Puść mnie!

–Zwariowałem? Uważasz, że zwariowałem? Nieładnie. Bardzo nieładnie.

–Proszę cię, puść mnie. W gabinecie mam pieniądze. Oddam ci wszystkie.

–I tak zamierzałem je wziąć.

Wilbert zaczerpnął tchu i krzyknął:

–Pomocy, ratunku!

Olbrzym bez wahania wymierzył mu cios w twarz i złamał nos. Krew trysnęła na koszulę i podłogę. Nos bolał tak bardzo, że Wilbert wydał z siebie pisk przypominający krzyk pawia.

–Nie słyszałeś, co mówiłem? – zapytał napastnik. – Musisz ponieść karę. Przyjmij do wiadomości, że musisz ponieść karę.

–Ratunku! – rzeził Wilbert tryskając krwią. – Ratunku!

–Powiedziałem: „przyjmij do wiadomości, że musisz ponieść karę” – olbrzym powtórzył tonem zdecydowanego rodzica upominającego niegrzeczne dziecko.

Wilbert zaszlochał, pociągnął nosem i usiłował skinąć głową. Nigdy w życiu nie był tak bezsilny i przestraszony. Mężczyzna ścisnął mu ramię i wyprowadził do kuchni. Zgarnął ze stołu gazetę oraz dzbanek z kawą i kazał Wilbertowi położyć się plecami na blacie.

Wilbert poczuł, jak do gardła spływa mu ciepła krew. Była mdła i dusiła go. Uniósł głowę i starał się trochę wypluć.

–Co mi zrobisz? – wykrztusił. – Nie skrzywdź mnie za bardzo. Proszę cię! Nie jestem wytrzymały na ból. Nigdy nie byłem. Nawet u dentysty.

–Spodoba ci się – powiedział mężczyzna kiwając głową w rogatej masce. – Doznasz takiego bólu, jakiego nigdy jeszcze nie czuleś. To będzie cierpienie wykraczające poza cierpienie.

Bez odrobiny wahania wbił Wilbertowi wielki trójkątny nóż pod prawy obojczyk i przyspilił go do stołu. Wilbert wrzasnął i spróbował chwycić za rączkę noża, ale olbrzym przytrzymał go i pod lewy obojczyk wbił mu drugi nóż. Potem dwoma mniejszymi nożami przyspilił mu do stołu nadgarstki.

Wilbert próbował się ruszyć, ale ból mu nie pozwalał. Gdy leżał spokojnie, ból stawał się łatwiejszy do zniesienia. Leżał tak z rozbitą twarzą i modlił się. Modlił się, żeby ten maniak go nie zabił.

–Chcesz się modlić? – zapytał olbrzym. – Jak chcesz się modlić, to do Beli Ja’ala,

bo Beli Ja'al przybędzie się pożywić, także na tobie.

–Zostaw mnie, proszę – szepnął Wilbert.

–Och, nie denerwuj się. Spodoba ci się, zobaczysz.

Kolejnym wielkim nożem przeciął skórzany pasek od spodni Wilberta. Potem rozciął też spodnie i rozchylił je. Wilbert przy każdym szarpnięciu jęczał z bólu. Miał wrażenie, jakby umierał. Ile utracił krwi? Sporo połknął, czuł też, że koszula nasiąknęła w okolicach obojczyka. Umieram. Jestem mordowany. O Boże, nie pozwól mu mnie skrzywdzić.

–Fajne majtki – zauważył zamaskowany mężczyzna. – Zawsze podobały mi się takie w paski. – Przeciął gumkę slipów i ściągnął je.

O Boże, nie pozwól mu mnie wykastrować.

Mężczyzna nachylił się i Wilbert mógł z bliska obejrzeć jego potworną maskę.

–Powinieneś swoje tajemnice trzymać dla siebie. Nie trzeba było zapominać, co się wtedy stało tamtym kolesiom. Teraz to samo stanie się z tobą, przyjacielu.

–Poznaję cię – powiedział Wilbert z zaciśniętych zębów.

–Tak? To dobrze.

–Poznaję cię. Nawet pod tą kiczowatą maską.

–Tak?

Wilbert wziął głęboki, bolesny oddech i powiedział:

–Mandrax. Ty jesteś Mandrax.

Olbrzym bez słowa chwycił Wilberta za penisa i pociągnął do góry, jakby to był młody kurczak, który wypadł z gniazda. Ścisnął tak mocno, że z góry pięści wysunął się purpurowy czubek.

Wilbert zamknął oczy. Teraz był już pewien, że umrze. Nie ruszał się. Jedyłą jego czynnością było polykanie od czasu do czasu krwi, która wciąż spływała mu do gardła. Błagam, tylko szybko.

–Beli Ja'al jest z nami – powiedział tamten prawie wyśpiewując słowa spod maski.

– Pochwalony niech będzie Beli Ja'al. A ból i cierpienie niech spadną na tych, którzy próbują go przeklinać. Wszyscy, którzy zdradzili jego święte tajemnice, muszą umrzeć. Nawet ci, którzy dali mu życie.

–Proszę – cieniem głosem powiedział Wilbert.

Olbrzym bardzo powoli, tuż poniżej zwieńczenia, zaczął wielkim nożem nacinać penis Wilberta. Odciął jak śliwkę cały czubek. Była to bogato unerwiona część i najmniejszy ruch ostrza sprawiał Wilbertowi ból większy, niż biedak mógł sobie wyobrazić. Cierpienie oślepiło go. Na początku widział głęboką czerwień, a potem już tylko czern. Nawet nie czuł, kiedy oprawca całkowicie odciął czubek penisa i zostawił bezgłowego członka tryskającego przy każdym uderzeniu serca krwią.

Olbrzym nachylił mu się do ucha.

–Widzisz? Najwspanialszy ból, jaki kiedykolwiek czuleś. A teraz umrzesz. Nic nie powstrzyma pulsującej krwi. Ten kawałek zabiorę na pamiątkę dla mojego pana. Jak to się nazywa? Trofeum? No to do widzenia, przyjacielu. Baw się dobrze.

Rozłożony na stole, w poplamionym krwią ubraniu, Wilbert myślał: zabił mnie, ten skurwiel mnie zabił. Miał uczucie ogromnego strachu i bezradności. Było mu coraz

zimniej, wydawało się, że ogarnia go ciemność. A jednocześnie miał świadomość noży wbitych w klatkę piersiową, w nadgarstki, odczuwał ciepło krwi regularnie tryskającej z penisa.

Zobaczył, jak maska znika mu z oczu. Usłyszał zamykanie drzwi. Odszedł, pomyślał sobie. Zostawił mnie, żebym umarł w samotności. Zostawił mnie, żebym nie miał kogo przeklinać.

Krew spływała ze stołu i kapiała na podłogę, a z niego wciąż się lało. Pulsowanie nie ustawało i Wilbert nie chciał, żeby ustało. Wolał umrzeć, niż żyć z okaleczonym penisem. Wolał chłód, ciemność i obce uczucia z innego świata, które powoli zaczynały go ogarniać.

–Czy ktoś mnie może poprowadzić? – zapytał. – Umieram. Czy ktoś mnie może poprowadzić?

Cisza. Żadnego odzewu. Świat duchów zamilkł jak bar, do którego wszedł obcy.

–Jestem Wilbert Fraser. Umieram – powtórzył. – Czy ktoś mi pomoże?

Zdawało mu się, że widzi niebieskawe światełko, ale nie był pewien, czy udało mu się wywołać ducha. Dopiero gdy otworzył oczy i zobaczył uśmiechniętą twarz dziecka, zdał sobie sprawę, że został wysłuchany. Roberta Snow, ta sama dziewczynka, która ukazała się podczas ostatniego seansu. Miała plamy na bladej twarzy, ale wyglądała na zadowoloną. Wilbert poczuł, że skoro ona nie żyje, a może nieść pomoc i być szczęśliwa, więc z nim może być tak samo.

–Wykrwawię się na śmierć – powiedział do niej. Miał stłumiony głos, jak radio u sąsiada z góry. – Umieram.

Roberta zbliżyła się i ujęła jego dłoń. Zdawało się, że nic dla niej nie znaczy, iż Wilbert ma obciętego penisa tryskającego strugami krwi. Być może, kiedy się umarło – kiedy się spotkało tak wielu nieżywych – wygląd zewnętrzny przestaje zupełnie interesować. Może póki trwa duch – ciało, krew i kości nie mają nic do rzeczy.

–Wszystko w porządku, Wilbercie – pocieszała go, a każde słowo było jak miód na serce. – Masz tutaj wielu przyjaciół.

–Nie chcę umierać. Możesz mi jakoś pomóc?

Uśmiechnęła się, jakby myślała, że to żart.

–Skoro musisz umrzeć, to musisz. Nie masz żadnego wyboru. Myślisz, że ja się chciałam utopić? Ojciec był pijany, a ja się nie mogłam wydostać z samochodu. Za oknem widziałam twarz kogoś, kto później próbował mnie ratować. Ale drzwi były zablokowane, a on nie zdołał rozbić okna. Patrzyliśmy na siebie przez szybę. Krzyczałam, a potem zachłysnęłam się wodą. Patrzyłam na tamtego człowieka, a on patrzył na mnie. Przycisnęłam do szyby dłoń i on przycisnął swoją. Potem dotknął dłonią ust i przesłał mi pocałunek. Tylko tyle mógł zrobić. I za to go kocham.

Wilberta zaczął ogarniać lodowaty chłód i uczucie oddalenia.

–Obiecuj mi coś, Roberto...

–Wszystko, czego zapagniesz.

–Opowiedz Larry'emu Foggii o tym, co się ze mną stało.

Roberta zmartwiła się.

–Nie wiem, czy to potrafię. Ja nie żyję, a on tak.

–Proszę cię, znajdź jakiś sposób. Musi się dowiedzieć.

–Ale ja jestem martwa, a on żyje. Jeśli nie jest taki jak ty, nie będzie mnie słuchał.

–Postaraj się. Znajdź sposób, żeby mu powiedzieć, co się stało. Powiedz mu, że to Mandrax.

Roberta nachyliła się nad Wilbertem i pocałowała go lodowatymi wargami w jego równie zimne usta. Wilbert nie chciał się podnosić ze stołu. Wolał umrzeć tam, gdzie był. Spokój, doskonały spokój. I umrzeć tak jak teraz – w objęciach już nieżywej dziewczynki – to było więcej, niż mógł kiedykolwiek prosić. Już od małości czuł się swojsko w obecności duchów. Teraz, jako dorosłego, zabierają go do siebie.

–Jesteś samą dobrocią – powiedział do Roberty. Jej włosy falowały na wodzie, w której utonęła, jej oczy miały jasnozielony kolor. Tatusiu, tatusiu, nie mogę się wydostać! Tatusiu, tatusiu, nie mogę się wydostać!

Wilbert umarł z utraty krwi o siedemnastej dwadzieścia siedem. Dziewczynka w białej sukience z tafty patrzyła, jak krew kapie i zalewa podłogę. Stała się niemal widoczna gołym okiem. Chociaż niektórzy wcale by jej nie dostrzegli. Inni widzieliby tylko dwie dziwne smugi – oczy i niewyraźny zarys białej sukienki.

W rzeczywistości nikt jej nie widział, bo zniknęła jak fotografia wystawiona na słońce. W kuchni nie zostało nic prócz zalanej krwią i przybitego do stołu ciała. Gdy ścienny zegar wybił pół do szóstej, było już po wszystkim.

Gdy Larry wszedł do „Waxing Moon”, zaskoczyła go nowoczesność pomieszczenia. Spodziewał się jednego z tych mrocznych sklepów okultystycznych, które widzi się na filmach – ze starymi, oprawionymi w skórę księgami zawierającymi poszukiwane przez wszystkich tajemnice, dalej statuetki demonów, krucyfiksy, reprodukcje „Cultes des Goules” Comte’a d’Erlette oraz „De Vermis Mysteriis” Ludviga Prinna, a także wiele innych sędziwych tomów dotyczących demonologii, kabalistyki, taumaturgii i tym podobnych.

On natomiast znalazł się w przestronnym, klimatyzowanym sklepie ze srebrną biżuterią w jasno oświetlonych gablotach oraz artystycznie ustawionymi półkami nowych książek o okultyzmie. Ściany pokrywał czarny filc, na podłodze leżał czarny dywan. Z ukrytych głośników dobiegała indyjska muzyka kontemplacyjna w stylu Raviego Shankara. W odległym kącie młoda dziewczyna w prerafaelickim bereciku sortowała paczuszki z kadzidłami.

Podniósł z błyszczącego cokołu srebrne popiersie diabła. Prawie natychmiast zjawiła się wysoka kobieta z jasną twarzą i doskonale ułożonymi włosami. Ubrana była w czarne buty i czarne pończochy oraz krótką, czarną sukienkę z dekoltem odsłaniającym wzgórki białych piersi i wiszący między nimi amulet. Przypominała wyobrażenie egipskiej księżniczki Rogera Cormana.

–Nie znajdziesz tu tego, czego szukasz – oświadczyła. Miała dystyngowany akcent. Południowy, ale nie taki głęboki i leniwy, lecz bardziej z Kansas City w Missouri.

Larry ostrożnie odłożył diabelską głowę.

–Szukam Tary Gordon – powiedział.

–I czego jeszcze?

–Dlaczego sądzi pani, że czegoś jeszcze szukam?

–Bo każdy, kto szuka Tary Gordon, nie szuka jej, ale pomocy albo oświecenia, albo jednej z miliona rzeczy, której nie można kupić za pieniądze.

–Rzeczywiście? – zapytał Larry. Miała nadzwyczajne oczy – lekko skośne, kolorem przypominające irysy. Piersi natomiast tak białe, że Larry widział na nich odznaczające się lekko niebieskie żyłki. Poczł się zakłopotany, prawie onieśmielony.

–Ma pan problemy z teściową – powiedziała. – Może szuka pan fetysza-laleczki, żeby wbić w nią szpilkę?

Larry pokręcił głową.

–Gdybym wbił szpilkę w moją teściową, nic by nie poczuła. Ubiera się tak grubo, że wygląda, jakby nosiła kamizelkę.

–Jest pan gliniarzem – powiedziała. – Ktoś dokonał dziwnej zbrodni, bardzo dziwnej. I pan myśli, że może mieć to związek z czarną magią.

Popatrzył na nią.

–Proszę przyznać, że jest pan gliniarzem – powiedziała.

Wyciągnął odznakę.

–Dobrze. Będę szczery. Nazywam się Foggia. Jestem policjantem. Skąd pani wiedziała?

–Tylko gliniarze mówią na kamizelkę kuloodporną po prostu kamizelka. Witam pana, poruczniku. Nazywam się Tara Gordon.

Larry bez pośpiechu uściśnął jej dłoń.

–Jest pani spostrzegawcza – powiedział.

–Nie spostrzegawcza, lecz wrażliwa – odrzekła. – Jestem wrażliwa.

Rozejrzał się.

–Jestem pod wrażeniem pani sklepu. Spodziewałem się jednej z tych zakurzonych klitek, które pokazują na filmach... wie pani, takich jak „Harry Erskine idzie szukać Manitou”.

–Na szczęście w dzisiejszych czasach okultyzm to poważny biznes. Sprzedajemy więcej egzemplarzy „Necronomicon”, niż moglibyśmy zmagazynować. A większość z naszych ogonów traszek i oczu nietoperzy nie przekracza daty ważności.

–Jest tu jakieś ustronne miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

–Chyba tak. Nataszo, możesz się na chwilę zająć sklepem?

Czarnym dywanem poprowadziła Larry’ego do małego gabinetu wypełnionego książkami, posortowanymi kopertami i katalogami. Na ścianie wisiał plakat ze Światowego Kongresu Fantasy z 1988 roku i portret Stephena Kinga bez okularów. Zebrała stosik czasopism z horrorami i wskazała Larry’emu miejsce na krześle pokrytym białą skórą.

–Wilbert Fraser mi panią polecił – powiedział Larry.

–Nie wiem, czy to komplement, czy zniewaga – odrzekła Tara Gordon.

Larry uśmiechnął się.

–Wilbert powiedział, że zawsze jest pani *au currant* z zaświatami i ludźmi, którzy się nimi zajmują.

–Bardzo miło z jego strony.

–Nie lubi go pani?

–To największa dziwka w tym biznesie.

–W tym mieście niebezpiecznie jest tak mówić.

Tara roześmiała się.

–Chyba dla niego.

Podeszła do malutkiej lodówki, przyklękła i otworzyła ją. Larry złapał się na tym, że patrzy na wnętrze jej uda i przyciskając się do kolan pierś. Wyjęła butelkę polskiej żubrówki, wlała pokąźną miarkę i powiedziała:

–Prosit!

Larry skinął, powiedział:

–Prosit! – i wychylił wódkę. Od wczorajszego przepicia bolała go głowa, więc ucieszył się, że może wypić klina.

–Domyślam się, że chodzi o Szatana z Mgły – rzekła Tara i usiadła na krześle ostentacyjnie zakładając nogę na nogę.

–Jak pani na to wpadła?

–Z czym jeszcze przychodziłby policjant w takie miejsce?

Larry zamyślił się i powiedział:

–Chyba ma pani rację. Powinienem się tego domyślać. Takie samo analityczne myślenie stosuję wobec nowicjuszy.

–Hm... to niezupełnie analityczne myślenie – powiedziała Tara. Podniosła dłoń i zatoczyła nią krąg, jakby czyściła niewidzialną szybę. – Ma pan coś w sobie. Coś dziwnego. Coś bardzo mocnego, niepolicyjnego.

–Co pani ma na myśli?

–Nie jestem całkiem pewna. Ma pan naruszoną aurę. Co prawda większość ludzi ma naruszoną aurę, a policjanci bardziej niż inni... ale u pana jest coś szczególnego. Przypomina mi to... coś okrutnego, mrocznego. Dlatego wpadłam na to, że chce pan zapytać o Szatana z Mgły.

–Ma pani jakąś teorię na jego temat? – zapytał Larry.

–Śledzę wiadomości, jak wszyscy.

–Niech pani posłucha. Chcę za wszelką cenę złapać tego maniaka. Obok konwencjonalnego śledztwa prowadzę dochodzenie na płaszczyźnie okultystycznej. Dlatego byłem u Wilberta.

–I co panu powiedział kochany Wilbercik?

Larry napił się wódki. Była bardzo aromatyczna, pachniała sianem, ale nie mógł powiedzieć, że mu smakuje.

–Wilbert wysunął teorię, że przeżył ktoś z Czarnego Bractwa i stara się narobić takich samych kłopotów jak w sześćdziesiątym siódmym roku.

–Czarne Bractwo? – powtórzyła Tara.

–Nie słyszała pani o nim?

–Naturalnie, że słyszałam. W tym biznesie wszyscy o nich słyszeli. Ale nikt o nich nie rozmawia. Nikt nawet nie wspomina tej nazwy.

–Naprawdę? Co w tym takiego przerażającego?

–Obecnie już chyba nic. Chociaż gdyby któremuś naprawdę udało się przeżyć –

cóż, mogłoby być inaczej.

–Słyszała pani jakieś plotki na ten temat? Może widziała pani kogoś wyróżniającego się z tłumu? Ten facet jest podobno wielki prawie na dwa metry, co więcej, Dogmeat Jones znalazł artystę, który go widział, podobno miał poparzoną całą twarz.

Tara uśmiechnęła się i pokręciła głową.

–Kogoś takiego chyba bym zapamiętała, prawda?

Larry sięgnął do kieszeni i wyjął rysunek Beli Ja'ala, który dostał od Dogmeata.

–Czy już to kiedyś pani widziała?

Tara Gordon przyjrzała się uważnie i skinęła głową.

–Tak. To ilustracja z „Pandemonium” Vadleka Nascu. Właściwie...

Odstawiła wódkę, wyszła do sklepu i zatrzymała się przy półce z książkami. Larry stał w otwartych drzwiach i patrzył, jak wertuje oprawiony w skórę wolumin. W końcu odwróciła się.

–Ten rysunek został wyrwany z mojej książki! – zawołała. – Niech pan spojrz – brzegi pasują idealnie! To wkurzające! Ta księga jest warta ponad sześćset dolarów.

Larry obejrzał brzeg kartki i miejsce, z którego została wyrwana.

–Hm... – mruknął i oddał książkę.

–To wszystko, co ma pan do powiedzenia? Została zniszczona dwustuletnia księga, a pan sobie chrząka.

–Przypomina sobie pani kogoś, kto brał tę książkę do czytania?

Tara ze złością rzuciła ją na biurko.

–Nie. A szkoda, bo bym go oskalpowała.

–Jeśli chodzi o faceta, którego mam na myśli, to nie dałaby pani rady.

–Nikogo sobie nie przypominam. Każdy klient może sobie przeglądać książki, ale wrywania kartek nie popieram.

–Cóż... proszę pomyśleć o kilku ostatnich dniach. Czasami aż zadziwiające, ile z odrobiną wysiłku możemy sobie przypomnieć.

Tara wzięła rysunek Beli Ja'ala w dwa palce, jakby to było coś nieprzyjemnego.

–Beli Ja'al – powtórzyła. – Kto by chciał kraść rysunek Beli Ja'ala? To gorsze niż zdjęcie Hitlera.

–Prawdopodobnie według tego rysunku zlecił zrobienie maski – powiedział Larry.

–To brzmi złowieszczo.

–Bo jest złowieszcze. Facet zakładał tę maskę do większości, albo i wszystkich, swoich rytualnych morderstw.

–Cóż... – powiedziała Tara. – Chciałabym pomóc, poruczniku, ale chyba nie potrafię. Nie widziałam nikogo podobnego do postaci z rysunku, ale jeśli któryś z Czarnego Bractwa ocalił swoją wstrętną głowę, powinnam się dowiedzieć. Będę trzymać uszy i oczy szeroko otwarte, chociaż z tego, co słyszałam, Czarne Bractwo zawsze działało w tajemnicy, a tych, którzy ich zdradzili, cholernie dotkliwie karali.

–Coś mi się obilo... – rzekł Larry. – Ja chyba też powinienem mieć się na baczności. Pozdrowić od pani Wilberta?

–Jak pan chce, może mu pan pomachać ręką. Chyba nie jest pańskim doradcą ani

nikim takim?

–Są powody, dla których nie powinien?

–Niezupełnie. Ale są wrażliwsi od niego.

–Na przykład kto?

–Na przykład ja.

–Dobrze, skorzystam z tej informacji, gdy będę kogoś takiego potrzebował. Teraz trzeba mi jakiegoś solidnego, przyziemnego śladu.

Dokończył wódkę, skrzywił się i wstał.

–Miło mi było – powiedziała Tara Gordon. – Gdyby pan nie był gliną, nie miał żony, był o pięć lat młodszy, miał inny kolor oczu, nie był Włochem i nie miał zwyczaju zginania szyi, gdy zadaje pan pytania, mogłabym pana polubić.

Po raz kolejny otworzyła drzwi gabinetu. Larry położył jej dłoń na ramieniu, żeby przepuścić ją przodem. Wtem krzyknęła:

–Ach! – i odskoczyła od niego. Nad czarną sukienką unosił się szary dymek, a goła skóra na ramieniu czerwieniła się jak po oparzeniu.

Ze strachem spojrzała na Larry'ego.

–Jezu, moja sukienka! Spalił mi pan sukienkę!

Larry bezradnie podniósł dłoń.

–Nawet nie wiem co...

Tara natychmiast chwyciła go za nadgarstek, wyprostowała palce i spojrzała na dłoń. Końcem palca lekko dotykała skóry. Za każdym razem rozlegało się delikatne trzaśnięcie i pojawiał się mały obłoczek dymu.

–Pańska dłoń... – powiedziała. – Zdawało mi się, że coś takiego przeczuwam.

Larry prawie brutalnie wyrwał rękę i zacisnął palce.

–Wilbert mówił, że to się nazywa naznaczona dłoń. Ma coś wspólnego z Czarnym Bractwem i Beli Ja'alem. Nie wiem, skąd to mam, ale Wilbert odprawi nad tym egzorcyzmy. Ja staram się o tym nie myśleć.

–I twarz też się pojawia?

Larry skinął głową.

–A słyszał pan o ludziach, którzy widzieli twarze w różnych dziwnych miejscach?

Jeszcze raz skinął.

Tara Gordon spojrzała mu prosto w oczy.

–Wierzy pan, prawda?

–Czy wierzę? Nic na to nie poradzę. Zbyt dużo widziałem, żeby nie wierzyć.

Widziałem, jak moja matka kurczy się do rozmiarów dziecka. Widziałem płaszcz stojący o własnych siłach, utopioną dziewczynkę, która potrafiła mówić, i papugę z moją głową.

Tara odgarnęła mu włosy z czoła gestem niesłychanie intymnym jak na kogoś, kogo widzi się po raz pierwszy. Miało to znaczyć, że przyjęła go i zgodziła się nim opiekować.

–Rzadko się zdarza taki człowiek jak pan. Niektórzy nie chcą uwierzyć w to, co widzieli na własne oczy.

Odwróciła się do biurka i podniosła oprawioną w skórę książkę.

–Powinien pan przeczytać rozdział o Beli Ja’alu. Został wyrzucony z nieba jako pierwszy, bo za dużo kłamał. Nawet gdy Bóg dał mu szansę na przyznanie się do grzechów, zełgał.

–Wilbert uważa – powiedział Larry – że Beli Ja’al może być tu, w San Francisco. Nie wie skąd ani dlaczego, ale wydaje się bardzo prawdopodobne, że powróciło Czarne Bractwo i próbuje go wskrzesić.

Tara jeszcze raz dotknęła ostrożnie dłoni Larry’ego.

–Jeśli chce pan wiedzieć, to całe środowisko okultystyczne od miesiący obawiało się czegoś takiego – nawet jeszcze przed pierwszym rytualnym zabójstwem. Powodem są twarze. Według tej książki, według legendy, Beli Ja’al ukazuje wizerunki ludzi, których życiem zamierza się pożywić. Jest pasożytem na ludzkim istnieniu. Pragnie długo żyć – żyć i zaspokajać rozmaite żądze – przemocy, seksu, i tak dalej.

Wizerunki tych ludzi mogą się pojawiać prawie wszędzie: w lustrach, na błyszczących stołach, na każdej powierzchni, która normalnie służy za okno dla duchów. A najskuteczniejszym oknem dla duchów jest, oczywiście, wnętrze dłoni. Zastanawiał się pan kiedyś, dlaczego w czasie modlitwy składa się ręce? Wzięło się to stąd, że ludzie obawiali się, by zachęczone bliskością Boga duchy nie postanowiły właśnie przez ręce opuścić ich ciała, co spowodowałoby oczywiście śmierć.

–Sfilmowałem to – powiedział Larry.

Tara odstawiła szklankę.

–Proszę?

–Zeszłej nocy... Sfilmowałem kamerą video wizerunek na dłoni.

–Sfilmował pan to? – zapytała z błyskiem w oku. – Nagrało się?

–Jasne. Tylko rzuciłem okiem i niosę kasetę do Gmachu Sprawiedliwości, żeby obejrzel ją nasi eksperci.

–Możemy to teraz obejrzeć? Na zapleczu mam magnetowid.

–Myśli pani, że to może w czymś pomóc?

–Nie wiem na pewno, ale to niewykluczone.

Larry wyszedł do samochodu i wyjął ze schowka kasetę. Był ciepły, złoty zmierzch. Jeden z tych, kiedy San Francisco kąpie się w cytrynowych, żółtych i jasnobrązowych kolorach. Zawsze wtedy Larry był całkowicie przekonany, że mieszka w mieście na skraju tęczy. Zamykał właśnie samochód, gdy z całą pewnością usłyszał tuż przy uchu delikatny szept: Larry. I coś jeszcze – jakieś drganie powietrza. Na grzbiecie dłoni poczuł muśnięcie jakiejś miękkiej powierzchni.

Stał na chodniku, aż potężna kobieta w brązowej sukience powiedziała:

–Pardon, przyjacielu, chciałoby się przejść – i musiał zejść z drogi.

Gdy wrócił do sklepu, Tara już włączyła telewizor. Podał jej kasetę, a ona wcisnęła PLAY. Na początku Frankie i Mikey robili głupie miny do kamery. Musieli się do niej dobrać podczas jego nieobecności.

–No, no, cholernie straszne – zauważyła Tara.

–To moi synowie – powiedział Larry z dumą i zażenowaniem. – Ten z wykrzywionymi oczami to Frankie, a ten z palcem w nosie Mikey.

–Na pewno są mili – powiedziała Tara.

Przewinęła taśmę, aż ekran stał się ciemny, i Larry rozpoznał swoją, leżącą na domowym biurku, dłoń. Z początku obraz był nieostry, ale gdy odwrócił dłoń do światła, ostrość nastawiła się automatycznie.

Minęła spora chwila, ale zobaczyli w końcu szare plamki majaczące na skórze.

– Fascynujące – rzekła Tara. Nachyliła się tak, że amulet zwisał przed nią, a Larry mógł zajrzeć jej w dekolt. – Widzi pan, jak plamki zaczynają przypominać chmury na wietrze? To bardzo charakterystyczna cecha pojawienia się duchów. Mówimy na nie „motki”. Nikt dokładnie nie wie, co to jest. Von Budow twierdził, że to ludzkie tęsknoty wykute w surowcu świata duchów. Niektórzy uważają, że są zasłoną oddzielającą tę stronę świata od tamtej.

– A co pani o tym sądzi?

– Dla mnie osobiście to sprawa oczywista. To nie uformowana ektoplazma.

– O, dużo mi to mówi.

– Nie, nie. To nietrudne do zrozumienia. Są jak drobinki cukru w maszynie do robienia cukrowej waty. Zanim nawinie się je na patyk, nie mają dostrzegalnego kształtu.

Stopniowo „drobinki cukru” na dłoni Larry’ego zaczęły nabierać kształtu, w którym można było rozpoznać ludzką twarz. Tara Gordon nic nie mówiła, tylko patrzyła zafascynowana, jak twarz zaczyna się ruszać, odwracać i mówić. Głos było słychać bardzo słabo, jakby z oddalonego radia.

– Już prawie czas pożywienia, przyjacielu. Już prawie czas.

– Mój Boże – westchnęła Tara. – Słuchać! Dokładnie słuchać!

– Pożywienie z czego? – dało się słyszeć głos Larry’ego.

Tara Gordon patrzyła i słuchała oczarowana, aż usłyszała głos Lindy:

– Larry, Larry! Co ty robisz? Spójrz na swoją dłoń!

Cofnęła taśmę i jeszcze raz puściła moment, kiedy twarz zaczyna się pojawiać. Nacisnęła FREEZE i mogli dokładnie przyjrzeć się wizerunkowi ładnego, uśmiechniętego mężczyzny. Na kształtach jego twarzy rozkładało się światło słoneczne. Wyglądał na wesołego i zadowolonego. Nie było wątpliwości, że głos nie jest zsynchronizowany z ruchem warg i gardłowym, odbijającym się echem: „czas na pożywienie”.

Podparta na łokciu Tara już prawie pięć minut siedziała przed ekranem.

– Może moglibyśmy... – powiedział Larry, ale Tara uciszyła go dłonią. – Jezu – mruknął pod nosem.

Tara wreszcie się wyprostowała.

– Chyba wiem, kto to jest.

– Poznaje go pani?

– Trudno powiedzieć na sto procent, ale przypomina porucznika Sama Roberta.

– Kto to, do diabła, jest Sam Roberts? Myślałem, że znam wszystkich oficerów w mieście.

– Cóż, nie przeczę – rzekła Tara wstając z krzesła. – Ale historii San Francisco chyba nie za bardzo.

– Pani Gordon...

–Mów mi Tara. A jeśli ci się nie uda, to pani Tara.

Przeszła do sklepowej półki z książkami i wyciągnęła wielkie tomiszcze zatytułowane: „Lata bezprawia; San Francisco 1845-1850”. Larry stanął za nią, a ona przesuwiała palcem po indeksie, aż znalazła, czego szukała, i otworzyła książkę na stronie z czarno-białymi zdjęciami.

–O proszę – powiedziała triumfalnie. – Porucznik Sam Roberts, kiedyś Bowery Boy, dawniej członek grupy pułkownika J. D. Stevensona, przybyłej do Kalifornii do walki z Meksykanami, dawniej ochotniczy policjant, dawniej łowca przemytników i zamiatacz ulic, morderca, podpalacz, gwałcień, złodziej.

Larry uważnie spojrział na portret. Przedstawiał wesołego mężczyznę o charakterystycznej twarzy. Szerokie czoło, wąskie brwi, włosy zaczesane na bok. Larry popatrzył na ekran telewizora, gdzie wciąż był zastopowany wizerunek twarzy, i nie zrodziła mu się w umyśle najmniejsza wątpliwość. To ten sam człowiek.

–Zdumiewające – przyznał.

–Za bardzo się nie dziw – powiedziała Tara. – Od dawna studiuję magiczną historię San Francisco. Kończę wreszcie książkę na ten temat.

–No, no – powiedział Larry. – Podziwiam cię. Nie potrafiłbym napisać książki, nawet gdyby to miało ocalić moje życie. Jaki ma tytuł?

–Nie chciałabym zapeszyć. Poza tym chyba nigdy jej nie skończę, więc na twoim miejscu darowałabym sobie ten podziw.

–Jest w niej coś o poruczniku Samie Robertsie?

–Tak. Był pod każdym względem dziwakiem. Organizował spotkania okultystyczne i opowiadał przyjaciółom, że rozmawia z samym Szatanem. W tysiąc osiemset czterdziestym dziewiątym roku uformował grupę tak zwanych policjantów, którzy mieli chronić prawo i porządek, ale w rzeczywistości jedynie rabowali, gwałcili i palili dobytki imigrantów. Mówili o sobie Kierownicy albo Psy Gończe.

W lipcu tysiąc osiemset czterdziestego dziewiątego zaatakowali Little Chile. Nie przebierając, zastrzelili Chilijczyków, a ich kobiety zgwałcili. Podłożyli ogień i zniszczyli szałas.

Tego było już za wiele, nawet dla spokojnej ludności San Francisco. Partia Prawa i Porządku, utworzona przez Sama Bramana i burmistrza Thaddeusa Leavenwortha, zorganizowała polowanie na Psy Gończe. Niektórzy zostali złapani i uwięzieni, większość uciekła. Kilku utopiło się w zatoce. Nikt nie wie, co się stało z porucznikiem Samem Robertsem, ale w miesiąc później przysłał mieszkańcom otwarty list, w którym poprzysiął zemstę.

Napisał, że przygotowuje dla San Francisco karę okrutniejszą, niż można sobie wyobrazić.

Larry spojrział na swoją dłoń.

–I ten maniak pojawia się teraz na mojej ręce?

–Na to wygląda.

–Wilbert Fraser powiedział, że mógłby odprawić nad tym egzorcyzmy.

–Nie ma potrzeby mu zabraniać.

–A ty mogłabyś coś zrobić?

Tara Gordon pokręciła głową.

–Zaświaty, życie pozagrobowe, druga strona – ja się już za takie rzeczy nie biorę. Nawet jako tako wrażliwy Fraser nie wie, na co się porywa. To zupełnie inny świat, poruczniku – wyższy, głębszy i szerszy, niż potrafimy pojąć – gdzie nie ma miejsca na prawo grawitacji, zdrowy rozsądek ani logikę. Kiedyś po seansie mój bliski przyjaciel spędził siedem miesięcy w śpiączce, a potem umarł. I Bóg jeden wie, że nie umarł szczęśliwy.

Larry w zamyśleniu wyjął kasetę.

–Więc jak myślisz, co powinienem zrobić?

–To ty jesteś detektywem.

–Masz jakieś przypuszczenia, gdzie mógł zamieszkać Szatan z Mgły?

–Mogę mieć tylko oczy i uszy szeroko otwarte.

–Okay... dzięki. Dzięki też za informacje o Samie Robertsie.

–Dobrze, że przynajmniej wierzysz.

–Wolałbym nie wierzyć.

–Świadomość to odpowiedzialność – powiedziała Tara dolewając sobie żubrówki.

– Wiara jest krzyżem.

Larry opuścił „Waxing Moon”, przeszedł tłoczonym chodnikiem do samochodu, wsiadł i owiął go zapach perfum „Ralston”, ponieważ na przednim fotelu siedziała Fay Kuhn.

–Nie jest pan ze mną szczery – skarciła go.

–Prowadzę dochodzenie.

–Z Tarą Gordon? To największa uwodzicielka od czasów Sally Stanford.

–Jej zachowaniu nie mogę nic zarzucić.

–Jasne, czuć to w pana oddechu.

–Jeśli mam być szczery, Tara Gordon przekonała mnie, że to, co mówiła pani o Czarnym Bractwie, jest prawdą... i że prawdą jest to, co mówił Wilbert Fraser: że próbują ożywić upadłego anioła Beliala... jeśli takie upadłe anioły rzeczywiście istnieją... i że prawdopodobnie mamy tu do czynienia z największym zaburzeniem psychicznym od czasów czarownic z Salem.

–Mogę pana zacytować?

Larry zawahał się. Jeśli jego opinia o powiązaniach Szatana z Mgły z zaświatami ukaże się w druku, Dan Burroughs bez wątpienia wybuchnie. Z drugiej strony był zupełnie pewien, że rozwiązanie zagadki tych sześciu rzezi leży w świecie duchów i że pomoc mu mogą jedynie ci, którzy wierzą w życie po życiu i w drugą stronę.

Istniał jeszcze jeden przekonujący powód, aby podać taką opinię do wiadomości publicznej; Szatan z Mgły po raz pierwszy dowie się, że Larry poszukuje go nie tylko zgodnie z procedurą śledczą, ale także na poziomie okultystycznym. Może to go zdenerwuje, wyprowadzi z równowagi, skłoni do opuszczenia kryjówki. Wszystkie jego posunięcia były chępliwie i aroganckie. Może Larry skłoni go do odrobinę otwartzego działania i odkryje jego plany. Potrzebuje tylko jednej nitki.

–Czy mi pan pozwoli, czy nie – powiedziała Fay Kuhn – puszczę coś o niekonwencjonalnym aspekcie śledztwa. Muszę. W *Chron* też już wiedzą.

–Mam mieszane uczucia – przyznał się Larry. – Dostanę niezły ochrzan od Dana, prawdopodobnie z biura burmistrza też. Ale muszę chyba wyciągnąć wszystko na światło dzienne.

–To dobrze. – Fay wyjęła długopis. – Pozwoli pan, że najpierw zapytam, co pana naprowadziło na przypuszczenie, że Szatan z Mgły to ktoś więcej niż zwykły socjopata?

Larry odchrząknął. Zdawał sobie sprawę z politycznego znaczenia tego, co robi, ale śledztwo jest, do cholery, ważniejsze od polityki.

–W telefonicznym ostrzeżeniu Szatan z Mgły wspomniał o „drugiej stronie”. Miał na myśli drugą stronę życia – świat duchów. Żona zasugerowała, żeby poszedł sprawdzić tę „drugą stronę” na seansie spirytystycznym. Szedłem bez żadnych uprzedzeń, otwarty na wszystko. Jeśli mam być szczery, nie spodziewałem się, że dokądkolwiek to zaprowadzi.

–Dobrze... to było u Wilberta Frasera?

–Tak. Gdy poszedłem na seans, ku swojemu zdumieniu odkryłem, że „druga strona” istnieje naprawdę. Bez żadnych trików, żadnych projektorów, żadnych pierdół. No, „pierdół” może proszę nie pisać. Widziałem ją, doświadczyłem jej. A skoro była dość prawdziwa, żeby doświadczył jej oficer policji, zatem jest wystarczająco prawdziwa do przeprowadzenia poważnego śledztwa. Zwłaszcza że może pomóc w zlokalizowaniu tego wariata.

Opowiadał Fay Kuhn przez prawie pół godziny. Zapisywała wszystko krótkimi zdaniami przewracając kartkę po kartce swojego notatnika. Prawie już kończyła, gdy zatrzeszczało radio Larry’ego i rozległ się głos:

–Dwadzieścia dwa, dwadzieścia dwa!

–Tu dwadzieścia dwa. Odbiór.

–To ty, Foggia? Mamy dla ciebie pilne wezwanie od sierżanta Brougha. Mówi, że masz jak najszybciej się zgłosić do szpitala SFG. Na dziewiąte piętro. Edna-Mae Lickerman wyprawia cyrki.

–Wyprawia cyrki? Co to ma znaczyć?

–Skąd mam wiedzieć? Sierżant Brough nic więcej nie powiedział.

–W drogę – powiedział Larry i zapalił koguta na dachu.

–Mogę jechać z panem? – zapytała Fay Kuhn,

–Z technicznego punktu widzenia – nie.

Ale bez chwili wahania zawrócił i popędził w stronę szpitala San Francisco General, nie dając Fay możliwości wyjścia.

–Zaparkowałam w niedozwolonym miejscu – powiedziała. – Mam nadzieję, że mi to pan załatwi.

–Dlaczego wydaje mi się, że przez całe życie robię coś dla Fay Kuhn?

–Bo Fay Kuhn może zrobić wiele w zamian.

–Hm! Zobaczmy, jak Dan Burroughs przeczyta jutro pierwszą stronę. Jaki pani da tytuł? OSTATECZNY ATAK FOGGII?

–To nie ja wymyślam tytuły. Ja tylko opisuję fakty tak, jak je widzę.

–Dobra, chodźmy rzucić okiem na Ednę-Mae. Zobaczmy, co pani powie na jej

widok.

W kącie stał sztywno Houston Brough. Do piersi przyciskał pistolet.

Pośrodku sali stała pielęgniarka w białym kitlu – piękna rudowłosa dziewczyna około dwudziestu dwu lat. Ze strachem i niedowierzaniem wytrzeszczała niebieskie oczy. Przed nią na wysokości oczu, bez żadnego zawieszenia, unosił się pokurcz Edna-Mae z kanciastą głową, przymglonymi oczami i stawami cienkimi jak ptasie łapki. Ubrany był w szpitalną koszulę opadającą i falującą na niewyczuwalnym wietrze.

Do gardła dziewczyny Edna-Mae przyłożyła kawałek potłuczonej szklanki.

Uśmiechała się, zawodziła coś i unosiła się przed pielęgniarką z taką łatwością i radością, jakby szybowiała nad oceanem.

–Jak ona to robi? – wyszeptała Fay. – Podtrzymuje ją strumień powietrza, czy co? Jak ona to robi?

–Zostań tu – powiedział Larry. – To może być niebezpieczne.

–Ale mówił pan, że mogę iść.

–Mówiłem, że nie.

–Ale zabrał mnie pan, wychodzi na to samo.

Larry skończył dyskusję. Wślizgnął się do pokoju i przywierając plecami do ściany dotarł do stojącego w kącie Houstona.

–Możesz uwierzyć? – Houston mówił bardziej z gniewem niż z niepokojem. – Zbrodniarka psychopatka, która umie fruwać.

–Mówiła coś?

–Śpiewa.

–Chce odebrać pielęgniarce życie?

–Nie dosłownie. Ale zdaje się, że kawałek szkła przy gardle nie można uznać za gest dobrej woli, nie?

–Trafisz ją z tego miejsca?

–Jasne. Ale czy umrze? A jeśli nawet, czy na pewno nie zdąży zafundować pielęgniarce dodatkowych ust?

Edna-Mae nieprzerwanie lawirowała w powietrzu, czubkami palców dotykała niemal ściany. Uśmiechała się i podśpiewywała sobie, jakby była najszcześniejszą osobą na świecie, bo nadszedł właśnie dzień, na który czekała całe życie.

„Dnia jednego wśród traw woni

Wziął mnie luby do leśnych ustroni...”

–Boże wszechmogący, co to, do diabła, znaczył – zapytał Larry.

–Śpiewa tak, odkąd przyszedłem – rzekł Houston. – Na okrągło tę samą piosenkę.

„Żegnaj: miasto, morza toń,

Ja niezgorsza, piękny on...”

Larry powoli wyciągnął pistolet.

–Edna-Mae! – zawołał. – Słyszysz mnie? To ja, Larry Foggia. Porucznik Larry Foggia. Poznaliśmy się u „Alfonsa” na rogu Front i Green, pamiętasz?

„Ujął moją dłoń, ujął moje serce,

Przyrzekł, że nikt nie rozłączy nas więcej...”

–Edna-Mae – powtórzył Larry i zrobił dwa kroki przed siebie. Edna odwróciła się leniwie i popatrzyła na niego z góry. Oczy miała takie mętne, że Larry nie wiedział, czy coś nimi widzi.

–Edno, pielęgniarka nie zrobi ci krzywdy. Nie myślisz, że powinnaś odłożyć to szkło?

Pielęgniarka patrzyła zdesperowana na Larry’ego. Przez moment zdawało się nawet, że chce coś powiedzieć albo spróbować się wyrwać, ale Larry gwałtownie pokręcił do niej głową. Jedno pociągnięcie szkłem i Edna przecięłaby jej tętnicę, a nawet przy obecności tylu lekarzy istnieje zbyt wielkie ryzyko, że wykrwawi się, nim ktokolwiek do niej dotrze.

Była zbyt młoda i piękna. Nawet Larry nie podjąłby takiego ryzyka.

–Edna! Daj spokój tej dziewczynie. Nie zrobiła nic, za co mogłabyś ją tak traktować. Chciała ci pomóc wrócić do zdrowia.

„Da mi dzidziusia, da mi czwórkę,
Potem piątego, później powtórkę...”

Larry z powrotem cofnął się do kąta.

–Dajcie tu natychmiast snajpera. Takiego, który ze stuprocentową pewnością trafi z bliskiej odległości.

–Rickenbacker jest od tego – powiedział Houston. – Czterdziestką piątką zestrzeli pyłek z nosa i to nawet bez celowania.

–Dawać go tu.

Edna nucila i unosiła się w powietrzu. Larry słuchał jej z zimnym potem na czole.

„Patrz, jak się niemowlak śmieje,
Je i ma na śmierć nadzieję”.

Wymknął się z sali. Przed wyjściem czekała Fay Kuhn. Wyglądała na zaniepokojoną.

–Co pan teraz robi?

–A ma pani jakiś błyskotliwy pomysł? Posłałem po snajpera, to najlepsze, co zdołałem wymyślić. Może powinienem posłać też po księdza.

„Patrz, jak małe dziecko płonie,
Patrz, jak wije się w agonii” – śpiewała Edna-Mae.

Larry odwrócił się do Edny. Trzymał pistolet za plecami i unosił dłoń, żeby jej pokazać, iż nie chce jej skrzywdzić.

–Edno, musisz puścić tę dziewczynę! Wiesz o tym, prawda? Nie masz żadnego prawa zranić jej. Nie masz prawa nic jej zrobić.

Edna splunęła na niego.

–Wypowiedziała imię. Wypowiedziała imię.

–Jakie imię, Edno?

–Wypowiedziała imię, którego nie wolno jej powiadać.

–Może chciałaby cię przeprosić? Jestem prawie pewien, że nie powiedziała tego umyślnie.

–Kiedy imię jest wypowiedziane, to jest wypowiedziane. Nie miała prawa. Nie wolno tak sobie żartować.

–Edno, to wykwalifikowana pielęgniarka. Z pewnością nie chciała się z nikogo śmiać. A teraz proszę... Pomyśl, co robisz. Puść ją.

Edna nic nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się, jakby w rozmarzeniu, jakby myślała o przemijaniu cudownych dni. Larry nie wiedział już, co mówić. Błyszczący kawałek szkła znajdował się wciąż o milimetry od szyi pielęgniarki. Nawet jeśli udałoby się wycelować i zastrzelić Ednę, wciąż nie ma pewności, że była wróżka nie zdąży rozciąć dziewczyny od ucha do ucha.

–Edna – Larry zaczął od nowa. Zastanawiał się, czy ryzykować podejście bliżej. Lecz nagle jakiś ruch z prawej strony przyciągnął jego wzrok. Zatrzymał się i odwrócił z ciągle uniesioną ręką. Houston Brough zauważył, że Larry odwraca głowę i obejrzał się, żeby zobaczyć, co przyciągnęło uwagę porucznika.

W najniższej szybie okiennej wyraźnie widział twarz. I choć był to tylko mglisty zarys, bez omyłki mógł wskazać nos, oczy i lekko uśmiechnięte usta. Zaświeciło słońce i twarz zaczęła znikać, ale co do jednej rzeczy Larry był przekonany: było to to samo oblicze, które pojawiał mu się na dłoni i w którym Tara Gordon rozpoznała Sama Robertsa – Kierownika, Psa Gończego.

Spojrzał na Houstona Brougha.

–Widziałeś to? – zapytał, ale Houston tylko wzruszył ramionami, jakby nie rozumiał, o czym Larry mówi. Foggia odwrócił się do Edny-Mae oraz pielęgniarki, która niepewnie patrzyła pod stopy, jakby się miała za chwilę przewrócić.

–Edna, daj tej dziewczynie spokój!

–Oczywiście – Edna odparła głosem niespodziewanie szorstkim. – Ale najpierw musi mnie wyleczyć.

–Puść ją teraz, Edno!

Ale Edna nagle otworzyła usta i ryknęła na niego głosem tak strasznym, że cofnął się i podniósł pistolet.

–Już prawie czas na pożywienie! – wrzasnęła. Jej ślepe oczy zaszły gniewem i złością.

Wtem z oczu i uszu błysnęło oślepiające światło. Jej głowa zaczęła przypominać podświetloną od środka dynię z otworami. Wyszczrzyła zęby i z ust również błysnął strumień światła. Dziewczyna krzyknęła i próbowała się wyrwać. Kawałek szkła wypadł Ednie z dłoni i rozbił się na podłodze.

Larry i Houston jednocześnie podnieśli pistolety, ale Edna, niczym nurek, odwróciła się w powietrzu i zacisnęła kościste nogi na talii dziewczyny. Przywarła do niej tak mocno, że żaden z nich nie zdecydował się na strzał.

–Ściągnij ją! – krzyknął Larry do Houstona, a ten wskoczył na łóżko i chciał ją złapać za plecy. Jednak Edna przyłożyła kościste palce do powiek dziewczyny i wrzasnęła:

–Jeśli mnie tkniesz, rzucę w ciebie jej oczami!

–Pierdol się! – krzyknął Houston, ale Larry zawołał:

–Przestań, Houston. Stój!

Za chwilę Edna i pielęgniarka wyglądały jak w straszliwej parodii aktu miłosnego. Dziewczyna stała sztywno wyprostowana i trzęsła się jak podłączona do prądu. Edna

przywarła do niej jak mała do drzewa. Bijące jej z oczu światło stawało się coraz intensywniejsze i rzucało na włosy dziewczyny poświatę przypominającą anielską aureolę. Edna chwyciła dziewczynę za głowę i ile się dało pociągnęła do tyłu, aż niemal stykały się nosami i mogły patrzeć na swoje twarze.

Larry znów podniósł pistolet i wycelował w głowę Edny. Jednak karlica odwróciła się do niego, prawie oślepiła uśmiechem i powiedziała:

–Głupcze! Ja i ona to teraz jedno. Jeżeli zginę, ona razem ze mną.

Strzelaj, pomyślał Larry. Dziewczyna i tak zginie. Ale nikt z dowództwa by mu nie uwierzył. Z niechęcią i przerażeniem opuścił broń.

–Poruczniku! – zawołał zakłopotany Houston.

–Trzymaj się z daleka – ostrzegł Larry.

–Co ona robi? – Fay Kuhn zapytała scenicznym szeptem.

Powoli, z chrzęstem pękania kości, Edna-Mae rozwarła usta pielęgniarki. Potem sama rozdziawiła szczękę i nachyliła się kilka centymetrów nad twarzą dziewczyny.

Przez prawie pół minuty nic się nie działo. Lecz nagle dziewczyna zaczęła trząść się jeszcze mocniej. Stała na palcach i naprężyła dłonie, jakby chciała siłą woli unieść się w powietrze, jakby pragnęła dotknąć ustami zasuszonej wiedzy.

Albo jakby próbowała nie dopuścić, żeby uleciała z niej cała młodość.

–Larry? – zapytał Houston. – Co robić, do diabła?

Ale już było za późno. Na rozciągniętych wargach dziewczyny pojawił się szaroróżowy śluz zmieszany z krwią. Początkowo Larry miał nadzieję, że to tylko język. Ale widział, jak jego matka znalazła się twarzą w twarz z takim samym oślepiającym światłem i wiedział, co stanie się dalej. I nie mógł tego powstrzymać, nie mógł zrobić nic.

To jej życie uchodziło przez usta.

Na początek – pierwszy dzień istnienia, po który Edna sięgnęła długim, zakręconym językiem i przywitała go z radością. Moment urodzenia pielęgniarki unosił się błyszcząc w świetle, a Edna pochłonęła go otworem gębowym.

Wszyscy obserwatorzy milczeli w bezruchu. Przyglądali się ze strachem i fascynacją, a istnienie pielęgniarki coraz szybciej i szybciej wypływało z ust i trafiało do nienasyconego żołądka Edny. Światło, kolory, muzyka, plątanina ciał, twarzy, palców. Wszystko to przypominało długą, błyszczącą pępowinę – sznur ludzkiego dorastania, doświadczenia i szczęścia. Gdy to się działo, Larry słyszał strzępki głosów i muzyki puszczanej jakby z kasyty na przyspieszonych obrotach.

„Mamusi dziewczynka... co?... właśnie tak... nie! nie wolno!... *loves you, yeah, yeah, yeah...* rower... widziałam go w szkole... kocham cię, kocham cię... w środku... dźwięk tłuczonej szklanki... kocha... zadzwoń... aaaa!!!”

I gdy z pielęgniarki uchodziła dusza, stało się coś groteskowego.

Ciało Edny-Mae zaczęło puchnąć.

Najpierw pod szpitalnym ubraniem wyrósł jej brzuch, jakby zaszła w ciążę. Potem z hałasem przypominającym trzaski towarzyszące dmuchaniu balona napęczniały piersi, ramiona i nogi.

Straciwszy guziki, szpitalny kaftan odsłonił jej plecy. Uda nabrzmiwały i zaczęły

przypominać muślinowe woreczki z serem. Nie przybierała swego poprzedniego kształtu. Nie miała wcięć, zaokrągleń ani zarysowanych kostek. Nawet jej głowa wyglądała jak pozbawiony kształtu worek – zbiornik na życie i duszę innego człowieka.

Coraz mocniej przywierała do dziewczyny, wyciskała z niej duszę do ostatniej cząstki. Minione dni ze szkoły pielęgniarskiej, rowerowe wycieczki, miłość, sprzeczkę, śpiewy, bolesne uświadomienie sobie, że niektórzy pacjenci muszą umrzeć, niezależnie od tego, co dla nich zrobi.

Siostra trzęsa się i rzucała w ramionach nadętego pasożyta, który wykradł jej wszystko, czym była, i wszystko, czym mogłaby być. Ubrania zaczynały na niej zwisać. Skurczone do indyjskich łapek dłonie zniknęły pod opadającymi rękawami. Czepek pielęgniarski zleciał i kołysał się na podłodze do przodu i do tyłu. Rude włosy doszczętnie posiwiały i swobodnie spadły z upstrzonej zmarszczkami twarzy na kołnierzyk.

Edna pozwoliła jej przewrócić się i dziewczyna upadła ze smutnym grzechotem. Larry podniósł pistolet, ale wiedział, że zniweczyłby wszelkie szansę, jakie mogła mieć pielęgniarka, gdyby zabił lub zranił kobietę, która pozbawiła ją duszy.

–Larry? – szepnął Houston. – Strzelamy?

Światło w oczach Edny rozbłysło i zgasło. W sali, jak podczas zbliżania się burzy, zaczęło się ściemniać.

Edna-Mae była ogromna. Jej ciało napierało na szpitalne ubranie, które pękało wydając słyszalne dla ucha dźwięki. Na brzuchu pojawił się przypominający pytona bąbel, zakręcił się i zniknął w jej wnętrzu.

Oczy strzykały krwią i pochlapały czerwonymi plamami białą twarz.

–Już prawie czas na pożywienie – powiedziała ustami śliskimi od śluzu.

Zrobiła ciężki krok do przodu, potem następny. Podobny do pytona bąbel wyskoczył nagle na ramieniu. Zawahała się, odkaszlnęła i kręciła głową z boku na bok, jakby nie mogła się zdecydować co dalej.

–Już prawie czas...

Larry wymierzył pistoletem w jej twarz.

–Jeszcze wystarczająco dużo – powiedział.

Spojrzała przekrwionymi oczami.

–Jeszcze dużo? – zapytała. – Czy tak powiedziałaś?

Stopniowo, trzęsąc naroślami, zaczęła się śmiać. Ze śmiechu bezkształtne piersi podnosiły się i opadały, uderzając o brzuch. A podobny do węża kształt wylaniał się w różnych miejscach ciała, jakby chciał uciec spod skóry.

Zerwała z szyi resztki ubrania. Sięgnęła po prześcieradło i owinęła sobie dokładnie głowę i całe ciało, tak że wyglądała jak biała koszmar na mniszka.

–Już mnie nie zatrzymasz – uśmiechnęła się do Larry'ego. – Nie dasz rady nic zrobić.

Gdy się uśmiechnęła, z dolnej wargi opadła jej kropla śluzu, tworząc gluta, który przy następnym kroku kołysał się z boku na bok.

–Zobaczymy, Edno – powiedział Larry. – Jeszcze krok i strzelam.

–No, no, biedny frajerze, wiesz, jakie będą tego konsekwencje.

W tym momencie ktoś trącił Larry’ego w ramię, aż podskoczył ze strachu.

–Jezu Chryste...

–Przepraszam, poruczniku. Oficer Rickenbacker – powiedział mężczyzna z tłustą szyją, wygoloną głową i okularami bez oprawek. W dłoni ścisnął magnum z długą lufą.

–Proszę się na chwilę wstrzymać – powiedział Larry. – Mamy tu specyficzny problem.

Rickenbacker zajrzał przez ramię Larry’ego do sali. Rzucił okiem na Ednę i opadła mu szczęka.

–Rozumie pan, co mam na myśli? – zapytał Larry.

–Rzeczywiście, specyficzny problem – potulnie zgodził się Rickenbacker z wciąż wytrzeszczonymi oczami. – Co ona, do diabła, jadła?

–Niech pan po prostu nie strzela, dopóki nie powiem.

–Ani mi się śni.

Ciężko sapiąc zabandażowana w prześcieradło Edna ruszyła w ich stronę. Z twarzy Larry widział jedynie mostek nosa i galaretowate oczy. Czuł także silny smród ludzkich wnętrzności. Słodki odór, który noszą w sobie żywi ludzie. Gdy kula lub ostrze naruszy pokrywającą wszystko skórę, wydostaje się na zewnątrz. Obrzydliwa woń dużej ilości surowej krwi.

Gdy Edna-Mae powiększyła się, w sali zrobiło się mroczniej. Być może, to tylko złudzenie. Jednak Larry niemal to odczuwał. Wydawało się, że to nie prawdziwy mrok, a raczej aura lub koncentracja złej woli. Było w tym coś skrajnie zimnego, skrajnie okrutnego.

Edna wyciągnęła do Larry’ego rękę, a on położył na niej dłoń. Czuł pod prześcieradłem śliskie, napęczniałe ciało i musiał wyteńczyć całą swą wolę, by nie zabrać dłoni. Lewej dłoni. Naznaczonej dłoni.

–O tak, Edno. Dalej już nie idź.

–Boże wszechmogący – usłyszał tuż za sobą westchnienie jakiegoś policjanta.

Na ułamek sekundy Larry uwierzył, że jest w stanie ją zatrzymać. Stała w miarę spokojnie i nawet stwór w jej ciele zdawał się uspokoić. Zaczęła oddychać wolno i głęboko, jak ktoś ciężko przeziębiony.

Lecz wtem spojrzał w jej oczy i został porażony tak strasznym bólem w głębi czaszki, że upadł na kolana. Zdawało mu się, że trafiła go siekierą w głowę. Nic nie widział, nic nie słyszał. Nie mógł myśleć o niczym innym niż o świdrującym bólu w mózgu.

Nie zauważył nawet, jak Edna minęła go i wyszła na korytarz, zagarniając przed sobą tłum policjantów i sanitariuszy.

Usłyszał jednak krzyk Houstona Brougha:

–Rickenbacker! Ostrzeż ją i strzelaj!

–Stać! – wrzasnął Rickenbacker. – Słyszysz? Stać!

Larry otworzył usta, aby krzyknąć: Nie!, ale nie był pewien, czy wydał z siebie jakiś dźwięk. Szarpnął się i z pomocą Fay Kuhn znów stanął na nogach, właśnie w

tym momencie, gdy Rickenbacker wypalił po raz pierwszy.

W korytarzu rozległ się ogłuszający huk. Prześcieradło na plecach Edny poruszyło się, gdy dosięgnęła je kula. Larry usłyszał krzyk – lecz nie był to krzyk Edny. Pochodził z leżącego na podłodze wyssanego ciała pielęgniarki.

–Jezu – powiedział Rickenbacker. – Trafiłem ją w śmiertelny punkt, a ona jeszcze chodzi.

Larry sapnął chcąc powiedzieć: Nie!, chciał, żeby go Rickenbacker zrozumiał. Ale Rickenbacker podniósł do góry swoje magnum i strzelał raz za razem. Prześcieradło na plecach Edny rozleciało się na strzępki. Tymczasem w sali 9009 pielęgniarka odczuwała każdą kulę z karabinu. Jej klatka piersiowa eksplodowała, połowa ramienia odleciała, bezwłosa czaszka spadła przez balkon i rozbiła się niczym dzbanek.

–Przestań strzelać! – krzyczał Houston. – Przestań strzelać! – Jednak panował zbyt duży hałas i zbyt duża panika. W kilka sekund Rickenbacker opróżnił cały magazynek, a sala 9009 została usiana kawałkami skóry, kości i porwanego kitla. Ramię pielęgniarki uniosło się nagle, jakby w desperackim geście obrony przed kulami.

Larry ze strachem odwrócił się i spojrzał na korytarz. Trwał najgorszy z jego koszmarów – zabijanie niewinnego obywatela. Na całym piętrze zrobiło się nagle cicho. Żadnych telefonów, żadnych dzwonek, żadnych głośnych rozmów. Tylko dym z karabinu i huczenie w uszach. Tylko dziewięciu czy dziesięciu policjantów i lekarzy spoglądających z niedowierzaniem, jak Edna-Mae powoli znika im z pola widzenia.

–Mam iść za nią, sir? – zapytał młody oficer – Latynos.

Larry pokręcił głową.

–Houston, zostaniesz tutaj. Edna-Mae jest moja.

–Sześć strzałów, śmiertelny punkt – powtarzał zaszokowany wciąż Rickenbacker.

– Sześć strzałów, a ona wciąż na nogach.

–Lepiej spójrz na to, co ci się udało zrobić – powiedział Larry i skinął w stronę sali 9009.

Lekarz z bladą twarzą już spoglądał na to, co zostało z pielęgniarki.

–Rany postrzałowe – wymamrotał, gdy Rickenbacker wszedł do sali. – Gdybym tego nie widział na własne oczy, nie uwierzyłbym.

–Czy to jakiś nowy wynalazek, panie oficerze? – zapytał przestraszony czarnoskóry lekarz. – Pistolet, który strzela w bok?

–Idź do diabła! – westchnął Rickenbacker. Uklęknął na podłodze.

Larry ruszył za Edną-Mae. Fay Kuhn popędziła za nim. Jej obcasy stuknęły po błyszczącej podłodze.

–Co zamierza pan zrobić? – zapytała.

–A jak myślisz? Dogonić ją.

–Jak pan sądzi, daleko zajdzie owinięta w prześcieradło?

–Skąd mam wiedzieć. Wymknęła się mnie, wymknęła Rickenbackerowi. Daj spokój Fay, w prześcieradle nie jest Edna-Mae Lickerman, ale jakieś sto kilo mięsa

pozbawionego życia. I jak pani sądzi, co się stało z tym życiem?

–Nie wiem – szepnęła Fay. – A jak pan myśli?

–Trafiło do kogoś, kto żywi się ludzkim doświadczeniem. Do Beliala, Beli Ja'ala albo Belly J'alla, czy jak tam on się nazywa. Patrz, jest! To ona! Idzie na schody!

Skręcili w róg korytarza akurat, by zobaczyć zamykające się drzwi od schodów ewakuacyjnych. Larry jednym pociągnięciem otworzył drzwi i razem z Fay znaleźli się na ósmym piętrze wyjścia bezpieczeństwa. Larry stanął i nasłuchiwał. Do jego uszu dochodziło echo szelestu prześcieradeł i klapnięć bosych stóp.

–Chodźmy – powiedział do Fay i po cichu ruszyli w pościg.

–Da się ją jakoś zatrzymać? – zapytała Fay.

–Jeśli sześć strzałów z magnum nie mogło, to nie wiem. Poza tym, ważniejsze, dokąd idzie.

–Myślisz, że zaprowadzi nas do Beliala?

Stanął na piątym piętrze.

–Fay, możesz przestać zadawać mi pytania? Nie wiem więcej od ciebie.

Spojrzała na niego.

–Już drugi raz powiedziałaś do mnie Fay.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale Larry podniósł rękę i syknął.

–Ciii!

Cały czas było słyhać szelest prześcieradła i odgłos podobny do tego, jaki podczas biegu wydają szczury. Larry wychylił się przez poręcz i dostrzegł skrawek prześcieradła na trzecim piętrze.

–Naprzód! Jeśli zgubię na Potrero Avenue owiniętą w prześcieradło kobietę z nadwagą, Dan Burroughs każe mi się schować pod tapicerką w samochodzie.

Zbiegali po kilka stopni naraz. Na parter dotarli w chwili, gdy trzasnęły drzwi szpitala.

Wypadli na ulicę. Larry rozglądał się to w jedną, to w drugą stronę.

–Gdzie się podziała, do diabła? Nie możemy jej zgubić!

–Tam! – krzyknęła Fay. – Po drugiej stronie!

Edna stała po drugiej stronie krawężnika, a jej odzienie jaśniało w świetle latarni. Siostra Edna-Mae od nieświętych Transformatystek.

–Co ona robi? – Fay zmarszczyła brwi. – Zwyczajnie sobie tam stoi.

–Czekaj, stój! – powiedział Larry. – Nie wiem, czy nas widzi. Tam w sali wyglądała na ślepa.

Przywarli do szpitalnej ściany tak, aby częściowo osłaniał ich zaparkowany samochód. Czekali, a Edna pozostawała na miejscu. Stała cierpliwie na krawężniku, a wokół niej trzepotało prześcieradło. Obejrzało się za nią kilku przechodniów, ale San Francisco to San Francisco i nikt nie zwrócił na nią szczególnej uwagi.

Od strony szpitala nadszedł Houston.

–Jeszcze tu jest? – powiedział zaskoczony.

–Co tam się dzieje na górze? – zapytał Larry.

–Zabroniłem wchodzić innym chorym. Dla pielęgniarki nic się nie da zrobić.

Rickenbacker rozłożył się i leży.

Czekali rozmawiając, aż usłyszeli pisk opon i pędząca po Potrero czarna furgonetka zatrzymała się zasłaniając im Ednę. Dotarł do nich trzask drzwi, a wtedy furgonetka ruszyła zostawiając drugą stronę ulicy pustą.

Houston popatrzył na Larry'ego, Larry na Houstona.

–Ma przyjaciół – powiedział Houston z niedowierzaniem.

–Szatan z Mgły oczywiście – rzucił Larry denerwując się na siebie, że nie upewnił się, czy ma do dyspozycji samochód.

Houston wyjął z kieszeni krótkofalówkę i zadzwonił po APB.

–Czarna furgonetka chevy z osiemdziesiątego pierwszego lub osiemdziesiątego drugiego roku bez tablic rejestracyjnych. Przyciemniane okna. Zlokalizować i śledzić, ale nic nie robić, powtarzam, nie próbować zatrzymać. Jeśli to będzie możliwe, śledzić do samej Eureka.

–Cholera! – burknął Larry. Tyle miał tylko do powiedzenia.

–I co teraz? – zapytała Fay.

–Co teraz? Ja tu zostanę na parę godzin, a ty możesz sobie robić, co chcesz.

Ulicę zaczęły wypełniać syreny samochodów policyjnych przybyłych z posiłkami. Pomalowany na fioletowo mikrobuz z telewizji KCBS zatrzymał się przed nimi, a z okna wychylił się łysy mężczyzna i zawołał:

–Kuhn! Co tu się dzieje, aniołku?

–Czekaj, Harry! – krzyknęła Fay. Złapała Larry'ego za rękaw i spojrzała na niego poważnie. – Zadowolony jesteś z tego artykułu?

–Jaki artykuł? – spytał ostro Houston.

–Kiedyś to musi wyjść na jaw – powiedział Larry.

–Więc mogę to puszczać? Żadnych poprawek?

–Co to za artykuł? – powtórzył Houston.

–Niech pan poczeka na jutrzejszą gazetę, sierżancie Brough. – Fay uśmiechnęła się i odwróciła. – Najwyższy czas nauczyć się czytać bez poruszania ustami.

Houston obserwował ją z wyrazem twarzy człowieka obserwującego dobrego konia.

–Niezła babka – zauważył.

–Pewnie – powiedział Larry. – Ale jesteśmy żonaci i za starzy.

–Wszystko jedno. Niezbyt mądrze robić coś dla atrakcyjnej kobiety, póki nie jesteś pewien, że zrobiłbyś to samo dla starego, brzydkiego mężczyzny.

–Co to? Pierwsze Prawo Wierności Brougha?

–Ee-ee. Dwudziesta druga zasada w „Jak Przetrzeć w Departamencie Policji SF”.

Do domu wrócił grubo po północy. Linda zostawiła mu w lodówce wielką kanapkę z indykiem. Usiadł w kuchni z butelką anchor steam oraz dużym słoikiem majonezu i oglądając „Ludzi-homarów z Marsa” zjadł kolację.

Gdy skończył, wziął prysznic i ogolił się. Patrząc na siebie w lusterku doszedł do wniosku, że chyba się zmienił. Może zmieniła go wiara w rzeczy nadprzyrodzone. Może to widać na twarzy w taki sam sposób, jak widać, że dziewczyna poznała setki mężczyzn.

Chłopcy byli jeszcze na biwaku w Kirby Cove, ale on jak zwykle poszedł spojrzeć

na nich do pustych pokoi. Wślizgnął się pod kołdrę obok Lindy, która głęboko spała w błękitnej masce na twarzy. Domyślił się, że wzięła środek usypiający. Zawsze z trudem usypiała, gdy pracował nad trudnym i skomplikowanym przypadkiem.

Wyłączył lampę i leżąc w ciemnościach zastanawiał się, jak to by było, gdyby usypiał nie martwiąc się o nic więcej ponad to, co nazajutrz zjeść na lunch, jaką przeczytać książkę albo gdzie iść na spacer. Zapomniał, jakie to proste. Zapomniał, czym jest sen.

Chociaż stopniowo zaczynał mu się układać obraz Czarnego Bractwa i ich wysiłków na rzecz wskrzeszenia Beliala, jego logiczny umysł wciąż buntował się przeciw temu, co widział. Groteskowa ucieczka Edny-Mae ze szpitala przypominała mu raczej program telewizyjny niż rzeczywistość. Rickenbacker sześciokrotnie strzelił wprost w Ednę, a jednak kule trafiły w pielęgniarkę, oddaloną o trzy metry i oddzieloną piętnastocentymetrową ścianą. Nie był możliwy nawet najbardziej niezwykle rykoszet.

Nie – nie mogła zostać zabita według normalnych praw fizyki.

Stała się ofiarą niebezpieczeństwa, przed którym ostrzegał Wilbert Fraser. Jeśli jakieś stworzenie skradnie lub pożyczycy twoją ektoplazmę, nie możesz go ranić ani zabijać nie raniąc lub nie zabijając siebie. Twoja esencja może zostać skradziona, ale ciągle pozostaje tobą.

Z tego co Larry zobaczył, świat duchów nie był ani realny, ani możliwy do rozszyfrowania. Po tym świecie spacerowali sobie zmarli, ciało unosiło się jak wata na patyku, a życie mogło być połknięte w całości.

Odwrócił się na bok i próbował zasnąć, ale sen nie nadchodził, więc leżał w ciemności. Zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu rozmawiając z Fay Kuhn. Wydawało się, że to wszystko ma sens. Jest trudne, nawet niemożliwe do zaakceptowania, ale ma sens. Jednak teraz, w ciemności nocy, nie był już całkiem przekonany. Pewny był jedynie, że Dan Burroughs obrzuci go stkiem obelg. Ale czy Szatana z Mgły rzeczywiście będą obchodzić podejrzenia Larry'ego? Okazał kompletne lekceważenie policji, gdy zabierał ze szpitala Ednę-Mae, więc czemu miałby się przejąć teraz? Najwyraźniej robi wszystko, co sobie postanowił, niezależnie od tego, czy Larry usiłuje go zamknąć, czy nie.

Larry wysunął się z łóżka i poszedł do gabinetu. Wystukał numer *Examinera* i czekał prawie dwie minuty, zanim ktoś odebrał.

–*Examiner.*

–Jest jeszcze Fay Kuhn?

–Nie, przykro mi, wyszła z pół godziny temu.

–Tu porucznik Foggia z policji. Mógłby mi pan podać jej domowy numer?

–Przykro mi, ale nie jestem do tego upoważniony.

–A mógłby pan zadzwonić do niej i poprosić, żeby się ze mną skontaktowała?

–Niestety, tego też nie mogę.

–A jak oskarżę pana o utrudnianie śledztwa o zabójstwo?

–No dobrze. Nie ma potrzeby się denerwować. Zadzwonię do niej, ale nie mogę zagwarantować, że będzie się chciała z panem skontaktować.

–A ja nie mogę zagwarantować, że nie porozmawiam z pańskim szefem i nie powiem mu, jakim jest pan durniem.

–Po co zaraz obrażać?

Larry wziął głęboki oddech.

–Dobrze – powiedział. – Nie było tego. Zechce pan zatem przyjąć moje przeprosiny i wykonać telefon do pani Kuhn? Dam panu mój numer domowy.

Fay oddzwoniła niemal natychmiast.

–Poruczniku, prawie już zasnęłam.

–Napisała pani artykuł?

–No jasne. Idzie na pierwszej stronie.

Larry prawą dłonią przetarł twarz.

–Dobra. Proszę powiedzieć, co pani napisała?

–Nagłówek brzmi: „Istnieje jedynie nadprzyrodzone wytłumaczenie, mówi detektyw”, a tytuł: „Niezwykła śmierć w szpitalu SFG”.

Larry milczał bardzo długo.

–Domyślam się, że to już poszło – powiedział.

–Druk zaczyna się zwykle o jedenastej albo trochę później. Przez cały wieczór możemy zmieniać artykuły.

–To nie da się już go cofnąć?

–Ależ, poruczniku! – zaprotestowała Fay.

–Już dobrze. To była moja decyzja i rozumiem, że artykuł musi iść. Gdy tak to sobie przemyślałem na chłodno, nagle wydało mi się, że to wcale nie był najlepszy pomysł. Widziała pani, jak Edna została zabrana – tuż sprzed naszego nosa. Ten facet nie przejmuje się tym, co robimy, ani tym, co mówimy.

–Przykro mi, poruczniku, ale...

–Dobrze już, dobrze – powiedział Larry. – To nie pani wina. Chyba podjąłem najgorszą dla mojej kariery decyzję i tyle.

–Przynajmniej wyciśnie pan coś z Burroughsa.

–Co to ma znaczyć?

–No... gdy jutrzejsze gazety pójdą w obieg, będzie musiał zająć stanowisko: powiedzieć, czy uważa, że jest w tym śledztwie coś okultystycznego, czy nie.

–Przecież pani wie, co on myśli. Że to wszystko dyrdymały.

–Nawet jeśli regularnie kupuje subskrypcję na *Al Omla La*?

Larry zmarszczył czoło.

–Tu mnie pani zażyła. Co to jest, u diabła, *Al Omla La*?

–To magazyn wyłącznie dla subskrybentów. Wydaje go Stowarzyszenie Nocy, bardzo utajniona grupa ludzi interesujących się magią, czarami, halucynacjami narkotycznymi, także mistyczną implikacją rozkoszy i cierpienia. Magazyn drukuje bardzo specjalistyczne teksty z bardzo pięknymi ilustracjami, jeśli lubi pan oglądać wypatroszone kozły i ludzkie piersi z haczykami rybackimi. Jeden egzemplarz kosztuje stówę.

–I Dan Burroughs jest regularnym subskrybentem? – zapytał z niedowierzaniem Larry.

–Od jesieni tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku.

–Jak się pani tego dowiedziała?

–Dobry dziennikarz nigdy nie ujawnia swego źródła, poruczniku, powinien pan to wiedzieć.

–Dobrze, wierzę. Teraz powinienem się trochę przespać. Jutro rano muszę być w pełni sił.

–Słodkich snów, poruczniku.

Larry poszedł do kuchni i nalał sobie pełną szklankę zimnego mleka. Stał po ciemku i pił małymi łykami. To oczywiście nie musi nic znaczyć – że Dan Burroughs prenumeruje gazetę o czarnej magii. Prenumeruje pewnie także *Guns Ammo*, *San Francisco* i *Playboya*.

Ale zdziwiło Larry'ego, że tak ostro protestował przeciwko jego sugestiom, iż Szatan z Mgły ma coś wspólnego z zaświatami, podczas gdy sam wydawał dwieście dolarów rocznie na pismo o podobnej treści. Może jest sadomasochistą. Może po służbie jest zupełnie innym człowiekiem.

Ale wszystko jedno – było w tym wszystkim coś, co skłaniało Larry'ego do złych przeczuc. Ten kawałek, jakkolwiek by go ułożyć, zupełnie nie pasował do całej układanki.

Wrócił do łóżka i wsunął się pod pościel. Linda była rozgrzana i pogrążona w głębokim śnie. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz się kochali. Wygląda na to, że jakieś sześć miesięcy temu. Podczas burzy... deszcz stukał o szyby. A potem klęczeli na łóżku i patrzyli w światła Coit Tower.

Zasnął. Na początku nie śnił o niczym. Potem, że zalewa go woda i stopniowo, wraz z przyływem, topi się w czerni, w mroku, w ciszy pod mostem Golden Gate, który zamiast na pomarańczowo błyszczał śmiertelną bielą w oceanie, gdzie nikt nie może go uratować.

Obudził go jakiś grzechot. Taki delikatny i spokojny, że początkowo nie był pewien, czy to nie jego własny oddech. Leżał z zamkniętymi oczami i nasłuchiwał. Wtem usłyszał ostrzejszy dźwięk i otworzył oczy.

To co zobaczył, tak go przestraszyło, że zaskowyczał jak ranny pies.

Szeroko otwartymi oczami spoglądała na niego ubrana w białą sukienkę Roberta Snów, dziewczynka z seansu Wilberta. Stała przy łóżku i wyciągała do niego rękę. Niemal wytrzeszczała oczy.

Twarz miała szarą jak powierzchnia jeziora, włosy stały dęba, jakby wciąż jeszcze była uwięziona w zatopionym samochodzie. A może rzeczywiście była, na zawsze.

Poruszała ustami i Larry usłyszał dźwięk przypominający dmuchanie w bambusową rurkę.

–Czego chcesz? – szepnął w napięciu.

–ŚMIERĆ – sapnęła.

Larry odwrócił się, by zobaczyć, czy Linda się obudziła, ale leżała bez ruchu.

–Nie rozumiem.

–ŚMIERĆ.

Larry przełknął ślinę. Tak się przestraszył Roberty, że wszystkie mięśnie

odmówiły posłuszeństwa, a gardło zdawało się ściśnięte. Nawet na widok Edny okrytej prześcieradłem nie ogarnął go taki paraliż.

–To sen, prawda? – zapytał.

Pokręciła głową i kiwała się z boku na bok.

–ŚMIERĆ – powtórzyła zawiedziona.

–Śmierć? Ty umarłaś?

Znowu zjawa dziewczynki w świątecznej sukience pokręciła głową. Traciła kontury i czasami zniknęła, jakby nie miała dość energii, aby na długo pozostać w domu Larry'ego.

–Ty nie umarłaś? To znaczy ktoś inny umarł?

Tym razem uśmiechnęła się i skinęła głową.

–Ktoś inny? Kto? Słuchaj, Roberto, kto umarł?

–WILL...

–Will? Jaki Will?

–FRASER.

–Poważnie? – Chryste Panie, mokry jestem od potu, boję się jak cholera i pytam ducha topielca, czy mówi poważnie. Był tak przerażony i czuł się tak idiotycznie, że prawie wybuchnął śmiechem. – Naprawdę nie żyje? Co mu się stało?

Dziewczynka zaczęła zniknąć. Widział już tylko jej ciemne oczy i brzeg sukienki z tafty.

–MAN* [* Po angielsku „man” znaczy człowiek.] – szepnęła.

–Człowiek go zabił? Jaki człowiek? No, Roberto, postaraj się, jaki człowiek?

–MAN...

Już prawie zupełnie zniknęła. Jak ostatni blask latarki z wyczerpaną baterią. Jak blask, który może jeszcze na moment rozbłysnąć.

Zniknęła całkowicie. Larry natychmiast wyskoczył z łóżka, a Linda krzyknęła:

–Larry! Na miłość boską! Musisz się kręcić przez całą cholerną noc?

–Przepraszam, pomyślałem sobie o czymś.

–Musisz się kręcić, gdy myślisz? Większość normalnych ludzi może myśleć bez ruchu.

–Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Pójdę spać na sofę.

Odwróciła się i zdjęła klapki z oczu.

–No już, daj spokój... nie musisz. Może zamiast tego byśmy się pokochali?

Roztrzęsiony ze strachu i zlany potem usiadł na brzegu łóżka. Opuścił głowę, miał potargane włosy. Przez długi czas wahał się i nie mógł nic powiedzieć.

Linda uklękła na łóżku i objęła go ramieniem.

–Jesteś taki rozpalony. Nie masz czasem gorączki?

–Nie, nie mam. Mój mózg nie przestaje pracować, to wszystko.

Pocałowała go w szyję i w policzek, odgarnęła spocone włosy.

–Powinieneś posłuchać ojca i zająć się rodzinnym interesem.

–Mógłbym – pocałował ją w rękę – gdybym wiedział, na czym to polega.

–Twój ojciec zajmował się importem i eksportem, no nie?

–Rzeczywiście, importem i eksportem. To szerokie pojęcie.

Znów go pocałowała i położyła się na plecach. Odwrócił się, pochylił nad nią i pocałował w usta. Był to długi, romantyczny pocałunek – jeden z tych, jakie mogą ze sobą wymieniać jedynie kochankowie, którzy mieszkają razem od dawna, ponieważ nie jest on zwykły, ale zawierają się w nim wspomnienia wszystkich poprzednich pocałunków, a także powodów, dla których się nimi obdarowywali.

Larry odwiązał wstążeczki i rozsunął jej nocną koszulę, obnażając obfite, krągłe piersi, które pod swym ciężarem rozchyliły się na boki. Kolejno polizał i pocałował każdą z sutek. Ssał je i leciutko drażnił końcem języka. Słyszał, jak Linda zaczyna głośniej oddychać.

Jakby spijając nektar z jej ciała podążył pocałunkami do końca brzucha. Dłońmi pieścił ramiona i piersi, aż z napiętymi sutkami dumnie się wyprężyły.

Pocałował ją w pępek. Wdychał perfumy i pot, także piżmowy zapach płci.

Powoli rozchyliła uda i pozwoliła mu na to, co lubił. Rozchylił palcem wargi sromowe i pozwolił językowi wślizgnąć się do wilgotnego przedsionka. Nic na ziemi tak nie smakuje ani tak nie pachnie. Żadne owoce, żaden miód, żaden nektar. Dotknął językiem łechtaczki, dziurki, która sika, a potem zanurzył się w ciepłą głębię waginy.

Lizał ją, aż Linda tak wpiła mu palce we włosy, że niemal ściągnęła skalp. Usłyszał, jak wydała z siebie krzyk podobny do tego, jaki wyrwał mu się, gdy w pokoju pojawiła się Roberta. Zastanawiał się, czy ludzie w czasie skrajnej ekstazy, w czasie skrajnego strachu w coś się zamieniają. Być może stają się mniej ludźmi, a bardziej bestiami.

Podniósł się i, wciąż z jej smakiem na ustach, wszedł w nią. Rzucala się i mruzczała rzeczy, których nie rozumiał, a o których wiedział, że są jej seksualnymi fantazjami o ludziach, których kiedyś podglądała, o przypadkowych dotknięciach obcych, o pozowaniu do nieprzyzwoitych fotografii. Dogadzał jej powoli, długimi, coraz to bardziej zagłębiającymi się pchnięciami.

Kochał ją teraz tak bardzo jak, był tego pewien, nigdy przedtem. Była jego dumą, jego odkupieniem. Była jego żoną, kochanką, przyjaciółką.

Miał długi orgazm, a wytrysk był raczej powolnym wypełnieniem niż eksplozją. Gdy zamknął oczy, w ciemności własnej satysfakcji usłyszał szept:

–AX.

Otworzył oczy i w panice rozejrzał się dokoła.

–Co się stało? – zapytała Linda. – Czy coś nie tak? Wyglądasz jak...

–Ciii... – poprosił ją.

–Co za ciii? Przerywasz w samym środku, a ja mam być ciii?

Wszedł z łóżka. Między nogami czuł wilgoć. Podeszedł do drzwi łazienki i otworzył je. Nie było nikogo ani niczego. Nawet drgającego cienia. Z ulicy dolatywały dźwięki śmieciarki.

–Larry, powiesz mi, co się stało?

Prawie pół minuty stał w drzwiach łazienki i nasłuchiwał. Zaczynało już świtać. Okna zmieniły kolor z głębokiej czerni na melancholijną szarość.

–Larry, wracaj do łóżka.

–Nie – powiedział. – Musisz jeszcze pospać, a ja nie mogę zasnąć.

–Chcę, żebyś mnie przytulił.

Niechętnie wszedł do łóżka i objął ją ramieniem. Wzięła jego dłoń i położyła sobie między nogami.

–To ty. To ty i ja. Nic nas nie rozdzieli.

Pocałował ją w ucho, potem w policzek. Ale w głowie mu się kotłowało. Czy naprawdę widział stojącą w pokoju Robertę Snów? Odwrócił się w to miejsce, gdzie stała, i nie mógł uwierzyć, że to nie był sen. Mimo wszystko, gdyby Wilbert Fraser naprawdę umarł, on byłby pierwszym, który by o tym słyszał.

MAN. Roberta wyszeptała MAN.

Ale jaki człowiek? I dlaczego przyszła mu to powiedzieć?

MAN, a potem AX. Co to ma znaczyć?

Zasnął na chwilę, ale po dziesięciu minutach obudził się.

–Muszę iść. Wezmę prysznic i jadę na komendę.

–Zrobić ci coś na śniadanie? Może naleśniki?

–Daj spokój, Linda, jest dziesięć po piątej. Przecież ci się nie chce, no nie?

–Jestem twoją żoną. A żony muszą robić coś dla mężów.

–Martwisz się o coś? – spojrzał na nią uważnie.

–Zawsze się o coś martwię. Taka moja praca. Gdybym się nie martwiła, bardzo by mnie to martwiło.

Wziął prysznic. AXMAN, literował. Co za axman? AX. MAN. Man, ax. To nie ma sensu. A jednak Roberta najwyraźniej podjęła się niesłychanego wysiłku i pojawiła się w sypialni, aby mu to powiedzieć.

Gdy brał prysznic, Linda zrobiła mocną kawę i grzanki. Siedziała w różowej koszuli i patrzyła, jak Larry je.

–Coś cię dręczy, prawda? – zapytała.

–To śledztwo, nic więcej. Nigdy nad czymś takim nie pracowałem.

–Chcesz o tym pogadać?

Pokręcił głową.

–Będziesz wieczorem wolny? O trzeciej przywiozę chłopców. Może poszlibyśmy razem do „Cafe Riggio”?

–Nie wiem, może. – Może? Bardziej niż prawdopodobne, gdy tylko Dan Burroughs rzuci okiem na „Niezwykłą śmierć w szpitalu SFG”.

Wzięła go za rękę.

–Kocham cię. Już zaczynam za tobą tęsknić.

–Nie jadę na pół roku do Afryki. Nie wyjeżdżam nawet z miasta.

–Szkoda. – Linda uśmiechnęła się. – I szkoda, że ja nie jadę z tobą. Och, ile bym dała za tak cudowną podróż. – Podniosła obie dłonie. – Niech z potarciem mandragory... Linda i Larry przeniosą się razem na łódkę w górnym Limpopo.

Larry powoli opuścił filiżankę z kawą. Mandragora. Man Dragora. Man. Ax. Mandrax.

MANDRAX. To właśnie chciała mu powiedzieć. Mandrax – członek Czarnego Bractwa. Przypuszczalnie ostatni, który przeżył. Wilbert Fraser i George Menzel

spalili ich samochód, ale jeden z nich wyszedł żywy. Poparzony, ale żywy.

Ten najsilniejszy – Mandrax.

–Larry? – zapytała Linda. – Wyglądasz, jakby ktoś ci spuścił cegłę na głowę.

–Muszę iść – powiedział. Nie kończąc kawy wstał i wytarł usta w kuchenną ścierkę.

–Teraz? W tej chwili? Nie możesz dokończyć kawy?

–Zostaw ją dla mnie. Wrócę później.

–A co z wieczorem?

Wsunął pistolet do kabury i zabrał z wieszaka w przedpokoju jasnoniebieski popelinowy płaszcz. Założył prawy but i na jednej nodze skakał do drzwi zakładając lewy.

Linda dogoniła go, pocałowała i powiedziała:

–Kocham cię. Wróc zdrów. Chłopcy będą w domu przed czwartą.

–Uważaj na siebie. Ja też cię kocham. Uzi-buzi, kici-mici, ele-mele, bim-bam-bom. To rozładowało cały jej strach.

–C...co? – roześmiała się.

Larry nagle się zmieszał, potem zrobił się smutny, a na końcu ponury.

–Jak byłem mały, mama tak do mnie mówiła.

Patrzyli na siebie stojąc pod czystym i wysokim porannym niebem.

–Zadzwoń do ciebie, dobrze? – powiedział Larry. Odszedł i wszedł do samochodu. Odjechał nie oglądając się za siebie, a Linda zamknęła drzwi.

Prawie pięć minut dzwonił i pukał do drzwi Wilberta Frasera, ale nie było odpowiedzi. Stał na werandzie patrząc na poranne San Francisco, na błyski w oknach i mgłę nad zatoką, i zastanawiał się, co robić. Nie miał nakazu ani istotnej przyczyny, żeby się włamać.

–Rzeczywiście, Wysoki Sądzie, nocą odwiedził mnie duch dziewczynki i powiedział, że pan Fraser nie żyje. Ta informacja dotyczyła mojej służby policyjnej, więc natychmiast udałem się na sprawdzenie jej i tak wyłamałem drzwi pana Frasera i pokiereszowałem go jak cholera.

Zmusił się, by wejść na dziedziniec. Przedzierał się przez chwasty i zapuszczone krzaki, aż znalazł się z boku domu. Przestraszył stado ptaków i sam się nie mniej zatrwożył.

W ścianie domu znalazł drzwi do pralni. Przetarł dłonią zakurzone okienko i zajrzał do środka. Dał się odróżnić zarys pralki z dołączonym ręcznym magłem. Rozejrzał się dokoła, ale sąsiedzi byli cicho, a ulica niemal pusta. W wysokiej trawie znalazł cegłę i rozbił nią szybę.

Prawie od razu znalazł Wilberta. Leżał przybity nożami do kuchennego stołu, między rozłożonymi nogami rozlała się kałuża krwi. Miał jeszcze otwarte oczy, chociaż na całej twarzy, nawet na ustach tłoczyły się ćmy. Siedziały nawet na resztkę członka. Całą kuchnię wypełniał zapach krwi, przypominający smród zepsutego kurczaka.

Ostrożnie, przez chusteczkę, Larry podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił 553-1551.

–Houston? Ty jesteś na porannym? Słuchaj, jestem w domu Wilberta Frasera. Został stracony. Tak, zgadza się, i cholernie bezprawnie, także. Ee, nie. Ktoś mu obciął małego.

Po pauzie Houston powiedział coś o tym, że Dan Burroughs widział już porannego *Examinera* i że bardzo prawdopodobne, iż Larry podzieli los Frasera.

–Złość bije mu z oczu, Larry, ostrzegam cię. Jest strasznie wkurzony.

–W porządku, później się nim zajmę. Postaraj się wziąć ze sobą koronera i wszystkich, którzy będą potrzebni. Jonesa i Glassa też. I może Jolly’ego Zielony Płaszcz. Zna się na tym jak nikt inny.

–Myślisz, że to znowu nasz ptaszek czy zemsta kogoś ze środowiska?

–To może być nasz ptaszek. Niemało tu sadyzmu. A o tamtej furgonetce wciąż nic nie wiadomo?

–Nic. Samochód patrolowy namierzył ją w Mission District, ale potem zniknęła.

–Dowiedz się dokładnie o miejsca, gdzie ją widziano.

–Dobrze. I... poruczniku?

–Słucham.

–Muszę to powiedzieć. To chyba nie był najlepszy pomysł, żeby rozmawiać z Fay Kuhn. Nie tak się rzeczy mają.

–Nie jestem pewien, czy rozumiem, co to znaczy, że „rzeczy się mają”. A jak się mają?

Houston zawahał się.

–Ja też muszę myśleć o swojej karierze – rzekł. – Ale powiedzmy, że Chief Burroughs nie przydzielił mi tej sprawy ze względu na moje umiejętności śledcze. Przypomnij sobie „klatkę z ptakami w swojej duszy”.

Larry odłożył słuchawkę. Więc Fay miała rację co do Dana Burroughsa. Ale co Houston rozumie przez „klatkę z ptakami w swojej duszy”? To chyba piosenka śpiewana przez They Might Be Giants, nie?

Nie mógł sobie przypomnieć słów. Coś o błękitnych kanarkach w słońcu – typowa hippisowska piosenka. Nad San Francisco właśnie zaczęła się burza, lecz przypomniał sobie: przez całą piosenkę śpiewał chórek.

„Jestem twoim przyjacielem... ale nie tak naprawdę”.

Czy to właśnie Houston chciał mu powiedzieć?

I następny wers: „Kto się tobą opiekuje?”

Larry odwrócił się od telefonu i z powrotem przeszedł do obsiadłego przez owady ciała Wilberta Frasera. A więc tak. Dan Burroughs przydzielił mu Houstona Brougha, żeby ten miał go na oku i donosił, co robi. Houston ostrzegał go, ale dla dobra własnej kariery robi, co Dan mu każe. Ale jeśli Houston nie wiedział, co Larry robi, nie może być skompromitowany.

Stanął nad Wilbertem, przeżegnał go i powiedział:

–Spoczywaj w pokoju, Wilbercie.

Spotkanie z Danem trwało krócej niż trzy minuty. W pełnym papierosowego dymu i egzemplarzy *Examinera* gabinecie Dan poprosił Larry’ego o broń i odznakę.

–Do tej pory dorobiłeś się porucznika. Powinieneś przynajmniej w podstawowym

zakresie opanować pisanie policyjnych protokołów i zdawanie publicznych relacji. – Dan był rozdrażniony. Oczy miał bardziej martwe niż zwykle. – Zawiodłem się na tobie, Larry. Żeby zmasać taką hańbę, trzeba będzie wielu, wielu tygodni. Burmistrza Agnosa prawie krew zalała. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś coś takiego. Przecież to zarzynanie własnej kariery. „Istnieje jedynie paranormalne wytłumaczenie”! Larry, na litość boską, jeśli nawet jesteś wariatem, trzeba było mieć chociaż tyle zdrowego rozsądku, żeby zachować to dla siebie.

–Przydzieliłeś mi tę sprawę, bo chciałeś kogoś z wyobraźnią – mówił Larry – kogoś, kto sprawdzi każdą ewentualność, choćby najdziwniejszą.

–Może być „dziwność” i „dziwność”.

–Jasne. I to jest „dziwność przez duże Dz”. Szatan z Mgły zamordował tyle razy, aby wskrzesić demoniczną istotę.

–Z pewnością masz rację – rzekł Burroughs. – Absolutną rację. Ale jeśli Szatan z Mgły wierzy we wskrzeszenie demonicznej istoty, to jeszcze nie znaczy, że ty też masz wierzyć! Słuchałeś porannych wiadomości w telewizji? Panuje opinia, że Departamentowi Policji San Francisco zupełnie odbiło. NBC nazwało nas Łowcami Duchów, CBS przyrównuje do „Ghostbusters”.

–Dan, podczas śledztwa zdarzyły się wypadki, których nie da się inaczej wyjaśnić. Zobacz, co się stało Ednie-Mae Lickerman, pielęgniarkę. Spytaj Rickenbackera, jak to było. Sześć razy strzelił do Edny-Mae, a zabił dziewczynę w innym pomieszczeniu.

Dan wyciągnął z biurka pomarańczową teczkę, a gdy ją otwierał, upadł mu popiół z papierosa.

–Według lekarzy z SFG Edna-Mae cierpi na ciężką niedoczynność gruczołów, zwykły objaw AIDS. Pielęgniarka, dwudziestodwuletnia Carole Fremont, przez osiemnaście miesięcy zajmowała się chorymi na AIDS. Cierpiała na podobną jak Edna-Mae przypadłość. I tyle.

–A co z moją matką? – drżącym głosem zapytał Larry. – Też cierpiała na AIDS?

–Twoją matkę przejechała ciężarówka z Kennoth Trans Orient jadąca prawie sto kilometrów na godzinę. Nie obrażając twoich uczuć rodzinnych, zostało z niej za mało, żeby ktoś zdecydował się na wydanie opinii o stanie jej zdrowia.

–A strzelanie? Jak to wyjaśnisz?

–Ekspert przebadał szpitalny korytarz. Każda z kul trafiła w filar znajdujący się jakieś osiem metrów od Rickenbackera i rykoszetem wróciła do sali 9009 trafiając siostrę Fremont. Rickenbacker ma pewną rękę, więc wszystkie kule poszły niemal jednym torem. Proszę, spójrz sam.

Dan otworzył następną teczkę i wyjął trzy albo cztery czarno-białe zdjęcia. Był wśród nich ten twardy filar i rysa na progu sali. Larry nawet na nie nie spojrział. Dzięki Houstonowi i Fay Kuhn wiedział, że Dan prowadzi podwójną grę, chociaż Larry ani przez chwilę nie rozumiał, co chce przez to osiągnąć.

Nic na świecie nie zdołałoby przekonać Larry’ego, że ma zaburzenia psychiczne posunięte do tego stopnia. Widział, jak dorosłe kobiety kurczą się. Widział papugę z własną twarzą. Widział, jak tańczy utopiona dziewczynka. Na swojej dłoni widział twarz dawno zabitego mordercy i słyszał jego głos.

–Dan – powiedział spokojnie. – Proszę cię tylko o jedno. Żebyś mnie osłonił przed burmistrzem i mediami. W najgorszym przypadku zdegradują nas. Chcę cię prosić, żebyś dał mi wolną rękę w dokończeniu śledztwa. Zdaje się, że jestem bliski rozgryzienia. Daj mi trzydzieści sześć godzin, a wsadzę Szatana z Mgły za kratki.

Dan Burroughs odkaslnął.

–Jeśli miałbym cię osłaniać, Larry, znaczyłoby to, że mam wyjść do ludzi i powiedzieć, że ja też wierzę w zjawiska paranormalne. Tu nie chodzi tylko o stosowanie w śledztwie niekonwencjonalnych metod. Mowa o zjawiskach nadprzyrodzonych: o zjawach, wampirach i nocnych pohukiwaniach. Jezu! Zanimbyś zdążył powiedzieć abrakadabra, minister wykopałby mnie do Domu Szczęścia dla Wykończonych Detektywów. Ty sobie, Larry, możesz skakać w ogień, ale ja za tobą nie idę.

Przez moment Larry czuł, jak się w nim burzy włoska krew. Kłamca! Łgarz! Łajdak! Chciał wywalić do góry nogami całe biurko Dana. Lecz oprócz temperamentu ojca miał także opanowanie matki. Pamiętał, jak ojciec, gdy szwankowały interesy, chodził z pokoju do pokoju i trząsał za sobą drzwiami. Pamiętał, jak matka przyjmowała to ze spokojem, jakby jej wszystkie armaty świata nie zdołały poruszyć. W domu, póki nie trzasnęły frontowe drzwi i ojciec nie wyszedł do Klubu Garibaldi, aby wyładować złość na kolegach i spić się *grappa*, nikt nie śmiał powiedzieć słowa.

Znając Dana, Larry potrafił zachować przy nim opanowanie, chociaż serce waliło mu ze zdwojoną mocą, a dłonie zaciskały się w pięści.

Głosem ochryplym, jak u Marlona Brando w roli Dona Corleone, Dan powiedział:

–Porywczość musi mieć swoją cenę, Larry. Zawiodłeś mnie. Nie jesteś, na litość boską, reporterem telewizyjnym. Wartości moralne to wartości moralne. Ale bez autorytetu nie można ich bronić. A ty, Larry, właśnie straciłeś autorytet... tak więc twoje wartości moralne przestały się liczyć. Gdyby tu był twój ojciec. To był człowiek. Mario Foggia. Wiedział, kiedy wejść i kiedy się wycofać, był inteligentny. Sprytny. Czasami twardy jak skała, ale wiedział też, co to kompromis. – Dan stuknął się w nos w starym geście oznaczającym zrozumienie. – Powinieneś się nauczyć właśnie sprytu.

–No to co mam teraz robić? – zapytał Larry.

Dan zgasił papierosa.

–Oddaj wszystkie notatki i dodatkowe informacje Arnemu. Potem idź do domu i pobaw się z dziećmi. Zabierz Lindę do Big Sur. Dopóki trwa śledztwo, dostajesz normalną pensję. Potem będzie dyscyplinarne przesłuchanie. Ale niech ci to nie spędza snu z powiek. Najgorsze, co cię może spotkać, to degradacja do sierżanta.

Larry położył broń i odznakę na samym brzegu biurka i odwrócił się do wyjścia.

–Larry?! – zawołał Dan, gdy Larry doszedł do drzwi.

Larry stanął nie oglądając się.

–Chcę, żebyś wiedział, że nie ma tu żadnego podtekstu osobistego. Zwykła policyjna dyscyplinarka, to wszystko.

Larry nie odpowiedział. Wiedział, że to sprawa osobista. Dan Burroughs coś

knuje, lecz Larry jeszcze nie wie co. Lepiej byłoby, gdyby Dan siedział już cicho i nic nie mówił. Teraz Larry już wiedział, że wszedł w inny świat: świat kłamstwa, oszustwa, gdzie prawda nigdy nie zostaje wypowiedziana, a ufność jest jedynie słowem wykutym na nagrobkach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Pojechał prosto do „Waxing Moon”. Tarę Gordon zastał obsługującą wysokiego, ponurego norweskiego marynarza, który chciał kupić jakiś specyfik, aby nabrać pewności, że gdy jest na morzu, jego żona pozostaje mu wierna.

–Są trzy podstawowe sposoby – mówiła Tara, podczas gdy Larry nachylił się nad ladą, aby dokładnie obejrzeć tackę z amuletami. – O proszę, to... – podała marynarzowi zielony słoik –...to jest tłuszcz z kozła. Zanim pan pójdzie z żoną do łóżka, posmaruje pan sobie intymne części, a żona nawet nie spojrzy potem na innego mężczyznę.

Marynarz odkręcił słoik i przyłożył doń wielki nos.

–Pfu! Strasznie śmierdzi.

–Nie musi pan brać tego. Mam miłosne specyfiki o zapachu kamfory, fiołków i gardenii. Trzeba je mieszać ze smalcem i posmarować pośladki. Proszę mi wierzyć, że będzie pan działał jak silnik Diesla.

Odwróciła się do Larry’ego i mrugnęła. Włosy miała zaczesane do tyłu i spięte srebrną spinką. Ubrana była w bezrękawnik z delikatnej czarnej skóry i obcisłe skórzane spodnie. Zapach jej perfum Larry czuł z odległości trzech metrów.

–I jeszcze to – mówiła do Norwega. – Miłosny magnetyzer. Nazwałam go Pol Aryzer. Wiesz pan sobie na genitaliach na trzy dni i trzy noce. Potem, przed wypłynięciem na morze, zostawia pan go pod łóżkiem. Żona nie może iść do innego łóżka, a mężczyznę, który będzie chciał do niej wejść, czy będzie chciał, czy nie, odrzuci.

Marynarz długo obracał w dłoniach miłosny magnetyzer, chciał obejrzeć go z każdej strony.

–Nie pożałuje pan. Wypolaryzuje penisa i przypilnuje dziurkę, mówię panu. Sześćdziesiąt osiem dolarów plus podatek, w razie rezygnacji gwarantuję zwrot.

Gdy Norweg wyszedł ze sklepu, Larry zapytał:

–Co to za gadka: wypolaryzuje penisa?

–Nie wydziwiał. One działają. Przez dwa tygodnie sprzedawałam trzysta sztuk.

–Skąd wiesz, że działają?

–Jeszcze nikt nie zwrócił, a ze względu na higienę nie wymieniamy.

Larry wziął jeden i oglądał.

–Coś odkryłem – powiedział.

–Tak? A co?

–W mieście jest Mandrax. Myślę, że on jest Szatanem z Mgły.

Tara Gordon natychmiast spojrzała w stronę drzwi, jakby spodziewała się zobaczyć na zewnątrz Mandraxa.

–Chodźmy lepiej na zaplecze – powiedziała.

Zamknęła za sobą drzwi. Była blada, ale bardzo ładna. Może to taki makijaż? A może to dlatego, że stała na tle czarnego obicia.

–Może należesz tej żubrówki?

–Chyba niezły pomysł – powiedziała i naląła do dwóch szklaneczek. – To nie żubrówka, to turówka.

–Wypiję.

–Skąd wiesz, że to Mandrax? – zapytała z obawą.

–Powiedzmy, że miałem pewnego rodzaju gości z drugiej strony.

–Ty? Ty jesteś porucznikiem policji. Policjanci nie przyjmują gości z drugiej strony.

–A jednak. Poza tym w tej chwili nie jestem policjantem. Zostałem zawieszony. Jak idiota powiedziałem Fay Kuhn z *Examinera*, że wierzę w demony.

–Głupi ruch.

–Nie mogę zaprzeczyć. Natomiast przykro mi to mówić, ale zeszłej nocy został zabity Wilbert Fraser.

–Nie! Tak mi przykro! Sprzedał się i te rzeczy, ale...

–Wiem. – Larry pokiwał głową. – I do tego nie umierało mu się lekko. Ktoś go torturował i jestem pewien, że tym kimś był Szatan z Mgły.

–Ale za co Szatan z Mgły mógł go zabić?

–Nie jestem pewien. Mimo to rozsądną odpowiedzią jest, że dlatego, iż otworzył usta i powiedział mi wszystko, co wiedział o Belialu i Czarnym Bractwie.

Tara Gordon wychyliła wódkę i skrzywiła się.

–Skąd Szatan z Mgły wiedziałby, że Wilbert z tobą rozmawiał?

Larry’emu jeszcze nie przyszło na myśl to pytanie, jednak dla Tary było bardzo logiczne. Skoro Szatan z Mgły zemścił się na Wilbercie za rozmowę z Larrym, ona też poważnie ryzykuje.

Larry zaczął myśleć, w jaki sposób Szatan z Mgły mógł uzyskać informację. Tylko dwóch ludzi wiedziało, że Larry był w domu Wilberta po śmierci matki: młody umundurowany policjant, który go podwoził, i Houston Brough. A Houston już mu mówił: „Jestem twoim przyjacielem... ale nie tak naprawdę” i „Kto się tobą opiekuje”. I to na czyje polecenie.

–Wyglądasz, jakbyś zapomniał, u której z kobiet zostawiłeś majtki – zauważyła niecierpliwie Tara.

Larry wolno pokręcił głową.

–Przeciwnie, właśnie sobie przypomniałem.

–Naprawdę myślisz, że Mandrax wrócił?

–Tak.

–Ponieważ gość ci powiedział?

–Wierzysz w takie rzeczy? Nie mówię o Polu Aryzerze i innych bzdurach, ale czy naprawdę wierzysz?

–Mój najdroższy poruczniku, od samego urodzenia.

–Zatem dobrze – rzekł Larry. – Przy moim łóżku pojawiła się utopiona dziewczynka, którą widziałem u Wilberta, i powiedziała mi MAN i AX.

–Bez „DR”?

–Pani Gordon, Taro, Mandrax wrócił, jestem o tym przekonany, czuję to. Usiadła przy biurku i w zamyśleniu machała nogami.

–I co zamierzasz zrobić?

–Znaleźć bydlaka.

–Zdawało mi się, iż mówiłeś, że cię zawieszono.

–Belial i Szatan z Mgły zabili moją matkę, nie mówiąc już o Berrych – najmilszej rodzinie, jaką znałem. Mam gdzieś zawieszenie.

–W czym ja ci mogę pomóc?

–Daj mi tylko ostatni znany adres Mandraxa... i może jakieś namiary ludzi, którzy go znali.

–A jeśli zemści się na mnie?

–Nikt nie wie, że tu jestem, nawet mój sierżant.

Zawahała się. Odstawiła szklaneczkę z wódką i podeszła do metalowego sekretarzyka. Otworzyła go, wysunęła drugą szufladę i wyciągnęła sfatygowany notes z adresami i ze zdjęciem młodego Boba Dylana na okładce.

–Proszę... Twentieth 3522. Może już tam nie mieszka, ale kiedyś byłam tam na paru imprezach i odniosłam wrażenie, że chce się tam zatrzymać na dobre.

Pośliniła palec i przerzuciła kilka następnych stron.

–Mój Boże... – powiedziała kręcąc głową. – Znałam kiedyś wszystkich tych chłopaków. Patrz, tu Dwight Kreznick! Nawet nie pamiętam, jak wyglądał. Ale postawiłam przy nim trzy gwiazdki, musiał być w czymś dobry. A tu ktoś, z kim mógłbyś porozmawiać – Jack Cole. Prowadził przy Eighteenth Street antykwariat z książkami. Teraz chyba handluje trawką, ale jak popytasz, możesz go znaleźć. Jeśli potrafisz sobie wyobrazić Stana Laurela z żółtaczką i metrem dziewięćdziesiąt wzrostu, to właśnie Jack Cole.

Larry wyszedł z „Waxing Moon” z darmowym Polem Aryzerem i śladem szminki na prawym policzku. Do Mission District jechał bardzo uważnie. Im więcej dowiadywał się o Szatanie z Mgły, tym czuł się nieszczęśliwszy.

Podobnie jak ruchome plamki na jego dłoni, śledztwo zaczęło przybierać możliwy do rozróżnienia kształt. Jednakże musiał zdecydować się na łamanie prawa. A więc Dan Burroughs prenumerował magazyn okultystyczny. A więc Houston Brough miał mieć na niego oko. Żadnej z tych informacji nie można udowodnić. Ani Houston, ani Dan nie byli tak naprawdę jedynymi, którzy wiedzieli, że w noc śmierci swojej matki wrócił porozmawiać z Wilbertem Fraserem.

W gruncie rzeczy zaczął zdawać sobie sprawę, że w całym śledztwie chodziło głównie o dostarczenie dowodów. Nawet gdyby je znalazł, nawet gdyby udało mu się zdobyć podziurawione kulami prześcieradło Edny-Mae i wyłożyć je przed sądem okręgowym, nawet gdyby przyniósł papugę z własną głową, nikt by nie uwierzył, że gdzieś w mieście jest niebezpieczny demon – bestia z nieposkromionym apetytem na ludzkie dusze i ciała.

Akceptując rzeczywistość nadprzyrodzoną i udręczone duchy z drugiej strony, Larry straciłby to śledztwo, nawet gdyby aresztował sprawcę.

Zajechał na Twentieth 3522. Zdawało się, że jest pusto. Mandrax mógł sobie mieć w 1965 roku wypadek, ale teraz była tu meksykańska restauracja „El Tazumal”. Larry rozejrzał się po ulicy, żeby sprawdzić, czy nie ma śladu czarnej furgonetki, która zabrała Ednę, albo kogoś mogącego przypominać Mandraxa, ale zobaczył tylko zakonnika, który wysiadał z samochodu i zaczepił sandałem o krawężnik. Wyglądało

na to, że powiedział coś, co na jego miejscu powiedziałyby każdy:

–Cholera!

Kilka razy przejechał wzdłuż ulicy, zanim zobaczył coś przypominającego szyld, którego szukał. Zaparkował samochód i wszedł do zimnego zadymionego wnętrza.

Zbliżył się do wypolerowanego metalowego kontuaru, za którym mężczyzna w papierowym fartuchu z agresywną miną smażył hamburgery.

–Szukam Jacka Cole’a – powiedział Larry.

Mężczyzna pociągnął nosem i otarł pot z czoła.

–Jacka Cole’a? Jacka „King” Cole’a?

–Chyba tak.

–Jesteś gliną?

–Uhm.

–Masz legitymację?

Larry otworzył portfel i położył na kontuarze banknot dziesięciodolarowy.

Mężczyzna zabrał go bez żadnego skrępowania i powiedział:

–Jack Cole jest w „Fanny Bar”, naprzeciwko. Co tam znowu przeszkrobał?

–Nic strasznego.

–No to się zmienił.

Larry przeszedł przez słabo oświetloną słońcem ulicę i znalazł wąskie, pomalowane na czerwono wejście z rozbitym neonem. „Fanny Bar”. Jeden z bywalców lokalu dopisał sprayem „e”. Larry pchnął drzwi i znalazł się w jednym z tych zimnych, mrocznych barów, gdzie kelnerki, żeby mogły wypisać rachunek, mają długopisy z latarkami. Unosił się tu zapach wczorajszych perfum i dymu, od którego robiło się niedobrze.

Podszedł do baru i poprosił coors lite. Czarnoskóry, niezbyt przyjazny barman nie wyglądał na kogoś, kto zwierza się ze swych problemów. Larry dał mu za piwo dziesięć dolarów i zapytał:

–Jest Jack Cole? – i wyraźnie dał do zrozumienia, że gdy odpowie „tak”, będzie sobie mógł zatrzymać resztę.

–Pan szef być na sala gier. – Dziesięć dolarów zniknęło.

„Sala gier” okazała się zakurzoną klitką pełną niedopałków papierosów. „Pan szef natomiast wychudłym mężczyzną w pelerynie i starym obwisłym kapeluszu. Siedział nad piwem i długimi palcami stukał w stół, jakby niecierpliwie na kogoś czekał. Larry wysunął krzesło naprzeciw niego i zapytał:

–Nie będzie miał pan nic przeciw?

Tamten wzruszył ramionami.

–Pan się nazywa Jack Cole?

W ciemności błysnęły oczy.

–A panu co do tego?

–Tara Gordon sugerowała, żebym z panem porozmawiał.

–Tara? Ta dziwka? Nie widziałem jej, odkąd oboje zostaliśmy wyklęci w 2001.

–Proszę posłuchać. Nazywam się Larry Foggia. Szukam faceta, który tu mieszkał w latach sześćdziesiątych.

Jack Cole podłubał w nosie.

–Już nikt nie został. Wszyscy się zestarzelili, pożenili i spoważnieli. Przeważnie i jedno, i drugie, i trzecie. Niektórzy z nich ubiegają się nawet o mandat republikański. A teraz, to co pan widzi, to albo turyści, albo tacy, którzy stwierdzili, że nie mogą żyć gdzie indziej.

–A pan jest tu cały czas.

–O pewnie. Jestem jak jeden z tych zgrzybiałych dziadków, którzy podcierają dzieci, zakładają im śliniaczki do jedzenia i zmieniają pieluchy, gdy się moczą, ale odchowane dzieci nie mogą znaleźć dla nich lepszego miejsca, więc zostają, gdzie są. Pamięta pan: „Mam nadzieję umrzeć, zanim się zestarzeję”? Tutaj to nigdy nie zadziało.

Larry wyjął portfel i przejechał palcem po banknotach.

–Jack – powiedział. – Szukam Mandraxa.

Milczenie zdawało się nie kończyć. Jack nie podniósł oczu, nie odstawił szklanki, nie strzelał palcami, nie odpowiadał.

–Większość ludzi myśli – rzekł Larry – że Czarne Bractwo całkiem spłonęło i Mandrax nie żyje. Ale ja wiem, że nie umarł, i chcę go dostać.

Jack Cole podniósł oczy i zapytał:

–Czy pan wie, co mówi?

–Chyba tak.

–Wie pan, że za każdym razem, kiedy wymawia pan to imię, to tak, jakby podpisywał pan kartkę z oświadczeniem: „Ja, Loggia, pragnę umrzeć, kiedy tylko nadarzy się okazja”.

–Foggia.

–Co?

–Foggia nie Loggia. Owszem, wiem wszystko o Mandraksie i Czarnym Bractwie i proszę mi wierzyć, że wolałbym się tym nie zajmować. Ale muszę.

–Cóż... słyszałem plotki – powiedział Jack Cole. – Sześć czy siedem tygodni temu przyszedł do mnie przyjaciel i mówił, że widział, jak ktoś podobny do Mandraxa jechał czarną furgonetką do Embarcadero. Zupełnie się tym nie przejąłem, ale potem dowiedziałem się jeszcze o paru rzeczach i chyba mnie przekonały.

–O jakich rzeczach? Może twarze na oknach? Na dłoniach? O ludziach, którzy się kurczą? O rzeczach, które nie powinny się dziać?

Jack Cole patrzył długo i ze spokojem.

–Wie pan o tym wszystkim? Więc po co mnie pan wypytuje?

–Bo chcę go znaleźć.

–To polowanie kury na lisa.

Larry wyciągnął pięćdziesiąt dolarów.

–No, Jack, zgódź się na małe przekupstwo. Jeden adres, a ten wydany w ograniczonym nakładzie portret Ulissesa S. Granta będzie twój.

Jack powoli odwrócił głowę i popatrzył na bar. Potem powiedział:

–Wolę Franklina, jeśli pan ma.

–Reszta, jak wiadomość okaże się pomyslna.

–Bez Franklina nie ma żadnej wiadomości.

Ociągając się Larry wyjął ostatnie sto dolarów i położył na stole. Jack Cole siedział i patrzył na nie bardzo długo, jakby nie mógł się zdecydować, czy powiedzieć Larry'emu, czy nie. W końcu zabrał banknot, złożył go na połowę, potem jeszcze raz i schował do kieszeni koszuli.

–W dół od China Basin jest stary dom towarowy. Mieli go przebudować na coś innego, ale zmienili zamiary. Za drogo, liche tereny. To na południu Basin, zaraz przed Pier 48.

–Jak tam się dostać?

–Mam narysować mapę?

–Za stówę powinienesz zawieźć mnie na plecach.

Jack Cole wzruszył ramionami i dokończył piwo.

–Informacja podlega inflacji, kolego, jak wszystko.

–I na pewno jest tam Mandrax?

–Nie, nie jestem pewien. Ale Mandrax zawsze mówił, że jeśli potrzeba będzie kryjówki, tam się schowa. Kiedyś mnie nawet tam zabrał i pytał, co o tym sądzę. Powiedziałem, że świetne miejsce. Zwłaszcza ten zapach i wilgoć. Przy nim zamek Draculi wygląda jak Holiday Inn.

–Musiałeś go dobrze znać.

Jack Cole ściągnął usta.

–Czarnego Bractwa nikt dobrze nie znał. Jasne, byłem z niektórymi z nich blisko. Ale to była taka sama bliskość, jak się stoi obok kobry. Sranie w gacie i sztywno na nogach. Chyba dlatego mieli takie powodzenie.

Larry wstał.

–Dobrze, Jack. Dzięki za pomoc, ale jeśli wcisnąłeś mi kit, wróć tu i grzecznie poproszę o zwrot portretu.

–Poważne ostrzeżenie. – Jack Cole uśmiechnął się nieznacznie. – W takim razie szybko go wydam.

Zadzwoił do Lindy, ale jeszcze jej nie było w domu. Zjadł samotnie lunch w kambodżańskiej restauracji. Miał znajomą właścicielkę – elegancką madame Butterfly. Od sześciu lat, gdy przyjechała do San Francisco, znaną wszystkim gościom jako pani Krong. Jej syna zasztyletował antykambodżański gang i Larry został przydzielony do odszukania mordercy. Po sześciu miesiącach musiał zakończyć wciąż nie rozwikłaną sprawę i teraz, cztery lata po tym, kartoteka była nadal otwarta.

Za każdym razem, gdy Larry jadł lunch, pani Krong pytała go grzecznie o postępy w śledztwie. Gdy tej formalności stawało się zadość, karmiła go swymi specjałami, śmiała się i opowiadała historyjki z dzieciństwa w Kambodży. Jej ryba zawijana w sałatę była wyśmienita.

Zadzwoił do Dogmeata do „Guido Bar”. Ku jego zaskoczeniu Dogmeat faktycznie tam był.

–Dogmeat, mam sprawę. Zastanawiam się, czy mógłbyś przyjść sam.

–Scusi? To jakiś Joe Cocker?

–Mówię poważnie. Spotkamy się o piątej przed „Guido”.

Dopełnił zwykłego rytuału oferowania pani Krong opłaty za posiłek, na co pani Krong odpowiedziała, że nie, nie, że musi nabrać siły, aby złapać tego diabła, co zabił jej syna. Pani Krong miała szesnastoletnią córkę, która zawsze pozostawała w kuchni. Była tak niezmiernie piękna, że Larry często żałował, że nie jest Kambodżańczykiem i nie ma osiemnastu lat.

Dogmeat czekał przed „Guido” tak pochylony, jakby słał się na wietrze. Gdy wsiadł do samochodu, czuć było, że pił tequilę. Larry wiedział z doświadczenia, że Dogmeat i tequila nie pasują do siebie. Po kilku kieliszkach zaczynał szlochać za dawnymi czasami, kiedy śpiewało się *Sergeant Pepper’s Lonely Heart*, chodziło po słonecznych ulicach i wkładało chryzantemy do łuf strażnikom z National Guard.

„Wszyscy się zestarzelili, pożenili i spoważniali. Niektórzy ubiegają się nawet o mandat republikański”.

–Dokąd jedziemy? – zapytał Dogmeat, spoglądając na prawo i lewo przez słoneczne okulary.

–Do China Basin. Będziemy składać wizytę i chciałem, żebyś był sam.

–Mam nadzieję, że to jakoś zrefor... zrefun... zrefor... Mam nadzieję, że mi jakoś zapłacisz. Jesteś *schneidnie* poważny dla mojego *Trinkenzeit*.

–Nie powinno długo potrwać.

Jechali Berry Street. Chociaż rano było słonecznie, zwłaszcza na pagórkach, przez Golden Gate z zatoki zaczęła napływać mgła. Ogromny obłok bieli. Gdy zbliżali się do Pier 48, unosiła się już chłodna mgiełka i otoczone przez nią sklepy, biurowce, mosty zaczynały tracić swe zarysy.

Nietrudno było odnaleźć stary dom towarowy. Był to dwupiętrowy budynek z popękanej czerwonej cegły, z rzędem powybijanych okien na wyższych piętrach i zardzewiałymi żelaznymi schodami ewakuacyjnymi. Larry z trudem odczytał: EAST INDIES PACYFIC SPICE Com. Wjechał samochodem na krawężnik i wysiadł.

–Zapłaciłbym ci za to, żeby się dowiedzieć, co tu robimy, *mon ami* - powiedział Dogmeat zwlekając się z siedzenia. – *Quel miserable* miejsce.

Larry sięgnął na tylne siedzenie i sprawdził dodatkową trzydziestkę ósemkę. Widział kiedyś, jak detektyw został zmuszony do oddania pistoletu z kabury, a potem, kiedy wsiadał do samochodu, załatwił przeciwnika jednym strzałem z ukrytej za siedzeniem broni. Gdyby jemu zdarzyło się coś podobnego, nie miałby prawdopodobnie czasu sięgnąć po drugi pistolet, ale zawsze lepiej mieć małą szansę, niż nie mieć ich wcale.

Gdy przechodzili przez zamgloną ulicę, wsunął pistolet z tyłu za spodnie.

Dogmeat szedł lekko się kołysząc i kopał pustą puszkę po piwie.

–Może byś się trochę uspokoił – powiedział Larry. – Mamy tu przyszpilić podejrzanego.

–Podejrzanego? – zapytał Dogmeat. – O co?

–Oczywiście, że o morderstwo. Nie zapominaj, że pracuję w zabójstwach, a nie w drogówce.

–Cholera! – rzucił Dogmeat, odwrócił się na pięcie i ruszył drogą, którą

przyjechali.

–Może byś wrócił, Dogmeat?

–Nie, nie, nie, nie, nie. Nie chcę zadzierać z mordercami. *Au revoir, hasta la vista i bon appetit.* Spływam stąd.

–Pięćdziesiąt! – zawołał Larry. Dogmeat szedł dalej.

–Sto! – Dogmeat znów odwrócił się na pięcie i dołączył do Larry’ego.

–Muszę być pijany – powiedział. – Rzadko pomagam Włochom związać morderców za mniej niż związkowe mimi... minimum.

Larry ścisnął go za ramię i prowadził przez mgłę.

–Dopóki widzisz, nie obchodzi mnie, że jesteś pijany. Chcę tylko, żebyś zidentyfikował faceta, zanim strzelę mu w łeb.

Dogmeat spróbował wyostrzyć na niego wzrok.

–Czy ja dobrze *ecoute!* Chcesz mu strzelić w łeb?

–Zgadza się – powiedział ponuro Larry. – Mówisz: „to on”, a ja strzelam. Raz, dwa i już. „To on!”, pam!

Dogmeatowi najwyraźniej podobał się ten dźwięk.

–To on, pam! To on, pam! Dobrze, jakoś to przeżyję. A co to za facet? – Nagle zatrzymał się i spojrzał ze strachem na Larry’ego. – To pewnie ktoś, kogo znam. To znaczy, co będzie, jeśli go nie znam?

–Daj spokój. – Larry przysunął go do rogu domu towarowego, przycisnął do ściany i czekał nasłuchując.

–Kto to jest? – syknął Dogmeat.

–Poznasz, jak go zobaczysz.

–Jak go mogę poznać, kiedy zobaczę, gdy nie wiem, kto to jest?

–Daję ci słowo, że go poznasz.

Ruszyli ostrożnie wokół budynku, szli po żwirze, gdzieniegdzie natykali się na zardzewiałe sprężyny i szyjki od potłuczonych butelek. Główny gmach domu nie miał okien i był zamknięty. Po stanie skobli i kłódek można było stwierdzić, że od lat nikt ich nie ruszał. Larry zatrzymał się i znowu nasłuchiwał, ale dochodziły go jedynie hałasy uliczne z Oakland Bay Bridge i odległe dźwięki z Union Square. Mgła tak zgęstniała, że nie widział nawet samochodu po drugiej stronie ulicy.

–Chyba chciałbym już do domu – oświadczył Dogmeat.

–Daj spokój, on może być na górze – uspokoił go Larry. Pchnął Dogmeata w stronę wyjścia bezpieczeństwa i obydwaj zaczęli wspinać się po schodach, a przerdzewiałe stopnie trzeszczały w zetknięciu z butami. Cała budowla wydawała się niezbyt bezpieczna, z góry spadały na nich kawałki rdzy. Poniżej widzieli pokrytą mgłą China Basin. Z zatoki wiał wilgotny wiatr.

Nad głowami mieli pomalowane na brązowo wejście z okienkiem przykrytym dyktą. Larry widział jednak jeszcze coś. Poniżej, między dwiema prowizorycznymi komórkami, parkowała furgonetka takiego samego koloru jak ta, która zabrała z Potrero Street Ednę-Mae.

Być może to zbieg okoliczności. San Francisco aż roi się od czarnych furgonetek. Ale żeby stała właśnie tu, gdzie prawdopodobnie ukrywa się Mandrax?

Larry przemierzył kilka ostatnich stopni ewakuacyjnych i zapukał do drzwi.

–Nie zapomnij – powiedział Dogmeatowi. – To on, pam!

–Dobra, dobra, pamiętam – zapewnił Dogmeat.

Czekali i czekali, słyszeli, jak wiatr szumi na stopniach schodów. Larry trzymał pistolet za sobą, ale był gotów w każdej chwili podnieść go i strzelić. Bez wahania. Bez pomyłki.

Wiedział, że to, co robi, jest nielegalne i moralnie naganne. Nawet najbardziej sadystyczny morderca powinien stanąć przed sądem.

Wiedział, że może stracić pracę, a nawet trafić do więzienia. Jednak Szatana z Mgły nigdy nie uda się zaciągnąć przed sąd. Żadne prawo nie zdoła ukarać zjawiska paranormalnego. To on musi wymierzyć sprawiedliwość i modlić się do Boga i Najświętszej Pani, żeby przebaczyli mu, że wziął prawo we własne ręce.

Jednak był opanowany i spokojny. Nawet jeśli nadnaturalny aspekt tego śledztwa był niczym innym niż złudzeniem, iluzją czy halucynacją, to wykona egzekucję na człowieku, który zamordował sześć rodzin. A jeśli śledztwo w zaświatach istniało naprawdę, powstrzyma wywołanie najżarłoczniejszego i najlepiej ukrytego zła, jakie znała Ameryka.

Największy psychiczny niepokój od czasów czarownic z Salem. Czekał w napięciu. Ze środka nie padła żadna odpowiedź. Doleciał tylko dźwięk czegoś upadającego. Zapukał jeszcze raz i zawołał:

–Jest tam kto?!

Żadnej odpowiedzi. Stukał i stukał i żadnego odzewu. Dogmeat stojąc niżej wzruszył ramionami z rezygnacją.

–Pam wczoraj, pam jutro, ale nie dzisiaj – stwierdził.

–Tak... może i masz rację – przyznał Larry. Prawe ramię tak mocno zaciskał za plecami, że zaczynał go już chwytać skurcz. Wyprostował się, wsunął pistolet z powrotem za pas i rozluźnił dłoń. – Spróbujemy później, jak się ściemni.

–Odbiło ci? To nie jest miejsce na nocne wędrówki *tout seule*.

–Ja nie będę *tout seule*. Będę z tobą.

Już prawie schodzili na dół, gdy Larry zobaczył na niebie wielkiego szarego ptaka kierującego się w stronę domu towarowego. Zatrzymał się, osłonił ręką oczy. Ptak zataczał nad nimi kręgi.

–Mussolini! – szepnął Larry. – To Mussolini! Teraz wiem, że miałem rację!

Dogmeat popatrzył na ptaka i powiedział:

–Jaka piękna, swojsko odziana mewa.

–To papuga, kretynie. Należała do mojej matki.

Mussolini przeleciał nad nimi i usiadł na krawędzi dachu. Ku zaskoczeniu Larry'ego znów wyglądał normalnie. Nie miał żadnych narośli na głowie, żadnego ciemnobrązowego oka. Może Larry'emu śniło się, że Mussolini zabrał mu ektoplazmę? Może mu się nie śniło, tylko Mussolini jakoś ją zgubił? A może ktoś mu zabrał?

Larry zadrżał patrząc, jak ptak skubie dach.

–Czy papugi nie przynoszą pecha? – zapytał Dogmeat.

–Ta na pewno – odpowiedział Larry.

–No to może wynieśliśmy się stąd?

Larry już chciał odpowiedzieć, gdy nagle drzwi, przed którymi stali, wyleciały z zawiasów. Uderzyły go w ramię i o mało nie stracił równowagi.

Jak istota wyczarowana na pokazie magii stanął przed nimi mężczyzna w czarnej koszuli i czarnej skórzanej kurtce.

Dogmeat wpatrywał się w niego z otwartymi ustami.

Nie powiedział: to on, bo nie mógł w ogóle nic powiedzieć. Nie spuszczać oczu z mężczyzny w drzwiach, zaczął się wycofywać stopień po stopniu, aż dotarł do niższego podestu. Susami pokonywał po trzy, cztery stopnie naraz, słysząc stukanie kowbojskich butów przeciwnika tuż za sobą.

Larry podniósł wzrok. Choć mu zupełnie zaschło w gardle, spróbował przełknąć ślinę. Z nadzwyczajną ostrością rozpoznał w swoich reakcjach symptomy silnego strachu: przyśpieszona akcja serca, nerwowy oddech i straszliwie przedawkowany zastrzyk adrenaliny.

Stał twarzą w twarz z najkrwawszym zabójcą, jakiego znało San Francisco.

Mężczyzna był przynajmniej piętnaście centymetrów wyższy od Larry'ego. Zalaatywało od niego potem, talkiem i czymś, co przypominało zapach siana albo ziół.

Larry spodziewał się, że ma okropnie poparzoną twarz. Jak to Dogmeat mówił? Spalony łeb. Lecz zamiast tego zobaczył słowiańską twarz z głęboko osadzonymi oczami, krótkim, prostym nosem i ustami prawie pozbawionymi warg. Na szyi miał srebrny łańcuszek ze srebrną czaszką z brylantowymi oczkami. Błyszczące czernią włosy trzymały się zaczesane do tyłu.

Ale to nie wygląd przerażał Larry'ego, ale aura. Tara Gordon mówiła coś o aurach, ale wtedy dobrze tego nie zrozumiał. Za to teraz pojął dokładnie. Tamten człowiek roztaczał wokół siebie chłód i wrażenie skondensowanego zła. Powietrze w zetknięciu z jego skórą lub ubraniem stawało się natychmiast skażone.

Co gorsza, Larry zobaczył w jego oczach wyraz, którego zawsze się obawiał. Spojrzenie człowieka, któremu nie zależy, czy jest żywy, czy martwy.

Na dobrą sprawę nigdy nie można zwyciężyć kogoś, kto nie troszczy się o to, czy umrze, czy przeżyje.

Przez ułamek sekundy Larry pomyślał, że mógłby wyciągnąć pistolet i strzelić. Jednak było to skrajnym ryzykiem. Mężczyzna był na tyle blisko, że mógłby zdążyć chwycić Larry'ego za nadgarstek i wypchnąć za poręcz schodów. Do ziemi, pełnej zardzewiałego żelaza i tłuczonego szkła, było około dwunastu metrów.

Poza tym Dogmeat uciekł bez słowa, które go miało uchronić przed strzeleniem do niewłaściwego człowieka. Mógł się jedynie domyślać, że prawdopodobnie to Mandrax, bo Dogmeat wyglądał na bardzo przestraszonego. Jednak to trochę za mało, bo Dogmeat często uciekał przed całymi grupami ludzi – od działaczy White Power do handlarzy narkotyków – którym się naraził, co w praktyce stanowiło trzecią część ludności San Francisco. Czasami uciekał nawet przed Larrym.

A jeśli to nie Mandrax? Jego twarz nie wyglądała na aż tak poparzoną.

Mężczyzna patrzył na Larry'ego, a Larry na niego. Kątem oka Larry widział

niezgrabnie siedzącego na dachu Mussoliniego. Znad zatoki napływała nowa fala mgły i papuga wleciała w nią, znikając z pola widzenia.

–Spodziewałem się ciebie – powiedział mężczyzna z nadspodziewaną grzecznością. Mówił czystym akcentem, choć dało się wyczuć południową manierę.

Larry niezręcznie poprawił pistolet za pasem i przykrył go płaszczem.

–Spodziewałeś się? – zapytał. Głos zabrzmiał tak dziwnie.

–Jasne. Czemu nie przyszedłeś sam?

Larry spojrzał na dół. Gdyby teraz pobiegł, zanim tamten zdążyłby zareagować, byłby w połowie drogi. Nie ruszył się jednak. Nie mógł. Mężczyzna szerzej otworzył drzwi i Larry zbliżył się do niego. Przez ułamek sekundy stali twarzą w twarz, oddaleni od siebie tylko o kilka centymetrów. Popatrzyli sobie w oczy. Łowca i zwierzyna. Ofiara i zabójca. Ale kto jest kim?

Na najwyższym piętrze musiały być kiedyś biura, ponieważ podzielone było na niewielkie pomieszczenia. W powietrzu unosiła się woń wilgotnych, omszałych cegieł połączona z zapachem mężczyzny oraz wonią zleżałych przypraw: cynamonu, chili, goździków.

–Proszę do środka – powiedział mężczyzna i Larry z wahaniem poszedł długim, ciemnym korytarzem w stronę drzwi, za którymi majaczyło światło. Pod stopami skrzypiały mu kawałki szkła i odpadłego tynku. Słysząc było przypominający padanie kropli deszczu chrobot przemykających szczurów.

Doszli w końcu do biura. Na oszklonych drzwiach Larry dostrzegł lekko zdrapane litery:…EKTOR.

Pomieszczenie urządzone było jak kryjówka. W rogu leżały worki po przyprawach, które zapewne służyły za łóżko. Po przeciwległej stronie stały skrzynki z jedzeniem: hot-dogi, selery, zupy pomidorowe, a także pojemniki z puszkowym piwem. Na środku, za lampą, na skrzynce po pomarańczach, stał telewizor. Wszystko to zaskakująco zwykle jak na zabójcę z piekła. Jednak duszą całego pomieszczenia był wieszak na kapelusze, na którym wisiała ogromna czarna maska z aksamitnymi oczami, przypominająca wielkiego owada, piekielną istotę albo samego Beliala – pierwszego upadłego anioła, Pana Kłamstwa.

Larry podszedł i przyjrzał się masce. Wiedział już, że ma do czynienia z Szatanem z Mgły.

–Dobry z ciebie detektyw, wiesz? – powiedział mężczyzna. – Nikt nie zaszedł tak daleko.

–Jesteś Mandrax, prawda? – zapytał Larry.

–Zgadza się, poruczniku Foggia... pan Mandrax. Rozwiązałeś swoją zagadkę. Wszystkie klocki do siebie pasują. To chyba satysfakcjonujące uczucie:

rozszyfrować zbrodnię. Zwłaszcza taką straszną. Wcale im się – mieszkańcom San Francisco – nie podobała, prawda? Przyprawiała ich o dreszcze! I jak byli zaskakiwani! Ludzie z oberżniętymi nogami, ludzie z połamanymi rękami, ludzie przybici do podłogi! Rozwiązanie takiej zagadki musi w tobie budzić uczucie triumfu.

Larry odwrócił się i wyraz twarzy Mandraxa przyprawił go o dreszcz paniki. To nie było zwykle napawanie się zbrodnią, zwykle chępienie się psychopaty. Na twarzy

Mandraxa Larry widział spokój, powagę, przekonanie do tego, co robi, oraz zadowolenie z siebie.

–Nie przyszedłem cię aresztować, jeśli o to chodzi.

–Oczywiście, poruczniku, wiem o tym. Nie darmo Belial mnie wybrał. Ale naprawdę doceniam twoją pracę. Coś ci powiem, Larry – nie masz nic przeciw temu, żebym tak do ciebie mówił? Wszystkie gazety tak o tobie piszą, zwłaszcza Fay Kuhn w *Examinerze*. Bez wątpienia mogłaby nazwać cię jeszcze inaczej.

Uczucie Larry’ego: strach. Zmrużył oczy.

–Co wiesz o Fay Kuhn?

–Czego ja nie wiem, Larry? Jestem najbardziej przenikliwym człowiekiem na świecie. – Postukał się w czoło. – Chyba że nazywasz mnie człowiekiem obydwu światów, tego na górze i tego na dole? Wszystko jedno. Dobro, zło. Czystość, nieuchronna deprawacja. Ale co ja się tu chwale? To ty odwaliłeś świetną robotę, no nie, Larry? Jako jedyny uwierzyłeś, że to paranaturalny przypadek, prawda?

Oglądałem wszystkie programy informacyjne, czytałem gazety i wiedziałem, że jesteś coraz bliżej. Co za fachowiec z ciebie, Larry! Spojrzałeś na to z naszej strony, nie ze swojej. I uwierzyłeś, prawda? Prawdziwy mężczyzna z ciała i z ducha. Zupełnie jak ja.

Przysunął się kilka centymetrów bliżej, a Larry poczuł, że mimowolnie odsunął się kilka centymetrów do tyłu. Boże – ten facet to żywy trup. Jego chłód i straszliwe zadowolenie z siebie pozbawiały Larry’ego tchu.

–Mogę ci zadać pytanie? – zapytał Larry.

Mandrax uśmiechnął się.

–Pytaj, o co chcesz. Chyba na to zasłużyłeś.

–Dobra. Czy Belial naprawdę istnieje?

Uśmiech zniknął. Oczy pociemniały.

–Nabijasz się ze mnie, Larry?

–Nie, nie nabijam się, chcę po prostu wiedzieć.

–Jasne. – Uśmiech powrócił. – Jasne, że tak. Czasami zapominam, że dodatkowe sto trzydzieści lat sprawia, że patrzę na wszystko inaczej. Ty podchodzisz do tego zbyt naukowo, wiesz, co mam na myśli? I tego samego oczekujesz od innych.

Zapewniam cię, że Belial istnieje.

Przerwał, potarł ręce.

–W gruncie rzeczy mogę zrobić więcej, niż zapewnić cię. Mogę ci pokazać, że Belial istnieje. Będziesz szcząkał zębami, dotkniesz strachu absolutnego, ale pokażę ci. I jeśli nie uwierzysz w to, co zobaczysz, sam złożę ręce, pozwolę ci się zakuć i zaprowadzić do domu wariatów.

Larry uważnie rozejrzał się po pokoju. Lampa rzucała na ścianę duży, zniekształcony cień maski, która wyglądała jak żywa. Larry pomyślał o rysunku, na wzór którego została uformowana, i poczuł nagły zawrót głowy na myśl o tym, że bestię z rysunku może ujrzyć naprawdę.

Przestał się rozglądać. Ze ściśniętym gardłem i duszą na ramieniu patrzył na Mandraxa. Oczywiście cały czas miał pistolet. Teraz mógłby go wyciągnąć i Mandrax nic nie zdołałby zrobić. Jeden strzał i koniec. Pam! Jednak Mandrax powiedział jedną

rzecz, która uniemożliwiła Larry'emu zastrzelenie go.

Powiedział, że Belial istnieje naprawdę. I powiedział to z takim przekonaniem, że Larry mu uwierzył. A w każdym razie prawie uwierzył.

Skoro Belial jest prawdziwy, Larry musi znaleźć go i zniszczyć. A przynajmniej nie dopuścić do jego wskrzeszenia. Najszybszym i najlogiczniejszym sposobem na odszukanie Beliala będzie pozwolić, żeby Mandrax go ze sobą zabrał, bez względu na to, jak straszliwe miałyby się to okazać.

–Kiedy zamierzasz to zrobić? – zapytał Larry.

–Kiedy się ściemni i miasto ucichnie. Duża mgła dzisiaj, taką lubię. Wiesz, jak w Chile nazywają mgłę? Oddechem diabła. Jak ci się podoba?

–Słyszałem, że się paliłeś – rzekł Larry. – Ty i reszta Bractwa. – Czuł, jak pot spływa mu po karku.

–Poruczniku Foggia – powiedział Mandrax. – Ja już się paliłem, byłem wieszany, krzyżowany, i tak dalej. – Usiadł na workach po przyprawach, by zasznuować but. – Ale wiesz co... jeśli masz przyjaciela anioła, to nie ma żadnego znaczenia. Potrzebowałem tylko trochę więcej ekto plazmy, a papuga twojej matki była tak dobra, że mi to załatwiła.

–Masz moją ekto plazmę? – zapytał Larry.

–Z dłoni do płaszcza, z płaszcza do papugi, z papugi do Williama Mandraxa. Niezła robota, co? Nieważne, czy upadły czy nie, ale na anioła zawsze możesz liczyć, zawsze dla mnie czyni takie cuda.

–Naprawdę chcesz mnie ze sobą zabrać, żebym go zobaczył?

–Jasne! No pewnie! Czas, żebyś zobaczył, za kim się uganiałeś.

–A jeśli cię aresztuję? I jego także?

Nie zbity z tropu Mandrax pokręcił głową i roześmiał się.

–Pod jakim zarzutem? Wiesz, co zrobiłem, wiesz dlaczego, ale niczego nie możesz udowodnić. Przyznaj, że jesteś w kropce. Zabrałeś ze sobą Dogmeata Jonesa, żeby pokazał na mnie palcem, co? Rany boskie, Larry, nie możesz mnie aresztować. Nie możesz mnie też zabić. Bo niczego nie możesz udowodnić. Przyszedłeś mnie zabić, ale się nie udało. Chciałeś sam, kulą w łeb, wymierzyć sprawiedliwość. Cały ty. Porucznik Larry Foggia, rycerz w lśniącej zbroi, obrońca wiary. Czujny, prawy gliniarz. „Tak więc przypuszczam, że miałem prawo otworzyć ogień”.

–Zabiłeś tylu ludzi – powiedział Larry pierwszy raz od tylu lat zszokowany. – Zabiłeś te wszystkie rodziny. Na litość boską, zamordowałeś ich. Nie rozumiesz tego? Joe Berry był moim przyjacielem. Zgwałciłeś jego żonę, podpaliłeś dzieci.

Mandrax przejechał dłonią po włosach. Patrzył nieporuszony, jakby myślał o czymś innym.

–Tak, zabiłem ich. Muszę przyznać.

–Torturowałeś ich! Obcinałeś języki, ręce, nogi!

–Tak, tak, tak, dokładnie tak – mówił podenerwowany Mandrax. – Ale ty nie rozumiesz rytuału. Wiesz? Rytuału.

–Jakiego rytuału? – zapytał Larry.

–Tego, dzięki któremu Beli Ya'al może być wskrzeszony, przyjacielu. Myślisz, że

Beli Ya'al dla zabawy leżał sobie przez sto pięćdziesiąt lat?

Larry zaczerpnął tchu, żeby nad sobą zapanować.

–Może byś mi pokazał, może byś mi opowiedział o tym rytuale?

–Taki właśnie miałem zamiar. – Mandrax skinął głową. – Pojedziemy twoim samochodem, dobrze? Każdy patrol policyjny w San Francisco szuka mojej furgonetki. Nie będziesz miał nic przeciw temu, że zabierzemy ze sobą Ednę-Mae?

–Ednę-Mae?

–Jest tutaj. Czuje się dobrze. Beli Ya'al pokocha ją.

Wskazał Larry'emu drzwi. Larry zawahał się i przepuścił go pierwszego. Szli ciemnym korytarzem, ale Mandrax zdawał się nie obawiać, że Larry go zastrzeli. Albo zdawał sobie sprawę, że Larry potrzebuje go do pomocy w znalezieniu Beliala, albo wiedział coś, czego Larry sobie nie uświadomił.

–Masz dłoń z ruchomymi wizerunkami – powiedział do Larry'ego prawie przypadkiem, gdy wychodzili z budynku.

Larry nie odpowiedział.

–Wiesz, jak to się dzieje? – spytał Mandrax. – Skąd ludzie mają takie dłonie?

Larry wciąż milczał. Szybko się rozejrzał, czy nikt ich nie śledzi. Miał wrażenie, że ktoś na nich patrzy. Nie potrafiłby tego opisać, ale było to jedno z tych silnych uczuć, które rozwijają się w policjancie po wielu, wielu latach patrolowania ulic.

–To dziedziczne – rzekł Mandrax. – Przechodzi z ojca na syna.

–Mówisz o tym wizerunku? – Larry uniósł lewą dłoń. – O tej twarzy?

–Tak. Gdy jest się związanym z Beli Ya'alem, ma się na zawsze naznaczoną dłoń, a gdy się umiera, znak pozostaje na dłoni najstarszego syna.

–Przecież to nonsens, mój ojciec nie miał takiej dłoni – zaprotestował Larry.

Mandrax uśmiechnął się i spojrzał na niego.

–Twoim ojcem był Mario Foggia, prawda? Import i eksport?

–Prawda, ale...

–Żadne ale. Przed szesnastu laty skończyły mu się pieniądze i skończyli się ludzie, którzy chcieliby mu pożyczać. Zostało mu tylko jedno miejsce, gdzie mógł się zwrócić: stary przyjaciel Dan Burroughs. Porucznik Departamentu Policji San Francisco. Poszedł do niego i powiedział: Dan, poratuj mnie. I już! Dan go poratował. Ale wtedy twój ojciec zaczął się zastanawiać, czy cena za poratowanie nie jest zbyt duża, wrócił do Dana i mówi, że rezygnuje. Dan odrzekł, że za późno. Wtedy twój ojciec zagroził: albo się zgodzi, albo pójdzie do komendanta policji i powie, że Dan brał udział w rzeczach, w których policjant nie powinien brać udziału. I wiesz, co zrobił Dan Burroughs?

–Ja mam w to uwierzyć? – zapytał spięty Larry.

–Możesz sobie wierzyć, w co chcesz. – Mandrax uśmiechnął się lakonicznie. – Ale porucznik Dan Burroughs sprzątnął pewnej nocy twojego ojca, gdy ten wracał z domu towarowego, i dwa dni później wyłowiono Foggię z zatoki.

–Bzdura. Mój ojciec umarł w szpitalu na zapalenie płuc.

–Tak powiedział koroner.

–Chcesz powiedzieć, że Dan Burroughs zamordował mojego ojca?

–Nie chcę, ale mówię ci! Twój ojciec nie powinien tak się zachowywać. Musiał trzymać język za zębami. A mógł powiedzieć wiele interesującego. Dan zawsze chciał wskrzesić Beli Ya’ala.

–Teraz już przesadzasz – powiedział Larry. – Dan Burroughs – Beli Ya’ala?

–Oczywiście. – Mandrax roześmiał się. – Odkąd dowiedział się, że Belial jest gdzieś w San Francisco, odkąd dowiedział się, co może...

–Chyba ci odbiło.

Mandrax wzruszył ramionami.

–Możesz sobie myśleć, co chcesz, ale twój ojciec i Dan Burroughs nie byli jedynymi. Istniał cały syndykat złożony z biznesmenów, prawników i polityków, którzy chcieli wskrzesić Beliala.

–No dobrze – rzekł Larry. – Przypuśćmy, że tak było. Skąd o tym wiesz?

–Ktoś mi powiedział. Nie wiem kto. Ktoś, kto potrzebował pieniędzy i myślał, że zapłacę za to. Chyba to był ktoś z otoczenia Czarnego Bractwa. Ktoś, kto wiedział, czym się zajmujemy. Może Edna-Mae? A może i nie. Ktokolwiek to był, gdy powstanie Beli Ya’al, pozna piekielne cierpienia.

–No, ale czego politycy, gliniarze i prawnicy mogliby chcieć od upadłego anioła?

–Naturalnie, że mocy, mocy prosto z nieba. Mocy boskiej. Zupełnie tego nie rozumiesz, co? Bóg jest czystą, niezmaconą mocą. Mocą, na którą nie można nawet spojrzeć. Każdy z jego aniołów ma moc stu reaktorów atomowych, tylko że nią nie da się oświetlić autostrady czy napędzić fabryki. To moc robienia tego, czego się chce. Gdyby twój ojciec, Dan Burroughs i cała reszta tych chciwców dowiedzieli się, gdzie jest Belial i jak go wskrzesić, wierz mi, że życie w San Francisco nie byłoby warte życia.

Larry długo patrzył na Mandraxa, zanim cokolwiek powiedział. Gadka o politykach, którzy w konspiracji wskrzeszają upadłego anioła, wydawała mu się śmieszna. Skoro Mandrax był zdolny do zmasakrowania i torturowania tylu ludzi, był prawdopodobnie bardzo oderwany od rzeczywistości i mógł uwierzyć w każde wyjaśnienie – zwłaszcza dotyczące jego straszliwej działalności jako Szatana z Mgły.

Jednak wciąż wyglądał na opanowanego i rzeczowego. O ile można wierzyć w coś takiego jak żyjące upadłe anioły, o tyle syndykat prawników, polityków i policjantów, którzy z pomocą zaświatów chcą powiększyć swoje wpływy, nie wymaga żadnej wiary.

–Szczęście w tym, że do tej pory nie odkryli, gdzie on jest. – Mandrax uśmiechnął się. – Mają wiele poszlak. Kiedyś zbliżyli się do niego. Ale to nie znaczy, że są wystarczająco blisko. Do pewnego, niezbyt dużego stopnia potrafią już używać jego mocy. Dał im dłonie z ruchomymi obrazami, żeby mogli wyszukiwać dla niego ofiary. Ale nie powiedział im, gdzie się znajduje. On trwa w półśnie, marzy. Dlatego widzisz na swojej dłoni te plamki i cienie. To jego gromadzące się sny i marzenia. I wiesz, o czym śni?

Larry patrzył na dłoń, mimo że nie było na niej wizerunku.

–Zawsze mi to przypomina twarz tego samego mężczyzny. Tara Gordon mówiła, że ten facet nazywał się Sam Roberts. W tysiąc osiemset czterdziestym roku

sprowadził do San Francisco dziką bandę złoczyńców.

–Zgadza się, Sam Roberts. – Mandrax uśmiechnął się. – To on pierwszy sprowadził do San Francisco Beli Ya'ala.

–Po co?

–Z wielu powodów. Zemsta, potęga. Brannan i Leavenworth wykurzyli go z San Francisco, więc chciał wrócić i pokazać im, kto jest panem.

–Jak, do diabła, taki facet mógł znaleźć upadłego anioła?

–Usłyszał od starego mieszkańca Chileno opowieść o statku, który w trzydziestych latach dziewiętnastego wieku przewoził wokół przylądka Horn bardzo dziwny ładunek. Miał to być największy skarb, jaki widziano na ziemi: największa moc, jaką znał człowiek. Jednak podczas sztormu statek zatonął i ładunek zaginął. Starzec twierdził, że człowiek, który znajdzie ładunek, stanie się królem całego świata. Więc gdy Brannan i Leavenworth wypędzili go z San Francisco, Sam Roberts postanowił go odszukać.

Oczy Mandraxa nabrały dziwnego blasku. Larry pomyślał, że bardziej niż na psychopatę wygląda na nawiedzzonego, jakby został opętany przez niezwykle wynalazek. U człowieka, który posiekał tylu mężczyzn, kobiet i dzieci, wyglądało to niesamowicie, zwłaszcza w półmroku tego starego domu towarowego.

Larry czuł, iż doszedł do takiego momentu, że jedno słowo może spowodować katastrofę.

–Popłynął do Punta Arenas – mówił cicho Mandrax – a potem przez Cieśninę Magellana i pomiędzy wszystkimi wyspami do przylądka Horn. To przeklęte, ponure, najokropniejsze miejsce na powierzchni całego świata. Jednak stary mieszkaniec Chileno miał rację. Statek popłynął dokoła podstępного przylądka Horn – „Falso Cabo de Hornos” i znaleźli leżący od trzydziestu lat ładunek. Jak okiem sięgnąć, z każdej strony otaczały go szkielety i nadgniłe ciała tysięcy pingwinów.

Mandrax splótł palce i wygiął je do tyłu, aż trzasnęło w stawach.

–Roberts zakotwiczył statek i udało mu się zdobyć skarb cenniejszy niż złoto. Wrócił z nim do wybrzeży Ameryki Południowej. Każdego dnia siedział przy swojej zdobyczy i szeptał do niej, każdej nocy rozwieszał nad nią hamak i śnił o niej, aż gdy dotarł do Golden Gate, wiedział już, jak ją wykorzysta. Zamierzał rozpuścić ją na wszystkich tych twardzieli, dwulicowe gosposie i dobroczyńców, którzy w imię Boga i sprawiedliwości chcieli dla swoich celów zagarnąć wszystko, co ma do zaoferowania San Francisco.

To coś, co Sam Roberts przywiózł z przylądka Horn, pragnęło zemsty na Bogu i boskim dziele. Pragnęło jej tak bardzo, że prawie było słyhać zgrzytanie zębów. To coś pasożytkowało na cudzych życiach.

Larry jednocześnie pocił się i trząsł.

–I ty też to chcesz rozpuścić?

Mandrax wyszczerzył zęby.

–Zemsta ma specyficzny smak. Słodszy niż cokolwiek, co zdołałbyś wymienić.

Spojrzał na zegarek.

–Ale szkoda czasu. Bierzemy Ednę i zabierajmy się stąd.

Już bez słowa poszedł w stronę ciemnego pomieszczenia. Larry niepewnie podążył za nim. Widział tylko ciemność. Dziwił się, że Mandrax potrafi tu coś odróżnić.

–Mandrax? – powiedział. – Jesteś tu?

Długo i boleśnie trwała chwila, gdy myślał, że Mandrax zupełnie zniknął. Było zupełnie ciemno i czuł ten charakterystyczny odrażający zapach wnętrza. Jezu – myślał – a jeśli zostawił mnie tu samego z Edną-Mae? Sięgnął do tyłu po pistolet. Serce mu zamarło, wstrzymał oddech. W pomieszczeniu było tak cicho, że słyszał, jak cząsteczki powietrza bombardują mu bębienki uszne. Na zewnątrz, na korytarzu mgła zaczęła przenikać przez szpary w oknie przypominając parodię filmu o Draculi.

–Mandrax? Edna?

Głos odbił się echem. Wpatrywał się w ciemność, ale była dla niego zbyt gęsta, aby mógł cokolwiek dojrzeć. Gorzej niżby miał czarny worek na głowie.

Już prawie miał wyjść z pokoju, gdy z ciemności wyłonił się rozkołysany biały kształt. Przez ułamek sekundy myślał, że Edna jest sama i był bliski pobicia wszelkich rekordów w zbieganiu ze schodów, ale wtedy pojawił się Mandrax. Uprzejmy uśmiech nie pasował do jego twarzy.

–Jest gotowa. Cóż za piękność!

–Gdzie ją zabierzemy? – cofając się zapytał Larry.

–Zobaczysz, jak dojedziemy. Ty prowadzisz, a ja będę wskazywał kierunek.

Edna kołysała się i zataczała. Pod przykryciem z prześcieradła Larry widział płaską, pomarszczoną twarz z karmazynowymi oczami.

Wróciła mu chęć kropnięcia Mandraxa, tak jak zamierzał na początku. Strzelić mu w łeb i skończyć tę maskaradę z zaświatami i przesadami. Skoro Dan Burroughs szukał Beliala przez prawie dwadzieścia lat i nie znalazł, istniała niewielka szansa, że uda się to właśnie Larry'emu.

Niezwykłe, groteskowe trio zeszło po schodach ewakuacyjnych.

Mgła była tak gęsta, że nie widzieli samochodu Larry'ego po drugiej stronie ulicy. Zardzewiałe stopnie wydawały skrzypiące dźwięki pod ich stopami. Poręcz była zimna i wilgotna. Z Basin, z małego stateczku doleciało wysokie „hu, huuu”, a serce Larry'ego niemal stanęło.

Przeszli przez ulicę. Edna-Mae bosy. Gdy Larry otworzył samochód, rozejrzał się dokoła. Znów miał wrażenie, że jest obserwowany. Dla Edny otworzył tylne drzwi, Mandrax pomógł jej wsiąść. Resory ugięły się pod ciężarem.

–W porządku, jedziemy. – Mandrax usiadł obok Larry'ego i zatrzasnął drzwi. – W stronę Front Street, aż powiem.

Larry włączył światła i zawrócił samochód.

Spoglądając w lusterko Larry widział z tyłu białą bezkształtną masę. Dzięki odkręconej do oporu wentylacji odór był teraz mniejszy, ale i tak czuło się w samochodzie smród.

–Tylko jedź naturalnie i spokojnie, zatrzymuj się na czerwonych światłach – powiedział Mandrax. Jak na kogoś, kto nie był uzbrojony, zachowywał się bardzo swobodnie, zwłaszcza że z własnej woli przyznał się uzbrojonemu oficerowi policji do

sześciu zbiorowych morderstw. No, może zawieszonemu w czynnościach uzbrojonemu oficerowi policji. A jak lepiej mógłby Larry zmazać hańbę zawieszenia niż przyprowadzając Szatana z Mgły w pojedynkę?

Musiałby jedynie zignorować Beliala, którego można by uznać za złudzenie.

Jednak jechał po Front Street, bo na własne oczy widział drugą stronę i wiedział, że jest prawdziwa, więc Belial też może być prawdziwy.

–Zastanawiasz się, dlaczego cię z sobą zabieram? Myślisz sobie, że ten facet to psychopata. On jest mordercą, a ja gliniarzem. Co on odstawia? Chce mi wyjawić swoją najskrytszą tajemnicę. Chce mi pokazać wszystko, z czym borykał się dłużej, niż mogę sobie wyobrazić. Muszę tylko go aresztować. Beli Ya’ala też. I zostanę bohaterem.

–Owszem. – Larry przełknął ślinę. – Przeszło mi przez myśl coś takiego.

–A pewnie. No bo czemu nie? Rzecz w tym, że nie aresztujesz Beliala, bo nie jest on stworzeniem, które można aresztować. A mnie nie aresztujesz, bo ty, mój przyjacielu, jesteś Larry Foggia, syn Maria Foggii, i masz naznaczoną dłoń. Przed wieloma laty twój ojciec wymówił parę razy „czary-mary”, a w zamian za to twój wujek Sylwester dostał wylewu krwi do mózgu, gdy jechał do pracy, i zostawił twojemu ojcu w spadku trzy czwarte miliona dolarów, których tak pilnie potrzebował. Twój ojciec obiecał, że zawsze będziesz na rozkazy Beliala, twój syn także i jego syn, i tak dalej, przez tysiąc pokoleń, dopóki znak pozostaje na dłoni.

Larry poczuł mrowienie w karku, lecz mimo to powiedział:

–Nie jestem na niczyje rozkazy. Co więcej, nigdy nie będę.

–Cóż, to się z pewnością okaże. – Mandrax strząsnął pyłek z buta. – Zwolnij trochę.

–Można przeprowadzić egzorcyzmy nad moją dłonią – rzekł Larry.

–Tak? – Mandrax popatrzył na niego z zainteresowaniem.

–Znam parę osób, które się zajmują takimi rzeczami.

–Coś ci poradzę, Larry: nie rób tego. Nieliczni, którzy tego kiedyś próbowali, już nie żyją.

–Wilbert Fraser wspominał kiedyś o dziewczynie. Wyleciała jej z dłoni ektoplazma, a potem buchnęła ogniem.

Mandrax zmarszczył brwi w zamyśleniu i zaraz się roześmiał.

–Aaa. Shetland Piper. Jasne. Pamiętam. Wiesz, co się z nią stało?

–Na pewno mi powiesz.

–Ręka nigdy jej się nie zagoiła. Oparzenie nie chciało zejść, a w końcu wdała się gangrena i obcięli jej rękę przy łokciu. Ale i wtedy nie wyzdrowiała, bo lekarze nie mogli zrozumieć, skąd wzięło się rozcięcie od samej głowy aż po rękę. Próbowali odjąć jej całe ramię, ale wtedy nagle eksplodowała. Słyszałeś o spontanicznym wybuchu? To jej się właśnie przytrafiło. Dwóm pielęgniarkom poparzyło twarze, a stół operacyjny osiągnął podobno dwieście stopni Celsjusza.

–Sporo wiesz – zauważył Larry.

–Jasne – rzekł Mandrax z błyskiem w oku. – Długo w tym wszystkim siedziałem.

Larry jechał teraz przez Walton Park. Reflektory rozświetlały mgłę. Pederasći

wyglądali w niej jak duchy. Na tylnym siedzeniu Edna wydawała z siebie bulgocące dźwięki. Larry był pewien, że słyszy, jak po skórze spływa na fotel jej tłuszcz.

–A kto mnie powstrzyma od wyciągnięcia pistoletu i strzelenia ci w łeb? – zapytał. Mandrax spojrzał prawie urażony.

–Wyciągnąłbyś pistolet i strzelił mi w łeb?

–To kolejna rzecz, która przyszła mi na myśl.

–Cóż... Jasne, że nic cię nie powstrzyma. Ale nie radziłbym.

–A to czemu?

–Nie widzisz we mnie nic swojskiego? – zapytał Mandrax.

Larry zmierzył go wzrokiem.

–Nie.

–Wilbert Fraser nic ci o mnie nie mówił? Że spłonąłem?

–Tak, wspominał coś.

–Miał rację. Spłonąłem. Ja i reszta Czarnego Bractwa. Przez wiele lat nie wiedziałem, że to dzięki Wilbertowi i George'owi Menzelowi. Powstrzymali nas od wywołania Beliala na kilka dni przed sukcesem. Może to z naszej winy? Za bardzo się chwaliliśmy. Chcieliśmy być silni, zawładnąć całym miastem. Powiem ci jedno: ryszutki miały spływać krwią.

W każdym razie nas spalili. Oprócz mnie wszyscy umarli. Z Lepera został kawałek węgla. Strażacy próbowali go podnieść i poparzyli sobie ręce. Mnie udało się uciec przez okno. Nie wiem, jak to było, ale płonąłem cały od stóp po włosy i gdyby mnie ktoś nie przykrył kocem, też bym nie przeżył. Pół roku mi zeszło na rekonwalescencji, a i tak wyglądałem jak kawałek mięsa.

–Teraz wyglądasz nieźle.

–Oczywiście. Bo znalazłem ciebie. Musiałem znaleźć kogoś z naznaczoną dłonią. Kogoś, od kogo mógłbym zabrać ektoplazmę. A tu proszę, ty! Jak w podarunku. Wziąłem tyle, ile mi było trzeba, a ptak twojej matki był tak dobry, że mi ją dostarczył. Nie poznajesz mnie? Spójrz mi w oczy, spójrz na profil. Patrzysz na siebie, Larry. – Ścisnął palcami policzek. – Twoja ektoplazma, moja twarz! Pod spodem jestem poparzony, ale dzięki tobie, bracie krwi, mogę spokojnie chodzić po ulicy.

–Chcesz powiedzieć, że ta pieprzona papuga ukradła część mnie i przyniosła tobie?

Mandrax wyszczerzył zęby.

–Mam sposób na ptaki, Larry. Wiele czasu spędziłem z nimi w więzieniu. Poznałem ptasznika z Alcatraz. Nauczył mnie wielu rzeczy. Jak je karmić, rozmnażać, przywoływać.

–A co by się stało, gdybym cię zastrzelił? – zapytał zaniepokojony Larry.

–To samo co z pielęgniarką. „Niezwykła śmierć w szpitalu SFG”. Strzelisz do mnie, a zmiecie twój twarz. Chcesz spróbować?

Larry wziął głęboki oddech. Matko Boska, co by było, gdyby zrobił to, co pierwotnie zamierzał, i zastrzelił Mandraxa zaraz po otworzeniu drzwi. Rozwaliłby sobie policzek. Trudno było pamiętać, że rzeczy nadprzyrodzone nie podlegają prawom fizyki ani logiki.

Dojechali do skrzyżowania Front i Green.

–Skręć w prawo – powiedział Mandrax. – Za jakieś dwadzieścia metrów po prawej stronie jest wjazd z napisem GARAGE PARKING. Wjedź tam i zatrzymaj się.

Edna zaczęła wydawać inne, przypominające ssanie, dźwięki. Larry poczekał na światła i skręcił w prawo. Pragnął, żeby serce przestało mu tak cholernie głośno walić. Zobaczył wąski wjazd z zielonym napisem GARAGE PARKING, ale zastawiony przez pickupa. Larry nacisnął klakson i popatrzył zagniewany na Mandraxa. Chociaż kierowca pickupa siedział w środku i palił papierosa, nie miał zamiaru odjeżdżać.

Larry jeszcze raz zatrąbił, ale pickup stał wciąż w tym samym miejscu.

–Chyba muszę pogadać z nim jak policjant – powiedział.

Mandrax mrugnął oczami.

–No idź.

Larry wysiadł z samochodu i podszedł do otwartego okienka pickupa. Kierowca był potężnym, dawno nie golonym młodym mężczyzną w czerwonej baseballowej czapeczce. Miał kręcone blond włosy i wygląd człowieka, który stosunek do życia okazuje wyprostowanym palcem środkowym.

–Ej, chciałem tu wjechać – powiedział Larry.

Mężczyzna pociągnął nosem.

–Jak dla mnie to nie ma sprawy.

–Problem w tym, że zaparkowałeś przed wjazdem i nie mogę.

Znów pociągnął nosem.

–Wygląda na to, że będziesz musiał poczekać.

Larry pomyślał chwilę.

–Chcesz zarobić trochę forsy?

Mężczyzna po raz pierwszy spojrział na niego.

–Zależy ile.

–Mam w dłoni pięćdziesiąt dolarów, położę ci rękę na szybie i wrzucę forszę do kabiny. Masz za to pojechać do najbliższego telefonu i zadzwonić na policję. Poprosisz faceta, który się nazywa Houston Brough i pracuje w dziale zabójstw. Powiedz mu, gdzie jestem i że mam ze sobą naszego ptaszka. To wszystko.

Mężczyzna wyglądał na zdezorientowanego.

–Dlaczego sam nie zadzwonisz?

–Bo jestem z kryminalistą, który nie może wiedzieć, że dzwonię po posiłki.

Widzisz tego faceta w moim samochodzie? To Szatan z Mgły.

–Pierdolisz.

–Jeśli nawet, to nie za darmo – powiedział Larry i wrzucił za okno pickupa pięćdziesiąt dolarów. – Pamiętaj... rozmawiaj z Houstonem Broughiem. Powiedz mu, że jest tu nasz ptaszek, to wszystko.

Młody człowiek włączył silnik i odjechał zostawiając Larry'ego na ulicy. Larry wrócił i wsiadł do samochodu.

–Grzecznie to załatwiłeś – pochwalił Mandrax.

Wjechali do garażu. Samochód podskoczył na progu, gdy dotarli do pierwszego poziomu. Na każdym stanowisku paliła się słaba lampka. Garaż wyglądał na stary,

wilgotny i mało używany. Na ścianach rozkładały się wielkie inkrustacje z soli i minerałów, a na filarach ze śliskich zielonych glonów.

–Zjedź poziom niżej – powiedział Mandrax. – Będziesz musiał usunąć barierkę.

Larry znów wysiadł z samochodu i odrzucił na bok zardzewiałą metalową blachę z napisem: NIE WCHODZIĆ. ROBOTY BUDOWLANE.

Przejechali na drugi poziom. Tam było zupełnie ciemno. Larry włączył wszystkie światła w samochodzie. Oświetliły podziemny świat skorodowanych i porzuconych samochodów. Stary cadillac z 59 roku leżał jak martwy wieloryb. Niebieski kaiser z 49 roku, dawniej radość i duma rodziny, teraz zniszczony przez czas i wilgoć ledwie stał z zaparowanymi szybami. Brązowy hudson z zerwanym dachem i wiele innych wraków, których Larry nie potrafił zidentyfikować – wszystko tam wyglądało jak sterty mokrych odpadów albo góry szlamu na dziwnych drewnianych konstrukcjach, gdzie spod wilgotnej czerni sterczały rdzawo-czerwone przedmioty. Pokryte rosą cmentarzysko samochodów.

–Jeszcze niżej – powiedział Mandrax.

Zjeżdżając krętą spiralą, Larry o mało nie wypadł z trasy. Ściany pokryte były wodą i zaschniętą solą. Starał się jechać najuważniej, jak potrafił, ale ze zmęczenia zbyt ostro naciskał na pedał gazu. Spirala zakręcała i zakręcała i zdawała się nie kończyć. Larry’ego zaczynały boleć ręce od ciągłego trzymania kierownicy odkręconej na prawo. W końcu jednak dojechał do najniższego poziomu, gdzie rozlegało się echo kapiącej wody.

Trzeci, najniższy poziom był jakieś pięć do siedmiu centymetrów całkowicie zalany wodą. Larry powoli jechał naprzód, woda pluskała o podwozie samochodu. Przed nimi tworzyły się fale, docierały do leżącej w oddali ściany i wracały z powrotem.

–Dobra – rzekł Mandrax. – Możesz zgasić silnik.

Larry wyłączył silnik i rozejrzał się. Było zimno, a echo potęgowało nie kończące się zawodzenia chórów kapiących kropel.

–Co teraz? – zapytał ze ściśniętym gardłem.

–Teraz wysiądziemy z samochodu.

–Tu ukrywa się Belial?

–Larry – teraz wysiądziemy z samochodu. Tylko uważaj na węgorze.

–Węgorze?

Wysiedli i stanęli w tłustej zimnej wodzie. Larry od razu poczuł, że mu się wlewa do butów. Mandrax pomógł wysiąść Ednie, a Larry usłyszał jej mamrotanie, gdy stanęła w wodzie. Brodzili przez parking po kostki w wodzie i Larry zrozumiał ostrzeżenia Mandraxa. W mętnej wodzie roilo się od czarnych, tłustych, przypominających żmije węgorzy, które owijały się wokół kostek.

W świetle samochodowych reflektorów doszli do ściany, gdzie leżała sterta poniszczonych mebli, mokrych i brudnych od szlamu. Mandrax odsunął starą rozmokłą sofę, a za nią Larry zobaczył niski tunel obudowany cegłą. Mandrax sprawdzał coś dłońmi, aż znalazł, czego szukał – latarkę.

Zmusił Ednę-Mae, żeby schyliła głowę, i kazał jej wejść do środka.

–Teraz ty – powiedział do Larry’ego. – I pamiętaj, co mówiłem o twarzy.

Larry schylił się i zginając plecy podążył za Edną. W kilku miejscach było tak wąsko, że uderzał dłońmi i łokciami w ścianę. Woda głośno chlupotała wokół stóp.

–Pamiętasz, co ci mówiłem o ładunku, który Sam Roberts przywiózł z przylądka Horn? – zapytał Mandrax, gdy brnęli naprzód.

–Tak – odrzekł Larry. Zapach szlamu, stęchłej wody i Edny przyprawiał go o mdłości. Węgorze cały czas wiły mu się między stopami.

–Zakotwiczył statek w Law’s Wharf i postanowił zrobić coś, co trzeba, aby wywołać Beli Ya’ala. Postarał się o siedem ofiar... według hebrajskiej legendy siedem ofiar uwolni Beliala. Pod pretekstem, że na łodzi zostaną aresztowani, zamknął całą swoją załogę pod pokładem. Drugiej nocy pozwolił wyjść czterem członkom załogi i złożył ich w ofierze.

Ludzkie istoty są naturalnymi wrogami Beli Ya’ala, bo zostały zamiast niego ukochane przez Boga. Zanim się uwolni ze swych łańcuchów, musi wiedzieć, że jego wrogowie zostali pozbawieni wszystkich boskich darów. Nie powinni chodzić, więc trzeba im odciąć w ofierze nogi. Nie powinni mówić, więc odciąć im języki. Nie powinni z nim walczyć – więc odciąć im w ofierze ręce. Nie powinni słyszeć – zatkać im uszy. Nie powinni widzieć – oślepić ich. Powinni zostać przybici, jak Jezus został przybity do krzyża, i ich dzieci powinny być na ich oczach torturowane, tak by stracili daną im miłość do Boga i życia i z własnej woli chcieli je skończyć. Własna wola.

Larry boleśnie uderzył się głową o niskie sklepienie. Pomyślał o Berrych – o Joem, Ninie, Karolinie i Joem Juniorze, o ich krzywdzie.

–Było sześć ofiar – powiedział. – Co z siódmą?

–Ha! Siódma będzie Pierwszą Wieczerzą, pierwszym pożywieniem z całej istoty ludzkiej, nie tylko z ducha czy duszy, nie tylko z samej esencji, ale także z ciała i umysłu. Pozwól, że ci powiem, przyjacielu, że gdy zje cię Beli Ya’al, zje cię w całości, nie ma szans, żebyś poszedł do nieba. Po prostu przeminąłeś. Znalazłeś się w pustce, gdzie cała twa dusza będzie trawiona przez wieki. Tak jak cała istota będzie stopniowo rozkładana przez psychiczny ekwiwalent kwasu żołądkowego. Nie, dla ofiar Beli Ya’ala niebo nie istnieje, wierz mi. Skoro on nie może iść do nieba, to nie pójdzie też jakaś byle ludzka istota. Co o tym sądzisz?

Po dwudziestu, trzydziestu metrach wąski tunel rozszerzył się i mogli stanąć wygodnie. Mandrax świecił latarką na prawo i lewo, więc Larry zorientował się, że są w dużej komnacie o nierównych ścianach wyłożonych belami czarnego drewna. Spojrzał na sufit i zobaczył, że też jest pokryty drewnem. I choć na podłodze było z dziesięć centymetrów pełnej węgorzy wody, czuł w powietrzu zapach rozkładających się desek.

–Co to jest? – zapytał Mandraxa. – Wygląda na jakiś stary skład drewna.

Mandrax z dumą podszedł do ściany i poklepał starą belkę.

–Co do drewna, zgoda. Ale to nie żaden skład. Jeśli nigdy nie byłeś w takim miejscu, to nie możesz wiedzieć, co to jest. To dolna ładownia trójmasztowca „Cabo Carranza”.

Stąd, gdzie stoimy, jest kawałek drogi do zatoki. Ale gdy statek dokował tu w tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku, było to Law's Wharf. Kilka lat później Law's Wharf, także inne nadbrzeża – Cunningham, Bucklew, Cowell, spłonęły w pożarze. Jednak wtedy było to Law's Wharf i „Cabo Carranza” został tu przycumowany.

Edna-Mae stała na swoim miejscu i otulała się prześcieradłem. Larry rozglądał się, badał kadłub statku, którym Sam Roberts powrócił z przylądka Horn.

–Czy to nie cud? – Oczy Mandraxa błyszczały w ciemności. – Wtedy to robili statki.

–Jak to się stało?

Mandrax parsknął śmiechem.

–Jak to się stało! Lepiej zapytaj, jak to się nie stało! Trochę dzięki rytuałom... Kiedy pokład był pełen krwi, flaków i powyrywanych rąk, jednemu z załogi udało się wydostać z ładowni i opuścić po linie na wybrzeże. Nawet nie próbował szukać pomocy u wymiaru sprawiedliwości. Poszedł prosto do miasteczka Chileno, gdzie straszniejszy od szatana porucznik Sam Roberts czynił ostatnie ofiary, by zbudzić Beliala.

Beli Ya'al zaczynał już powstawać. Rozlegały się pioruny, zaczęły się lekkie wstrząsy ziemi! Ale ten uciekinier nie uzyskawszy wsparcia w mieście, wspiął się do doku, dostał na statek, uwolnił resztę załogi i przedziurawił dno okrętu, tak że zatonał tam, gdzie cumował. To, co pozostało po statku, spłonęło. Niektórzy świadkowie twierdzili nawet, że Sam Roberts też spłonął, inni, że widzieli, jak skoczył do zatoki.

W każdym razie nadbrzeża zostały zniszczone przez ogień i pochłonięte przez zatokę, tak samo zresztą jak część „Cabo Carranza”.

–Nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył na własne oczy – powiedział Larry.

–To cud – powtórzył Mandrax.

Larry z rękami w kieszeniach przeszedł się dokoła brodząc w wodzie. Mandrax przyświecał mu latarką. Larry wiedział już, o co chce jeszcze zapytać, ale gdyby zapytał, przyznałby, że we wszystko wierzy.

Czy ośmieli się mu uwierzyć? Czuł dziwne wiercenie w brzuchu. Poczucie własnej śmiertelności, ulotności swojego życia. Nie był pewien, czy jest gotów stanąć twarzą w twarz z kimś takim.

–O co chodzi? – zapytał w końcu Mandrax.

Larry zatrzymał się. Woda przestała chlupotać.

–Ty jesteś Sam Roberts, prawda?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie był pewien, czy Mandrax nie odpowiedział dlatego, że nie widział potrzeby, czy dlatego, że był to zbyt śmieszny pomysł. Spojrzał na Larry'ego swymi błyszczącymi oczami i powiedział:

–Chodźmy.

Larry zawahał się i poszedł. Edna w powiewającym prześcieradle także. Z jakiegoś powodu czuł, że Mandrax nie mógł powiedzieć: „tak”. Napędziłoby to Larry'emu jeszcze większego strachu. Gdyby Mandrax potwierdził, mógłby zupełnie przestać funkcjonować. Nogi odmówiłyby mu posłuszeństwa i nie zrobiłby ani kroku więcej.

Przeszli całą długość ładowni i dotarli do wyjścia. Dawniej były w nim drewniane drzwi, ale teraz zostały tylko resztki. Gdy weszli dalej, Larry zobaczył sporą jaskinię oświetloną słabym pomarańczowym blaskiem.

–Teraz możesz spotkać kilku starych przyjaciół – powiedział Mandrax. Poświecił latarką na powierzchnię posypaną żwirem i Larry z ulgą wyszedł z pełnej węgorzy wody na kamieniste podłoże.

To co zobaczył na własne oczy, tak go zaskoczyło, że jego pierwszą reakcją było odwrócić się do Mandraxa i spytać, czy to wszystko jest sprytnym psikusem, zorganizowanym przez jakiegoś rzutkiego żartownisia z policji, żeby mu odpłacić za „paranaturalny” artykuł w gazecie.

Jednak od razu zdał sobie sprawę, że to wcale nie żart. Stał twarzą w twarz z konsekwencjami swojej wiary w zaświaty.

To pomieszczenie też było komnatą z drewnianymi ścianami – prawdopodobnie mesą. Część ścian przegniła i ziemia spadała na podłoże. Na drugim końcu komnaty stała puszka ukuta z ołowiu albo jakiegoś szarego stopu. Była dwa razy większa od normalnej ludzkiej trumny, ale bez wątplenia była to trumna. Na wieku widniała płaskorzeźba bestii z rogami jelenia. Boki trumny zdobiły litery przypominające bardziej sumeryjskie niż hebrajskie pismo.

Obok trumny, na odwróconej skrzynce po pomarańczach, stała lampka oliwna, więc na wieku majaczyły cienie i jakby ożywiały rzeźbioną twarz. Przez chwilę Larry był przekonany, że widzi, jak podnosi się i opada klatka piersiowa.

U dołu trumny, na gołych kamieniach, z wystającymi żebrami i wybałuszonymi oczami krótkowidza, klęczał Dogmeat. Na plecach miał czerwone pręgi jak po chłóście. Podbródek pokrywała zaschnięta krew.

–Na miłość boską, Dogmeat! – powiedział Larry.

Dogmeat milczał. Odkasznął tylko krwią.

–Tego już za wiele – powiedział Larry do Mandraxa. – Przebrała się miarka. Dość.

Mandrax podszedł do Dogmeata, złapał go za włosy i pociągnął głowę do tyłu... Dogmeat krzyknął, lecz Mandrax to zignorował i z wilczą zaciętością na twarzy popatrzył na Larry'ego.

–Twoja miarka, Larry. A ona jest naprawdę ruchoma. Tyle ci powiem... Ten gnojek przez całe lata mnie zdradzał. A dziś wieczorem miał mnie wytknąć palcem. Chociaż wiedział, że Czarne Bractwo zawsze się mści. No i dzisiaj wszystko się skończy. Ten chudzielec pójdzie na pożywienie dla Beli Ja'ala.

–Jak go, do diabła, złapałeś? – zapytał Larry. – I skąd się tutaj wziął?

–On nie jest sam – doleciał z cienia znajomy głos. – Ma zaufanych przyjaciół, dzięki którym jest pewien, że każdy, kto go zdradzi, nie ujdzie sprawiedliwości.

Z mroku, ubrany w swój zielony prochowiec, wyszedł Arne Knudsen. Stał w świetle mrugającej lampki i z takim samym zadowoleniem z siebie, jak Mandrax, uśmiechnął się do Larry'ego.

–Arne? – zapytał Larry. Czuł, jak cała krew uderzyła mu do głowy.

–Cześć, Larry! – powiedział Arne. – No, w końcu rozwiązałeś tę zagadkę. Prowadziłeś śledztwo dość okrężną drogą. Rozmowy z medium! Wywoływanie duchów! – Postukał się w czoło. – Powinieneś działać jak ja: logicznie i analitycznie.

–Ty też rozwiązałeś tę sprawę? Znalazłeś tego maniaka, zanim ja rozpocząłem dochodzenie?

–To cię nie powinno zaskoczyć. – Skinął głową. – Było oczywiste, że Szatan z Mgły odprawia jakiś rytuał, a ja musiałem dowiedzieć się jaki. Gdybyś zadał sobie trud i wypożyczył z biblioteki „Składanie ofiar i prymitywne rytuały”, zaoszczędziłbyś sobie zachodu. Tam jest wszystko. Belial, Pan Kłamstwa, Pierwszy Upadły Anioł. Jego ciało znaleziono w Ur, gdy Babilończycy budowali swoje wielkie zigguraty. Było złożone w tej trumnie i pochowane w górskiej jaskini, aż w tysiąc osiemset trzydziestym siódmym roku odkrył je Richard Wasey, brytyjski archeolog.

Przypuszczano, że zaginął w Zatoce Biskajskiej, gdy Wasey przewoził trumnę statkiem do Anglii. Ale niewykluczone, że było inaczej. Chociaż w jaki sposób jedenaście lat później trumna znalazła się na statku przy przylądku Horn, nie wie nikt.

W każdym razie jest prawdziwa. I wszystko, co ci opowiadał Mandrax, jest prawdą. Wieczorem byłem w domu towarowym. Biedny Dogmeat wpadł prosto w moje ramiona, prawda, Dogmeat?

Larry powoli, bardzo powoli pokręcił głową.

–Rozwiązałeś sprawę? Znalazłeś Mandraxa i zachowałeś to w tajemnicy?

–Obawiam się, że tak. Pierwsze podejrzenia miałem po zabójstwie McGuirów. Masakra Ramirezów upewniła mnie. Ktoś próbował wskrzesić Beliala. Zapytałem ten nowy komputer o praktyki okultystyczne w San Francisco i sprawdziłem dane o wszystkich podobnych zabójstwach. Niewiele czasu zajęło przejrzanie kartotek i znalezienie pana Mandraxa.

–Zidentyfikowałeś go, zanim zabił Berrych?

Wydawało się, że Arne się zmieszał.

–Bardzo mi przykro, że to właśnie rodzina Berrych, wierz mi.

–Przykro ci? Jezu, Arne, przecież mogłeś im uratować życie!

Arne spacerował wzdłuż trumny i spoglądał na bestię z rogami jelenia.

–Muszę ci to powiedzieć, Larry. Gdy chodzi o coś ważniejszego, życie ludzkie może wydawać się nie takie istotne. Mieliśmy na przykład wojnę, rewolucję. Jeśli kilku z nas nie polegnie w ofierze, ludzkość nigdy nie ruszy naprzód.

–Wypuściłeś tego szaleńca na Berrych?! – wrzasnął na niego Larry. – Przybił ich do choleryjnej podłogi, Arne! Podpalił ich dzieci! Masz pojęcie, jak musieli cierpieć?

–Tak – powiedział Arne z okrutną prostotą.

–I możesz sobie spojrzeć w twarz?

–Tak. Z tego powodu. Z powodu Beliala.

–Nie wierzę w to, co słyszę. Te teczki, które mi dałeś... tam była tylko połowa prawdy, tak? Usunąłeś wszystko, co mogłoby przyśpieszyć odnalezienie śladu Mandraxa?

–Oczywiście. Nie chciałem, żebyś za szybko znalazł Beliala. Mamy jeszcze do zebrania trochę życiodajnej substancji, żeby wzmocnić Beliala. Edna-Mae, twoja matka, wszystkiego ponad setka. Większość ciał jest tutaj.

Larry zbliżył się do trumny. Panowała wokół niej straszliwa aura. Chłodniejsza nawet niż w stworzonych przez człowieka katakumbach. Czuł, jak zaciskają mu się zęby i świerzbi go skóra.

–Czujesz to? – szepnął Arne. – To moc dla ciebie, Larry. To nowe życie.

–Po co to wszystko, Arne?

Wciąż podziwiając metalową bestię Arne uśmiechnął się.

–Żeby mieć życie, o jakim taki facet jak ty i ja może tylko pomarzyć. Prawdziwy majątek, prawdziwe wpływy. Pomyśl o kobietach! Belial pragnie tysiąca tysięcy istnień, nic więcej. Milion straconych żywotów. Pół miliona już umiera w San Francisco na AIDS, od narkotyków i Bóg wie z jakich jeszcze powodów. Co to jest milion istnień?

Larry spojrzał na Mandraxa. Przy trumnie wił się i trząsał Dogmeat, zaczynał szcząkać zębami.

–Co Belial obiecał ci jeszcze oprócz majątku, władzy i tylu kobiet, że nie zdołasz ich przelecieć?

Mandrax nic nie mówił, tylko się lekko uśmiechał.

–Długie życie? – zapytał Larry Arnego nie spuszczając oczu z Mandraxa. – Długie, długie, bardzo długie życie?

–Larry, nikt nie chce umierać – powiedział Arne starając się, żeby zabrzmiało to rozsądnie.

–A co z tym milionem ludzi, który chcesz oddać potworowi na pożarcie? A Joe i Nina Berry? Myślisz, że chcieli umierać? Myślisz, że ich dzieci chciały umierać?

–Daj spokój, Larry. To kwestia podejścia.

Larry potarł sobie szyję.

–Więc znalazłeś Mandraxa, znalazłeś Beliala i oddałeś śledztwo?

–Nie, nie. – Arne pokręcił głową. – Nie oddałem. Staralem się tylko, żeby Dan Burroughs odniósł wrażenie, że jestem zbyt powolny i drobiazgowy, żeby zaczął się niecierpliwić i wykopał mnie. Zacząłem zauważać, że Dan wie więcej o Szatanie z Mgły, niż to okazuje. Ciągle mnie wypytywał, czy mam coś nowego. Zanim znalazłem Mandraxa, doszedłem do wniosku, że jest nieznośny. Teraz już wiem, że desperacko szukał Beliala, zanim jeszcze Szatan z Mgły zdobył się na to, żeby go przywrócić do życia. Dan pragnął siły i majątku. I muszę przyznać, że podzielam jego dążenia.

–A ja?

–O, Dan uważa, że jesteś wspaniały. Wiedział, że rozgryziesz tę sprawę, i wiedział,

że zrobisz to szybko. I wie, że jeszcze nie dałeś za wygraną. Ale nie mógł się przyznać przed opinią publiczną, że wierzy w zaświaty. To by zaszkodziło jego karierze.

–Po co mi to mówisz? – zapytał Larry. – Skoro uważasz mnie za takiego prawego gliniarza, po co pokazujesz mi, gdzie jest Belial? I po co przyznajesz się do winy, tak samo jak Mandrax? Wiecie, co wam powiem? Jesteście aresztowani za morderstwo pierwszego stopnia, za napad z bronią w rękę, za porwanie i co tam jeszcze sobie wymyślicie.

Zanim skończył – wszystko dokoła zadrżało, a „Cabo Carranza” aż zatrzeszczał i przechylił się.

–Wstrząsy – uśmiechnął się Mandrax. – Gdy przyjdzie czas, staną się silniejsze. Arne także się uśmiechnął.

–Daj sobie spokój z aresztowaniem, Larry. Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego Dan wybrał cię do tej sprawy. Jesteś synem Maria Foggii. Masz naznaczoną dłoń, a to znaczy, że już jesteś na rozkazach Beliala. Staruszek ci to załatwił i nic nie poradzisz. Dan wiedział, że można na ciebie liczyć, jeśli chodzi o złapanie Beliala i zrozumienie, o co w tym wszystkim chodzi.

Larry spojrział na wizerunek bestii zdobiący wieko trumny. Nie miał wątpliwości – czuł na sobie silne oddziaływanie ze środka. Oddziaływanie bardziej ekscytujące niż zło. Przypominało mu poślizg na mokrej szosie przy nadmiernej prędkości albo zachwianie równowagi na nartach przy zjeździe ze stromego zbocza. Jeśli ma się we władaniu anielską siłę... można być, kim się chce. Można robić, co się zapragnie.

Tylko jest za to jedna okrutna cena. Muszą umrzeć inni. Niektórzy już umarli. Zbliżające się zmartwychwstanie Beliala uda się jedynie za cenę niewyobrażalnego bólu i cierpienia.

Ojciec mógł się sprzedać Belialowi za pomoc, ale w końcu poszedł do Dana i powiedział: „nie”. Jeśli ojciec przeciwstawił się Belialowi i jego poplecznikom, Larry mógł zrobić to samo. Poza tym kochał Lindę, kochał chłopców, nie narzekał na pracę... co upadły anioł mógłby mu dać, czego jeszcze nie ma?

I właśnie dlatego coś zaświtało mu w głowie. Czyjś wizerunek, ale na pół uświadomiony. Tańcząca dziewczyna w szkarłatnej sukience. Nie widział twarzy, jedynie szkarłatną sukienkę i czarne jak noc kręcone włosy.

To Marietta z liceum. Marietta – jego pierwsza prawdziwa miłość. Mógł jej prawie dotknąć. Jednak zamigotała i zniknęła. Widział już tylko wyrzeźbioną na trumnie bestię.

Zna mnie, pomyślał, i strach go przeszył do szpiku kości. Wie, kim jestem, wie, czego pragnę. Nie nęci mnie pieniędzmi, nie oferuje awansu. Wie, że kocham swoją rodzinę. Proponuje mi...

Tak jasno i wyraźnie jak dawniej zobaczył swoją matkę. Z siwymi włosami, elegancką, uśmiechniętą.

Dlaczego nie odwiedzasz mnie częściej, dlaczego chcesz mi złamać serce?

Bezwolnie podniósł rękę. Mama? Przecież ty nie żyjesz? Widziałem, jak cię wysysał z ciebie całą energię. Widziałem, jak przejechała cię ciężarówka.

Dlaczego nie przychodzisz częściej, Larry? Jesteś mój malutki frittata, prawda?

–Mamo – szepnął, mimo że nie istniała naprawdę. – Słyszę cię, mammo.

Jest tu jeszcze ktoś, Larry. Jeszcze ktoś chce cię zobaczyć.

Larry przygotował się, przycisnął palce do czoła i spróbował się skoncentrować. Jednak przed oczyma jego duszy matka była tak wyraźnie widoczna jak baletnica w świetle reflektora i wcale nie chciała zniknąć.

Mówiła prawdę. Ktoś tu jeszcze był. Ktoś stał w ciemnym zakątku jego świadomości. Ktoś, kto miał potężny wpływ na jego życie.

Nie śmiał sobie wyobrazić, kto to może być. Zaczął się trząść, wydał z siebie westchnienie. Nie mógł się powstrzymać – nie miało znaczenia, jak głupio musi wyglądać w oczach Arnego i Mandraxa. Bez wątpienia wiedział, kto jest tą postacią z cienia, ale nie mógł zmusić umysłu do zaakceptowania tego.

Czy Belial, upadły anioł, naprawdę chce mu to oferować? Znowu żywą matkę – zupełnie taką samą jak tego mglistego dnia, gdy ją odwiedził, by porozmawiać o zaświatach. I nie tylko matkę – także tę spokojną postać w płaszczu i kapeluszu, z twarzą bladą jak śmierć, wypomadowanym wąsikiem i uśmiechniętymi oczami.

Z cieknącą na ręcznie szyte ubranie wodą z zatoki.

OJCIEC.

Postać skinęła głową.

–Ojciec? – szepnął Larry, a serce mu zamarło.

Dobry z ciebie chłopak, Larry. Nigdy cię za takiego nie miałem, ale udowodniłeś, że się myliłem.

–Ojczy, to naprawdę ty?

Nie poznajesz swojego starego?

–Mógłbym cię odzyskać?

A chcesz mnie odzyskać po tym wszystkim?

–Ojczy, ja...

Chciałbyś mnie odzyskać, Larry? Mnie i matkę? I żeby było jak dawniej?

Mógłbym poznać twoich chłopców, Larry. Opowiadać im bajki. Moglibyśmy całe wieczory zawierać przyjaźń przy piwie i czymś mocniejszym.

–Tato, to szaleństwo, to się nigdy nie spełni.

Postać ojca zamajaczyła i zniknęła. Larry odwrócił się do swojej matki, ale gdy się odwrócił, wcale nie było matki, tylko Arne.

Arne uśmiechał się i kiwał głową.

–Widziałeś obraz?

–Tak – rzekł Larry cichym głosem. Wciąż się trząsał. Nie mógł się uspokoić. –
Widziałem.

Belial przywołał jego matkę i ojca i chce mu ich wrócić. Musiał poczuć, że Larry'emu nie zależy na samochodach, kobietach ani karierze. Larry kochał rodzinę. I dlatego Belial kusił go ni mniej, ni więcej tylko utraconą rodziną. Larry'emu robiło się niedobrze, niewiele brakowało, by zwymiotował.

Kłamstwo. Wszystko to kłamstwo. Gra światła, gra umysłu. Jednak jednocześnie poczuł falę straszliwej tęsknoty za ojcem i matką. Mógł znów mieć ich razem spacerujących nad zatoką i opowiadać im, jak bardzo ich kocha, ponieważ to oni dali mu życie, a więc pośrednio także Frankiemu i Mikeyowi.

Jednak nawet jeśli Belial mógłby przywrócić rodziców do życia, ile to wszystko warte? Czy jego samolubne uczucia rodzinne warte są milionów żywotów? Joego Berry, Niny Berry, Edny-Mae Lickerman i tysiocy, tysiocy innych?

Przyszło mu na myśl jeszcze coś. Belial jest Panem Kłamstwa, Królem Fałszu. Wszystko, co mówi, jest kłamstwem. Wszystko. Jeśli chciał, żeby Larry uwierzył, nie powinien nic obiecywać, żadnych cudów, żadnych wskrzeszeń, żadnych odnowień rodziny. Wtedy być może Larry byłby gotów uwierzyć, że dostanie to, czego pragnie.

Wydawało mu się dziwne, że Arne i Mandrax wierzą Belialowi, chociaż wiedzą, że jest kłamcą. Wierzyli mu, bo chcieli wierzyć, bo obiecał im to, czego tak bardzo pragnęli. Ich osąd stał się beznadziejnie spaczony i zdolni byli przekonać siebie samych, że tym razem, w tym szczególnym przypadku, Belial powiedział prawdę.

Larry widział tak wiele okradzionych wdów, tak wiele porzuconych kobiet, tak wiele ofiar, tak wielu oszustów. Wypowiadane kłamstwa były niesłychane, żeby nie powiedzieć absurdalne. Agencja ubezpieczeniowa z Burlingame zainwestowała ponad milion dolarów w człowieka, który twierdził, że odkrył w Santa Cruz zaginioną

holenderską kopalnię, która została przeniesiona w całości z Arizony – około dwóch tysięcy kilometrów – dzięki „ruchom ziemi”. Kobieta z Mili Valey poszła do łóżka z obcym mężczyzną, bo powiedział jej, że jest ostatnim żyjącym Marsjaninem i gdy ją zapłodni, zagwarantuje przetrwanie Marsjanom.

W większości przypadków fałsz jest wiarygodny, bo ofiary chcą, by taki był. Larry także był bliski uwierzenia Belialowi, że ten zwróci mu rodziców. Bolało go to, ale wiedział, że to się nigdy nie zdarzy. Modlił się, żeby mieć słuszność.

Mandrax podszedł do trumny.

–Już czas – powiedział i chwycił za wieko. Arne złapał z drugiej strony.

–Chyba nie chcecie tego otworzyć? – cofając się, z niepokojem zapytał Larry.

–Będziesz mile zaskoczony – powiedział Mandrax. W drewnianej komnacie temperatura zaczęła spadać jak kamień. – Twarz bestii jest tylko osłoną, kryjówką przed rzeczywistością. Twarz bestii, podczas Exodusu, wymyślił Aaron, tak więc jedynie ci, którzy oddają hołd upadłym bogom, mogą zobaczyć, jacy są naprawdę piękni.

Z wielkim hałasem odsunęli razem z Arnem wieko i zajrzeli do środka. Nagle komnata wypełniła się czystym, intensywnym światłem, tak jasnym, że Larry musiał przykryć sobie twarz obiema dłońmi.

Poraził go dźwięk, jakiego nigdy dotąd nie słyszał. Wysoki, ludzki głos, przypominający wrzask, jednak trwający tak długo, że żaden człowiek nie zdołałby tego znieść. Był to jakby wrzask kogoś wiecznie spadającego. Było w nim tyle przerażenia i desperacji, że Larry z trudem to wytrzymywał. W konsternacji patrzył to na Mandraxa, to na Arnego.

–Przywykniesz do tego – powiedział Mandrax. – Jeszcze śni, wciąż upada. Leci, odkąd został wyrzucony z nieba, a ono jest od nas tak daleko – pokazał kilka centymetrów między kciukiem a palcem wskazującym – a zarazem tak blisko jak do najdalszej gwiazdy. Niebo jest w naszych głowach i dlatego tak długo spada.

–Chodź zobaczyć – powiedział Arne i skinął na Larry’ego.

Boję się, pomyślał Larry, nie mogę spojrzeć.

Jednak zbliżył się do trumny i patrzył prawie minutę na leżącą w oślepiającym świetle postać.

Belial był prawie dwa razy większy od przeciętnego człowieka, ale proporcje miał doskonałe. Długie białe włosy miał związane z tyłu w kitkę. Jego twarz była tak piękna, że aż niepokojąca. Nos miał cudowne kształty, pełne usta i wydatny podbródek. Ubrany był w długą suknię z kapturem z dziwnego materiału przypominającego śnieg.

Oczy miał zamknięte i wydawało się, że śpi, choć Larry miał wrażenie, że porusza ustami.

Larry’emu natychmiast wydało się, że ma wygląd prawdziwego anioła – jednego z mitycznych wysłańców Boga. Istoty, która nawiedziła Marię. Istoty, która ukazała się pasterzom nad Betlejem. Paraliżował go chłód, wysoki krzyk. I wszystko to było prawdziwe, choć niezrozumiałe. Wydawało mu się, że chce paść na kolana i zacząć się modlić.

Mandrax przyciągnął bliżej Ednę, wielką opasłą Ednę. Przyproceedził do trumny i siłą nachylił jej głowę do twarzy anioła.

–Co ty, do diabła, robisz?! – zawołał Larry, ale Arne podniósł dłoń i powiedział:

–Ciii, Larry, nie mieszajmy się w coś, czego nie rozumiemy.

–Na litość boską, ja rozumiem. To morderstwo.

Lecz nic nie mogło powstrzymać Edny od przysunięcia głowy do twarzy anioła. Larry nie widział nic oprócz białego prześcieradła, jakby okrywającego całującą się dwójkę. A potem tylko zwitek upadający na ziemię.

–Co ty, do diabła, robisz? – powtórzył Larry. Miał trochę przytłumiony głos.

W tym momencie usłyszał dźwięk, od którego skręcają się flaki.

Tym razem Belial miał otwarte oczy. Patrzył tak intensywnie, że Larry poczuł się, jakby coś przeszkrobał. Oczy miały kolor żółty, tak intensywnie żółty, że aż nieprawdopodobne, aby istniał taki kolor.

Larry powoli przyklęknął przy pokrwawionym prześcieradle i z wahaniem je podniósł. Pod spodem leżały zwłoki Edny-Mae Lickerman. Wyglądała niczym worek ze skóry, kolorem i powierzchnią przypominając skórę kurczaka, w którym to worku zostały poupychane wszystkie organy, ale zupełnie na sucho. Suchy pusty brzuch jak skórzany bukłak, ciemnoczerwone wyschłe serce i twarda brązowa wątroba. Jelita wyglądały jak ugotowany makaron, zostawiony zbyt długo na talerzu. Widział delikatne dziury w skórze, gdzie kiedyś były oczy, usta i nozdrza. Te usta całowali mężczyźni. Mężczyźni patrzyli w te oczy, mówili do Edny: „Kocham cię”. A co z niej teraz zostało?

–Czas, żebyśmy się pomodlili – powiedział Mandrax. – Potem wreszcie nadejdzie czas pożywienia.

Larry stanął obok Arnego i zamknął oczy. Tymczasem Belial nie odrywał wzroku od jego twarzy. Dogmeat zaczął szlochać i mamrotać coś o starych dobrych czasach. Spojrzał na Larry’ego, jakby go ktoś uderzył w czuły punkt.

O wielki Beli Ja’alu, którego imię spisane jest na kartach z prochu, którego imię przetrwa, gdy każde inne zmiecie wiatr. O powstań, wielki Beli Ja’alu!

Nagle błysnęło światło, a drewniana komnata zaczęła się trząść i kołysać. Z sufitu zaczęły spadać wielkie kawały ziemi i rozbijać się na podłożu. W pojedynczym błysku światła Larry zobaczył, że Belial zaczyna podnosić się z trumny, oczy mu płoną, a twarz pozostaje napięta w skupieniu. Powstał, a jego światło jeszcze silniej rozlało się dokoła, a dźwięk jego spadania zaczął przechodzić w crescendo, aż Larry przestał słyszeć cokolwiek prócz wysokiego wrzasku, który napinał jego nerwy i przyprawiał uszy o ból.

Wkrótce Belial stał już obok trumny. Był niezwykle wysoki, a jego suknię poruszał zupełnie inny wiatr niż ten, który wiał w tym podziemnym więzieniu. Powoli obracał głowę badając otoczenie.

–O wielki Beli Ja’alu! – wykrzyknął Mandrax padając na kolana i zaciskając pięści. – I wielki Beli Ja’alu!

Beli Ja’al milczał. Miał dzikie, szeroko otwarte oczy. Gdy odwrócił je w stronę Larry’ego, ten w strachu cofnął się kilka kroków w stronę otwartych drzwi. Tak się

bał, że dwukrotnie potknął się i upadł na kolana.

Sufit znów się zatrząsł i znów spadł kawał ziemi. Belial odwrócił głowę, powietrze wokół zahuczało.

–Dogmeat! – krzyknął Larry. – Pyskaj stąd!

Dogmeat stanął na nogach i próbował uciec. Jednak Arne musiał go tak dotkliwie pobić, że udało mu się zrobić tylko jeden krok.

–Dogmeat!

Przy następnym Belial już go dopadł. Dogmeat stanął prosto. Beli Ja'al prawie się uśmiechał. Sięgnął ręką do białego ramienia Dogmeata. Dotknął go delikatnie jak kotka.

W tej chwili Larry pomyślał: Dzięki Bogu, wszystko idzie dobrze, nic mu nie robi.

Jednak wtedy Belial złapał za drugie ramię i ścisnął z okrucieństwem. Dogmeat spojrział na niego ze strachem i odrazą.

–Słuchaj, człowieku. Nikomu nic nie zrobiłem, nigdy. Nie skrzywdź mnie, *s'il vous plait*. Zrobię wszystko, czego chcesz. Co bierzesz? Kokę? Herę? Kwas? Załatwię ci takiego cukiereczka, że ten *son et lumičre...*

Rozległy się dwa ostre suche trzaski następujące w krótkim czasie po sobie i Beli Ja'al wykręcił Dogmeatowi ręce, wyjął je ze stawów, a potem całkiem wyrwał. Chlapiąc wszędzie krwią wyrzucił je, a Dogmeat przez chwilę stał ogłupiały – bez rąk i z bijącą z ramion krwią. Potem upadł.

Jednak Belial jeszcze z nim nie skończył. Wygiął te doskonale ukształtowane usta, odsłonił dwa rzędy białych zębów ostrych jak u wilka. Podniósł suche, zakrwawione ciało Dogmeata i bez wahania włożył sobie jego głowę do ust, zupełnie w taki sam sposób, jak wąż połyka owcę. Dogmeat, jeszcze żywy, obudził się z szoku, znalazł głowę w wilgotnej, porowatej jamie i poczuł, jak zęby wbijają mu się w szyję.

Zaczął krzyczeć. Belial ścisnął szczęki i niewiele czasu minęło, zanim krzyk Dogmeata zaczął się rwać, aż zamilkł na dobre. Belial stał w ciszy i skupieniu na środku komnaty, elektryzując wszystko dokoła. Przełykał ciało, kości i włosy Dogmeata. Jego żółte oczy nie wyrażały niczego.

Mandrax zafascynowany patrzył, jak Belial pożera Dogmeata. Anioł pogryzł i połknął ostatnią jego część i wtedy Mandrax ostrożnie zbliżył się do niego. Z suknią poplamioną krwią, z zakrwawionym podbródkiem, Belial zwrócił do Mandraxa głowę.

–Czego chcesz ode mnie? – spytał głosem przypominającym drżenie kamertonu. Słyszane, ale niesłyszalne. Larry bardziej odebrał go kośćmi niż uszami. Rozpoznał go. Był to ten sam głos, który płynął z dłoni.

Mandrax skłonił się i powiedział:

–Beli Ja'alu, jesteś największym ze wszystkim stworzeń. Witamy cię i składamy ci hołd.

Belial nic nie powiedział, tylko zmęczonymi oczami rozejrzał się po drewnianym pomieszczeniu.

–To ja... – powiedział Mandrax podnosząc się z kolan -...jestem tym, który cię wskrzesił, Beli Ja'alu. To ja cię znalazłem.

–Czyż nie obiecywałem ci zawsze, że dostaniesz nagrodę? – powiedział Belial. – Dostaniesz, kiedy zostanie mi dostarczony obiecany tysiąc tysięcy.

Larry spojrział w stronę wyjścia. Nie miał pojęcia, jak uciec ani jak powstrzymać Beliala od zgładzenia tysięcy niewinnych ludzi. Piersi miał pełne strachu, aż z trudem oddychał.

Zdawało się, że Belial rozmyśla lub marzy. Nagle jego ciało błysnęło światłem, zdawało się, że obok niego stanęło w szeregu trzech czy czterech Belialów. Larry rzucił się do drzwi, w tym samym momencie usłyszał dźwięk przypominający przejeżdżający pociąg ekspresowy i świecący, zakrwawiony i okrutnie spokojny Belial stanął tuż przed nim w drzwiach.

–Jesteś tym, który ma na dłoni moje oczy – powiedział Belial. Był tak blisko, że jego głos przyprawiał Larry’ego o drżenie w kręgosłupie.

–Czego chcesz? – chwytając oddech wyzywająco zapytał Larry. – Jeszcze ci mało?

Belial ospale zamknął oczy, potem otworzył i spojrział wzrokiem istoty, która spała od wielu wieków.

–Oglądałem świat przez okna, przez lustra, przez wodę i obrazy, także przez błyszczące odbicia w oczach dzieci.

Anioł powoli oblizwał wargi – kawałek jelita Dogmeata wszedł mu między zęby.

–Oglądałem twój świat, niewolniku.

Larry z niepokojem przełknął ślinę i spojrział w stronę Mandraxa i Arnego. Mandrax szeroko szerzył zęby, a śmiertelnie poważny Arne przyglądał się z bladą twarzą.

–Przyszedłem tu, żeby się pożywić – powiedział Belial. – Przyszedłem tu na ucztę, która będzie się składała z moich największych wrogów. Lecz nie ma nic słodsze go ponad ucztę z dobrowolnych ofiar.

–Nie rozumiem – wykrztusił Larry. Nie mógł znieść tych żółtych oczu bazyliuszka. Szarpały mu nerwy bardziej niż cokolwiek innego. Modlił się do Boga, aby znaleźć się gdzie indziej, obojętne gdzie. Jednak zdawał sobie sprawę z goryczy, jaka została mu przeznaczona, odkąd jego ojciec poprosił Dana Burroughsa, żeby uchronił go przed bankructwem. Nie było żadnej ucieczki. Nigdy nie istniała.

Gdyby ojciec wiedział, ile ostatecznie wyniesie cena domu, szampana i lincolna.

–Byłem dobroczyńcą twojego ojca – powiedział Belial. – Twój ojciec wszystko mi obiecał. Wszystko: także ciebie i twoje dzieci. Wcale ciebie nie chcę. Ani twojej rodziny. Co taka wiekowa bestia jak ja mogłaby chcieć od takich młodych, słodkich duszyczek. Nawet gdybyś dawał mi je dobrowolnie, w ofierze, co taki staruch jak ja zrobiłby z takimi kąskami?

–Larry! – zawołał Mandrax.

Larry spojrział na niego wytrzeszczonymi oczami.

–Wiesz, o co prosi, Larry.

–Do diabła z tobą, Mandrax!

–Oj, Larry, daj spokój, przecież to twoja chwila. Dasz całą rodzinę, a będziesz mógł wziąć wszystko. Jesteś młody, możesz jeszcze narobić wiele dzieciaków! On

chce twojej rodziny, Larry! Ofiarowanej z własnej woli. Wtedy będzie mógł spojrzeć na Boga i powiedzieć: „Widzisz, ty mnie odtrąciłeś, ale ludzie mnie czczą. Ja władam dziełem twojego stworzenia, ja żywię się ludźmi, których ty stworzyłeś na swój obraz, i ty nie możesz nic na to poradzić, bo dałeś im wolną wolę, a oni chcą siły, majątku i mają w nosie twoje uświęcone niebo!”

Belial powoli odsłaniał w uśmiechu ząb za zębem. Larry już nie mógł wytrzymać. Rzucił się do wyjścia i pobiegł do ładowni rozpryskując za sobą kaskady wody.

Zaraz potem znów zobaczył przed sobą jasne światło. Natychmiast domyślił się, że to Belial z błyskiem i triumfem zmaterializował się przed nim. W wodzie majaczyło jego odbicie i wyglądało tak, jakby Larry miał przed sobą dwa anioły – prawdziwego i odwróconego.

–Twój ojciec złożył przysięgę – powiedział głosem, który w uszach Larry’ego brzmiał niczym dzwon kościelny. – Może przysięgał tylko dlatego, żeby samemu mieć z tego korzyść, ale przysięga to zawsze przysięga. A obietnica to obietnica. Nie mówię, żebyś wypełnił obietnicę ojca, nie mówię, że chcę cią twojej rodziny. Mogę się pożywić całym tym miastem! Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to ciało twojej rodziny.

–Larry! – Mandrax dopadł go brodząc w pełnej węgorzy wodzie. – Wiesz, czego on chce, Larry! To jedyny sposób. Dlatego cię tu przyprowadziłem!

–Pierdol się! – krzyknął Larry.

Belial odwrócił się do Mandraxa.

–Twoje gadanie jest tu na nic. Cicho.

–Ale jeśli nie odda ci swojej rodziny...

–CICHO – powiedział Belial tonem niemal niemożliwym do zniesienia przez ludzkie ucho. Złapał Mandraxa za nadgarstki, podniósł mu ręce i wyciągnął ponad powierzchnię wody. Mandrax wierzgał nogami.

–Co z tobą? To ja cię chroniłem! To ja ci złożyłem wszystkie ofiary!

–Ależ oczywiście – rzekł Belial. – Byłeś najbardziej dewocyjnym wyznawcą. Byłeś jedynym wyznawcą. A jak myślisz, czemu cię od tak długiego czasu utrzymywałem przy życiu? Dlaczego opiekowałem się tobą tyle czasu i tyle ci obiecałem?

–No to mnie puść – zipnął Mandrax. – Coś ci powiem... Moja twarz jest z jego ektoplazmy. Jeśli coś mi zrobisz, wierz mi, jego twarz zostanie zmasakrowana. A wtedy niewiele będziesz z niego miał.

Belial znów popatrzył na Larry’ego.

–Nie ma dla mnie nic bardziej niesmacznego niż skamlenie i rżężenia niewolnika – powiedział. – Podaj rękę. Wiesz którą. Pokaż mi.

–Co chcesz zrobić? – spytał Larry. – Chyba nie...

–PODAJ RĘKĘ. – Był to rozkaz silny jak nuklearny wybuch. Wbrew własnej woli Larry podniósł rękę i podał ją Belialowi.

–Nie wolno... – Mandrax opierał się i rzucał nogami. – Nie wolno ci tego! Beli Ja’alu, nie...

–Mogę robić, co mi się podoba – powiedział Belial. I prawie od razu twarz Mandraxa zaczęła się zmieniać. Zaczęła się topić i skręcać. Rysy zniknęły w smudze światła, a ektoplazma opuściła głowę i zawisła w powietrzu. Została odsłonięta jego

prawdziwa twarz: poparzona, z wydrążeniem po nosie, spalonymi powiekami i rozmaślonymi wargami obnażającymi zęby.

Ektoplazma wróciła do podniesionej dłoni Larry'ego. Poczuł, jak wypełnia go ciepło, jak rośnie mu ciśnienie krwi. Ektoplazma skończyła się wlewać. Znow mu niczego nie brakowało. Stał się cięższy, jak po zjedzeniu obfitego włoskiego posiłku. Miał niezwykle poczucie całości siebie.

Mandrax odwrócił się i ryknął:

–Kłamca! Oszust! Tyle lat walczyłem, żeby cię wskrzesić! Wszystko temu poświęciłem.

Belial puścił go do wody. Mandrax przewrócił się, stanął na nogi i zaczął uciekać tunelem do podziemnego parkingu.

Belial ze straszliwym błyskiem rozłożył ramiona i zapadł się pod wodę. Zniknął, jakby było pod nimi co najmniej pięć metrów. Larry zobaczył, jak nie większa od główki młotka wiązka światła przemieszcza się lotem błyskawicy pod stopami Mandraxa. Mandrax też to zauważył i wrzasnął ze złości.

Wtedy Belial zamrugał i zniknął. W ładowni zrobiło się absolutnie ciemno, słychać było jedynie sapanie Mandraxa.

Larry stał jak wryty. Wydawało mu się, że poza odgłosami panicznej ucieczki Mandraxa słyszy coś jeszcze. Jakby nadciągającą falę ogromnej ilości wody.

Gdy Mandrax dotarł do ściany, wzbijając wokół siebie fontanny, pojawił się obok niego Belial. Mandrax wrzasnął ze strachu i próbował odskoczyć. Ale Belial złapał go paszczą za nogi. Krew chlusnęła do wody, gdzie zakotłowało się od krwiożerczych węgorzy.

–Nie! – zawył Mandrax. – Nie... Chryste. Nie...

Larry mógł jedynie patrzeć na ten horror w napięciu i zmuszać się, aby nie pozbyć się zawartości żołądka. Nigdy nie widział istoty o takiej sile i zachłanności. Mandrax skamlał, błagał i bił rękami w wodę, gdy Belial wpił się zębami w jego klatkę piersiową, połamał mu żebra i wyrwał serce. Larry'emu stanęło przed oczami jego własne serce – wyrwane i w paszczy Beliala. Po kilku minutach upadły anioł podniósł się. Delikatna twarz ociekała krwią. Z Mandraxa nie zostało nic prócz stopniowo rozplywającej się po wodzie plamy.

–Teraz – szepnął Belial – nie zechcesz mi już nic podarować, prawda?

Do ładowni wszedł Arne i stanął przy wejściu.

–Mandrax? – spytał niepewnie.

–Mandrax miał sprzeczkę z czymś, co go zjadło – powiedział z nie ukrywaną zgryźliwością Larry.

–O Boże – jęknął Arne.

–I co teraz? – zapytał Belial z przerażającym uśmiechem. – Nie chcę was zabijać, ale zdaje mi się, że nie zostawiliście mi wyboru.

–Znowu kłamie – powiedział Arne. – Uwielbia nas zabijać.

–Czekaj – powiedział do niego Larry. – Zastanówmy się chwilę.

–Boże, co za łgarz – mówił Arne. – Gdybym tylko wiedział.

–Gdybyś tylko wiedział? – Larry spojrział na niego z wyrzutem. – Co za

usprawiedliwienie?

Arne zapatrzył się przez chwilę, potem odwrócił się i powiedział:

–Larry, nawet nie wiesz, co on mi obiecał.

–Bez wątpienia było warto.

–Cholera, Larry! Co robimy?

Larry odwrócił się do Beliala i powiedział najgroźniej, jak potrafił:

–Musisz mi dać czas na rozmowę z rodziną.

Żółte oczy zamknęły się i otworzyły z powrotem.

–A niby dlaczego? – zapytał Belial.

–Bo chcę im przynajmniej powiedzieć, dlaczego zostają złożeni w ofierze.

Zasługują na to. Poza tym chciałbym, żeby byli z tego powodu szczęśliwi. Czy nie będą przez to słodsi?

–Nie pragnę twojej rodziny w jakiś szczególny sposób – mówił spokojnie Belial. –

Oczywiście, gdyby sami chcieli być ofiarowani...

Brakowi zainteresowania w głosie towarzyszyła żądza w oczach.

Dzięki Bogu zyskałem trochę czasu, myślał Larry, teraz muszę tylko znaleźć sposób, jak wysłać tę kreaturę tam, skąd przybyła. Przed wiekami był ktoś, kto to zrobił – zamknął Beliala w trumnie. Jeśli mogli to zrobić Sumerowie, to i nam się musi udać.

Belial wykręcał wodę z zakrwawionej sukni.

–Masz godzinę. Potem podnieś ręce, wezwij mnie i przyjdę.

Mogę mu ufać? – zastanawiał się Larry. Nie. Jeśli Tara Gordon mówiła prawdę, każde jego słowo jest kłamstwem. Muszę szybko myśleć. Ale zawsze lepsze trochę czasu niż wcale.

–A co ze mną? – odezwał się Arne.

–Ty będziesz tu czekał i dotrzymywał mi towarzystwa – oświadczył Belial.

–Na litość boską, Larry – błagał Arne.

Larry pokręcił głową.

–Ty, gdy rezygnowałeś ze śledztwa, nie myślałeś o mojej rodzinie. Nie myślałeś o rodzinie Joego. Nie stanie ci się nic, na co sobie nie zasłużyłeś.

–Larry!

Larry zignorował go i ruszył przez wodę do tunelu. Ostatnią rzeczą, jaką widział, gdy przed wejściem na parking obejrzał się za siebie, był Arne stojący z twarzą jak kreda i Belial wciąż wykręcający wodę z sukni. Larry wziął głęboki oddech i ruszył naprzód.

Samochód stał na miejscu. Miał dobry akumulator, więc reflektory jeszcze świeciły. Usiadł za kierownicą, na moment zamknął oczy i starał się pozbierać.

Kto może wiedzieć, czy jest jakiś sposób na pokonanie Beliala? Może Dan Burroughs? Zajmuje się nim od wielu lat. Ale Danowi nie można ufać, przynajmniej nie teraz. Jeśli zabił ojca dla siły, jaką mógł obdarzyć go Belial, z tego samego powodu może zabić i jego.

Nie, jedyną szansą jest Tara Gordon.

Włączył silnik, zawrócił samochód i pojechał ku spiralnej rampie. Po drodze

zobaczył zbliżające się z przeciwnej strony światła. Odbijały się od wilgotnych ścian. Następną rzeczą, jaką sobie uświadomił, był zatrzymujący się na najniższym poziomie brązowy caprice. Otworzyło się okno i zobaczył Dana Burroughsa z papierosem w ustach i, ku wielkiemu zaskoczeniu, Fay Kuhn.

–Co się stało, Larry? – zapytał Dan. – Dostaliśmy od ciebie wiadomość.

Przyjechaliśmy najszybciej, jak to było możliwe.

–Cholernie dobrze wiesz, co się stało – powiedział Larry roztrzęsionym głosem. – Znowu wstał twój piękny anioł, i tyle.

Oczami przekrwionymi od dymu Dan zajrzał do dziury za rozwalonymi meblami. Z ładowni wydostało się kilka promieni i igrało po powierzchni wody.

–Więc to tu się chował ten skurwiel. Tyle lat. Więc to tu.

–Możesz iść z nim porozmawiać – powiedział Larry. – A ty, Fay? Jaką ty tutaj grasz rolę?

Fay spojrzała mu prosto w oczy.

–Myślisz, że przez całe życie chciałam być dziennikarką?

–*Et tu Brute...* - zacytował Larry. – Dziękuję za wszystkie ostrzeżenia, że Dan prowadzi podwójną grę.

–Nie wiń jej – powiedział Dan i odkaszlnął. – To mój pomysł... chociaż dorzuciła też swój grosik.

–Naprawdę powstał? – zapytała Fay z twarzą podekscytowaną do bladości.

Larry skinął głową.

–Chociaż jeszcze bym się za bardzo nie cieszył. Zachowuje się trochę dziwnie. Dogmeat nie żyje. To samo Mandrax. Z tego, co ostatnio widziałem, Arne jest jeszcze wśród żywych, ale za długo bym go do nich nie zaliczał.

–Arne? – Dan był zaskoczony.

–Zgadza się, Arne. Idź i pogadaj z nim.

–To dwulicowa świnia – syknął Dan.

–Przyganiał kocioł garnkowi – powiedział Larry i wymijając ich dzięki pobliskiej kałuży urządził im spektakularny prysznic. Wjechał na drugi poziom i dalej, nie ograniczając prędkości, pomknął wyżej i wyjechał na Green Street.

Prawie setką pędził między samochodami i ciężarówkami, czerwone światła mijał na klaksonie, wszystkie reflektory miał włączone na „full”. Gdy skręcał w Rine Street, zawadził cadillaca, ale aż do Market naciskał gaz do dechy.

Z piskiem opon zatrzymał się przed „Waxing Moon”.

Gdy popchnął drzwi, Tara Gordon chodziła po sklepie i psikała piżmowym sprayem. Miała na sobie czarną obcisłą sukienkę i srebrną biżuterię.

–Poruczniku! – powiedziała zaskoczona. – Straszliwie wyglądasz. Chyba nie chcesz mnie aresztować za używanie aerozolu, co?

Larry przycisnął dłonie do szklanej lady i wziął głęboki oddech.

–Udało im się – sapnął. – Przywrócili go do życia.

Powoli odłożyła puszkę.

–Żartujesz sobie. Bez kawałów, poruczniku. Nie ma z czego żartować.

–To nie kawał. Im się udało. Jest pod parkingiem na Green Street.

–Mój Boże – szepnęła Tara. – Nigdy nie myślałam, że do tego dojdzie. Nie sądziłam, że im się uda.

–Jest tam. Przystojny jak diabli. Wysoki na trzy metry i żarłoczny jak wilk. Ale mają, co chcieli. Dogmeat nie żyje. Mandrax też. – Mówił krótkimi urywanymi zdaniem. Zdawało się, że nie może złapać oddechu. – Dał mi godzinę zwłoki – wymamrotał. – Chce mojej rodziny, żony i synów. Dał mi godzinę. Nie wiem. Może więcej, może mniej. Cały czas kłamie.

Tara położyła mu dłoń na ramieniu.

–Spokojnie – powiedziała. – Odpocznij sobie. Daj mi minutę. – Zostawiła go i podeszła do półki z książkami. Wyjęła dwa tomy i zaczęła je wertować. Po chwili, gdy przestał zapać, dołączył do niej.

–Jest coś? – zapytał.

–Nie wiem, chyba tak. Problem w tym, że to wszystko mity i legendy. Nigdy nie wiadomo, kiedy są prawdziwe.

–Cokolwiek – błagał Larry.

–Hm... tu jest napisane, że żaden anioł nie może przeżyć na ziemi bez aprobaty ludzi, pośród których mieszka. Aby przeciwstawić się boskiej banicji, potrzebuje poparcia. Patrz... „Potrzeba tylko jednej dobrowolnej ofiary, aby jeden upadły anioł mógł przeżyć. Jednak bez niej musi wracać do wnętrza ziemi i czekać na następne wywołanie”.

–Dobrze przynajmniej, że potrzebuje mojej aprobaty.

–No, nie wiem. Dalej jest, że ci, którzy odmówią ofiary upadłemu aniołowi, często i tak są zabijani i cierpią wieczne męki.

–Cholera, to co mam, do diabła, zrobić?

–Spokojnie. Cokolwiek robisz, rób bez paniki. Tu jest wszystko o Belialu. Pierwszy z upadłych aniołów, Pan Kłamstwa... Patrz tu. „Beli Ja'al może być zniszczony jedynie przez sprowokowanie go do wypowiedzenia skończonej, absolutnej i bezdyskusyjnej prawdy. Skoro prawda jest na niego anatema, będzie przeklęty”.

Larry sam przeczytał fragment z książki. Potem spojrzął na skórzaną okładkę.

–Boże wszechmogący. Oxford University Press, tysiąc osiemset siedemdziesiąty pierwszy rok. Jak myślisz, na ile to jest wiarygodne?

–Masz jakiś lepszy pomysł? – zapytała Tara.

–Sam nie wiem. On jest... hm, Chryste, on jest gorszy niż rekin. Na moich oczach zjadł Mandraxa i Dogmeata. Poszarpał ich na kawałki i połknął.

–Nie wiem, jak go inaczej powstrzymać – powiedziała Tara. Nie była już pewna siebie.

Larry odłożył książkę.

–Jak, do diabła, zmusić takiego skończonego łgarza, żeby powiedział prawdę?

–Może postąpisz tak samo jak ja z moim byłym mężem. On powiedział: „Zatrzymaj samochód, ja go nie chcę”, ale tylko po to, żeby wywołać we mnie poczucie winy, bo ja chciałam mieć ten samochód. Wiedziałam, co robić z takimi jak on, więc powiedziałam: „Jest twój, jeśli dowiem się, że chcesz go naprawę”.

–Zdaje się, że to niewiele. – Larry pokręcił głową.

–Idziesz na dno, Larry, a tonący brzytwy się chwyta. Mam jechać z tobą?

–Chyba lepiej pojedę sam. Jeśli wszystko jest tak źle, jak na to wygląda, dobrze będzie, jeżeli przeżyje ktoś, kto wie, co się stało.

–Życzę szczęścia, poruczniku. – Pacnęła go w ramię.

Larry pocałował ją spontanicznie. Miała chłodne, miękkie, niezwykle usta, a oczy tak wielkie, jak zawarte w nich marzenia.

–Uda ci się – powiedziała. – Czuję, że jesteś silny.

Podjechał pod swój dom w Russian Hill i zaparkował przy krawężniku. Światła okienne były przytłumione przez mgłę. Kwiaty w ogródku wyglądały tak, jakby ktoś rozpiął nad nimi woalkę. Otworzył drzwi, wszedł do środka i natychmiast wiedział, że coś jest nie tak.

Roznosił się dziwny zapach. Jakby jakichś korzeni albo kadzidła. I nikt nie wyszedł mu na powitanie.

O Boże, tylko nie mów, że już nie żyją.

Ruszył w stronę salonu i w oczy mu wpadł złoty blask. Kłamał, już tu jest. Belial stał w kącie pokoju. Głową dosięgał prawie sufitu, na piersi miał skrzyżowane ręce. Twarz pokrywała mu zakrzepła krew, a suknia przypominała fartuch rzeźnika.

Linda, Frankie i Mikey siedzieli ściśnięci na sofie – cali i zdrowi, ale przerażeni. Linda podniosła wzrok, kiedy Larry wszedł do salonu, i powstrzymała chłopców, gdy chcieli skoczyć w jego objęcia. Nie powiedziała nic. Belial musiał jej nakazać milczenie, ale teraz już mogła sobie to darować.

–Przyszedłeś za wcześnie – powiedział Larry do Beliala, starając się, aby zabrzmiało to spokojnie.

–Przyszedłem tak, jak się umówiliśmy.

Znów kłamię.

–Och, rzeczywiście, zapomniałem – powiedział Larry. Belial nic nie odpowiedział, tylko podszedł bliżej i szepnął:

–Nie mógłbym przecież pozwolić, żeby mój głód był silniejszy ode mnie.

–Oczywiście.

–Larry... – odezwała się Linda. – Co to jest? Kim on jest? Czym on jest?

–Kto to? – zapytał Frankie z twarzą pełną strachu. – Mówił, że nas nie skrzywdzi.

–To prawda – powiedział Larry starając się, by zabrzmiało to wiarygodnie. – Wcale was nie dotknie. Czyż nie jest tak, o wielki?

Belial przymknął oczy żółte jak słoneczniki w nocy.

–Nie skrzywdziłbym takiej słodkiej rodzinki – odpowiedział.

Okrążył od tyłu sofę. Trudno było mu znieść spojrzenia Lindy i chłopców.

Larry nic nie mówił i stał na swoim miejscu patrząc, jak Belial krąży niczym rekin w czystej wodzie. W salonie panowało ogromne napięcie. Prawie podłoga pod nim trzeszczała. A Larry cały czas miał w uszach wysoki, zawodzący dźwięk.

–Zdecydowałeś już? – zapytał Belial Larry'ego maskując zniecierpliwienie.

–W rzeczy samej. – Larry skinął głową. – Uważnie się zastanawiałem.

–O co chodzi? – zapytała Linda. – Nad czym się zastanawiałeś?

Larry podniósł rękę, żeby ją uciszyć.

–Mówiłeś, że nie tknąłbyś takiej słodkiej rodzinki... a ja szanuję twoje życzenie. To było naprawdę wzruszające.

–Owszem. – Belial spojrział uważniej. – Mówiłem też, że gdyby taka rodzina byłaby mi ofiarowana dobrowolnie...

–Chciałbyś jej wtedy?

–Ależ nie.

–A zatem nie chciałbyś?

–Nie.

Larry zwilżył usta. Zdawał sobie sprawę, że to tylko gra słów. I jeśli Belial zmęczy się perswadowaniem mu, by z własnej woli oddał rodzinę, wtedy i tak mu ją zabierze i będą cierpieć męki gorsze niż w piekle.

Mimo wszystko ciekaw był, jak Belial będzie go dalej przekonywał do dobrowolnej ofiary.

–Dobrze... – powiedział. – Możesz ich mieć.

Belial uśmiechnął się powoli. Zdjął kaptur i rozpuścił świetlicie białe włosy. Był tak piękny, że aż straszny. Piękny jak rzeźba, piękny jak koszmar.

–Będą twoi – powiedział Larry – jeśli tylko dowiem się, że naprawdę ich chcesz.

Wciąż z uśmiechem na twarzy Belial otworzył usta, lecz zawahał się i spojrzął na Larry'ego podejrzliwie.

–Jeśli naprawdę ich chcę? – powiedział swym nieziemskim głosem.

–Cóż... no tak. Powiedziałeś, że ich nie chcesz. To znaczy, że nie ma potrzeby, żebym się zgadzał, jeśli ich nie chcesz, prawda?

–Nie powiedziałem, że ich nie chcę – Belial kłamał.

–A więc chcesz ich?

–Tego też nie powiedziałem.

–Przyjacielu – powiedział Larry. – Chcesz ich, są twoi. Ja muszę tylko wiedzieć, czy naprawdę ich chcesz.

Na podbródek Beliala spłynęły krople soków trawiennych i zmieszały się z krwią tych, którzy zostali już pożarci. Wodził oczami na boki. Głód się wzmagał. A rodzina w zasięgu ręki. Słodkie, ofiarowane ciała, słodkie ofiarowane duszyczki. Także życie na ziemi, gdzie można żywić się do woli, aż nadejdzie wieczność.

–Chcesz ich? – zapytał Larry.

Zdezorientowana Linda przyglądała mu się ze strachem. Nie mogła zrozumieć, co to za istota ani co robi Larry. Wiedziała tylko, że ona i chłopcy są przedmiotem targu. Frankie i Mikey ukryli twarze w dłoniach.

–Chcesz ich? – zapytał Larry głosem twardego gliniarza na przesłuchaniu.

–NIE – odrzekł Belial.

Larry odwrócił się. Słyszał, jak Frankie i Mikey łkają ze strachu. Oddałby wszystko, aby wziąć ich w ramiona i mocno przytulić. Ale chwila nie była do tego odpowiednia. Gdyby teraz dał za wygraną, Belial już miałby ich w zębach.

–W porządku – powiedział ciszej Larry. – Jeśli ich nie chcesz, nie możesz powiedzieć, że ci ich nie oddawałem.

–Czekaj – powiedział Belial zmienionym, przymilającym się głosem.

–Zmieniłeś zdanie?

–Nie.

–I mimo to chcesz ich?

–Nie!

–Możesz zmienić zdanie. Każdy ma do tego prawo. Chcesz?

–Nie! Nie! Nie! Po stokroć nie!

–Idź do diabła, Beli Ja’alu! – wrzasnął Larry. – Są tutaj. Są twoi. Powiedz tylko, że ich chcesz, i możesz ich zabierać.

–Nie! – krzyknęła Linda.

–Tak – oświadczył Belial. – Tak, chcę ich!

Larry stał spokojnie. Żółte oczy zmieniły się w brązowe.

–Co powiedziałaś? – zapytał Larry.

Długą, bardzo długą chwilę bał się, że może nie zadziałało, że może w książce Tary były same bzdury. Belial stał przed nimi tak samo wysoki i tak samo przerażający jak przedtem. Jego twarz biła żądzą i gniewem.

Jednak cisza trwała dalej. I stopniowo Belial zaczął spuszczać głowę.

–Powiedziałeś prawdę – odezwał się Larry.

Belial nie przerywał milczenia.

–Powiedziałeś prawdę – powtórzył Larry.

–Nie – szepnął Belial.

–Powiedziałeś prawdę. Powiedziałeś.

–NIEEEE – jęknął Belial. Podniósł głowę, oczy były oślepiającym światłem.

Wyglądało, jakby płonęły, tylko czymś jaśniejszym niż ogień, jaśniejszym niż słońce.

Jego postać zaczęła się trząść i mnożyć jak w sali pełnej luster. Żółte oczy ziały żółtym płomieniem.

NIEEEEEEE zamieniło się z krzyku w falujący huk i cały dom zaczął wibrować.

Waza spadła ze stołu i rozbiła się o podłogę. Obrazy leciały ze ścian. Z trzaskiem pękła szyba w oknie.

Hałas wzrastał się i wzrastał, a ziemia trzęsła się pod ich stopami. Belial buchał białym z gorąca, oślepiającym ogniem. Larry rzucił się przez pokój, objął Lindę i chłopców i mocno ich przytulił.

–Teraz ja powiem ci prawdę – krzyknął do Beliala. – Moja miłość do rodziny jest większa niż twój głód czegokolwiek!

Przez moment Larry czuł, jakby cały świat się osuwał.

Belial odwrócił płonąca twarz.

–Przeklinam cię! – zagrzmiał.

Potem, z dźwiękiem przypominającym trzaśnięcie ogromnych drzwi, wybuchł. W pokoju zakotłowało się od czaszek, kości, porwanych ubrań, odpadków. Wybuchł wulkan nie strawionego ciała i krwi. Szkarłatne mięśnie poplamiały pomalowane na biało ściany, ręce i kości udowe pokryły całą podłogę.

Belial zniknął w ostatnim oślepiającym wybuchu energii. Ta sama żądza, która kazała mu powstać, teraz wciągnęła go do trumny. Belial znów był w otchłani, do

której stracił go Bóg. Pozostały jedynie przerażające, do połowy przeżute kawałki tych, których pożarł.

Larry wyprowadził Lindę i chłopców z zadymionego, cuchnącego salonu. Zamknął za sobą drzwi. Frankie i Mikey byli bladzi i roztrzęsieni, ale nic nie mówili. Linda przyłożyła dłoń do ust.

–Co to było? – powtarzała. – Co to było?

–Już po wszystkim – szepnął Larry. – Już minęło.

Nie mógł nawet zastanawiać się, czy ma mówić. Miał przy sobie swoją rodzinę i nie mógł nawet płakać.

–Zadzwoń do Houstona – powiedział Lindzie. – Zadzwoń i powiedz, co się stało. A potem do Marshalla. Zaraz do ciebie przyjdę.

–Co chcesz zrobić? – zapytała Linda drżącym głosem – Chyba nie chcesz wyjść?

–Coś widziałem – powiedział Larry. – I muszę się upewnić.

Linda niechętnie zabrała synów do kuchni. Larry zobaczył, że odeszli, otworzył drzwi do salonu i wszedł do środka. Trudno było chodzić po krwi i porozrywanej skórze.

W plątaninie ludzkich odpadków zobaczył twarz. Twarz wyglądającą na jeszcze żywą.

Znalazł rękę Arnego. Poznał ją po wysmarowanym krwią i wciąż tykającym roleksie. Znalazł bezgłowy, pozbawiony piersi tułów kobiety. Niebieskie ubranie upewniło go, że należy do Fay Kuhn. Szara, zakrwawiona skarpetka musiała należeć do Dana Burroughsa.

Za sofą, w kałuży krwi i śluzu, znalazł samego cuchnącego żółcią Dana. Miał zamknięte oczy, ale wciąż oddychał. Z ust sączyła mu się ciemna krew. Starając się nie zwracać uwagi na mokrą podłogę, Larry uklęknął obok niego.

–Dan? – powiedział unosząc jego dłoń. – Dan, słyszysz mnie?

Dan odkaszlnął i popłynęło więcej krwi.

–Umieram, Larry. Chyba już wtedy byłem martwy.

–Dan, on odszedł. Beli Ja'al odszedł.

Nastąpiła długa cisza, a wtedy Dan wymamrotał:

–Dzięki Bogu.

–Wytrzymasz? Zadzwońię po lekarza.

–Za późno, Larry. Za późno. Przebacz mi. Potrzeba mi tylko twojego przebaczenia.

Larry nic nie powiedział, tylko ścisnął dłoń Dana.

–Tak wiele obiecywał... pieniądze, władzę... nawet nie masz pojęcia. Obiecywał tak wiele. Miałem cienie w płucach... cienie w płucach, a on obiecał mi zdrowie.

Wiesz co? – życie i pieniądze. Wyglądało zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe.

Odkaszlnął krwią i powiedział:

–W trzeciej szufladzie... zamknięta na klucz... leży lista policjantów i biznesmenów... którzy byli ze mną...

–Nie przejmuj się, Dan. Zajmę się tym.

Dan spojrzał rozpaczliwie.

–Naprawdę oszczędł? Beli Ja'al oszczędł?

–Aż do następnego razu. Aż kimś znowu zawładnie żądza.

Dan skinął głową i umarł. Larry klęczał jeszcze chwilę, potem wstał i rozejrzał się po jacie w salonie. Belial z pewnością oszczędł. Jednak mógł myśleć tylko o tych wszystkich koszmarach, które trzeba było przecierpieć, zanim Belial dał mu wreszcie spokój.

Następnego dnia rano Larry wysłał służby miejskie do najniższego poziomu podziemnego parkingu przy Green Street.

Znaleźli wyłom, ale Belial przewrócił następną ścianę i pozostawało tylko zasypać otwór setkami ton żwiru i gruzu.

Larry stał i patrzył, jak robotnicy zasypują tunel. Palili papierosy i pogwizdywali przy pracy. Beliala nie powstrzyma od wyjścia i tysiąc ton żwiru. Ale utrudni wejście wszystkim innym.

Później pojechał do domu matki i przez godzinę przeglądał stare papiery i listy ojca. Nie znalazł żadnych referencji dla Dana Burroughsa, ale w szufladzie za podwójnym dnem odkrył czarno-białą fotografię przedstawiającą dwóch mężczyzn przy barze. Wznosili kieliszki i uśmiechali się z zadowoleniem, jakby dobili najlepszego interesu w swoim życiu.

Po lewej w czarnym garniturze stał Mario Foggia. Po prawej Dan Burroughs w szarym ubraniu.

Larry długo patrzył na zdjęcie postukując kciukiem. Potem przedarł je i wrzucił do kosza na śmieci.

Otworzył drzwi wejściowe. Było ciepło, mgliste popołudnie. Nagle znów poczuł się dobrze. Już prawie zamknął drzwi, gdy rozległ się trzepot skrzydeł i wleciał do domu szary cień.

–Cóż – mruknął i wrócił do salonu.

Na swoim pręcie siedział Mussolini.

–*Che violino!* - skrzeczał. – *Che violino!*

Larry podszedł do klatki i zastukał w pręciki.

–Ty, ty, ty, ty, gdzieś ty był?

–*Che violino!*

Larry odpiął płaszcz, wyjął trzydziestkę ósemkę, wsunął lufę pomiędzy pręty klatki i bez wahania wypalił.

Zagrzmiało echo. Dym wolno opadał na stare, antyczne meble. Z sufitu jedno po drugim spadały szare piórka.

Larry zamknął za sobą drzwi salonu, poprawił przed lustrem włosy i wyszedł na słońce.

Tej nocy spał na kanapie w domu Marshalów z przeciwka, gdy na jego dłoni pojawiły się plamki i cienie.

Poruszały się wolno i leniwie, aż uformowały się w twarz – ruchomą, uśmiechniętą, jak z 16-milimetrowego filmu z dawnych lat.

***Czas na pożywienie, przyjacielu. Czas na pożywienie* - mamrotał znajomy głos. Larry drgnął, zacisnął palce, ale nie obudził się.**

...zawsze tak było...

Larry'emu śniło się, że chodzi po sięgającej do kostek wodzie. Wokół panowała ciemność. Wiedział, że zbliża się do czegoś straszego.

Był przerażony we śnie. Tak przerażony, że nie wiedział, czy zdoła pójść dalej. Jednak wciąż się nie budził.

I nie otwierał oczu, i nie wiedział, że na dłoni jest jego własna twarz.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/